

ANN PATCHETT

# STAN ZDUMIENIA

tłumaczenie Anna Gralak  
Tytuł oryginału *State of Wander*

*Dla mojej przyjaciółki Jo VanDevender*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiść o śmierci Andersa Eckmana przyszła w aerogramie, na błękitnym papierze wysyłanym pocztą lotniczą, który służył zarówno za papeterię, jak i – po złożeniu i sklejeniu krawędzi – za kopertę. Kto by pomyślał, że nadal produkują takie rzeczy? Ta pojedyncza kartka przebyła drogę z Brazylii do Minnesoty, obwieszczając odejście człowieka, choć była zaledwie kawałkiem bibułki tak wiotkiej, że jedynie stempel zdawał się ją przytwierdzać do tego świata. Pan Fox trzymał ją w ręku, gdy przyszedł do laboratorium, by przekazać wiadomość Marinie. Zobaczywszy go w drzwiach, uśmiechnęła się i w obliczu tego uśmiechu pan Fox się zawahał.

– O co chodzi? – zapytała w końcu.

Otworzył usta, a potem je zamknął. Kiedy spróbował jeszcze raz, wydusił z siebie tylko dwa słowa:

– Pada śnieg.

– Zapowiadali w radiu.

Okno w laboratorium, w którym pracowała Marina, wychodziło na hol, więc o tym, jaka jest pogoda, dowiadywała się dopiero w porze lunchu. Przez chwilę czekała, aż pan Fox powie to, co przyszedł powiedzieć. Wątpiła, by brnął w śniegu aż ze swojego biura oddalonego o dobre dziesięć budynków, by zdać jej raport pogodowy, lecz on tylko stał w ramie otwartych drzwi, nie będąc w stanie ani wejść do środka, ani wyjść z powrotem.

– Dobrze się czujesz?

– Eckman nie żyje – zdołał wykrztusić, zanim głos mu się załamał, a potem bez żadnych wyjaśnień podał jej list, by pokazać, jak mało sam wie na temat tego potwornego zdarzenia.

W kampusie Vogla stało ponad trzydzieści budynków: laboratoria i biurowce różnej wielkości i o różnym przeznaczeniu. Były tam laboratoria ze stanowiskami dla dwudziestu laborantów i naukowców, którzy mogli pracować jednocześnie. W innych wzdłuż bardzo długich ścian ciągnęły się klatki z myszami, małpami albo psami. W

tym laboratorium Marina pracowała z doktorem Eckmanem od siedmiu lat. Było na tyle małe, że wystarczyło, by pan Fox wyciągnął do niej rękę, a gdy to zrobił, wzięła od niego list i powoli usiadła na szarym plastikowym krześle obok separatora. W tamtej chwili zrozumiała, dlaczego ludzie mówią: „Lepiej usiądź”. W jej wnętrzu nastąpiło bardzo umiarkowane fizyczne tąpnięcie, nie omdlenie, lecz coś w rodzaju zwinięcia się, jakby była składaną metrówką, a jej kostki, kolana i biodra zgięły się pod mniejszym kątem. Anders Eckman, wysoki, w białym fartuchu laboratoryjnym, z gęstymi siwiejącymi blond włosami. Anders przynoszący jej kubek kawy, bo akurat wziął jeden dla siebie. Anders podający jej teczkę, o które prosiła, siedzący na krawędzi jej biurka i przeglądający jej dane na temat białek. Anders – ojciec trojga dzieci. Anders niespełna pięćdziesięcioletni. Jej wzrok powędrował w stronę dat – 15 marca na liście, 18 marca na stemplu, a dziś jest 1 kwietnia. Anders nie tylko był martwy – był martwy od dwóch tygodni. Pogodzili się z tym, że nie będą mieli częstego kontaktu, ale teraz zdała sobie sprawę, że wyjechał tak dawno, iż czasami wymykał się z jej umysłu na większość dnia. W kontaktach z Minnesotą nieustannie podkreślano tajemniczość regionu nad dopływem Amazonki, gdzie doktor Swenson prowadziła badania („Dzisiaj ten list zostanie przekazany dziecku, które popłynie w dół rzeki czółnem – napisał do niej Anders. – Nie mogę tego nazwać canoe. Nikt nie prowadził statystyk dotyczących prawdopodobieństwa tego, że list dotrze do celu”), ale przecież znajdował się w jakimś kraju, na świecie. Ktoś musiał tam mieć internet. Czyżby nikt nie zadał sobie trudu, żeby poszukać łącza?

– Nie zadzwoniła do ciebie? Przecież musi być jakiś internet satelitarny...

– Nie chce korzystać z telefonu albo mówi, że telefony tam nie działają.

Choć w pomieszczeniu było cicho i stali blisko siebie, ledwie słyszała jego głos.

– Ale w takim wypadku... – Powstrzymała się. Przecież pan Fox też nie wiedział. – Gdzie on teraz jest? – zapytała.

Nie potrafiła powiedzieć: „jego ciało”. Anders nie był ciałem. W Voglu było pełno doktorów, pracujących, pijących kawę w swoich gabinetach. W szafkach, magazynach i biurkach roilo się od leków, pigułek najróżniejszego asortymentu. Byli koncernem farmaceutycznym. Jeśli czegoś nie mieli, znajdowali sposób, by to wyprodukować. Przecież gdyby wiedzieli, gdzie jest Anders, na pewno znaleźliby jakiś sposób, żeby mu pomóc. Za sprawą tej myśli jej pragnienie niemożliwego przyćmiło całą zdobytą wiedzę naukową. Martwi są martwi, martwi i jeszcze raz martwi, a mimo to Marina Singh nie musiała zamykać oczu, by zobaczyć Andersa Eckmana jedzącego

kanapkę z sałatką jajeczną w bufecie dla pracowników, co robił z wielkim entuzjazmem codziennie, odkąd go znała.

– Nie czytasz raportów o cholesterolu? – pytała, jak zwykle prosząc się o to, by z niej zażartował.

– Ja je piszę – odpowiadał Anders, przesuwając palcem wzdłuż krawędzi talerza.

Pan Fox uniósł okulary i przycisnął złożoną chusteczkę do kąćków oczu.

– Przeczytaj list – powiedział.

Nie przeczytała go na głos.

Szanowny Jimie Foxie,

pada ulewny deszcz. To normalne o tej porze roku, ale jak zawsze jestem zaskoczona. Opady nie wpływają na naszą pracę, lecz czynią ją bardziej czasochłonną. Jeśli nawet nas spowalniają, co bynajmniej nie zniechęcają. Zdecydowanie posuwamy się ku doskonałym wynikom.

Teraz jednak martwi nas coś innego. Piszę, by przekazać przykrą wiadomość o doktorze Eckmanie, który zmarł wskutek gorączki nocą dwa dni temu. Wziąwszy pod uwagę nasze położenie, ten deszcz, uciążliwe procedury biurokratyczne państwa (zarówno tego, jak i waszego) oraz ważną rolę, jaką w naszym przedsięwzięciu odgrywa czas, postanowiliśmy pochować go tutaj w zgodzie z jego chrześcijańską tradycją. Muszę panu powiedzieć, że było to niełatwe zadanie. Co się tyczy misji doktora Eckmana, zapewniam pana, że robimy postępy. Zachowam jego nieliczne rzeczy dla żony, ufając, że przekaze jej pan te wieści wraz z moimi wyrazami współczucia. Przetrywamy mimo wszelkich komplikacji.

Annick Swenson

Marina zaczęła jeszcze raz, od początku. Gdy przeczytała list po raz drugi, nadal nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Czy ona nazywa Andersa komplikacją?

Trzymała aerogram za cieniuteńkie brzegi, jakby był dokumentem, który należy jeszcze złożyć jako dowód. Od razu zauważyła, że wcześniej kartka zamokła, a potem wyschła. Po wypukłościach w niektórych miejscach poznała, że niesiono ją w deszczu. Doktor Swenson wiedziała wszystko o zależnościach między papierem, atramentem i

deszczem, więc ryła swoje listy ołówkiem z twardym, ciemnym rysikiem, podczas gdy w Eden Prairie w Minnesocie Karen Eckman siedziała w dwupiętrowym domu z cegły w stylu kolonialnym, myśląc, że jej mąż jest w Brazylii i wróci do domu, gdy tylko uda mu się przemówić do rozsądku doktor Swenson.

Marina spojrzała na zegarek. Powinni pojechać niedługo, zanim przyjdzie pora odebrania dzieci ze szkoły. Czasami Anders spoglądał na zegarek o wpół do trzeciej i mówił pod nosem: „Koniec szkoły”. Trzy małe Eckmanki, trzech chłopcy, podobnie jak ich matka wiedzieli zbyt mało, by móc sobie wyobrazić martwego ojca. Całej tej stracie doktor Swenson raczyła poświęcić zaledwie nieco ponad pół strony, lecz mimo tak małej powierzchni zdążyła dwukrotnie napomknąć o pogodzie. Reszta po prostu tam tkwiła, ogromne błękitne morze pustki. To, ile można było powiedzieć na tych pozostałych centymetrach, ile wyjaśnić, wykaczało poza miarę naukową.

Pan Fox zamknął drzwi i podszedł, by stanąć obok krzesła Mariny. Położył jej rękę na ramieniu i lekko ścisnął, a ponieważ rolety w oknach wychodzących na hol były opuszczone, oparła policzek o grzbiet jego dłoni i przez chwilę tkwili w tej pozycji, obmyci bladym niebieskim światłem jarzeniówek. To było pocieszenie dla nich obojga. Pan Fox i Marina nigdy nie rozmawiali o tym, jak będą traktowali swój związek w pracy. W pracy nie mieli żadnego związku, a raczej ich relacje zawodowe nie różniły się od relacji zawodowych z innymi osobami. Pan Fox był dyrektorem generalnym Vogla. Marina była panią doktor prowadzącą badania nad statynami. Poznali się, naprawdę się poznali, pod koniec lata, przed firmowym meczem softballu, w którym naukowcy grali przeciwko pracownikom administracji. Pan Fox podszedł, by pochwalić jej rzut, i komplement doprowadził do dyskusji na temat ich wspólnej sympatii do bejsbolu. Pan Fox nie był naukowcem. Został pierwszym dyrektorem generalnym ze strony produkcyjnej. Gdy rozmawiała o nim z innymi ludźmi, nazywała go panem Foxem. Gdy rozmawiała z nim w obecności innych ludzi, zwracała się do niego *per* panie Fox. Nazywanie go Jimem, kiedy byli sami, sprawiało jej kłopot. Okazało się, że znacznie trudniej wykształcić taki nawyk.

– Nie powinienem był go tam wysłać – powiedział pan Fox.

Podniosła głowę i wzięła jego dłoń w swoje ręce. Pan Fox nie miał powodów, by nosić fartuch laboratoryjny. Dziś włożył ciemnoszary garnitur i granatowy krawat w prążki, a choć był to godny strój dla sześćdziesięcioletniego mężczyzny, za każdym razem, gdy pan Fox oddalał się od budynków administracji, przestawał pasować do otoczenia. Dziś Marina uświadomiła sobie, że wyglądał, jakby szedł na pogrzeb.

– Przecież go nie zmuszałeś.

– Poprosiłem, żeby pojechał. Chyba mógłby odmówić, tyle że to bardzo mało prawdopodobne.

– Ale nie przyszło ci do głowy, że coś takiego może się wydarzyć. Przecież nie wysłałeś go w żadne niebezpieczne miejsce.

Marina zastanowiła się, czy jest tego pewna. Oczywiście, w dżungli są jadowite węże i ryby o zębach ostrych jak brzytwa, ale wyobrażała je sobie w bezpiecznej odległości od miejsc, w których prowadzi się badania naukowe. Zresztą w liście było napisane, że Anders zmarł wskutek gorączki, a nie od ukąszenia węża. Nawet tutaj, w Minnesocie, można złapać gorączkę.

– Doktor Swenson jest tam już od pięciu lat. Nic jej się nie stało.

– Jej nic się nie ima – powiedział pan Fox bez uprzejmości w głosie.

Anders sam chciał polecieć do Amazonii. To prawda. Jakie są szanse na to, że naukowiec pracujący nad statynami zostanie poproszony o wyruszenie do Brazylii akurat w chwili, gdy zima w kraju staje się nie do zniesienia? Był zapalonym obserwatorem ptaków. Co roku latem wsadzał chłopców do canoe i razem wiosłowali po Boundary Waters, uzbrojeni w lornetki i notesy, szukając sterniczek jamajskich i dzięciołów smugoszyich. Pierwszą rzeczą, którą zrobił na wieść o wyprawie, było zamówienie przewodników po lasach deszczowych, a gdy je dostarczono, porzucił wszelkie pozory pracy. Odłożył próbki krwi z powrotem do lodówki i ślęczał nad śliskimi, ciężkimi stronami przewodników. Pokazał Marinie ptaki, które miał nadzieję zobaczyć: długoszpony krasnoczelne z palcami długimi jak jego dłoń, guiry z nastroszonymi szczotkami przytwierdzonymi do czubków głów. Takim ptakiem można by wyszorować słoik po ogórkach. Kupił nowy aparat fotograficzny z obiektywem, który mógł przybliżyć gniazdo z odległości dwudziestu metrów. Nie był to luksus, na jaki Anders mógłby sobie pozwolić w normalnych okolicznościach.

– Ale to nie są normalne okoliczności – powiedział, robiąc zdjęcie swojej współpracownicy za biurkiem.

Eksplozja jasnego światła flesza sprawiła, że Marina podniosła głowę znad fotografii karmazynowca zachodniego, ptaka wielkości kciuka, który mieszka w rożku z błota przytwierdzonym do koniuszka liścia.

– Masz ambitne ptasie plany.

Uważnie oglądała każde zdjęcie, zachwycając się splendorem biologicznej różnorodności. Na widok ary hiacyntowej poczuła przelotny żal, że pan Fox wybrał do

tego zadania Andersa, a nie ją. Wyjątkowo niedorzeczna myśl.

– Będiesz za bardzo zajęty ptakami, żeby znaleźć czas na rozmowę z doktor Swenson.

– Przypuszczam, że znajdę mnóstwo ptaków, zanim uda mi się znaleźć doktor Swenson, i wątpię, by od razu po naszym spotkaniu pobiegła się pakować i wróciła do Johnsa Hopkinsa. Takie sprawy wymagają finezji. Sam pan Fox tak powiedział. Zatem pozostaje mi wiele godzin upływających w świetle dnia.

Znalezienie doktor Swenson było nie lada zadaniem. Mieli jakiś jej adres w Manaus, ale najwyraźniej badania w terenie prowadziła z dala od swojej kwatery. Uważała, że należy chronić tamto miejsce i utrzymywać je w największej tajemnicy, by zachować zarówno nietknięte środowisko uczestników badań, jak i wartość tworzonego leku. Okazała się tak przekonująca, że nawet pan Fox nie był pewien, gdzie dokładnie przebywa. Wiedział jedynie, że nad którymś z dopływów Rio Negro. Nikt nie był w stanie powiedzieć, jak daleko od Manaus ów dopływ bierze początek i w którą stronę płynie. Jeszcze gorsze było poczucie, że odnalezienie doktor Swenson będzie najmniejszym problemem. Marina spojrzała prosto na Andersa, a on znowu uniósł aparat.

– Przestań. – Zasłoniła obiektyw dłonią. – Co jeśli nie uda ci się jej nakłonić do powrotu?

– Oczywiście, że mi się uda – powiedział Anders. – Ona mnie lubi. Jak myślisz, dlaczego pan Fox postanowił tam wysłać akurat mnie?

Możliwe, że doktor Swenson polubiła Andersa tamtego jednego dnia, który spędziła w Voglu siedem lat temu, gdy zasiadła przy stole konferencyjnym z Andersem, czterema innymi naukowcami i pięcioma dyrektorami tworzącymi Komisję do spraw Oceny Ryzyka, by omówić wstępny budżet nowego projektu w Brazylii. Marina mogła mu powiedzieć, że doktor Swenson najprawdopodobniej nie ma pojęcia, kim on jest, ale po co miałyby to robić. Na pewno sam o tym wiedział.

Pan Fox nie znał Karen Eckman. Spotykał ją na firmowych imprezach, ale powiedział Marinie, że nie pamięta jej twarzy, co teraz, w świetle tego, co się stało, wydawało się niewybaczalne. Marina zauważyła wdzięczność w jego spojrzeniu, kiedy sięgnęła po płaszcz wiszący samotnie przy drzwiach. Przecież nie puściłaby go tam samego. To zadanie dla wojskowych kapelanów, funkcjonariuszy policji, ludzi wiedzących, jak



pukać do drzwi i przekazywać wieści, które na zawsze wykołują świat domowników. „Anders nie żyje”.

– Ucieszy się, że przyszedł – powiedział pan Fox.

– Radość nie pasuje do tego kontekstu – odparła Marina.

Szła pomóc panu Foxowi i robiła to także przez szacunek dla swojego zmarłego przyjaciela, ale nie łudziła się, że Karen Eckman chciałaby usłyszeć tę wiadomość akurat od niej. To prawda, znała Karen, ale tylko w stopniu, w jakim bezdzietna czterdziestodwulatka może poznać czterdziestotrzylatkę z trojgiem dzieci, w jakim samotna kobieta pracująca z czymś mężem może poznać jego żonę, która zajmuje się domem. Marina rozumiała, dlaczego Karen chciała ją poznać, nawet jeśli Karen nie czuła do niej świadomego braku zaufania. Wciągnęła ją w rozmowę, kiedy Marina podniosła słuchawkę w laboratorium. Zaprosiła ją do swojego zawsze otwartego domu na święta Bożego Narodzenia, a potem na grilla z okazji 4 Lipca, gdzie podała Marinie herbatę oraz życzliwie wypytała o badania nad białkami i zachwyciła się jej nieco egzotycznymi żółtymi czólenkami na płaskim obcasie, które wiele lat temu przysłała Marinie kuzynka z Kalkuty. Marina uwielbiała je i wkładała tylko na specjalne okazje. Gdy w zamian pytała o chłopców, o to, jak sobie radzą w szkole, czy wybierają się na obóz, Karen odpowiadała zdawkowo, podając bardzo niewiele szczegółów. Nie należała do matek, które bombardują uprzejmych współpracowników męża niekończącymi się opowieściami o obozach skautów. Marina wiedziała, że Karen się jej nie boi. Doktor Singh była przecież zbyt wysoka i koścista, miała nieprzeniknione spojrzenie i ciężkie czarne włosy, które odróżniały ją od wszystkich Szwedów. Chodziło po prostu o to, że Karen nie chciała, by Marina zapomniała o jej istnieniu. Marina nie zapomniała o Karen, ale to, co było istotne w ich relacji, tkwiło za tak grubą zasłoną milczenia, że Marina nie miała szansy obronić się przed czymś, o co nigdy nie została oskarżona i czemu nie była winna. Nie należała do tego rodzaju kobiet, które zakochują się w mężu innej, tak samo jak nie należała do tych, które włamują się do domu w nocy i kradną pierścionek zaręczynowy babci, laptop albo dziecko. Tak naprawdę po drugiej szklaneczce ponczu z rumem na przyjęciu bożonarodzeniowym nabrała wielkiej ochoty, by oprzeć się o Karen Eckman w kuchni, objąć jej drobne ramiona i przechylić głowę tak mocno, by prawie dotknęła jej głowy. Chciała jej szepnąć na ucho: „Kocham pana Foxa”, i zobaczyć, jak błękitne oczy Karen wytrzeszczają się w zderzeniu zadowolenia z zaskoczeniem. Tak bardzo teraz żałowała, że nie była wystarczająco pijana, by się zwierzyć. Gdyby to zrobiła, Marina

Singh i Karen Eckman zostałyby naprawdę dobrymi przyjaciółkami.

Na zewnątrz śnieg padał mokrymi grudami wystarczająco długo, by przykryć każde źdźbło młodej wiosennej trawy. Krokusy, które widziała jeszcze rano, ich żółte i fioletowe główki ledwo wysunięte z ziemi, były teraz zamrożone i twarde jak karp w jeziorze. Małe kwiatki judaszowca zmieniły się w półki przysypane śniegiem. Pan Fox i Marina brnęli przez lodowatą breję, nie pomyślawszy nawet, że po raz pierwszy pod początku swojego związku opuścili ten budynek razem. Pokonali długą drogę od południowej części kampusu Vogla do parkingu oddalonego o blisko czterysta metrów. Marina nie miała na nogach kozaków. Kiedy wychodziła do pracy, nie padał śnieg.

– Powiem ci coś jeszcze – odezwał się pan Fox, kiedy wsiedli do samochodu, otrzepali się ze śniegu i ogrzewanie zaczęło pracować pełną parą. – Nigdy nie przypuszczałem, że spędzi tam tak dużo czasu. Gdy wyjeżdżał, poradziłem mu, żeby się nie spieszył, żeby dobrze rozpoznał sytuację, ale myślałem, że mówimy o tygodniu, najwyżej dwóch. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłby wyjechać na dłużej niż dwa tygodnie.

– Długo jej szukał, przez to jego plany tkwiły wciąż w punkcie wyjścia.

Anders wyjechał nazajutrz po świętach Bożego Narodzenia. Koncern chciał, żeby wyruszył wcześniej, ale w rodzinie Eckmanów wyjazdy w Boże Narodzenie nie wchodziły w rachubę. Marina pokazała panu Foxowi kilka listów, które dostała od Andersa, bo nie było w nich niczego osobistego. Przeważnie pisał o Manaus, a potem o wycieczkach w poszukiwaniu ptaków. Wyruszał na nie już w dżungli, z przewodnikiem. Zdaniem Mariny Anders pisał głównie o deszczu. Jeśli pan Fox także dostawał listy od Andersa – a była pewna, że tak – nigdy o nich nie wspominał.

– No więc dwa tygodnie. Nie trzy miesiące. Kazałbym mu wrócić...

– Nie mogłeś się z nim skontaktować.

– Właśnie. – Pan Fox błdził wzrokiem po przybielonym krajobrazie rozsmarowanym pod wycieraczkami. – Powiedziałbym mu, że ma jej dostarczyć wiadomość, a gdy już ją przekaże, powinien wsiąść do samochodu, z doktor Swenson lub bez. Nic więcej nie musiałby robić.

– To nie takie proste – powiedziała, w równym stopniu do niego, jak do siebie samej.

Tak naprawdę nikt nie myślał, że polecenie doktor Swenson, by przenieść badania z powrotem do Minnesoty, skłoni ją do zwinięcia laboratorium, zapakowania

go w kartony i przyjazdu do domu – ani Anders, ani pan Fox, ani Marina. W zasadzie jej powrót nawet nie był niezbędny. Gdyby wznowiła łączność, dowiodła, że lek już prawie został stworzony, oraz pozwoliła firmie przysłać grupę własnych naukowców, którzy zdawaliby regularne i rzetelne raporty o postępach prac nad lekiem, Vogel zostawiłby ją w stacji badawczej na długie lata, dostarczając gotówki z raz otwartej żyły. Ale teraz Anders był martwy i pojęcie sukcesu skurczyło się do odrażającego szaleństwa. Na samą myśl o doktor Swenson Marina czuła, jak zimna ręka zaciska jej się na sercu. Piętnaście lat temu siedziała na sali wykładowej w Johnsie Hopkinsie, w bezpiecznym miejscu w środkowym rzędzie, przy przejściu, a doktor Swenson maszerowała przed katedrą, mówiąc o szyjce macicy – o szyjce macicy! – z przejęciem urastającym do tak wielkiej zaciekłości, że nikt nie odważył się spojrzeć na zegarek. Żaden ze stu studentów nie wspomniał, że wykład już dawno się skończył, że powinni zostać zwolnieni, że są inne zajęcia, które właśnie ich omijają. Choć Marina jest już na drugim roku stażu w szpitalu, chodzi na wykłady dla studentów trzeciego roku medycyny, bo doktor Swenson wyraźnie dała do zrozumienia zarówno stażystom, jak i studentom medycyny, że gdy ona mówi, powinni słuchać. Marinie nie przyszłoby jednak do głowy opuścić wykład albo wyjść przed końcem z tak błahego powodu jak czas. Siedzi przykuta do krzesła, podczas gdy pokaz slajdów przedstawiających atypowe komórki na wysokiej ścianie naprzeciwko niej miga tak szybko, że prawie tworzy ruchomy obraz. Doktor Swenson wie wszystko, co powinna wiedzieć Marina, odpowiada na pytania, których Marina nie zdążyła jeszcze sformułować w myślach. Malutka kobieta pomniejszona jeszcze bardziej przez odległość przygważdża sto osób do krzeseł głosem, który nigdy nie zadaje sobie trudu, by zabrzmieć donośniej, a ponieważ wszyscy się jej boją i boją się uronić coś z tego, co mówi, siedzą tam tak długo, ile jej się podoba. Marina wierzy, że cała sala trwa tak jak ona, u zbiegu przerażenia i zachwyty, w miejscu trzymającym umysł w stanie nadzwyczajnej czujności. Jej ręka przesuwa się po kolejnych stronach, zapisując każdą sylabę wypowiedzianą przez doktor Swenson. Właśnie na tych zajęciach Marina uczy się notować jak protokolant sądowy. Ta umiejętność będzie jej służyła do końca życia.

Marinę poraża to, że po tych wszystkich latach o dziwo nadal pamięta doktor Swenson na sali wykładowej. Oczyma duszy nigdy nie widzi jej na sali operacyjnej ani podczas obchodu, lecz zawsze w bezpiecznej fizycznej odległości.

Karen i Anders Eckman mieszkali w ślepej uliczce, w którą sąsiedzi wjeżdżali powoli, wiedząc, że chłopcy mogą sunąć na sankach z pagórka albo wyskoczyć zza krzaków na rowerze.

– To ten – powiedziała Marina, wskazując dom z czerwonej cegły, a pan Fox zatrzymał samochód przy krawężniku.

Marina i Anders zarabiali pewnie mniej więcej tyle samo. Nigdy nie poruszali tego tematu, ale wykonywali przecież taką samą pracę. Anders był w koncernie kilka lat dłużej niż Marina, więc możliwe, że zarabiał trochę więcej. Ale dom Mariny, który był dość mały, choć dla niej samej i tak za duży, został już spleacony. Marina regularnie wspierała działalność dobroczynną, a reszcie pieniędzy pozwalała leżeć bezczynnie w banku, podczas gdy Anders płacił za dom, lekcje gry na fortepianie, prostowanie zębów i letnie obozy oraz odkładał na studia. Jak dawał sobie radę z utrzymaniem trzech synów i żony? I kto zapłaci za to życie teraz, po jego śmierci? Przez chwilę siedziała, wyobrażając sobie różne przyjęcia urodzinowe i święta Bożego Narodzenia, niezliczone zdjęcia chłopców z prezentami, zasupłanymi wstążkami i rozdartym papierem do pakowania prezentów tworzącym czerwone, srebrne i zielone stosy, aż w końcu śnieg przykrył przednią szybę jak koc i zasłonił jej cały widok.

– A to niespodzianka – powiedziała Karen Eckman, kiedy otworzyła drzwi, trzymając oburącz obrozę olbrzymiego golden retrievera. Była drobną kobietą i wyglądało na to, że polegnie w tej bitwie. – Zostaw! – powiedziała głośno. – Siad!

Miała na głowie białą wełnianą czapkę naciągniętą na uszy, a tuż za nią leżał płaszcz rzucony na krzesło w przedpokoju. Marina nie mogła sobie przypomnieć, jak wabi się pies, choć na biurku Andersa jego zdjęcie stało obok zdjęć Karen i chłopców. Retriever przycisnął twardy jak młotek łeb do biodra Karen i dwa razy głośno szczeknął, dziękując niewyobrazalnie łaskawemu losowi, który zesłał mu gości w samym środku dnia.

– Wychodzi pani – powiedział pan Fox, jakby to oznaczało, że oni chyba też powinni wyjść.

Karen przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie, nic nie szkodzi. Mam mnóstwo czasu. W drodze po chłopców zamierzałam wpaść do sklepu, ale mogę to zrobić później. Zapraszam do środka. Na dworze można zamarznąć.

Kiedy weszli, pies ruszył do przodu z nadzieją, że będzie mógł poskakać, ale Karen, choć była od niego cięższa najwyżej o dziesięć kilogramów, zdołała go jakoś

odciągnąć na bok.

– Odsuń się, Pickles – powiedziała. – Siad.

Pickles nie usiadł. Kiedy w końcu go puściła, potarła dłonie, by pozbyć się wgłębień pozostawionych przez łańcuchową obrozę. W kuchni panował porządek: żadnych kubków na blacie, żadnych zabawek na podłodze. Marina była w tym domu już wcześniej, ale tylko podczas imprez, kiedy w każdym pokoju i w korytarzu tłoczyli się ludzie. Pusta przestrzeń uzmysłowiła jej, jak wielki jest ten budynek. Trzeba by mnóstwa dzieci, by wypełnić wolne miejsce.

– Kawy? – zapytała Karen.

Marina odwróciła się, by zostawić decyzję panu Foxowi, i zobaczyła, że stanął prawie bezpośrednio za nią. Pan Fox nie był wyższy od Mariny. Żartował z tego, kiedy zostawali sami.

– Nie, dziękuję – powiedziała Marina.

To nie był jasny dzień, ale słabe światło odbijało się od śniegu i rzucało na stół szeroki srebrnawy pas. Przez okno panoramiczne Marina zobaczyła drabinki ustawione na niskim pagórku za domem, prowizoryczny fort, na którego skośnym dachu zbierał się śnieg. Pickles oparł się o Marinę i trącał jej dłoń, dopóki nie sięgnęła na dół, żeby pogłaskać sflaczałą giemzę jego uszu.

– Mogę go schować – zaproponowała Karen. – To kawał psa.

Pickles wpatrywał się w nią oczami zaszklonymi ekstazą płynącą z głaskanych uszu.

– Lubię psy – powiedziała Marina, myśląc, że pies zdecydowanie powinien zostać. Że będzie musiał pełnić funkcję ich pastora. Będzie matką Karen, jej siostrą, kimkolwiek, kogo chciałyby mieć przy sobie, kiedy to wszystko na nią spadnie. Będzie musiał być Andersem.

Znowu spojrzała na pana Foxa. Każda sekunda, którą spędzali w tym domu, nie mówiąc jej, co się stało, była kłamstwem. Ale pan Fox odwrócił się do lodówki. Patrzył na zdjęcia chłopców: dwaj młodsi byli jasnymi, spłowiałymi blondynami, a najstarszy miał trochę ciemniejsze włosy. Pan Fox patrzył na zdjęcie Andersa obejmującego żonę, na którym byli niewiele starsi niż ich dzieci. Wisiały tam także zdjęcia ptaków: stadka cietrzewi preriowych na polu, błękitnika rudogardłego o tak jaskrawym upierzeniu, jakby został podrasowany w Photoshopie. Anders często fotografował ptaki.

Karen zdjęła czapkę i założyła proste jasne włosy za uszy. Rumieniec, który

zagościł na jej policzkach po chwilowym uderzeniu zimna, zbladł.

– Nie przynosicie dobrych wieści, prawda? – zaczęła, okręcając na palcu skromny pierścionek z brylantem i platynową obrączkę. – Cieszę się, że was widzę, ale jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że wpadliście tylko po to, żeby się przywitać.

Przez ułamek sekundy Marina czuła leciutki przyływ ulgi. Oczywiście, że Karen wie. Nawet jeśli jeszcze o tym nie słyszała, to pewnie wyczuła to duszą. Marina bardzo zapragnęła objąć Karen, złożyć jej kondolencje. Akurat na to była gotowa. Słowa wyrażające smutek przeszywały jej gardło bólem.

– Tak, nie mamy dobrych wieści – potwierdziła Marina, słysząc drzenie w swoim głosie.

W tym momencie pan Fox powinien był opowiedzieć całą historię, wyjaśnić ją w sposób, którego Marina jeszcze w pełni nie rozumiała, ale on milczał. Pochłonęło go oglądanie zdjęć na lodówce. Odwrócił się plecami do obu kobiet, splótł ręce z tyłu i pochylił się nad zdjęciem nura zwyczajnego.

Karen podniosła wzrok i lekko pokręciła głową.

– Jego listy to jakiś obłęd – powiedziała. – Jednego dnia dostaję dwa, a potem żadnego przez tydzień. Nigdy nie przychodzą w normalnej kolejności. Parę dni temu dostałam jeden, na którym nie było daty, ale musiał zostać napisany całkiem niedawno. Brzmiał tak, jakby Anders postradał zmysły. Ostatnio pisze do mnie zdecydowanie mniej. Chyba nie chce mi powiedzieć, że musi zostać jeszcze dłużej.

– Karen, posłuchaj.

Pickles podniósł łeb, jakby „posłuchaj” było skierowane do niego. Usiadł.

– Nie na tym polega jego praca – ciągnęła Karen i choć patrzyła na Marinę, wycelowała palec w plecy pana Focha. – W dżungli mu się nie podoba. To znaczy mówi, że ptaki są fantastyczne, ale reszta doprowadza go do szału: liście, pnącza i tak dalej. W jednym z listów napisał, że czuje się tak, jakby te wszystkie rośliny dusiły go w nocy. Tam, gdzie dorastał, w Crookston, prawie w ogóle nie ma drzew. Byliście kiedyś w Crookston? Nie ma tam nic, tylko preria. Dawniej mówił, że wśród drzew zaczyna się denerwować. Żartował, ale mimo wszystko... On się do tego nie nadaje. Nie jest żadnym mediatorem wyszkolonym w rozwiązywaniu trudnych spraw. Rozumiem, dlaczego został tam wysłany. Wszyscy go lubią. Ale jeśli Vogel zawyżył cenę swoich akcji, to już problem Vogla. Ratowanie sytuacji nie należy do Andersa. On nie potrafi jej uratować, a wy nie możecie go tam trzymać i zmuszać, żeby próbował dalej.

Marina podejrzewała, że Karen powtarzała to przemówienie w myślach codziennie rano i wieczorem, podczas mycia zębów, nawet nie przypuszczając, że będzie miała okazję wygłosić je przed samym panem Foxem.

– On nigdy wam tego nie powie, ale nawet jeśli nie udało mu się sprowadzić tej wariatki z powrotem, pora już, by wrócił do domu. Mamy tu trzech synów, panie Fox. Nie może pan oczekiwać, że zakończą ten rok szkolny bez ojca.

Tym razem Marina od razu rozpoznała to uczucie, bezradne ugięcie się stawów, i zdążyła sięgnąć w stronę wysokiego krzesła przy kuchennej wyspie. Zadanie wręczenia Karen listu z pewnością należało do pana Foxa, ale w przypiływie świeżej fali smutku, Marina przypomniała sobie, że list leży w jej kieszeni. Odsunęła sąsiednie krzesło.

– Usiądź, Karen – powiedziała. – Usiądź przy mnie.

Ta chwila nie przywiodła jej na myśl własnych tragedii. Przed Mariną przemknęło jedynie nieodłączne okrucieństwo tej wieści. Nieważne, jak delikatnie ją przekazać, z jak wielkim smutkiem i współczuciem, taki cios mógł przeciąć Karen Eckman na pół.

– Anders? – powiedziała Karen, a potem powtórzyła to jeszcze raz, głośniej, jakby był w sąsiednim pokoju, jakby uwierzyła w to, co usłyszała, i jednocześnie temu zaprzeczyła.

Całe zimno przetaczające się przez Minnesotę wstąpiło w Karen Eckman, która jękała się i drżała. Jej palce zaczęły grabić zewnętrzną stronę ramion. Poprosiła o list, ale później nie chciała go dotknąć, był taki cienki i błękitny, już prawie rozłożony. Kazała Marinie przeczytać go na głos.

Odmowa nie wchodziła w rachubę, lecz bez względu na to, jak bardzo Marina próbowała okroić słowa wychodzące jej z ust, nie mogła ich przekuć we współczucie.

– „Wziąwszy pod uwagę nasze położenie, ten deszcz – powiedziała niepewnie, pomijając fragment o państwach i ich uciążliwej biurokracji – postanowiliśmy pochować go tutaj”.

Nie potrafiła się zdobyć na to, by dodać, że pogrzeb był niełatwym zadaniem. Powinna była przeczytać pierwszy akapit, w całej jego banalności. Bez niego to, co pozostało, nawet nie brzmiało jak list. Przypominało związły telegram.

– Pochowała go tam? – powiedziała Karen. Miechy jej płuc napinały się na próżno. W powietrzu nie było powietrza. – Jezu, co ty mówisz? On jest w ziemi?

– Powiedz, po kogo mogę zadzwonić. Ktoś powinien tu być. – Marina

próbowała wziąć ją za rękę, ale Karen ją odtrąciła.

– Zabierzcie go stamtąd! Nie możecie go tam tak po prostu zostawić. On nie może tam zostać.

W takich chwilach obiecywało się wszystko, lecz choć Marina bardzo się starała, nie była w stanie sklecić ani jednego zdania pocieszenia.

– Nie mogę go stamtąd wydostać – powiedziała i było to straszliwe wyznanie, bo teraz widziała już bardzo wyraźnie błoto, liście, ziemię zbijającą się w deszczu, błyskawicznie porastającą delikatnymi młodymi drzewkami i twardą trawą, i w końcu uniemożliwiająca odnalezienie miejsca, w którym spoczął. Czowała dławiącą panikę Andersa w tych wszystkich liściach i przejęła ją od niego. – Nie wiem, Karen, spójrz na mnie, musisz mi powiedzieć, po kogo mam zadzwonić. Musisz mi pozwolić po kogoś zadzwonić.

Ale Karen nie rozumiała, nie słyszała albo wcale jej nie obchodziło, w jaki sposób mogłaby ułatwić Marinie zadanie. Obie były w tym wszystkim same. Ten dźwięk, lament rozpaczony Karen Eckman, wypchnął pana Foxa z pokoju. Zsunęła się z krzesła i opadła na podłogę, by płakać przy psie, owijając swoim smutkiem jego mocną pierś, podczas gdy biedne zwierzę drżało i lizało jej ramię. Płakała, aż sierść retrievera zrobiła się mokra.

Jakimż idiotami się okazali, myśląc, że wiedzą, co robią! Dawniej, kiedy Marina była stażystką, musiała zawiadamiać o śmierci pacjentów szpitala członków ich rodzin. Robiła to niezbyt często, tylko jeśli lekarz prowadzący był zbyt zajęty albo zbyt zadufany, by zawracać sobie tym głowę. Bez względu na to, jak mocno płakali ojcowie, córki, bracia i żony, jak kurczowo się jej trzymali, wyswobodzenie się z ich uścisków nigdy nie było aż tak trudne. Musiała po prostu podnieść głowę i wtedy zjawiała się pielęgniarzka, która lepiej umiała ich przytulić i lepiej wiedziała, co powiedzieć. Była też lista ze zgromadzonymi wcześniej numerami telefonów. Figurowali na niej dostępni kapłani każdego wyznania, psychologowie wyspecjalizowani w pocieszaniu żałobników i grupy wsparcia, które spotykały się w środy. Ją proszono najwyżej o wypisanie recepty na środki uspokajające. Marina przekazała wieść o śmierci Andersa, nie poświęcając żadnej myśli infrastrukturze śmierci. Co z chłopcami, którzy stoją teraz przed szkołą i czekają na mamę, a śnieg gromadzi im się na ramionach? Jak Marina mogła o nich zapomnieć? Dlaczego nie pomyśleli o tym, by najpierw kogoś poszukać, znaleźć tuzin ludzi, którzy staliby w gotowości wokół Karen, podczas gdy ona chłonęłaby brutalność wieści? Wszyscy ci



ludzie z przyjęć bożonarodzeniowych, kobiety w swetrach w renifery, mężczyźni w czerwonych krawatach, ludzie, których Marina widywała roześmianych w tej kuchni zaledwie kilka miesięcy temu, kiedy opierali się o siebie, sącząc ajerkoniak, byli tu teraz rozpaczliwie potrzebni! A nawet jeśli ona i pan Fox okazali się niewystarczająco bystrzy, by sprowadzić rodzinę i przyjaciół, to jak mogli nie pomyśleć przynajmniej o wsunięciu do kieszeni kilku darmowych próbek xanaksu? Czegoś takiego nie można było przeczekać. Czekanie oznaczałoby tylko tyle, że chłopcy Eckmanów zaczęły wpadać w panikę, gdy nauczycielka zaprowadzi ich z powrotem do szkoły i każe poczekać w środku. Pomyślała, że ich mama nie żyje. Tak to już jest z dziecięcym umysłem – zawsze podąża w stronę utraty matki.

Marina wstała z podłogi, choć nie pamiętała, by w ogóle na niej usiadła. Poszła do telefonu, szukając notesu z adresami, stojąca na wizytówki, czegokolwiek z cyframi w środku. Znalazła dwa egzemplarze „Minneapolis Star Tribune”, notatnik z czystą kartką na wierzchu, kubek do kawy z napisem „Kocham swoją bibliotekę” wypełniony długopisami i kredkami, przyczepioną do korkowej tablicy kartkę zatytułowaną „Kryzysowy niezbędnik niani”: numer komórki Karen, numer komórki Andersa, numer do laboratorium Andersa, numer ośrodka zatruc, pogotowia, doktora Johnsona, Linn Hilder. Zupełnie jak podczas pożaru, pomyślała Marina. To dlatego wymyślili numer 911 dla nieuniknionych sytuacji kryzysowych. Gdy płomienie pędzą po zasłonach i biegną do ciebie po deskach podłogi, nie znasz żadnych numerów. Choć bardzo chciała pomóc żonie zmarłego przyjaciela, równie mocno chciała się wydostać z tego domu. Podniosła słuchawkę i wykreśliła numer osoby z końca listy. Musiała wynieść telefon z kuchni, by usłyszeć kobietę na drugim końcu linii. Linn Hilder była sąsiadką, która przypadkiem miała dwóch synów zaprzyjaźnionych z chłopcami Eckmanów. Ba, niespełna dwadzieścia minut wcześniej Linn Hilder wychyliła się z okna swojego samochodu i zapytała małych Eckmanów, czy nie potrzebują podwiezienia do domu, a oni powiedzieli nie, pani Hilder, nasza mama już jedzie. Linn Hilder płakała teraz równie spazmatycznie jak Karen.

– Niech pani po kogoś zadzwoni – powiedziała Marina ściszym głosem. – Niech pani zadzwoni, po kogo tylko się da, i przyśle ich tutaj. Niech pani zadzwoni do szkoły. Niech pani pojedzie do szkoły i przywiezie chłopców.

Kiedy wróciła do kuchni, zobaczyła, że Pickles leży na podłodze po prawej stronie swojej właścicielki, ułożywszy przemoczony łeb na biodrze Karen, a po jej lewej siedzi pan Fox, który jakimś cudem wrócił do kuchni podczas jej krótkiej

nieobecności. Głaskał Karen po głowie z powolną, rytmiczną pewnością.

– Już dobrze – mówił cicho. – Wszystko będzie dobrze.

Jej głowa wtuliła się w jego pierś, a łyzy przyciemniły prążki jego krawata, które z niebieskich stały się czarne. I choć wcale nie było dobrze, wręcz przeciwnie, spokojnie powtarzane słowa zdawały się docierać do Karen, która próbowała miarowo oddychać.

Marina i pan Fox opuścili dom godzinę później, gdy zlokalizowano matkę Karen, gdy siostra Karen przyjechała z mężem i oznajmiła, że ich brat jedzie już z Iowa, gdy Linn Hilder odebrała młodych Eckmanów ze szkoły i zawiozła ich do swojego domu w oczekiwaniu na opracowanie sensownego planu przekazania im wiadomości. Od chwili, w której pan Fox stanął na progu laboratorium z tą błękitną kopertą w dłoni, Marinie ani razu nie przyszło do głowy, że śmierć Andersa może się wiązać z poczuciem winy. To był wypadek, tak jak wypadkiem byłoby wciągnięcie przez prąd w wody Amazonki. Kiedy jednak wyszli na brutalny lodowaty wiatr, odprowadzeni tylko przez Picklesa, zaczęła się zastanawiać, czy ludzie w środku nie uważają pana Focha za winnego. Dni nadal były krótkie i słońce wisiało już nisko. Gdyby nie pan Fox, synowie Eckmanów z pewnością odrabialiby teraz lekcje albo lepili bałwana na podwórku za domem. Anders spoglądałby na zegarek w laboratorium, mówiłby, że jest głodny, a jego ciało przechylałoby się już ku drzwiom w tętniącym życiem świecie. Pomyślała, że nawet jeśli Karen Eckman i jej najbliżsi nie obwiniają pana Focha w godzinie największego smutku, wina może do nich przyjść później, gdy czas i sen rozplacze im myśli. Marina z pewnością winiła go za to, że zostawił ją samą, gdy trzeba było przekazać Karen wiadomość, i że nie wziął jej za rękę, kiedy ostrożnie szła nieodśnieżonym chodniczkiem do samochodu. Czy winiła go także za wysłanie Andersa na śmierć do Brazylii? Walczyła z lekko przymarznąłą klamką po stronie pasażera, a pan Fox wślizgnął się na miejsce kierowcy. Starła ręką śnieg z szyby, a potem zastukała gołymi knykami w okno. Siedział wpatrzony przed siebie, a teraz odwrócił się do niej i na jej widok wydał się zdumiony, jakby zapomniał, że nie przyjechał sam. Przechylił się na bok i otworzył drzwi od środka.

Opadła na skórzane siedzenie, tak jak upadłaby na chodnik przed domem, gdyby przyszło jej czekać minutę dłużej.

– Podwieź mnie do mojego samochodu – powiedziała.

Drżały jej ręce, więc wcisnęła je między kolana. Większość życia spędziła w

Minnesocie, ale nigdy nie było jej aż tak zimno. Pragnęła jedynie wrócić do domu i posiedzieć w ciepłej kąpieli.

Przestał padać śnieg, ale niebo wiszące nad prerią było nabrzmiałe i szare. Autostrada międzystanowa, kiedy już ją znaleźli, okazała się jedynie ubitym pasmem strasznie zoranego asfaltu między dwiema płaskimi połaciami bieli. Pan Fox nie odwiózł Mariny do jej samochodu. Zamiast tego pojechał do St. Paul, a gdy znaleźli się w St. Paul, ruszył ku restauracji, w której w przeszłości mieli niezwykle szczęście i nie natknęli się na nikogo znajomego. Gdy zobaczyła, dokąd jedzie, nic nie powiedziała. W pewien mglisty sposób rozumiała, że po tym wszystkim, przez co przeszli, lepiej pozostać razem. Było już dobrze po piątej, kiedy wślizgnęli się do boksu w głębi sali. Gdy Marina zamówiła lampkę czerwonego wina, zdała sobie sprawę, że pragnie tego wina jeszcze bardziej niż kąpieli. Kelnerka przyniosła dwa kieliszki i postawiła je przed Mariną, jeden obok drugiego, jakby klientka spodziewała się towarzystwa. Panu Foxowi przyniosła dwie szklaneczki szkockiej z lodem.

– Promocja – powiedziała bez szczególnej radości. – Dobrej zabawy.

Marina zaczekała, aż kobieta odejdzie, a potem bez wstępów powtórzyła panu Foxowi jedno zdanie z monologu Karen, które mocno utkwilo jej w głowie, gdy pozostałe zaczęły stapać się w całość.

– Jeśli Vogel zawyżył cenę swoich akcji, to już problem Vogla.

Spojrzał na nią z miną, którą można by nazwać słabym uśmiechem, tyle że nie było w niej wystarczająco dużo z uśmiechu.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był aż tak zmęczony. Pokiwała głową. Czekala. Przez dłuższą chwilę czekał razem z nią.

– Wiesz, że cena akcji naprawdę poszła w górę – powiedział w końcu.

– Wiem, że poszła w górę. Ale chyba nie wiem dlaczego i czy to ma jakiś związek z Andersem.

Pan Fox z łatwością osuszył pierwszą szklaneczkę, a potem lekko oparł palce na brzegu drugiej. Za miesiąc miał skończyć sześćdziesiąt jeden lat, ale wydarzenia dnia pchnęły go znacznie dalej. W słabym świetle nisko wiszącej tandetnej witrażowej lampy mógł mieć z siedemdziesiąt. Siedział zgarbiony, jego ramiona ciążyły ku sobie z przodu, a okulary wyrwały mały czerwony rowek na grzbiecie nosa. Jego usta, które w przeszłości były hojne i miłe, przecinały teraz twarz pojedynczą prostą linią. Zanim po raz pierwszy przyszli do tej restauracji, Marina pracowała w Voglu ponad sześć lat. Miała mnóstwo czasu, by myśleć o panu Foxie jak o swoim pracodawcy,

zwierzchniku. Przez ostatnie siedem miesięcy podejmowali próbę zdefiniowania swojej relacji na nowo.

– Problem w tym... – powiedział pan Fox ponurym tonem. – Od jakiegoś czasu mamy... – Zwlekał, jakby połączenie zimna, wyczerpania i szkockiej ukradło mu wszystkie potrzebne słowa. – Mam pewne problemy w Brazylii. Anders nie pojechał tam po to, by je rozwiązać. Nie prosiłem go, żeby je rozwiązał, ale uznałem, że przywiezie stamtąd wystarczająco dużo informacji, bym mógł sobie z tym poradzić osobiście. Uważałem go za osobę, która nada bieg sprawie. Miał wyjaśnić doktor Swenson, że powinna koniecznie zakończyć badania i natychmiast, z pomocą innych naukowców, przejść do fazy tworzenia leku. Potem on, na podstawie tego, co zobaczy, miał mi wyjaśnić, na jaki realny harmonogram prac możemy liczyć. Fakt, że Anders zmarł w samym środku tego wszystkiego, jest czymś strasznym. Nie muszę ci tego mówić, ale jego śmierć... – I tu pan Fox przerwał, by rozważyć swoje słowa i upić pół centymetra z drugiej szklaneczki. – Jego śmierć nie rozwiązuje problemu.

– A problem polega na tym, że lek, którzy rzekomo już od roku czeka na progu FDA, tak naprawdę nie istnieje? Nie chodzi o to, że doktor Swenson nie chce go przywieźć z Brazylii. Chcesz powiedzieć, że nie ma czego przywieźć.

Pan Fox był dla niej za stary. Pięć lat młodszy od jej matki, co matka Mariny wytknęłaby jej jako pierwsza, gdyby tylko Marina skłoniła się ku poinformowaniu jej o swoim związku.

– Tego nie wiem. Na tym polegał cel wyprawy. Potrzebowaliśmy więcej informacji.

– Więc wysłałeś Andersa na coś w rodzaju misji rozpoznawczej? Andersa Eckmana? Jakie miał do tego kwalifikacje?

– Miał być naszym ambasadorem. Niczego nie ukrywał, nie było nic do ukrycia. Jego zadanie polegało na wyjaśnieniu doktor Swenson wagi szybkiego zakończenia jej części projektu. Będąc tam, odgrodziła się od... – Pan Fox zamilkł i pokręcił głową. Ta lista była zbyt długa. – Od wszystkiego. Nie jestem do końca pewien, czy rozumie pojęcie czasu.

– Jak dawno temu się z tobą kontaktowała?

– Nie licząc dzisiejszego listu? – Przerwał, by przeprowadzić obliczenia w głowie, choć Marina podejrzewała, że zwleka celowo. – Nie odzywała się od dwudziestu sześciu miesięcy.

– Nie odezwała się do ciebie przez ponad dwa lata? Jak to możliwe?

Chodziło jej o to, jak mógł pozwolić, by to zaszło tak daleko, ale on zrozumiał jej pytanie inaczej.

– Najwyraźniej nie czuje się odpowiedzialna przed ludźmi, którzy jej płacą. Dałem jej tyle swobody, że każdy inny koncern farmaceutyczny parsknąłby śmiechem, zresztą słusznie. To dlatego zgodziła się z nami współpracować. Jej wynagrodzenie co miesiąc wpływa na rachunek w Rio, zgodnie z naszą pierwszą umową. Zapłaciłem za budowę stacji badawczej, a nawet nie wiem, gdzie ona jest. Wysłaliśmy tam wszystko na barce: zamrażarki, cynowy siding, dachy i drzwi, więcej generatorów prądu, niż potrafiłabyś sobie wyobrazić. Wysłaliśmy wszystko, czego potrzebuje laboratorium działające na pełną skalę, a ona powitała barkę w Manaus, weszła na pokład i dalej popłynęła sama. Żaden z robotników nie był w stanie sobie przypomnieć, gdzie to wszystko wylądowano.

– Skoro Anders ją znalazł, będzie można ją znaleźć jeszcze raz.

Doktor Swenson nigdy nie poczułaby się odpowiedzialna przed Voglem, podobnie jak nie pomyślałaby, że pracuje dla jakiejś firmy. Mogła tworzyć lek z własnej ciekawości albo przez wzgląd na swoje zainteresowania naukowe, ale nie przyszłoby jej do głowy, że jej praca jest własnością osób, które podpisują czeki. Każdy myślący człowiek, który spędził w jej towarzystwie choćby godzinę, umiałby to zrozumieć.

– Więc zakręć kurek. Odetnij pieniądze i zaczekaj, aż sama wróci.

Pan Fox, który trzymał drugą i w zasadzie nadal pełną szklaneczkę szkockiej dwa centymetry nad stołem, postawił ją z powrotem. Wyraz jego twarzy miał oznaczać, że nic z tego nie rozumiała.

– Ten projekt należy ukończyć, a nie porzucić.

– W takim razie nie zostanie porzucony. – Marina zamknęła oczy. Chciała się zanurzyć w czerwonym winie, pływać w nim. – Prawdę mówiąc, nie chcę już więcej rozmawiać o doktor Swenson ani o Voglu, ani o pracy nad lekiem. Wiem, że sama poruszyłam ten temat, ale to było niewłaściwe. Poświęćmy ten dzień Andersowi.

– Masz absolutną rację – powiedział pan Fox tonem niewyrażającym ustępstwa. – To nie jest pora na takie rozmowy. Jutro też nie. Ani pojutrze. Ale skoro ten dzień słusznie należy się Andersowi, to coś ci powiem: odnajdując doktor Swenson, mamy szansę nie tylko rozwiązać problemy Vogla. Moglibyśmy też zdobyć odpowiedź na niektóre pytania związane ze śmiercią Andersa.

– Jakie pytania?

– Wierz mi – powiedział. – Pojawią się pytania.

Zastanowiła się wtedy, czy on też poczuł, że w końcu wina spadnie na niego.

– Nie pojedziesz do Brazylii – wystraszyła się.

– Nie – potwierdził.

To przez to okropne oświetlenie wyglądał tak staro, przez szkocką i ciężar dnia. Chciała, żeby już poszli, a po powrocie do Eden Prairie zamierzała go zabrać do domu. Za nic go nie winiła. Pochyliła się nad stołem w ciemnym boksie w głębi sali i wzięła go za rękę.

– Prezes firmy nie może jechać do Brazylii.

– W samej Amazonii nie ma nic niebezpiecznego. To kwestia środków ostrożności i zdrowego rozsądku.

– Na pewno masz rację, ale to nie znaczy, że powinieneś tam jechać.

– Obiecuję ci, nie pojedę. Annick Swenson nie chciałaby mnie słuchać. Teraz już wiem, że nigdy mnie nie słuchała, ani na zebraniach, ani w umowach. Piszę do niej, odkąd wyjechała. Żadnych e-maili, żadnych SMS-ów. Ona ich nie uznaje. Siadam i przelewam wszystko na papier. Wyraziłem się bardzo jasno w kwestii jej zobowiązań i naszego zaangażowania w przedsięwzięcie. Nic nie wskazuje na to, by czytała moje listy.

– Więc potrzebujesz kogoś, kogo posłucha.

– Właśnie. Nie pomyślałem o tym, kiedy wysłałem Andersa. Był życzliwy i bystry, do tego chyba chciał jechać, a to wiele znaczyło. Myślałem jedynie, że to powinien być ktoś z Vogla, ktoś inny niż ja.

Och, Anders! Zostałeś wysłany na misję, do której nigdy się nie nadawałeś. Po twojej śmierci uznano cię za błąd w ocenie.

– Więc teraz znajdziesz właściwą osobę.

– Ciebie – powiedział.

Marina poczuła lekkie drgnięcie w dłoni, którą trzymał, jakby coś ostrego na chwilę przekłuło go na wylot i dźgnęło także ją. Cofnęła rękę i szybko ją rozmasowała.

– Ona cię zna – ciągnął. – Posłucha cię. Powinienem był cię poprosić na samym początku. Rada wybrała ciebie, ale ja byłem przeciw. Powiedziałem im, że cię zapytałem, ale odmówiłaś. To było samolubne z mojej strony. Czas, który spędziliśmy razem... – Teraz na nią spojrział, ale dla nich obojga było to niemal nie do zniesienia, więc spuścił wzrok. – To było dla mnie ważne. Nie chciałem, żebyś wyjeżdżała. To moja wina, Marino, wysłałem Andersa zamiast ciebie, choć tobie by się tam udało.

– Ale on umarł – powiedziała. Nie chciała cofnąć czasu i wybierać między sobą a Andersem, myśleć o tym, które z nich jest bardziej zbyteczne w wielkim planie życia. Była pewna, że zna odpowiedź na to pytanie. – Wolałbyś, żebym to była ja?

– Ty byś nie umarła. – W tej kwestii miał absolutną pewność. – Cokolwiek zrobił Anders, postąpił nierozważnie. Nie został pożarty przez krokodyla. Dostał gorączki, był chory. Gdybyś ty zachorowała, miałabyś na tyle rozumu, by wsiąść w samolot i wrócić do domu.

Marina nie pochwałała wprowadzenia wątku winy po stronie Andersa. Wystarczająco złe było to, że umarł.

– Może postarajmy się nie mieszać w to biednego Andersa. – Próbowła uchwycić się logiki. – Niesłusznie zakładasz, że znam doktor Swenson. Nie widziałam jej od... – Marina urwała. Naprawdę minęło aż tyle czasu? – Od trzynastu lat. Znałam jej poglądy dotyczące endokrynologii rozrodu i w mniejszym stopniu chirurgii ginekologicznej, ale teraz nie znam jej podejścia do żadnej z tych dziedzin, to wszystko są poglądy sprzed trzynastu lat. Nie znam jej. Ona nie zna mnie. Nie znała mnie wtedy i nie ma powodów, by oczekiwać, że nagle mnie pozna. Na pewno nie pamięta mojego nazwiska, mojej twarzy, moich wyników w testach.

Czy doktor Swenson by ją poznała? Zobaczyła, jak wykładowczyni podnosi głowę i patrzy na salę, omiatając spojrzeniem twarze wszystkich studentów, wszystkich stażystów, rok po roku, rok po roku. Na jednym roku mogły ich być setki, które z upływem lat szybko sumowały się w tysiące. A mimo to przez krótki okres doktor Swenson znała Marinę Singh.

– Nie doceniasz się.

Marina przecząco pokręciła głową.

– To ty przeceniasz doktor Swenson. I mnie. Jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi. – Była to połowiczna prawda. Prawda jednostronna.

– Byłaś jej studentką, jej zdolną studentką, która zrobiła karierę w jej specjalizacji. To pewien związek. Z nikim nie łączy jej nic silniejszego niż to.

– Chyba że z jej pracodawcą.

Uniósł brwi, ale to nie wystarczyło, by udać zaskoczenie.

– Więc teraz uważasz, że powinienem jechać?

– Jesteśmy jedynymi kandydatami do tej misji? Moim zdaniem żadne z nas nie powinno jechać.

Teraz zobaczyła Andersa bardzo wyraźnie. Podał jej wszystko jak na tacy, a

jednak zupełnie nie rozumiała, o co mu chodzi. Powiedział, że doktor Swenson znalazła w Amazonii wioskę, plemię, gdzie kobiety rodzą dzieci do końca życia.

– To dopiero wstrząsająca myśl. – Marina wprowadzała dane do komputera i słuchała Andersa tak, jak często jej się zdarzało, jednym uchem.

– Oczywiście ich średnia życia jest krótsza od naszej o mniej więcej dziesięć lat, ale tak samo jest w całej Amazonii: uboga dieta, kiepska albo żadna opieka lekarska.

– Tyle dzieci.

Anders odsunął się od biurka w swoim fotelu na kółkach. Dzięki długim nogom i krótkiej podłodze w laboratorium łatwo manewrował po pomieszczeniu, odpychając się piętami.

– Ich jajeczka się nie starzeją, rozumiesz? Reszta ciała podąża ku zniszczeniu, a układ rozrodczy pozostaje świeżuteńki jak skowronek. To koniec *in vitro*. Koniec z wydatkami, koniec z zastrzykami, które okazują się nieskuteczne, koniec z dawstwem jajeczek i z surogatkami. To jest jajo wieczności, niekończąca się menstruacja.

Marina podniosła głowę.

– Przystaniesz w końcu?

Położył na jej biurku opasły raport autorstwa doktor Swenson zatytułowany *Endokrynologia rozrodu plemienia Lakaszi*.

– Udawajmy przez chwilę, że jesteś farmakologiem klinicznym pracującym dla dużego koncernu farmaceutycznego, który tworzy nowe leki. Wyobraź sobie, że ktoś proponuje ci odpowiednik *Zaginionego horyzontu* dla amerykańskich jajników. – Wziął Marinę za rękę, jakby chciał się oświadczyć. – Odkładaj decyzję o urodzeniu dzieci, jak długo chcesz. Nie mówimy o czterdziestu pięciu latach, mówimy o pięćdziesiątce, sześćdziesiątce, a może nawet o jeszcze późniejszym wieku. Zawsze możesz rodzić dzieci.

Marina poczuła, że te słowa są skierowane bezpośrednio do niej. Miała czterdzieści dwa lata. Była zakochana w mężczyźnie, z którym nie wychodziła z tego budynku, i choć nie rozmawiała o tym z panem Foxem, nie było wykluczone, że mogliby mieć dziecko. Być może mało prawdopodobne, ale nie wykluczone. Podniosła opasły raport.

– Annick Swenson.

– To ta badaczka. Jest jakimś słynnym etnobotanikiem i pracuje w Brazylii.

Marina otworzyła na spisie treści.

– Nie jest etnobotanikiem – poprawiła go, spoglądając na listę rozdziałów:



*Początek dojrzewania u kobiet z plemienia Lakaszi, Liczba urodzeń w plemionach porównawczych...*

Anders spojrział na stronę, na którą patrzyła, jakby ta informacja była tam wydrukowana.

– Skąd wiesz?

Marina zamknęła raport i odsunęła go w jego stronę. Pamiętała, że od początku nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

– Była moją wykładowczynią na akademii medycznej.

Tak brzmiała cała rozmowa. Zadzwoił telefon, ktoś wszedł, nastąpił koniec. Nikt nie poprosił Mariny, by wzięła udział w posiedzeniach komisji rewizyjnej ani by spotkała się z doktor Swenson przy okazji jej jedynej wizyty w Voglu. Nie było ku temu powodów. Członkowie komisji rewizyjnej pełnili obowiązki rotacyjnie i w tym konkretnym wypadku nie wylosowano jej numerka. Nie było powodów, by pan Fox dowiedział się o związku łączącym Marinę z kronikarką ludu Lakaszi, choć w pewnym momencie najwidoczniej usłyszał o tym od Andersa.

– Właściwie jaka ona jest? – zapytał ją Anders dwa albo trzy dni przed wyjazdem.

Marina zastanowiła się chwilę. Zobaczyła swoją wykładowczynię na dole, w zagłębieniu sali wykładowej, przyjrzała jej się z bezpiecznej, wygodnej odległości.

– Była staromodną profesorką z akademii medycznej.

– Żywa legenda? Samobójstwo w każdej grupie?

Anders oglądał wtedy swoją książkę o ptakach, był nią zbyt pochłonięty, by zauważyć minę Mariny. Nie chciała żartować z czegoś, w czym nie ma nawet krztyny wesołości, a jednocześnie wołała nie odsłaniać żadnej szczeliny, którą można by rozchylić w poważną rozmowę. Dlatego powiedziała tylko:

– Tak.

Ostatecznie ani Marina, ani pan Fox nie potrafili stawić czoła kolacji. Dopili drinki, po dwa na głowę, i pojechali z powrotem na parking przed Voglem, gdzie Marina wsiadła do swojego samochodu, by wrócić do domu. Nie padł już żaden argument, nie ułożono żadnych planów związanych z Amazonią ani z najbliższym wieczorem. Obydwoje byli pewni, że najlepszym rozwiązaniem okazałoby się wspólne pójście do łóżka, trzymanie się w objęciach przez całą długą noc, by odgonić śmierć, ale tam, na

parkingu, rozdzielili się naturalnie, obydwójce zbyt zmęczeni i zasadniczo zbyt osamotnieni w swoich myślach, by ze sobą pozostać.

– Zadzwoń, żeby powiedzieć dobranoc – obiecał pan Fox.

Marina przytaknęła i pocałowała go, a kiedy wróciła do domu i leżała w łóżku po kąpieli, której tak rozpaczliwie pragnęła, rzeczywiście zadzwonił i powiedział dobranoc, ale tylko dobranoc, bez żadnych słów o minionym dniu. Kiedy telefon zadzwonił jeszcze raz, pięć minut albo pięć godzin po tym, jak zgasła światło, nie pomyślała, że to pan Fox. W pierwszym zdumiewającym odruchu spodziewała się Andersa. Miało to coś wspólnego z przerwany snem. Anders dzwonił, bo jego samochód utknął w śniegu, i prosił ją, by po niego przyjechała.

– Marina, przepraszam, że cię obudziłam.

To był głos kobiety i po chwili Marina zdała sobie sprawę, że rozmawia z Karen. Sięgnęła pod kołdrę, by spróbować wyprostować koszulę nocną, która owinęła jej się wokół talii, zmieniając się w skręcony sznur.

– Wszystko w porządku.

– Doktor Johnson przyniósł jakieś proszki nasenne, ale w ogóle nie działają.

– Czasami tak bywa – powiedziała Marina.

Podniosła mały zegarek stojący na szafce nocnej. Małeńkie wskazówki świeciły w ciemności, było dwadzieścia pięć po trzeciej.

– Na wszystkich pozostałych podziały. Cały dom twardo śpi.

– Chcesz, żebym przyjechała?

Mogłaby znowu tam pojechać, posiedzieć na podłodze w kuchni z Karen i Picklesem. Mogłaby się położyć na łóżku po stronie Andersa i w ciemności trzymać jego żonę za rękę, dopóki Karen by nie zasnęła. Tym razem byłaby gotowa, wiedziałyby, co robić.

– Nie, jest w porządku. Mam przy sobie rodzinę, nawet jeśli wszyscy śpią. Po prostu o tym wszystkim rozmyślam, wiesz? Oczywiście, że o tym rozmyślam. – Jej głos na drugim końcu linii był niezwykle spokojny.

– Jasne.

– I nazbierało mi się mnóstwo pytań.

– Oczywiście – powiedziała Marina, choć nie była w stanie znaleźć choćby jednego pytania, na które umiałyby odpowiedzieć.

– No więc dlaczego ona pisze, że zatrzymała kilka jego rzeczy dla żony? Myśli, że tam wpadnę i zabiorę jego zegarek? – Jej głos na chwilę zadrżał i równie szybko

odzyskała kontrolę. – Nie uważasz, że powinna je wysłać?

Jego aparat fotograficzny, portfel, paszport, zegarek, być może przewodniki i być może jakieś ubrania, choć Marina w to wątpiła. Doktor Swenson oddałaby tylko te rzeczy, które uznałaby za ważne, to znaczy odłożyłaby je i zapomniała o ich istnieniu.

– Chyba po prostu uznała, że odda je następnej osobie, która tam pojedzie. Tak byłoby najbezpieczniej. Podejrzewam, że mnóstwo wysłanych rzeczy ginie gdzieś po drodze. – W tym momencie uświadomiła sobie, że ten list też mógł zaginać, mógł przyjść trzy dni temu albo i za miesiąc. Jak długo czekali by beczynn timer na wieści o Andersie, żyjąc własnym życiem?

– A co jeśli ona nie wysłała tych rzeczy, dlatego że on nadal je ma?

Marina potarła kciukiem i palcem wskazującym kąciaki oczu. Próbowwała wyciągnąć się ze snu za grzbiet nosa.

– Przepraszam. Nie nadążam za tobą.

– Co jeśli on wcale nie umarł?

Marina wcisnęła głowę głęboko w poduszkę.

– Umarł, Karen.

– Dlaczego? Bo dostaliśmy list od jakiejś wariatki z Brazylii, z którą nikomu nie wolno rozmawiać? Potrzebuję czegoś więcej. To najgorsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. To najgorsza rzecz, jaka kiedykolwiek spotka moich synów, a ja mam uwierzyć na słowo obcej osobie?

Musiała zaistnieć równość między prawdopodobieństwem i dowodem. W pewnym momencie prawdopodobieństwo staje się tak wielkie, że przysłania potrzebę dowodu, choć może nie wtedy, gdy chodzi o twojego męża.

– Pan Fox zamierza tam kogoś wysłać. Dowiedzą się, co się stało.

– Ale powiedz, że on nie umarł. Wiem, że w to nie wierzysz, tylko tak mówisz. Powiedz, że jest chory i powinnam go odnaleźć. W takim wypadku nie ma co czekać, aż pan Fox przekona komisję, by znalazła kogoś, kogo znów pošłą do Brazylii i kto nie będzie miał pojęcia, co robi.

Oczy Mariny powoli przyzwyczajały się do ciemności. Mogła rozróżnić kształty w sypialni, komodę, lampkę.

– Porozmawiam z nim. Obiecuję. Dopilnuję, żeby załatwił to jak należy.

– Pojadę tam – oświadczyła Karen.

– Nie, nie pojedziesz.

To wszystko wina szoku. Marina to rozumiała. Możliwe, że jutro Karen w ogóle

nie będzie pamiętała tej rozmowy.

W słuchawce długo panowała cisza.

– Pojechałabym – podjęła Karen. – Przysięgam na Boga, pojechałabym, gdyby nie chłopcy.

– Słuchaj – powiedziała Marina – żadna z nas nie jest teraz w stanie tego rozwikłać. Musisz odpocząć. Musimy dać panu Foxowi szansę znalezienia jakiegoś rozwiązania.

– Dałam panu Foxowi wszystko, co miałam – odparła.

Tamtego popołudnia Marina myślała, że Karen już nigdy się do niej nie odezwie, że zawsze będzie ją obwiniała za przyniesienie złych wieści. Fakt, że to Marina była osobą, do której Karen Eckman zadzwoniła w środku nocy, kojarzył się z czymś w rodzaju wybaczenia, i za to wybaczenie Marina była jej głęboko wdzięczna.

– O której wzięłaś tabletkę na sen?

Marina czekała. Patrzyła, jak świecąca druga wskazówka mija trójkę, szóstkę, dziewiątkę.

– Karen?

– Ty mogłabyś pojechać.

Marina zrozumiała, po co jest ta rozmowa. Gdy Karen to powiedziała, w umyśle Mariny bardzo wyraźnie ukazał się wizerunek Andersa: siedział oparty plecami o nieprzeniknioną kępę liści, z nogami zanurzonymi w wodzie. Trzymał list. Wypatrywał na rzece chłopca w czólnie. Był martwy. Być może Marina nie pokładała zbyt wielkiej wiary w doktor Swenson, ale doktor Swenson nie była człowiekiem, który oznajmiłby śmierć tam, gdzie do niej nie doszło. Uznałaby to za niepoważne marnowanie czasu.

– Jesteś drugą osobą, która mi to dzisiaj mówi.

– Anders powiedział, że ją znasz. Wspomniał, że była twoją wykładowczynią.

– Była – przyznała Marina, nie mając ochoty tego wyjaśniać.

Marina była z Minnesoty. Nikt nigdy jej w to nie wierzył. W chwili gdy mogła podjąć pracę w dowolnym miejscu, wróciła w rodzinne strony, bo je uwielbiała. Rozumiała ten krajobraz, całą prerię i niebo. Tak samo jak Anders.

– Wiem, że proszę o wiele – powiedziała Karen. – I wiem, jak okropnie się czujesz w związku z Andersem, ze mną i z chłopcami. Wiem, że wykorzystuję to wszystko przeciwko tobie i że to niesprawiedliwe, ale i tak chcę, żebyś tam pojechała.

– Rozumiem.

– Wiem, że rozumiesz – powiedziała Karen. – Ale czy pojedziesz?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wszystko po kolei. Marina umówiła się na wizytę u epidemiologa w St. Paul, od którego dostała szczepionkę przeciw żółtej febrze na dziesięć lat i zastrzyk przeciwtężcowy. Lekarz wypisał jej receptę na lek przeciw malarii, lariam, i polecił zażyć pierwszą pigułkę natychmiast. Potem miała brać jedną w tygodniu przez całą wyprawę i postępować tak samo przez cztery tygodnie po powrocie do domu.

– Niech pani będzie ostrożna – powiedział jej lekarz. – Po tych pigułkach można zapragnąć skoczyć z dachu.

Marina nie martwiła się skakaniem z dachu. Jej troski skupiały się wokół biletów lotniczych, pakowania się, słowników angielsko-portugalskich i wystarczającej ilości środka na problemy żołądkowe. Od czasu do czasu myślała o górnej części lewego ramienia, która po dwóch zastrzykach zachowywała się tak, jakby obie igły oderwały się od strzykawek i utkwiły w kości ramienia jak para rozgrzanych włócznie. Pozwoliła, by te bardziej praktyczne troski chwilowo zajęły miejsce myśli o Andersie, Karen i doktor Swenson, z którymi na razie nie umiałyby sobie poradzić. Dopiero trzeciej nocy po zażyciu pierwszej pigułki lariam myśli Mariny ostro skrzyły w stronę Indii i jej ojca. Przed wyjazdem do Amazonii niechęć rozwiązała zagadkę, która w tamtej chwili znajdowała się bardzo daleko od jej umysłu: co było nie tak z jej dzieciństwem?

Nagle pojawiła się nieoczekiwana odpowiedź: to te pigułki.

Olśniło ją w nocy, kiedy zerwała się z łóżka i gwałtownie wstała, spocona i roztrzęsiona, a sen nadal był tak żywy, że bała się mrugnąć, by nie przywołać go z powrotem, mimo że tak naprawdę nie sposób było tego uniknąć. Znała go na pamięć. To właśnie ten sen odcisnął swoją uporczywą obecność na całej jej młodości, a potem zniknął na lata i powrócił dokładnie w chwili, gdy okazała się wystarczająco beztroska, by o nim zapomnieć. Stojąc w ciemności obok łóżka, obok prze poczonej pościeli, prze poczonej poduszki, w prze poczonej koszuli nocnej, nagle wyraźnie zdała sobie sprawę, że jako dziecko brała lariam. Mama nigdy jej o tym nie mówiła, ale to oczywiste, że musiała go brać, zaczynając od takich samych dawek jak teraz: pierwsza

pigułka tydzień przed wyjazdem, potem jedna w tygodniu przez cały pobyt i tak samo przez cztery tygodnie po powrocie. Pigułki oznaczały, że pora odwiedzić ojca, i były znakiem równie niezawodnym jak przekopywanie szuflad w poszukiwaniu paszportów i wyciąganie walizek z piwnicy. Jej matka nazywała je indyjskimi pigułkami. „Chodź, weź swoją indyjską pigułkę”.

Marina zachowała jedynie pobieżne wspomnienia z mieszkania w Minneapolis z obydwójgiem rodziców, ale potrafiła je przywołać bez wysiłku. Oto jej ojciec stojący obok drzwi i strząsający śnieg z czarnego połysku włosów. A tutaj pisze coś w notesie przy kuchennym stole, papieros na spodeczku obok powoli spala się na popiół. Jego książki i gazety były ułożone z tak wielką precyzją, że w porze kolacji musieli siadać na podłodze w salonie i jeść przy stoliku do kawy. A tutaj stoi wieczorem przy jej łóżku, przykrywając ją aż po brodę i opatulając kołderką z obu stron. „Jak w kokonie?” – pyta. Ona potakująco kiwa głową, nie odrywając jej od poduszki, bo w takiej pozycji może poruszać jedynie głową, i wpatruje się w jego uroczą twarz pochyloną zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy, aż w końcu nie jest w stanie dłużej powstrzymać opadania powiek.

Marina nie zapomniała ojca, gdy stał się nieobecny, i mimo upływu czasu nie umiała się pogodzić z tą sytuacją. Tęskniła za nim. Matka często mówiła, że Marina jest równie inteligentna jak on. To wyjaśniało, dlaczego był taki dumny, kiedy odnosiła sukcesy we wszystkich dziedzinach, które interesowały ją najbardziej: w naukach o ziemi i w matematyce, kiedy była mała; w rachunku różniczkowym, statystyce i chemii nieorganicznej, kiedy podrosła. Jej skóra była kremowa i jasna w porównaniu ze skórą ojca, ale bardzo ciemna, gdy przystawiała nadgarstek do nadgarstka matki. Miała okrągłe czarne oczy i ciężkie rzęsy ojca, jego czarne włosy i kanciaste ciało. Widok ojca dawał jej możliwość zobaczenia siebie samej, komfort fizycznego podobieństwa w życiu upływającym wśród rodaków matki, tych wszystkich przezroczystych kuzynów, co patrzyli na Marinę tak, jakby była lamą, która przypadkiem przywędrowała na ich świąteczną kolację. Kasjerki w sklepie spożywczym, dzieci w szkole, lekarze i kierowcy autobusów – wszyscy pytali, skąd pochodzi. Nie było sensu mówić: „Jestem stąd, z Minneapolis”, mimo że tak wyglądała prawda. Zamiast tego odpowiadała, że jest z Indii, i choć nie zawsze rozumieli („Z plemienia Lakota?” – zapytał sprzedawca na stacji benzynowej i Marina musiała się bardzo postarać, żeby nie przewrócić oczami, bo wcześniej matka jej wyjaśniła, że przewracanie oczami to szczyt nieuprzejmości, który nigdy nie jest

właściwą odpowiedzią, nawet na bardzo głupie pytania). Później bycie dzieckiem białej matki i doktoranta z zagranicy, który po studiach zabrał do ojczyzny doktorat, ale rodziny już nie, okazało się także elementem prezydenckiej przeszłości, ale gdy Marina dorastała, nie istniał żaden przykład, do którego można by odnieść jej sytuację. Z biegiem czasu zaczęła sobie tłumaczyć, że praktycznie rzecz biorąc, pochodzi z Indii, bo przecież stamtąd jest jej ojciec, który znów tam mieszka, a ona odwiedza go co dwa, trzy lata, gdy uda się odłożyć wystarczająco pieniędzy. Omawiali i planowali te dramatyczne wycieczki jak jakieś wielkie wydarzenia i gdy Marina skreślała miesiące, a potem tygodnie i dni w kalendarzu, tęskniła nie tylko do ojca, lecz do całego kraju, do miejsca, gdzie nikt nie będzie się odwracał, żeby na nią popatrzeć, chyba że po to, by podziwiać jej prawidłową posturę. Jednak potem, niespełna tydzień przed wyjazdem, zaczęły się sny.

W tych snach trzyma ojca za rękę. Idą w górę Indira Gandhi Sarani w kierunku Dalhousie Square albo wzdłuż Bidhan Sarani w stronę college'u, gdzie jej ojciec jest profesorem. Im dalej idą, tym więcej ludzi zaczyna wychodzić z budynków i alejek. Chyba znowu zabrakło prądu, stanęły tramwaje i znieruchomiały wszystkie wentylatory we wszystkich kuchniach, a ludzie, którzy siedzieli w mieszkaniach, wyszli na ulicę, bo tłum coraz bardziej się zbliża i dołącza do niego coraz więcej osób. Trzeba się zmagać z upałem dnia, a dodatkowo z gorącym tak wielu ciał, z ich potem i zapachem, ostrą wonią przypraw niesioną z dymem palenisk handlarzy i z gorzkim zapachem nagietków wplecionych w girlandy. To wszystko zaczyna ją przytłaczać. Marina nie widzi, dokąd idą, widzi jedynie napierających na nią ludzi, biodra owinięte w karmazynowe sari i dhoti spychają ją na boki. Wyciąga rękę i poklepuje krowę. Słyszy uporczywą muzykę biżuterii przeplatającą się z wykrzykiwanymi rozmowami, pobrzękiwanie pęków bransolet sięgających do połowy przedramienia, łańcuszków na nogę pokrytych maleńkimi dzwoneczkami i kolczyków pełniących funkcję dzwoneczków wietrznych. Czasami, kiedy masy się przesuwają, jej stopy odrywają się od ziemi, przytrzymywane przez chwilę kilka centymetrów w górze, jej mały ciężar rozkłada się na różne punkty cudzych ciał, a Marina wlecze się za ojcem jak nisko lecący latawiec. Czuje, jak ktoś strąca jej z nogi but, i woła do ojca, żeby się zatrzymał, ale on jej nie słyszy wśród dudnienia głosów. Marina nadal widzi mały bucik migający żółto na zatłoczonej ziemi niespełna dwa kroki za nimi. Leży w idealnym bezruchu, niepodeptany, i choć Marina wie, że nie powinna, wypuszcza rękę ojca. Rzuca się w stronę buta, ale tłum już go połknął i gdy tylko Marina się odwraca, tłum połyka także



jej ojca. Woła go: „Papi! Papi!”, ale podzwanianie dzwoneczków, nawoływania i jęki żebraków odbierają jej ustom dźwięk. Marina nawet nie wie, czy zauważył jej zniknięcie. Może jakieś inne dziecko przyczepiło się do jego ręki, kiedy ona odpadła – w Indiach dzieci są bardzo szybkie. Potem Marina jest sama gdzieś w morzu Kalkuty, wpleciona w prąd ludzi gawędzących w hindi, którego ona nie rozumie, jej ciało unosi się w dal, a ona płacze, i wtedy budzi się spocona, czuje mdłości, jej czarne włosy przylepiają się do czaszki. W takich chwilach biegła korytarzem do pokoju matki i z płaczem rzucała się na jej łóżko.

– Nie każ mi tam jechać!

Matka brała ją w ramiona, przykładając chłodną dłoń do jej czoła. Pytała, co jej się śniło, ale Marina zawsze mówiła, że nie pamięta, że coś okropnego. Pamiętała, ale nie chciała mówić, bojąc się, że słowa jakimś cudem scementują te obrazy w rzeczywistość. Od tamtej pory śniła o tym co noc: w samolocie lecącym do Kalkuty, w którym obudziła się z krzykiem, w mieszkaniu wynajętym przez jej ojca dla niej i dla matki niedaleko od jego gabinetu w college’u, by nie przeszkadzały jego drugiej żonie, jego drugim dzieciom. Sen rozdzielał ich podczas wsiadania do autobusu, ojciec wypuszczał ją, gdy pływali w morzu przy zatłoczonej plaży. Po tylu snach, tak bardzo do siebie podobnych, spanie zaczęło ją przerażać. Przez cały pobyt w Indiach przerażało ją tak bardzo, że pod koniec każdej wyprawy obydwój rodzice dochodzili do wniosku, że to wszystko jest chyba ponad jej siły. Ojciec Mariny mówił, że postara się częściej przyjeżdżać do Minnesoty, ale to zawsze okazywało się niepraktyczne. Po powrocie do domu mijało parę tygodni i tłumy, które nawiedzały jej sny, zaczynały się przeredać, topnieć w mniejsze grupki, a potem zupełnie się rozpierzchały. Marina powoli o nich zapominała, a potem zapominała także jej matka. Przed upływem roku rodzice znowu stwierdzali, że jest już znacznie większą dziewczynką i być może powinny z matką zacząć planować kolejną wyprawę do Indii.

Czy to możliwe, że nikt nie zadał sobie trudu, by zapoznać się z licznymi skutkami ubocznymi lariamu? Marina lubiła myśleć, że sama rozwikłałaby tę zagadkę, gdyby nie to, że jej ojciec zmarł, kiedy była w college’u. Nie widziała go wtedy od trzech lat. Gdyby żył i gdyby znowu do niego pojechała, byłaby wystarczająco dorosła, by osobiście przeczytać ulotkę, choć podobno pacjent raczej nie kwestionuje zestawu objawów, które zawsze akceptował. Dorastała w przekonaniu, że Indie wywołują u niej koszmary, że spotkania z ojcem wywołują u niej koszmary, podczas gdy zawsze była to вина środka przeciw malarii. To lek, a nie sytuacja życiowa, przekreślił jej

szanse na bycie z ojcem.

– Oczywiście, wiedziałam, że to lariam – powiedziała jej matka przez telefon. – Twój ojciec i ja zawsze się tym martwiliśmy. Tak okropnie reagowałaś na ten lek.

– Więc dlaczego mi nie powiedzieliście, o co chodzi? – zapytała Marina.

– Nie mówi się pięcioletniemu dziecku, że może mieć koszmary. To tak, jakby je zachęcić, by miało ich jeszcze więcej.

– Pięcioletniemu dziecku – powtórzyła. – Tak, masz rację. Ale mogliście mi to wyjaśnić, kiedy miałam dziesięć lat, albo przynajmniej piętnaście.

– Kiedy miałaś piętnaście lat, nie mogłabym ci niczego powiedzieć. Gdybym ci powiedziała, że masz koszmary przez te pigułki, od razu przestałabyś je brać.

– I nastąpiłby koniec świata?

– Gdybyś zachorowała w Indiach na malarię, to tak, chyba nastąpiłby koniec świata. Gdybyś umarła, to byłby koniec świata. Dziwię się, że ten problem nadal istnieje. Można by pomyśleć, że w ciągu tylu lat wyprodukowano już lepsze lekarstwo.

– I tak, i nie. Po nowych lekach człowiekowi mniej odbija, ale też nie chronią go przed wszystkimi szczepami malarii.

– Więc dlaczego, na miłość boską, znowu bierzesz lariam? – zapytała jej matka. To było najważniejsze pytanie, a jednak przyszło jej do głowy dopiero teraz. – Znowu jedziesz do Indii?

Najciekawsze w tych koszmarach było to, że właściwie niewiele się zmieniły. W wieku czterdziestu dwóch lat Marina nadal trzymała ojca za rękę, ludzie wokół nich unosili się jak fale, zmuszając ją w końcu, by go puściła. W rzeczywistości nic takiego się nie wydarzyło, nikt nigdy nie oderwał jej od ojca, lecz mimo to jej podświadomość przyłgnęła do strachu przed tym. Rzeczy, które spotkały Marinę, wspomnienia, które uważała za oczywistych kandydatów na koszmary, nigdy nie weszły do jej życia we śnie, i czuła, że powinna być im za to wdzięczna. Teraz, we własnym domu, wstała i włączyła światło w łazience. Drżały jej ręce, wytarła twarz i szyję mokrym ręcznikiem, starannie unikając patrzenia na swoje odbicie w lustrze. Z zaskoczeniem odkryła, że zrozumienie pochodzenia tych snów nie przyniosło jej żadnego pocieszenia o drugiej w nocy. W zasadzie potrafiła myśleć jedynie o nierozważnym ostrzeżeniu lekarza, który wspomniał o skakaniu z dachu. Jej najgłębszy strach, dłoń ojca wyślizgująca się z jej ręki, przetrwał nienaruszony, mimo że leżał z dala od niej, w aptece, przez dwadzieścia pięć lat.

– Co z pogrzebem? – zwróciła się Marina do Karen Eckman.

Nie widziały się cały tydzień, odkąd Marina przyszła z panem Foxem w dniu śnieżycy. Marina wyjeżdżała nazajutrz rano, więc obie kobiety uznały, że należy się pożegnać, choć każda doszła do tego wniosku z innego powodu. Marina chciała zobaczyć, czy po tych kilku dniach osvajania się ze śmiercią męża Karen porzuciła pomysł, że Anders nadal żyje. Karen chciała się upewnić, że Marina nie myśli o zrezygnowaniu z wyjazdu.

Marina wpadła po kolacji, kiedy po dłużącym się dniu właśnie zapadł zmrok. Chłopcy umyli zęby i oglądali telewizję w salonie. Teraz pozwalano im oglądać program codziennie przed pójściem spać, co wcześniej było dziecięcym luksusem ograniczonym do weekendów. Marina przywitała się z nimi, kiedy weszła, a oni ledwie na nią spojrzeli. Dwaj młodszy, upomniani przez matkę, cichym chórem mruknęli „dzień dobry”, najstarszy w ogóle się nie odezwał. Pan Fox popełnił błąd, mówiąc Marinie, że z początku to ją, a nie Andersa, wybrano, by pojechała szukać doktor Swenson. Teraz Marina widziała cały świat w kategoriach alternatywnych scenariuszy.

– Z nabożeństwem żałobnym. Kiedy nie ma ciała, nazywają to nabożeństwem żałobnym – poprawiła ją Karen.

– Przepraszam – powiedziała Marina. – Z nabożeństwem żałobnym.

Karen oparła się o bok łukowatego przejścia prowadzącego do salonu. Chłopcy w bluzach i flanelowych spodniach od pizamy siedzieli rozwaleni na niekończącej się sztruksowej kanapie. Najmniejszy, najbledszy chłopiec położył się na Picklesie jak koc. Byli wpatrzeni w telewizor, jakby łączyły ich z nim jakieś przewody.

– To niesamowite, ile oni słyszą – powiedziała cicho Karen. – Nawet nie muszą słuchać, ale ich uszy same się nastawiają, a potem, kiedy wieczorem kładę ich do łóżek, któryś z nich pyta: „Kiedy będzie pogrzeb tatusia?”

– Karen naląła sobie kieliszek wina, a gdy skinęła butelką w stronę Mariny, ta potakująco kiwnęła głową.

– Pogrzeb – zawołał średni chłopiec, nie patrząc na nie. Przez chwilę chichotał, a potem przestał.

Marina pomyślała o tamtej błotnistej ziemi, w której pochowano Andersa, i sięgnęła po kieliszek. – Przepraszam – powtórzyła, zwracając się do Karen.

– Benjy, przestań. – Karen surowo upomniała syna. – Nie, nie o to chodzi, po prostu staram się zwracać uwagę na takie rzeczy. Czy Anders ci wspominał, że w

college'u specjalizowałam się w literaturze rosyjskiej? Myślę, że powinnam poszukać jakichś rosyjskich przyjaciół. Wtedy moglibyśmy swobodnie rozmawiać. Albo przynajmniej moglibyśmy swobodnie rozmawiać o Czechowie.

Poniosła swój kieliszek na drugi koniec kuchni i otworzyła żaluzjowe drzwi do dużej spiżarni. Marina weszła za nią do środka. Nawet w spiżarni panował porządek, jasne pudełka płatków zbożowych stały obok siebie, od największego do najmniejszego. Karen wróciła do tematu, mówiła ściszym głosem:

– Czasami myślę, że oni słyszą, jak ludzie rozmawiają o nas na ulicy. Gdybyś posłuchała, co mówią te dzieci, pomyślałabyś, że doskonale wiedzą, co się dzieje. To znaczy nie wszystko rozumieją, ale gdzieś to usłyszeli i zapamiętali. Zastanawiasz się czasami, kiedy straciłaś zdolność słyszenia wszystkiego? – zapytała Karen.

– Nie myślałam o tym. – Marina nie miała pojęcia, jak bardzo jej słuch pogorszył się z upływem lat.

Na chwilę Karen zastygła, jakby część niej wyszła z pomieszczenia, a potem, równie szybko, wróciła.

– Dostałam dziś list.

Nie było żadnych wątpliwości, lecz Marina i tak zapytała, czy to list od Andersa. Serce dudniło jej szybko jak kolibrowi.

Karen potaknęła i z kieszeni swetra wyjęła taką samą błękitną kopertę, jaka przysłała wcześniej. Położyła ją adresem do góry na otwartej dłoni i razem wpatrywały się w nią jak w coś, co w każdej chwili może rozwinąć skrzydła. Na kopercie widniało wyraźne, parafialne pismo Andersa. „Karen Eckman, Eden Prairie”. Marina lubiła mu powtarzać, że jest jedynym znanym jej doktorem, który pisze jak uczennica szkoły katolickiej.

– To drugi w tym tygodniu – podjęła Karen. – Poprzedni przyszedł we wtorek, ale napisał go później, 1 marca. Wtedy był już bardziej chory.

Marina otworzyła usta. Powinna była coś powiedzieć, ale nie miała pojęcia co. Anders był martwy, chory, nie aż tak chory. Historia przewijała się do tyłu, aż jedyny możliwy wniosek brzmiał tak, że stan Andersa się poprawia. Że Anders opuszcza dżunglę i wraca do Manaus. Przylatuje z Manaus i znowu jest w domu, tyle że tym razem wiedzą wystarczająco dużo, by zabronić mu wyjazdu. Marina zastanawiała się, ile listów nadal jest w drodze i kiedy w końcu spłyną, po tym jak pocztowa trasa omyłkowo zawiodła je okrężną drogą przez Bhutan. Nie trzeba było się za bardzo wysilać, by znaleźć logiczne wyjaśnienie tego, co się stało, więc dlaczego Marina

poczuła potrzebę przechylenia kieliszka i wypicia całego wina jednym haustem?

– To doświadczenie... Wyjście do skrzynki, z której wyjmujesz stertę katalogów, rachunków i list od zmarłego męża... Dotychczas w moim życiu nie było nic, co mogłoby mnie na to przygotować. – Karen rozłożyła kopertę i spojrzała na słowa, ale równie szybko odwróciła od nich wzrok. Zamiast tego popatrzyła na Marinę. – W takich chwilach człowiek pojmuje, dlaczego e-mail jest lepszy – powiedziała. – Dostajesz e-mail od zmarłego męża i już wiesz, że on jednak żyje. Dostajesz list od zmarłego męża i nie wiesz nic.

– Powiesz mi, co napisał?

Marina mówiła szeptem. Może listy są jedynymi rzeczami, o których chłopcy jeszcze nie wiedzą. Chciała zapytać, czy jest tam coś o doktor Swenson i o miejscu, w którym pracują. Chciała się dowiedzieć, w której części dżungli powinna szukać.

– W zasadzie nic konkretnego – odpowiedziała Karen, jakby to było coś, za co powinna przeprosić. Podała list Marinie.

15 lutego

Bardzo byś się zaniepokoiła, gdybym Ci powiedział, że tutaj często czuję niepokój? Nie zasługujesz na szczerą, lecz na takiego męża, który potrafi udawać odważnego. Ale gdybym udawał odważnego po wyznaniu Ci, jak nędznie się czuję, gdybym zapłacił Nkomo albo jednemu z Saturnów, aby poudawali odważnego w moim imieniu, na osobnej kartce, którą mógłbym potem skopiować swoim piśmieniem tchórza, od razu być mnie przejrzała. Wtedy musiałabyś wsiąść w samolot, wynająć łódź z przewodnikiem i przyjechać tu po mnie, bo wiedziałabyś (po tym jak przez całe życie nie doczekałaś się ode mnie ani jednego aktu udawania odważnego), jakie to musi być niewyobrażalne. Dlatego nie będę Cię niepokoił, próbując zebrać się na odwagę. Zresztą i tak zawsze byłaś odważniejsza ode mnie. To dlatego zostajesz w domu z trójką chłopców, a ja jadę na wakacje. To dlatego zeszłego lata potrafiłaś wyciągnąć cęgami tamten gwóźdź z pięty Benjy'ego. Ja nie jestem odważny. Mam gorączkę, która zaczyna się o siódmej rano i trwa dwie godziny. O czwartej po południu wraca, zmieniając mnie w bredzącą kupkę popiołu. Ostatnio przeważnie boli mnie głowa i martwię się, że jakieś maleńkie amazońskie zwierzątko wyżera dziurę w mojej korze mózgowej, i jedyną rzeczą na świecie, której pragnę, jedyną rzeczą, która nadałaby temu istnieniu znaczenie albo

sens, jest szansa położenia głowy na Twoich kolanach. Dotknęłabyś moich włosów, wiem, że byś to dla mnie zrobiła. Taka jest twoja odwaga, takie już mam szczęście. Niech szlag trafi te śmieszne kartki. Nigdy nie starcza miejsca. Teraz, kiedy jestem w Brazylii, modłę się jak bełkoczący fundamentalista i dziś wieczorem pomodłę się o to, żeby posłaniec dostarczył Ci ten list i byś mogła poczuć pełen ciężar mojej miłości. Ucałuj ode mnie chłopców. Ucałuj wewnętrzną stronę swojego nadgarstka.

A

Marina złożyła list z powrotem i oddała go Karen, która wsunęła go do kieszeni. Żona Andersa oparła dłoń o szafkę obok kilku opakowań popcornu do mikrofalówki, żeby się uspokoić. To było niewysłowienie gorsze niż list od doktor Swenson. Tutaj Anders ogłaszał początek własnej śmierci głosem tak wyraźnym i zwyczajnym, że równie dobrze mógł się wcisnąć do spiżarni razem z nimi i sam to przeczytać.

– Kim są Nkomo i Saturnowie?

Karen pokręciła głową.

– Czasami wymienia jakieś nazwiska, ale ja ich nie znam. Nawet sobie nie wyobrażam, ile listów zaginęło po drodze. List od doktor Swenson też mógł zaginąć. Ten, w którym pisze o jego śmierci. – Karen w zamyśleniu zatoczyła palcem krąg wokół wieczka puszki z groszkiem. – Chyba raczej zaczekam z nabożeństwem do twojego powrotu. Chciałabym, żebyś też tu była.

Marina spojrzała na nią, zamrugła, pokiwała głową.

– Nigdy im tego nie mówię – powiedziała Karen, patrząc na uchylone drzwi spiżarni w stronę swoich synów i ich telewizora. – Tego, że nie jestem pewna, czy umarł. Wiem, że oni muszą mieć jedną odpowiedź, nawet jeśli miałaby być najgorsza, jaką można sobie wyobrazić. Wiesz, nadzieja to straszna rzecz. Nie mam pojęcia, kto postanowił ją uznać za cnotę, bo wcale nią nie jest. To utrapienie. Nadzieja jest jak chodzenie z haczykiem wędkarskim w ustach, za który ktoś nieustannie ciągnie i ciągnie. Wszyscy myślą, że z powodu śmierci Andersa jestem kompletnym wrakiem, ale tak naprawdę jest znacznie gorzej. Nadal mam nadzieję, że ta doktor Swenson z jakiegoś powodu, którego nie jestem w stanie sobie wyobrazić, po prostu skłamała, że go przetrzymuje albo gdzieś go zgubiła. – Po tych słowach Karen zamilkła i jej twarz rozświetlił nagły blask zrozumienia, a z głosu znikła paniczna nuta. – Mówię tak, chociaż wiem, że to nieprawda. Nikt nie mógłby zrobić czegoś takiego. Ale to by

oznaczało, że on nie żyje. – Zwróciła się do Mariny: – Czy on nie żyje? – zapytała. – Po prostu tego nie czuję. Musiałabym czuć, prawda? – Do oczu napłynęły jej łzy, które otarła dwoma palcami.

W takiej chwili nic nie byłoby słodsze niż kłamstwo, pojedyncza dawka szansy. Ale gdyby Marina ją podała, stałaby się jedynie kolejnym haczykiem w ustach Karen Eckman. Dlatego powiedziała, że Anders nie żyje.

Karen wsadziła ręce do kieszeni, spojrzała na bardzo czystą podłogę z drewnianych desek. Pokiwała głową.

– Pisał do ciebie?

Marina zrozumiała pytanie, ale pozostawiła je bez odpowiedzi.

– Na samym początku przysłał mi pocztówkę z Manaus i dwa listy z dżungli. Pisał głównie o ptakach. Pokazałam je panu Foxowi. Dam ci je, jeśli chcesz.

– Dla chłopców – powiedziała. – Chyba dobrze będzie trzymać to wszystko razem. Na przyszłość.

Marina nie była klaustrofobiczką z natury, a spiżarnia dorównywała wielkością hotelowej windzie, ale chciała już otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz. Puszki z groszkiem, butelki soku żurawinowego i opakowania owsianki błyskawicznej o różnych słodkich smakach zaczynały na nią napierać, zajmując coraz więcej przestrzeni.

– Nie wiem, jak długo mnie nie będzie.

– Cokolwiek zrobisz, nie zostawaj tam. – Karen próbowała to powiedzieć beztróskim tonem. – To byłby duży błąd.

Gdy już się pożegnały, Marina opuściła dom Eckmanów i samotnie weszła w osiedle, nad którym rozciągała się bezgraniczna aksamitna noc. Odczekała chwilę w ogromnej ciemności, by strząsnąć z siebie wspomnienie małej jasnej szafy, w której niedawno stała. Zastanawiała się, czy w jej życiu, za dziesięć albo dwadzieścia lat, nastąpi taka chwila, w której nie będzie myślała o tym liście. „Taka jest twoja odwaga, takie już mam szczęście”. Prawdopodobnie nie. Przez tę śmierć stała się odpowiedzialna za swojego kolegę z pracy. Choć rozumiała stanowisko Karen wobec nadziei, nie miałyby nic przeciwko odrobinie nadziei dla siebie samej. Z jaką radością pojechałaby do Brazylii i odnalazła Andersa! Jej zadanie polegało jednak na potwierdzeniu jego śmierci i dokończeniu jego dzieła. Przez te wszystkie lata pracy nad tymi samymi raportami w maleńkim laboratorium w Voglu przywykli do uzupełniania sobie nawzajem danych.

Marina wciągnęła w płuca zmrożone powietrze i poczuła zarówno zimę, jak i wiosnę, piach i zleżały śnieg z maleńkim podtekstem czegoś zielonego. Była to kolejna wspólna cecha jej i Andersa: obydwójce idealnie pasowali do Minnesoty. Chciała rozwinąć w sobie strach przed lataniem, który powstrzymałby ją od wszelkich podróży dalszych niż odwiedzenie samochodem Dakot Północnej i Południowej. Podobnie jak jej matka i wszyscy jej przodkowie, ci niewyczerpani blondyni, którzy uznawali soczystą zieleń prerii za swoją własność, Marina była skrojona z Minnesoty, z jej gleby i gwiazdzistej nocy. Zamiast dorastać w atmosferze dociekliwości i zniecierpliwienia, wykształciła w sobie głębokie pragnienie pozostania, jakby jej środek ciężkości mieścił się tak nisko, że przytwierdzał ją bezpośrednio do tego konkretnego skrawka ziemi. Lodowate wiatry gnały po równinach, nie napotykając na swojej drodze niczego, co by je zatrzymało, oprócz Mariny, która stała i marzyła jeszcze minutę, zanim w końcu wsiadła do samochodu.

Po powrocie do domu zastała pana Foxa, który czekał na jej podejździe z pracującym silnikiem i włączonym ogrzewaniem. Na jej widok opuścił szybę.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – powiedział.

– Pojechałam pożegnać się z Karen.

Mogła mu powiedzieć o liście, ale pozostało bardzo mało czasu, a zresztą cóż by to dało? Ten tydzień okazał się inny, niżby chcieli. Widywali się głównie w pracy, w obecności zarządu Vogla. Zważywszy na okoliczności, zarząd chciał przekazać Marinie pełną i szczegółową listę swoich oczekiwań wobec jej podróży. Czy dobrze zrozumiała, czego się od niej oczekuje? Miała polecieć do Manaus, pójść do tamtejszego mieszkania doktor Swenson, znali adres, Anders znalazł jakichś ludzi, którzy wiedzieli gdzie bla, bla, bla. Marina miała mętlik w głowie przez brak snu i była pobudzona lariamem. Czowała, że na tych spotkaniach siedzi i w ogóle nie słucha, przesuwając firmowym długopisem po wzorach przypominających pochyłe pismo. Nawet gdy udzielała umiarkowane elokwentnych odpowiedzi na ich nerwowe pytania, też nie słuchała. Zamiast tego myślała o ojcu i o tym, jak ją ominęła jego śmierć, bo nie chciała opuszczać szkoły w środku semestru. Podobnie jak w wypadku tak wielu innych ważnych spraw we wczesnym okresie swojego życia, została uchroniona przed powagą sytuacji. Powiedziano jej tylko, że ojciec jest chory i że ma nadzieję, iż wkrótce będzie mogła go odwiedzić. Po takiej informacji doszła do wniosku, że jest mnóstwo czasu, podczas gdy w rzeczywistości nie było go wcale. Myślała o swojej matce, którą poproszono o to, by nie przychodziła na pogrzeb, więc przez szacunek dla drugiej



żony czekała w pokoju hotelowym. Myślała o Andersie i jego ptasich albumach, zastanawiając się, czy doktor Swenson zechciała je zachować. Anders byłby taki szczęśliwy, gdyby podczas swojego pobytu Marina podjęła wysiłek i poszukała niektórych ptaków. Skorzystałaby z jego lornetki. Z pewnością, pisząc o tym, że zachowała jego nieliczne rzeczy, doktor Swenson miała na myśli także lornetkę. I aparat! Marina wzięłaby jego aparat i porobiła zdjęcia ptaków dla chłopców.

– Mogę wejść? – zapytał pan Fox.

W ciemności, w zimnie pierwszych dni kwietnia, Marina potakująco pokiwała głową, a on poszedł za nią do drzwi jej domu i stanął bardzo blisko za jej plecami. Przesunął się w lewo, potem lekko w prawo, a następnie zatrzymał się i przywarł do jej pleców, gdy ona grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy. Próbował ją osłonić przed wiatrem. To właśnie ta czułość ścisnęła Marinę w gardle i zanim kobieta zdążyła się opanować, zaczęła płakać. Nad Karen i jej listem? Nad Andersem, który go pisał, czy nad tymi chłopcami w piżamach? Płakała przez lariam, który pobudzał ją do płaczu nad artykułami w gazecie i przy piosenkach z radia, czy może dlatego, że naprawdę oddałaby prawie wszystko, by ominęło ją to *tournée* po Brazylii? Odwróciła się, objęła pana Foxa za szyję, a on pocałował ją pod światłem na jej werandzie, gdzie mógł ich zobaczyć każdy, kto przejechałby obok. Całowała go i przytulała, jakby jakiś wielki tłum ludzi próbował ich od siebie odciągnąć. Zimno i wiatr nie miały znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Fatalnie to wszystko rozegrali. Podjęli okropne decyzje, chcąc zaczekać i zobaczyć, dokąd ich zaprowadzi ten związek, nie decydując się na pokazanie go całemu światu. Uzgodnili, że nie ma sensu zostawać tematem rozmów innych ludzi, zwłaszcza gdyby im nie wyszło. Pan Fox zawsze szybko ją zapewniał, że wcale nie myśli, by miało im nie wyjść. Powiedział, że problem tkwi w jego wieku. Był dla niej za stary. Nawet kiedy leżeli w łóżku, on z ręką wsuniętą pod jej ramiona, ona z głową na jego piersi, mówił o tym, że umrze wiele lat wcześniej niż ona i zostawi ją samą. Byłoby lepiej, gdyby teraz znalazła kogoś w swoim wieku i nie marnowała na niego dobrych lat.

– Teraz? – pytała wtedy. – Mam znaleźć kogoś innego akurat w tej chwili?

Wtedy przytulał ją mocniej i całował w czubek głowy.

– Nie – odpowiadał, przesuwał otwartą dłoń wzdłuż jej ramienia. – Chyba niekoniecznie w tej chwili. Mogłabyś to odłożyć na trochę później.

– Wiesz, to ja mogę umrzeć pierwsza. Są całkiem spore szanse.

Powiedziała to dlatego, że tak naprawdę bardzo mocno chciała, żeby ten

związek się udał, i dlatego, że istniał pewien statystycznie dowiedziony fakt, o którym także warto wspomnieć: młodszy bez przerwy odchodzą jako pierwsi. Jednak wracając do domu tamtego wieczora, ujrzała wcześniejsze rozmowy w innym świetle, więc całowali się, myśląc raczej o jej śmierci niż o jego. Logicznie rzecz biorąc, śmierć Andersa niczego dla Mariny nie przesądzała, ale Anders był martwy, choć wcale nie przypuszczał, że wyprawa może się zakończyć w ten sposób. Karen też nie myślała, że to możliwe, bo inaczej nigdy nie wypuściłaby go z domu. Pan Fox żałował, szczerze żałował, że w ogóle poprosił Marinę, by tam pojechała. Wyznał jej to. Marina odpowiedziała, że żałuje swojej zgody. Ale była bardzo dobrą studentką, bardzo dobrym doktorem, bardzo dobrą pracowniczką, kochanką i przyjaciółką i gdy ktoś ją o coś prosił, kierowała się zasadą, że została poproszona z jakiegoś ważnego powodu. Odniosła w życiu sukces, bo bardzo rzadko odrzucała prośby kierowane w jej stronę, więc dlaczego miałaby postąpić inaczej w wypadku Amazonii? Wpadli na stolik do kawy, próbując się poruszać po domu bez zapalania światła. Przyłgnęli do ściany w ciemnym korytarzu. Wpadli do jej pokoju, do jej łóżka i pozostali tam dopóty, dopóki nie wyczerpali się każdym aktem miłości, złości, przeprosin i wybaczenia, jaki w ich wyobrażeniach mógł zastąpić to, do powiedzenia czego zabrakło im słów. Po tym wszystkim, kiedy skończyli i zasnęli, Marina zaczęła krzyczeć.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim zdołała się wytłumaczyć. Upłynęła nawet minuta, zanim zdołała do końca się obudzić, choć nadal tkwiła w świecie swojego snu, w którym krzyk był jedynym możliwym rozwiązaniem. Kiedy otworzyła oczy, pan Fox był przy niej, trzymał ją za przedramiona i wyglądał tak, jakby sam miał zacząć krzyczeć. Już miała go zapytać, co się stało, gdy nagle sobie przypomniała.

– Biorę lariam – powiedziała. Zabrakło jej śliny w ustach i pozbawione wilgoci słowa przyklejały jej się do zębów. – To skutek uboczny. Koszmary.

Leżała na podłodze z narzutą na nagich ramionach. Zasłoniła twarz rękami i pomyślała, że słyszy pot spływający jej po szyi. Jej samolot z lotniska Minneapolis-St. Paul startował o szóstej czterdzieści pięć rano i musiała jeszcze spakować ostatnie rzeczy. Chciała podlać rośliny i wyjąć z lodówki wszystkie łatwo psujące się produkty. Była już obudzona, zupełnie obudzona. Chciała już wstać.

Pan Fox, który przed nią przykucnął, delikatnie położył dłonie na jej kolanach.

– Co ci się śniło, na miłość boską? – zapytał.

I choć chciała mu powiedzieć prawdę, bo go kochała, nie potrafiła sobie wyobrazić przekucia snu w słowa. Powiedziała mu to samo, co dawniej mówiła matce:

że przyśniło jej się coś strasznego, ale nie pamięta co dokładnie.

Kiedy pan Fox wiozł ją na lotnisko, było dwadzieścia stopni. Marina wyłączyła radio, zanim zdążyli podać wielkość wychłodzenia powietrza spowodowanego wiatrem. Ciemność poranka wydawała się głębsza niż wszystko, co byłąby w stanie zaoferować noc. Byli przyćmieni swoimi decyzjami, brakiem snu. Nie wzięli pod uwagę, jak jest wcześnie i że kierowcy w tym zaciekłym porannym szczycie, na który przeznaczili tyle dodatkowego czasu, jeszcze się nie obudzili. Kiedy pan Fox skręcił w alejkę prowadzącą przed halę odlotów, była piąta piętnaście.

– Pójdę z tobą – powiedział.

Przecząco pokręciła głową.

– Idę od razu do bramki. Zresztą musisz jechać do domu, przygotować się do pracy. – Nie wiedziała, dlaczego to mówi. Chciała z nim zostać na zawsze.

– Mam dla ciebie mały prezent na pożegnanie – powiedział. – Zamierzałem ci go dać wczoraj wieczorem, ale zбочyliśmy z tematu. – Przechylił się nad nią, by otworzyć schowek, z którego wyjął małe czarne etui na zamek. Otworzył zamek i wyjął telefon o skomplikowanym wyglądzie. – Wiem, co chcesz powiedzieć: że już masz telefon. Ale uwierz mi, ten jest inny. Podobno można z niego dzwonić z każdego miejsca na Ziemi. Możesz sprawdzać wiadomości, wysyłać e-maile, a w dodatku masz GPS. Powie ci, jaką rzeką płyniesz. – Wydawał się taki zadowolony. – Jest naładowany i gotowy do użytku. Zapisalem swoje numery telefonów. Wszystkie instrukcje włożyłem do etui. Pomyślałem, że może zechcesz je przeczytać w samolocie.

Marina spojrzała na jasny srebrny wyświetlacz. Bez wątpienia można było tym nakręcić i wyedytować krótki film dokumentalny o farmakolożce lecącej do Amazonii.

– Na pewno będę musiała.

– Sprzedawca zapewniał, że możesz dzwonić nawet z Antarktydy.

Marina odwróciła się i spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Próbuję tylko powiedzieć, że chcę być z tobą w kontakcie. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Potakująco kiwnęła głową, wkładając telefon i jego malutkie instrukcje obsługi do torebki. Przez chwilę obydwójce siedzieli w ciszy. Marina pomyślała, że przygotowują się na pożegnanie.

– A co do tych snów... – zaczął.

– Miną.

– Ale nadal będziesz brała lariam?

Byli skąpani w świetle wylewającym się przez wysokie okna z przodu lotniska. Dlaczego na lotniskach zawsze są takie niedorzecznie wysokie sufity? Czy to ma człowieka oswajać z myślą o lataniu? Pan Fox spojrzał na nią bardzo poważnie, więc odpowiedziała:

– Oczywiście.

Westchnął i wziął ją za rękę.

– To dobrze – powiedział i lekko ścisnął jej dłoń. – Dobrze. Pewnie strasznie cię kusi, by go wyrzucić na śmieci, skoro masz przez niego takie koszmary. Nie chcę, żebyś tam poleciała... – powstrzymał się.

– I dostała gorączki – dokończyła.

Pan Fox wydał się nagle pochłonięty dłonią Mariny, jakby przeprowadzał studium jej kształtu i wielkości. To była oczywiście lewa dłoń, siedział po lewej stronie samochodu, uniósł własną lewą dłoń i przesunął opuszkami wzdłuż jej palca serdecznego, jakby wkładał na niego pierścionek, tyle że nie było żadnego pierścionka.

– Polecisz tam, dowiesz się, ile będziesz mogła, a potem wsiądziesz w najbliższy samolot i wrócisz. – Podniósł głowę i spojrzał na nią. – Obiecujesz?

Powiedziała, że tak. Nadal trzymał jej palec. Chciała go zapytać, co to znaczy, czy to znaczy to, co myślała, że znaczy, ale jeśli się myliła, nie mogłaby znieść zaprzeczenia w tej konkretnej chwili. Razem wysiedli z samochodu. Marina obdarzona wyostrzonym zmysłem tubylca powiedziała, że przez wiatr temperatura spadła poniżej zera, choć kobieta w radiu mówiła, że jutro znowu wzrośnie do blisko pięciu. Tak niekonsekwentna była wiosna. Wyjął jej walizkę z bagażnika, potem przytulił ją, pocałował i wydobyl z niej następny zestaw obietnic dotyczących tego, jaka będzie ostrożna i jak szybko wróci, a gdy to wszystko zostało powiedziane, pan Fox wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał. Marina stała i patrzyła na tylne światła jego samochodu, aż w końcu nie była już pewna, które należą do niego. Następnie zaciągnęła walizkę na kółkach do głównego terminalu i ustawiła ją przy rzędzie krzesełek. Najpierw otworzyła etui, które jej podarował, a po wyjęciu z niego telefonu i instrukcji z autentyczną nadzieją poszukała w środku pierścionka. Tylko tam mógł go schować i gdyby tak zrobił, no cóż, to byłoby coś. Myślała, że wówczas skorzystałaby z telefonu, by do niego zadzwonić i powiedzieć: tak, wyjdę za ciebie. Ale gdy rozplątała kabel ładowarki i nie znalazła niczego oprócz własnej głupoty, odłożyła

wszystko na miejsce. Wsadziła instrukcje do bagażu podręcznego, na wypadek gdyby zdołała się zmusić do przeczytania ich w samolocie, a potem wepchnęła telefon do walizki. Ostrożnie wodziła dłońmi wokół poskładanych koszul, majtek i dodatkowej pary butów, aż w końcu znalazła etui uderzająco podobne do tego, w którym dostała telefon. Trzymała w nim leki: aspirynę, pepto-bismol, ambien, antybiotyki o szerokim spektrum. Wyjęła fiolkę lariamu i nawet jej się nie przyjrzawszy, w zamyśleniu wrzuciła ją do śmietnika obok. Poczuła, że jej wyobraźnia musi być jakoś poważnie uszkodzona, skoro nawet nie przyszło jej do głowy, że można po prostu wyrzucić te pigułki do kosza.

Niestety, wyrzucenie pigulek nie wyrzuciło koszmarów, nie póki resztki lariamu krążyły jej we krwi, więc mając wsparcie w postaci nieco ponad trzech godzin snu, próbowała powstrzymać się od spania w samolocie. Vogel kupił jej bilet w pierwszej klasie do Miami, a potem dalej do Manaus. Duży fotel wziął ją w ramiona, odchylił do tyłu i bez przerwy powtarzał, żeby odpoczęła. O siódmej trzydzieści rano mężczyzna obok w ciemnoszarym garniturze poprosił stewardesę o Bloody Mary. Marina zastanawiała się, czy Andersowi też dali bilet na pierwszą klasę albo komórkę z GPS-em. Wątpiła w to. Krążące powietrze z klimatyzacji przynosiło leciutką woń wódki i soku pomidorowego. Głowa Mariny opadła na bok i znów pojawił się pan Fox trzymający ją za palec serdeczny i proszący, żeby wróciła do domu. Jej głowa gwałtownie podskoczyła.

Żona pana Foxa miała na imię Mary. Mary zmarła na chłoniaki niezmiernie w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. W tym samym roku, w którym Marina zaczęła pracować w Voglu. Gdyby Marina była domorosłym psychoanalitykiem, którym nie była, mogłaby chyba postawić hipotezę, że choć pan Fox uparcie temu zaprzeczał, tym, co przyciągnęło go do Mariny, był fakt, iż była młodsza, a zatem istniało mniejsze prawdopodobieństwo powtórki sytuacji, którą już przeszedł, co jednak wcale nie pasowało do jego decyzji o wysłaniu jej do Brazylii. Na zdjęciach Mary, które pan Fox trzymał na widoku i na których raz była sama w kuchni, a raz w salonie z ich dwiema córkami podczas spływu pontonem, zmarła żona pana Foxa wyglądała na kogoś, kogo Marina mogłaby polubić. Miała ładną twarz, szeroko otwarte oczy, grube włosy koloru pszenicy ściągnięte w kucyk. Mary uczyła matematyki w prywatnym liceum w Eden Prairie, do którego chodziły ich obie córki. „Bardzo obniżyli nam chesne – powiedział pan Fox, trzymając zdjęcie. – Ellie – ciągnął, wskazując młodszą z dziewczynek – wygląda zupełnie jak jej matka. Jest na stażu na oddziale radiologii w Cleveland Clinic

i wyszła za nauczyciela angielskiego. A ta, Alice, nie ma męża. – Przesunął palec w stronę ciemniejszej z dziewcząt. – Zajmuje się obrotem obligacjami międzynarodowymi w Rzymie. Pojechała do Włoch na przedostatnim roku w Vassar i już tam została. Uważa, że powinna była urodzić się Włoszką”.

Marina wpatrywała się w ich twarze. Dziewczynki były małe, mogły mieć jakieś sześć i osiem lat. Trudno było je sobie wyobrazić jako lekarkę i bankowca. Mary na zdjęciu była młodsza niż Marina teraz, jej zdrowie skrzyło się jak drobinki światła rozsiane na wodzie w tle. Stały razem na brzegu rzeki przed obróconym do góry dnem canoe, a krawędź kadru okalały konary sosny. Dziewczynki i ich mama trzymały wiosła i uśmiechały się, uśmiechały się do pana Foxa, który, wtedy jeszcze niespełna czterdziestoletni, wciskał przycisk aparatu.

– Myślałam, że wszystkie tu zostaną – powiedział, odkładając zdjęcie na półkę z książkami. – Że być może dziewczynki wyjadą na studia, ale potem wrócą i zamieszkają niedaleko nas, wyjdą za męża, urodzą dzieci. Wtedy w zasadzie nie myślałem o tym, że umrzemy, ale gdybyś mnie zapytała, powiedziałbym, że Mary przeżyje mnie co najmniej o dziesięć lat. Była na szczycie tabel aktuarialnych. Jadła warzywa, chodziła na piesze wędrówki, nigdy nie paliła i miała mnóstwo przyjaciół. Postawiłbym na nią wszystkie pieniądze. – Zabębnił palcami w górną część ramki. – Teraz taka naiwność wydaje się nedorzeczna, prawda?

Jeśli już, naiwność była według Mariny kluczem do wszystkiego. To ona pozwoliła Karen wyjść za Andersa i urodzić trójkę dzieci, nabrać przekonania, że Anders zawsze będzie się nimi opiekował. Ona i Anders byli zbyt naiwni, by pomyśleć, że któreś z nich mogłoby umrzeć w pierwszych latach małżeństwa, kiedy obydwójce będą niezbędni dla siebie nawzajem i dla swoich synów. Gdyby przez chwilę pomyśleli, że może się stać to, co się stało, nie mieliby odwagi zacząć. Marina też zrodziła się z naiwności: naiwności jej matki, która myślała, że miłość zwycięży w walce z przyciąganiem całego kraju; naiwności jej ojca, który myślał, że może porzucić cały kraj dla jednej mieszkanki Minnesoty. Gdyby nie byli tak pełni nadziei i prostolinijni, jej narodziny okazałyby się niemożliwe. Marina wyobraziła sobie swoich rodziców jako parę praktycznych cyników i nagle cały film jej życia przewinął się do początku i mała bohaterka zupełnie zniknęła. Możliwe, że naiwność jest podstawą reprodukcji, filarem przetrwania gatunków. Nawet Marina, która to wszystko rozumiała, nadal była w stanie myśleć, że pan Fox zasugerował, iż mogliby się pobrać.

Kiedyś Marina też wzięła ślub, choć nie sądziła, by teraz miało to większe

znaczenie. Pobrali się na początku trzeciego roku jej stażu i rozwiedli pod koniec piątego, a w ciągu dwóch i pół roku, które upłynęły między jednym a drugim zdarzeniem, praktycznie nigdy nie obudzili się o tej samej porze. Marina często myślała, że gdyby nie skromny ślub, byłby to po prostu nieudany związek z miłym mężczyzną, o którym tak naprawdę wcale już nie myślała. Sama była naiwna, sądząc, że ich małżeństwo mogłoby się udać na tym szczególnie trudnym etapie jej szkolenia, mimo że każdy, kogo знаła, mówił coś przeciwnego. Była pewna, że miłość zwycięży, a gdy nie zwyciężyła, Marina straciła nie tylko małżeństwo, lecz także swoje naiwne Ja. Kupili z mężem własny zestaw papierów rozwodowych w sklepie papierniczym i w przyjaznej atmosferze wypełnili te dokumenty przy kuchennym stole. On wziął meble z sypialni, ona z salonu. W geście uprzejmości zaproponowała mu stół kuchenny z krzesłami, na których siedzieli, a ponieważ wiedział, że powoduje ją życzliwość, przyjął propozycję. Jej matka przyleciała do Baltimore, żeby pomóc jej w znalezieniu mniejszego mieszkania i w spakowaniu połowy prezentów ślubnych, których Marina od początku nie chciała. Za to bardzo pragnęła poleżeć na kanapie w salonie i być może wypić szklaneczkę szkockiej, płacząc sobie po południu, tyle że nie było na to czasu. Tydzień wcześniej skończyła trzydzieści lat. Za sześć godzin musiała być z powrotem w szpitalu. Tym, co sprawiało, że ten koniec okazał się dla Mariny tak bolesny, tym, przez co chciała poleżeć na kanapie w środku dnia, nie był koniec jej małżeństwa, lecz koniec stażu na oddziale położnictwa i ginekologii. W czwartym roku pięcioletniego programu przeniosła się na farmakologię kliniczną, zapisała na studia doktoranckie i skazała na kolejne trzy lata na akademii. Choć matka musiała przylecieć do Baltimore i pomóc jej w przeprowadzeniu rozwodu, Marina nie powiedziała jej, z czym tak naprawdę się rozstała. Nie powiedziała, że zmarnowała życie nie sobie ani Joshowi Su, lecz komuś innemu, kogo nawet nie znała. Nie powiedziała matce o wypadku ani o hiszpańskiej inkwizycji, która się później rozpętała. Nie powiedziała jej o przeniesieniu się na farmakologię i zrobiła to dopiero rok później, a wtedy wspomniała o tym tak beztrąsko, że zmiana wydała się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Nie powiedziała matce o doktor Swenson.

Marina naciągnęła płaszcz na ramiona. Pod samolotem była miękka biała zasma chmur, która osłaniała pasażerów przed krajobrazem w dole. Nie sposób było powiedzieć, gdzie teraz są. Pozwoliła głowie opaść do tyłu i pomyślała, że maleńki łyceczek snu na pewno nikomu nie zaszkodzi. Potrafiła ucinać sobie dwuminutowe drzemki. Opanowała tę czarodziejską sztuczkę na stażu, zasypiając w kącie windy, a

potem budząc się na właściwym piętrze. Szybko potrząsała głową, a potem szła prosto do sali, w której leżał pacjent, niezupełnie odświeżona, ale chwilowo wzmocniona. Wcisnęła przycisk na podłokietniku i pozwoliła fotelowi się rozłożyć. Nastawiła swój wewnętrzny budzik na pięć minut i poddała się snowi, który ciągnął ją do siebie od rana, kiedy koszmary wyrzuciły ją z łóżka. Jednak tym razem, gdy drzwi windy stanęły otworem, nie była w Kalkucie. Była w Voglu, patrzyła na płytki na podłodze korytarza i na brzęczące światła, aż nagle zmieniła zdanie na temat wszystkiego. Powinna była powiedzieć Andersowi o doktor Swenson. Trudno zgadnąć, jak ta historia wpłynęłaby na jego wyprawę do Amazonii, ale mimo to postanowiła mu nie mówić, bo chciała chronić siebie, a nie dlatego, że nie powinien był posiadać tych informacji. Anders byłby wdzięczny za każdą wskazówkę, teraz to wiedziała, i możliwe, że ten jeden dodatkowy fakt doprowadziłby do innego końca. Przynajmniej Anders byłby ostrożny. Im dłużej o tym myślała, tym szybciej szła korytarzem. W oknach przekształconych w drzwi do laboratoriów i gabinetów było ciemno. Wszyscy poszli już do domu.

Oprócz Andersa.

Siedział przy swoim biurku zwrócony do niej plecami. Rano zawsze przychodziła do pracy wcześniej niż on. Musiał zawieźć chłopców do szkoły. Wchodząc, prawie nigdy nie widziała go siedzącego przy biurku i radość, która przepelniła ją na widok wysokich, prostych pleców, jego wypłowiałych włosów, sprawiła, że zawołała:

– Bałam się, że już wyszedłeś!

Serce biło jej tak szybko, sto pięćdziesiąt, pomyślała, sto sześćdziesiąt uderzeń na minutę.

Miał lekko zaskoczoną minę.

– Bo wyszedłem. Byłem już na parkingu, ale zdałem sobie sprawę, że zostawiłem zegarek. – Wsunął pasek na lewą rękę i zapiął go. Anders codziennie rano zdejmował zegarek, tak jak oni wszyscy, za dużo mycia rąk, za dużo wkładania i zdejmowania lateksowych rękawiczek. – Co z tobą? Wyglądasz, jakbyś biegła. – Wyciągnął rękę i położył ją na jej ramieniu, a potem zaczął potrząsać Mariną, z początku delikatnie, później mocniej.

– Proszę pani – powiedział, jakby się nie znali. – Proszę pani?

Marina otworzyła oczy. Mężczyzna w garniturze potrząsał ją za ramię, a stewardesa wpatrywała się w jej twarz ze zdecydowanie zbyt bliskiej odległości. Kiedy



Marina otworzyła oczy, spojrzała prosto na usta tej kobiety, na grubą warstwę różowej, nieprzyzwoitej szminki.

– Proszę pani?

– Przepraszam – powiedziała Marina.

– Chyba przyśniło się pani coś złego.

Stewardesa odsunęła się, ukazując się Marinie w szerszej perspektywie. O jak wczesnej godzinie musiała wstać dziś rano, żeby tak bardzo wytuszczać rzęsy?

– Przynieść pani szklankę wody?

Marina potakująco pokiwała głową. Sztuczka z lariamem polegała na odgadnięciu, która część jest snem, a która jawą: Vogła znała, podobnie jak Andersa i laboratorium. To samolot miał posmak koszmaru.

– Ja też nie lubię latać – zwierzył jej się mężczyzna w garniturze, unosząc Bloody Mary. – Stosuję lek.

– Nie mam nic przeciwko lataniu – zapewniła Marina. Było coś, o czym zamierzała powiedzieć Andersowi.

– Wszystko wskazywało na to, że jednak pani ma – upierał się mężczyzna.

Może był zaniepokojony albo znudzony, albo nadmiernie się spoufalał, albo spoufalał się w stylu Środkowego Zachodu. Nie potrafiła się zdecydować. Wzięła szklankę wody, którą jej podano, i wypila do dna.

– Mam koszmary – wyjaśniła Marina, a potem dodała: – W samolotach. Więcej nie zasnę.

Mężczyzna spojrzał na nią sceptycznie. W końcu siedzieli w tym teraz obydwójce, byli współpasażerami.

– A jeśli pani zaśnie, mam panią obudzić czy po prostu pozwolić spać dalej?

Marina zastanowiła się. Oba rozwiązania były niedoskonałe. Nie chciała krzyczeć w jego obecności, ale z drugiej strony nie chciała, by potrząsał ją za ramię. Intymność związana ze spaniem obok obcych ludzi, a tym bardziej z miotaniem się i wydawaniem odgłosów przez sen, była nie do zniesienia.

– Proszę mi pozwolić spać – zdecydowała i odwróciła się do niego plecami.

Zamierzała powiedzieć Andersowi o doktor Swenson. Zabawna jest ta podświadomość: myślała, że może napisać historię na nowo. Gdy żył, nigdy nie przyszłoby jej do głowy powiedzieć mu o tym, co wtedy zaszło, a teraz, kiedy był martwy, była pewna, że powinna była to zrobić. Ogromne, ciężkie poczucie winy, które drzemało w niej w każdej chwili życia, poruszyło się i przeciągnęło. Czy to nie

logiczne, że jedno poczucie winy obudziło drugie? Marina Singh miała wypadek dawno temu, a potem wycofała się z programu na oddziale położnictwa i ginekologii. Nigdy nie powiedziała o tym ani matce, która myślała, że jej córka irracjonalnie zmieniła zdanie na późnym etapie szkolenia, ani panu Foxowi, który zawsze znał ją wyłącznie jako farmakolożkę. Ludzie, którzy wiedzieli o szczegółach tamtego zajścia, Josh Su, ówcześni przyjaciele, znikali z jej życia jedno po drugim, gdy tylko znajdowała sposób, by zerwać z nimi kontakt. Nie знаła już doktor Swenson. Dzięki ogromnemu, skoncentrowanemu wysiłkowi znalazła sposób, by przestać powtarzać tę historię sobie samej. Nie tropiła już tamtych wydarzeń na mapie swojej pamięci, badając różne miejsca, w których mogła podjąć inną decyzję.

Marina Singh była starszą stażystką, a doktor Swenson jej supervizorką. Tamtej nocy, albo, jak to ujęła komisja rewizyjna, odnośnej nocy, pracowała w okręgowym szpitalu położniczym w Baltimore. Noc była ciężka, ale nie najgorsza. Jakiś czas po północy przysłała kobieta, u której akcja porodowa trwała już trzy godziny. Wcześniej urodziła już dwoje dzieci i nie spieszyło jej się do szpitala.

– Jak się pani teraz czuje? – zapytała stewardesa.

– Dobrze – odpowiedziała Marina. Miała suche oczy i skupiła się na tym, by ich nie zamykać.

– Proszę się nie krępować. Ten miły pan obudził panią w samą porę.

Miły pan znowu uśmiechnął się do Mariny. Coś w tym uśmiechu sugerowało, że kryje się w nim mały płomyk nadziei na nagrodę za ten dobry uczynek.

– Nie wszyscy towarzysze podróży są tacy troskliwi – ciągnęła stewardesa. Zwlekała z odejściem. W pierwszej klasie nie miała dużo roboty, było za mało ludzi, którymi należało się zajmować. – Pozwalają innym chrapać, krzyczeć i robić to tak długo, aż słycać ich w toalecie z tyłu.

– Już czuję się dobrze – powtórzyła Marina i odwróciła twarz do okna, zastanawiając się, czy na końcu samolotu jest jakieś wolne miejsce.

Próbowała oddzielić to, co się stało tamtej nocy, od swoich zeznań złożonych później pod przysięgą. Próbowała umieścić się z powrotem w faktycznym zdarzeniu zamiast w niekończących się, wyczerpujących opowieściach o nim. Pacjentka miała dwadzieścia osiem lat, była Afroamerykanką. Miała wyprostowane włosy zaczesane do tyłu. Była wysoka, szeroka w ramionach i miała ogromny brzuch. Marina ze zdziwieniem przypomniła sobie, że bardzo polubiła tę kobietę. Jeśli pacjentka się bała, ani razu tego nie okazała. Między skurczami, a czasem nawet podczas nich,

opowiadała o dwójce swoich dzieci: miała dwie dziewczynki, a teraz rodziła syna. Marina wezwała doktor Swenson przez pager i oznajmiła jej, że skurcze następują co cztery minuty, ale nie ma jeszcze rozwarcia. Tętno dziecka było niestabilne. Marina powiedziała doktor Swenson, że jeśli sytuacja się nie poprawi, będą musiały zrobić cesarkę.

Wtedy doktor Swenson bardzo wyraźnie poleciła Marinie czekać i nie robić cesarskiego cięcia bez niej.

– Widzi tam coś pani? – zapytał mężczyzna w garniturze.

– Nie – powiedziała Marina.

– Nie wiem, jak pani to wytrzymuje. Ja nie mogę siedzieć przy oknie. Jeśli nie ma innego miejsca, opuszczam roletę. Wmawiam sobie, że jedziemy autobusem. Dawniej w ogóle nie byłem w stanie latać i poszedłem na zajęcia, na których uczyli nas wmawiać sobie w stanie hipnozy, że jedziemy autobusem. Działa, pod warunkiem że mam drinka. Chce pani drinka?

Marina przecząco pokręciła głową.

– Część gazety?

Spojrzała na niego. Był blady, ale miał rumieńce na wysokich kościach policzkowych – współpasażer, który chciał, żeby zapytała, po co jedzie do Miami i czy to ostateczny cel jego podróży. Chciał od niej usłyszeć, że leci do Ameryki Południowej, by mógł być pod wrażeniem i zapytać, co zamierza tam robić, tylko że ona nie miała ochoty nic mówić. Nie zamierzała niczego dla niego robić.

Wykonywała cesarskie cięcie już wcześniej, ale tamtej nocy kazano jej czekać, monitorować i oddzwonić za godzinę, jeśli nie nastąpi poprawa. Tętno dziecka gwałtownie spadało i rosło, spadało i rosło, a pacjentka nadal nie miała rozwarcia. Marina po raz drugi wezwała doktor Swenson pagerem, a potem czekała i czekała, ale nikt nie oddzwaniał. Kiedy spojrzała na zegarek, zdała sobie sprawę, że minęło zaledwie czterdzieści pięć minut, a nie godzina. Zasady były żelazne. Złamała je. Właśnie za to Marina zawsze podziwiała doktor Swenson, dopóki sama nie próbowała się z nią połączyć. Pacjentka była gadułą i miały czas na rozmowę. Powiedziała, że jest wyczerpana, ale właściwie nie przez poród. Noc wcześniej dwuletnią córkę bolało ucho i obie nie zmrużyły oka. Mąż podwiózł ją pod szpital. Jechał zawieźć dziewczynki do swojej matki, a to dwie godziny drogi. Dwie godziny drogi tam i dwie z powrotem, ale jeśli poród utrzyma dotychczasowe tempo, mąż zdąży na narodziny, więc kobieta powiedziała, że nie ma nic przeciwko czekaniu. Chciała, żeby przy tym był. Dwa

pierwsze porody go ominęły, tak się złożyło, powiedziała, nie z jego winy. Mówiła silnym głosem, głośniejsz, niż było trzeba w małym pomieszczeniu.

– Zawsze się zapomina, jak to jest przy porodzie – powiedziała – ale nie wydaje mi się, żeby wcześniej było aż tak ciężko. – Potem lekko się roześmiała i dodała: – Na tym polega sztuczka, prawda? Nie pamiętamy, bo gdybyśmy pamiętały, żadna z nas nie rodziłaby więcej dzieci i co wtedy? Nastąpiłby koniec wszystkiego.

Minęła pierwsza trzydzieści. Potem druga. Trzecia. Doktor Swenson nie odpowiadała na telefony. Gdy kobieta czekała, Marina przyjęła dwa inne porody i obydwie były tak łatwe, że w ogóle nie wymagały obecności lekarza. Kobiety przeważnie wiedziały, jak wyprzeć niemowlę. Nawet jeśli nie wiedziały, nic nie mogło ich powstrzymać. Marina wróciła, by jeszcze raz zajrzeć do tej kobiety. Lekarka była przerażona, pacjentka cierpliwa. W dniach, kiedy Marina odtwarzała ten film w głowie co godzinę, na jawie i we śnie, właśnie tej części przyglądała się z największą uwagą. Odtwarzała ją w tempie zwolnionym do czółgania. Patrzyła na każdą klatkę z osobna. Nie przerażało jej to, że pacjentka może umrzeć albo stracić dziecko, była przerażona tym, że robi coś złego w oczach doktor Swenson. Myślała, że gdyby wypełniła polecenie i zaczekała jeszcze piętnaście minut, zanim zadzwoniła po raz pierwszy, do niczego takiego by nie doszło. Bez wątpienia dostała nauczkę. Bez wątpienia doktor Swenson już jechała do szpitala. Pielęgniarki to wszystko rozumiały. Nawet gdy przygotowywały pacjentkę do operacji i dzwoniły po anestezjologa, mówiły: po prostu przygotujemy wszystko dla doktor Swenson, żeby od razu mogła zacząć. Marina powinna była zadzwonić po innego lekarza, ale nawet o tym nie pomyślała. Za długo zwlekała, próbując się kryć. Gdyby nie czekała aż tak długo, gdyby nie czekała, aż wszystko zacznie się walić i nie będzie innego wyjścia, jak tylko zacząć, miałyby więcej czasu.

Samolot gwałtownie spadł, a potem wyrównał kurs. To był korek powietrzny, ale przez ułamek sekundy wszyscy ludzie w samolocie słyszeli w głowie ten sam głos: „To koniec”. Mężczyzna w garniturze chwycił ją za nadgarstek, ale zanim jego ręka dotarła do ramienia, było już po wszystkim, mogli zapomnieć o sprawie, sytuacja została opanowana.

– Poczwała to pani? – zapytał.

Zacwała w niewłaściwym miejscu. Głębsza prawda o tej historii tkwiła wiele lat wcześniej, na początku jej stażu albo na akademii medycznej tamtego pierwszego dnia zajęć, kiedy zobaczyła doktor Swenson na dole sali wykładowej. Żadne słowa nie były

w stanie wyrazić, jak bardzo podziwiała tę kobietę, jej inteligencję, umiejętności lekarskie. Wszyscy ją podziwiali. Studenci doktor Swenson byli zawsze gorliwi i żądni wiedzy. Nie zadawała sobie trudu, by zapamiętać ich nazwiska, a mimo to żyli wedle litery jej prawa. Dla kobiet była surowsza. Opowiadała im historie o swoich studiach na akademii medycznej i o tym, że gdy się zjawiała, mężczyźni splatali ręce, by wspólnie zagrozić jej drogę. Tworzyli przeciwko niej żywą barykadę, kopali, kiedy na nich wchodziła, a teraz wszystkie kobiety po prostu przechodzą, nie rozumiejąc i nie doceniając pracy, która została dla nich wykonana. Nie chodziło o to, że Marina kiedykolwiek pragnęła być taka jak ona, po prostu nie miała w sobie tego czegoś. Najzwyczajniej chciała sprawdzić, czy zdoła spędzić pięć lat swojego życia, próbując sprostać standardom doktor Swenson, i okazało się, że nie. Nagle zakręciło jej się w głowie. Gdzieś bardzo daleko poczuła obecność mężczyzny siedzącego obok. Puścił jej rękę. Nigdy nie byłaby w stanie opowiedzieć tej historii Andersowi, nawet gdyby miało to wzmóc jego czujność, nawet gdyby mogła być osobą, która ocali mu życie. Przecież miał trzech synów. Skóra na brzuchu pacjentki była napięta do zaskakującej cienkości, jak nadmuchany za mocno balon. Marina pamiętała, że brzuch lśnił. Przecięła skórę, przekopała się przez tłuszcz w poszukiwaniu powięzi. Myślała, że nie ma już czasu. Jej dłonie pracowały trzykrotnie szybciej niż zwykle, zobaczyła macicę. Myślała, że dzięki tak błyskawicznemu działaniu ratuje dziecku życie, ale w tej samej chwili, w której zdała sobie sprawę, że dziecko jest zwrócone twarzą do góry, ostrze wbiło mu się w główkę dokładnie pośrodku linii włosów i cięło dalej, aż ręka Mariny znieruchomiała na środku jego policzka. Dawniej czuła to proste cięcie na własnej twarzy, skalpel przekrawający oko. Czuł to ojciec dziecka, kiedy tamtej nocy wrócił do szpitala, by ujrzeć żonę odurzoną środkami uspokajającymi, a syna okaleczonego i oślepionego na jedno oko. Marina spotkała się z nim na korytarzu i powiedziała, co zrobiła. Zobaczyła, że wzdryga się tak samo, jak wcześniej wzdrygnęła się ona. Nie mógł jeszcze zobaczyć dziecka. Specjaliści już pracowali, ale niektórych rzeczy nie da się naprawić.

Nie wyrzucili jej ze stażu. Marina przypomniała sobie o tym z niemałym zdziwieniem. Kiedy to wszystko się skończyło i w sądzie osiągnięto ugodę, pozwolono jej wrócić. Pacjentka ją polubiła, to było najgorsze. Spędziły razem całą noc. Domagała się odszkodowania, ale nie chciała, żeby poleciała głowa Mariny. Powiedziała, że nie licząc tej jednej pomyłki, lekarka zrobiła dobrą robotę. Nie licząc tej jednej pomyłki. Tak więc Marina sama musiała sobie wymierzyć karę. Nie potrafiła

już dotknąć żadnej pacjentki ani spojrzeć w twarz innym stażystom. Nie umiała wrócić do doktor Swenson, która zeznała, że zabroniła starszej stażystce operować samodzielnie. W ciągu tamtych trzech godzin tętno dziecka wielokrotnie spadało, ale zawsze się podnosiło. Zawsze rosło. Może za parę godzin nastąpiłoby rozwarcie. Może za dziesięć minut dziecko by umarło. Nikt nie znał odpowiedzi. Marina była tonącym statkiem, a stojąca na bezpiecznym suchym lądzie doktor Swenson odwróciła się od niej i odeszła. Marina podejrzewała, że doktor Swenson w ogóle jej nie kojarzy.

Anders na pewno nie zostałaby w domu. Nie gdy nadarzyła się okazja, by wyjechać zimą i zobaczyć Amazonię, sfotografować grzebieniaste karakary. Zresztą już wyjechał, już nie żył, a ona leciała do Brazylii z nadzieją, że dowie się, co się stało z jego ciałem. Nie spała całą noc, czuwając przy pacjentce, nie spała całą noc, oślepiając dziecko, a teraz jej powieki opadały, unosiły się, opadały. Taka była cena wyruszenia na poszukiwania doktor Swenson: wspomnienia. Wróciła do laboratorium w Voglu, mimo że obiecała mężczyźnie siedzącemu obok w samolocie, że więcej tego nie zrobi. Poszła ciemnym korytarzem do ciemnego pomieszczenia i podniosła zdjęcie synów Eckmanów, które stało na biurku Andersa: wszyscy trzej uchwyceni w napadzie wesołości, który od tej pory będzie przynależał do innego życia. Zdjęcie ukazujące małych, rozpromienionych chłopców, którzy zdają się emanować słabym światłem w ciemnym laboratorium, spoczywało w jej dłoni, kiedy drzwi ponownie się otworzyły. Czego tym razem zapomniał Anders? Portfela? Kluczy? Nieważne. Po prostu chciała, żeby wrócił.

– Chodź, Mari – powiedział jej ojciec. – Pora już iść.

To było tak doskonale, że Marina omal nie roześmiała się na głos. Oczywiście, że się tam znalazł, oczywiście. Pewna część snu nie przeszła za nią w jawę – ta część, w której do pokoju wchodzi jej ojciec i wypowiada jej imię. Część, w której przez chwilę są razem, we dwoje, zanim wszystko się popsuje. Zakończenie zawsze przysłaśniało autentyczną radość, która je poprzedzała, choć wcale nie powinno. Prawda była znacznie bardziej skomplikowana. Składała się ze smutku i wielkich sukcesów, a ona powinna pamiętać o wszystkim.

– Patrzyłam na to zdjęcie – powiedziała, pokazując mu je. – Prawda, że ładni chłopcy?

Ojciec potakująco pokiwał głową. Dobrze wyglądał w żółtej kurcie i uprasowanych spodniach. Wydawał się wysportowany i wypoczęty, jego szczupłą talię otaczał pleciony pasek. Wcześniej Marina się nad tym nie zastanawiała, ale byli teraz

mniej więcej w tym samym wieku. Rozumiała, że zadaniem czasu jest podążanie naprzód, ale z radością pozostałaby dokładnie w tamtej chwili.

– Więc jesteś gotowa?

– Jestem gotowa – powiedziała.

– Dobrze, w takim razie w porządku, trzymaj się mnie.

Otworzył drzwi i wyszli razem na pusty korytarz Vogla. Przez chwilę panowała tam cudowna cisza i Marina starała się ją docenić, wiedząc jednocześnie, że ta cisza nie może trwać. Drzwi otwierały się jedne po drugich i koledzy z pracy wychodzili, by poznać jej ojca, uścisnąć mu dłoń, a za nimi pojawiali się Hindusi, coraz więcej Hindusów, aż w końcu poczuła się tak, jakby płynęła za nimi cała Kalkuta, zagłuszając swoim głosem wrzawę innych rozmów.

– Wiem, gdzie są schody – powiedziała mu na ucho. – Możemy pójść tamtędy.

Ojciec jej nie słyszał, było po prostu za głośno. Przeciskali się do przodu, trzymając się za ręce najdłużej, jak się dało.

## ROZDZIAŁ TRZECI

W chwili, w której Marina weszła w zatechny wiatr tropikalnej klimatyzacji, poczuła zapach własnej wełnistości. Zdjęła lekki wiosenny płaszcz, a potem zapinany na suwak sweter pod nim, wpychając obydwie do bagażu podręcznego, gdzie za nic nie chciały się zmieścić, podczas gdy każdy owad w Amazonii oderwał głowę od liścia, który właśnie przeżuwał, i zwrócił smukłe czułki w jej stronę. Była przekąską, barem szybkiej obsługi, kobietą ubraną jak na wiosnę na Północy. Marina podała swój paszport mężczyźnie przy biurku, który miał na koszuli wszystkie odpowiednie odznaki i znaczki swojego urzędu. Z powagą przyjrzał się jej zdjęciu, jej twarzy. Zapytana, powiedziała, że przyleciała do Brazylii służbowo. Choć zaplanowana odpowiedź na pytanie: „Jak długo tu pani będzie?”, brzmiała: „Dwa tygodnie”, Marina zmieniła zdanie dokładnie w chwili, w której otworzyła usta.

– Trzy tygodnie – oznajmiła, a mężczyzna podstemplował pustą stronę w książeczce pełnej pustych stron.

Marina wcisnęła się na miejsce obok taśmociągu z bagażami i patrzyła na przepływającą obok bezładną rzekę dobytku. Ogromne walizki piętrzyły się jedna na drugiej jak worki z piaskiem gotowe zatrzymać przypływ. Marina czekała i wypatrywała swojego skromnego bagażu, odwracając wzrok tylko na chwilę, by pomóc nieznamym ściągnąć na podłogę wojskową skrzynię. Pomyślała o Kalkucie, o szaleństwie przy odbiorze bagażu, które było jedynie leciutkim przedsmakiem szaleństwa ulic. Ona, jej matka i ojciec byli razem wśród stłoczonych mas, ojciec odsuwał je z drogi młodych mężczyzn z wózkami na kółkach. Owinięte w sari babcie chroniły rodzinny bagaż, siedząc na nim, zamykane na suwak boki napierały na zewnętrzne pasy, chcąc się otworzyć. Marina potrząsnęła głową, pozbywając się tego obrazu, i skupiła całą uwagę na rozgrywającej się przed nią scenie. Próbowwała zachować nadzieję w kurczącym się gronie: walizki, osoby w tłumie, wszystkie znikwały jedna po drugiej. Na taśmociągu zostały dziecięce okulary pływackie, a ona patrzyła, jak raz po raz ją mijają. Zrobiła w głowie listę rzeczy, którą mądrzejszy człowiek trzymałby w bagażu podręcznym: słownik, zamykane na suwak etui z telefonem,



lariam, który leżał w śmietniku na lotnisku Minneapolis-St. Paul.

Nieszczęśnicy stłoczeni w biurze zagubionego bagażu napierali na sterty nieodebranych walizek i razem podnosili temperaturę w małym pomieszczeniu o jakieś dziesięć stopni ponad gorąco w ogromnej jaskini odbioru bagażu. Wiatraczek z czarnego metalu stał na biurku i beznadziejnie mieszał powietrze w promieniu pół metra. Jedna osoba po drugiej podchodziła do dziewczyny za biurkiem i szybko rozmawiała po portugalsku. Gdy przysła kolej Mariny, bez słowa podała dziewczynie swój bilet i adres hotelu, a dziewczyna, która miała trochę więcej niż odrobinę doświadczenia w takich sytuacjach, przesunęła w jej stronę zalaminowaną kartkę ze zdjęciami różnych walizek. Marina dotknęła walizki, która najbardziej przypominała jej własną. Drukarka wyprodukowała dokument, który dziewczyna podała Marinie, zakreślając numer telefonu i numer zgłoszenia.

Marina przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i odprawę celną, a potem znalazła się w hali pełnej ludzi, którzy na nią patrzyli. Młode dziewczyny stawały na palcach i machały. Taksówkarze zabiegali o klientów, kierownicy wycieczek i amazońscy przewodnicy zaganiali swoich podopiecznych w grupy. Przeróżne tanie sklepiki i punkty wymiany walut rywalizowały o uwagę jaskrawymi kolorami i jeszcze bardziej jaskrawymi światłami, a dokładnie pośrodku tego wszystkiego stał mężczyzna w ciemnym garniturze, trzymając tabliczkę ze starannie wypisanymi dwoma słowami:

„Marina Singh”.

Marina Singh była tak pewna, że jest sama w tym świecie, iż na widok własnego nazwiska napisanego grubym czarnym mazakiem i prawidłowo przeliterowanego (jakże rzadko ludzie znajdowali energię, by dołączyć ostatnie „h”) zatrzymała się w pół kroku. Mężczyzna trzymający tabliczkę zdawał się widzieć wszystko i choć wokół było co najmniej pięćset osób, z których mógł wybierać, bardzo szybko zwrócił się w jej stronę.

– Doktor Singh? – zapytał.

Był dość daleko. Nie tyle usłyszała swoje nazwisko, ile zobaczyła jego kształt na ustach mężczyzny, więc przytaknęła ruchem głowy. Ruszył w jej stronę i morze życia z łatwością się przed nim rozstało. Wyciągnął rękę.

– Jestem Milton.

– Milton – powtórzyła. Musiała sobie przypomnieć, że uścisk na powitanie nie jest tu mile widziany.

– Wyszła pani dość późno. Niepokoilem się.

I rzeczywiście wyglądał na zaniepokojonego. Jego oczy wpatrywały się w jej oczy w poszukiwaniu jakiegoś znaku, że coś poszło nie tak.

– Zaginął mój bagaż. Musiałam to zgłosić. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że ktokolwiek po mnie wyjdzie.

– Nie ma pani bagażu? – zapytał Milton.

– Mam płaszcz. – Poklepała torbę i zauważyła, że jeden rękaw prawie ciągnie się po podłodze. Wcisnęła go z powrotem.

Na twarzy mężczyzny zobaczyła wyraz smutku i odpowiedzialności.

– Zechce pani pójść ze mną? – Wziął od niej małą torbę i bardzo delikatnie położył dłoń na jej przedramieniu, przesuwając ją kilka kroków z powrotem w tłum.

– Wypełniłam wszystkie formularze – powiedziała.

Pokręcił głową.

– Musimy tam wrócić.

– Przecież nie możemy iść z powrotem do kontroli bezpieczeństwa. – Powrót przez drzwi ochrony, wyraźnie oznakowane, by poinformować, że cały ruch płynie w jednym kierunku, był równie prawdopodobny jak cofnięcie się w czasie, ale obok był Milton, a jego ręka spoczywała teraz na ramieniu strażnika. Lekko pochylił ciało do przodu i szepnął coś do mężczyzny z bronią, a mężczyzna z bronią uniósł dłoń, by zatrzymać płynących naprzód ludzi i przepuścić Milтона z Mariną. Przeszli pod prąd przez odprawę celną, gdzie mężczyzna w mundurze trzymał obie ręce głęboko w torebce jakiejś kobiety. Następnie wyjął jedną z nich, by podać ją Miltonowi, a Milton wymienił uścisk i przeszli dalej.

– Będę potrzebował pani dokumentu – powiedział Milton do Mariny.

Podala mu pokwitowanie. Przechodzili już obok taśmociągów. Weszli do biura zaginionego bagażu pełnego innych ludzi, którzy stracili bagaż podczas późniejszych lotów. Przciskali się jeden obok drugiego, źli i smutni, myśląc, że coś takiego przytrafiło się tylko im.

Dziewczyna pracująca za biurkiem zobaczyła ich, albo wyczuła, gdy tylko weszli, i podniosła głowę.

– Milton – powiedziała z uśmiechem, a potem zaczęła trajkotać po portugalsku. Marina poskładała w całość pierwsze słowa, lecz potem zgubiła wątek...

– *Isso é um sonho.* – Dziewczyna gestem ręki przywołała ich do przodu, gdzie z żywą pasją zaczęła rozmawiać z Miltonem.

Kiedy mężczyzna, który czekał ponad godzinę na najmniejszą oznakę zainteresowania, zaczął protestować, dziewczyna cmoknęła językiem, uciszając go. Milton podał jej wydruk komputerowy i przeczytała sprawozdanie, które własnoręcznie napisała, jakby było jakimś fascynująco tajemniczym dokumentem, a następnie głęboko westchnęła. Milton wyjął z portfela wizytówkę i szybko owinał ją banknotem, cały czas mówiąc i mówiąc. Dziewczyna wzięła ją od niego, a on ucałował koniuszki jej palców. Roześmiała się i powiedziała do Mariny coś, co mogło, ale nie musiało być ordynarne. Marina odpowiedziała jej tępym spojrzeniem.

Powietrze na zewnątrz było wystarczająco ciężkie, by ugryźć je i żuć. Płuca Mariny nigdy nie przyjęły tak dużo tlenu, tak dużo wilgoci. Z każdym oddechem czuła, że wprowadza do ciała niewidzialne cząsteczki roślinnego życia, maleńkie zarodniki, które osadzają się między jej rzęskami i przystępują do zapuszczania korzeni. Obok jej ucha przeleciał owad, emitując dźwięk tak przeszywający, że głowa Mariny odskoczyła do tyłu jak po uderzeniu. Drugi owad ugryzł ją w policzek, akurat gdy podniosła rękę, by odpędzić tego pierwszego. Nie byli w dżungli, byli na parkingu. Przez sekundę błyskawica bez gromu rozświetliła złowrogą zaspę chmur wiele kilometrów na południe i równie szybko pozostawiła ją w ciemności.

– Ma pani w tej małej torbie wszystko, czego pani potrzeba? – zapytał Milton z nadzieją.

Marina przecząco pokręciła głową.

– Książki – powiedziała. – Płaszcz. – Instrukcję obsługi telefonu, który zaginął. Poduszkę podtrzymującą kark w podróży. Egzemplarz *Skrzydeł gołębiczy*, który kupiła, uznawszy, że jest wystarczająco długi, by wystarczyć na cały lot. Numer „New England Journal of Medicine” zawierający rozdział raportu doktor Swenson: *Endokrynologia rozrodu plemienia Lakaszi*.

– W takim razie dziś wieczorem musimy je dla pani zdobyć – oznajmił.

Jego szwagier prowadził sklep w mieście. Milton wyjął komórkę, zapewniając Marinę, że szwagier chętnie ich przyjmie mimo późnej pory, to żaden problem, a ona, jako że bardzo chciała zdobyć szczoteczkę do zębów, w końcu się zgodziła.

Milton ostrożnie omijał te dziury w drodze, które można było ominąć. Przejeżdżał delikatnie przez te, których ominąć się nie dało. Ludzie tłoczyli się na rogach ruchliwych ulic, czekając na zielone światło, ale kiedy światła się zmieniły, nadal stali w miejscu. Dziewczęta ubrane jak na tańce pchały wózki spacerowe wzdłuż ścian oblepionych ulotkami. Jakaś stara kobieta ze szczotką zmiatała śmieci na

środku skrzyżowania. Marina patrzyła na to wszystko, myśląc o Andersie, zastanawiając się, czy w wieczór swojego przyjazdu widział tych samych ludzi. Nie wyobrażała sobie, by Manaus bardzo się zmieniło od tamtej pory.

– Wiózł pan doktora Eckmana? – zapytała.

– Eckmana – powtórzył Milton, jakby był to jakiś obiekt, którego angielskiej nazwy nie znał.

– Anders Eckman. Przyleciał tutaj tuż po świętach Bożego Narodzenia. Pracujemy dla tej samej firmy.

Milton przecząco pokręcił głową.

– Wielu waszych doktorów przyjeżdża do Brazylii?

Dokładnie troje, pomyślała Marina, a potem powiedziała:

– Niewielu.

Oczywiście nikomu nie przyszłoby do głowy, by zapewnić Andersowi samochód z kierowcą. Anders znalazł swój bagaż i zaniósł go na postój taksówek, otworzył rozmówki portugalskie i powtórzył sobie zdanie: „Ile kosztuje kurs do hotelu?”. Marina zdała sobie sprawę, jak blisko Andersa się znalazła. Pomyślała, jak stał na tym samym lotnisku, postawiwszy stopy na tym samym asfalcie. Dzielili ich tylko garstka miesięcy, jedno z nich wymykało się tylnymi drzwiami, podczas gdy drugie wchodziło od frontu. Właśnie wtedy Marinie przyszła do głowy całkiem inna myśl.

– A woził pan kiedyś doktor Swenson?

– Doktor Swenson, oczywiście. To bardzo dobra klientka. Pracuje pani także z doktor Swenson?

Wtedy Marina wyprostowała się i od razu poczuła, jak blokuje się jej pas bezpieczeństwa. Vogel nie zadał sobie trudu, by zatrudnić kierowcę dla Andersa, ale z pewnością znalazł go dla doktor Swenson; albo doktor Swenson znalazła go sobie sama. To musiał być samochód równie czysty jak ten, z takim samym zdumiewająco kompetentnym kierowcą.

– Wie pan, gdzie ona mieszka?

– Znam jej adres w Manaus. To niedaleko pani hotelu. Ale doktor Swenson rzadko bywa w Manaus. Pracuje w dżungli. – Po tych słowach Milton zamilkł i Marina zobaczyła, że zerka na nią we wstecznym lusterku. – Zna ją pani, tak?

Nie powinien rozmawiać o ludziach, których wozi. Nie powinien rozmawiać o doktor Swenson.

– Była moją wykładowczynią na akademii medycznej – powiedziała Marina,

podając ten kawałek swojej przeszłości z taką łatwością, że poczuła, jakby skłamała. – Wiele lat temu. Teraz pracujemy dla tej samej firmy. Przyjechałam ją odnaleźć. Nasza firma przysłała mnie po to, żebyśmy omówiły projekt, nad którym ona pracuje.

– Zatem pani wie – powiedział Milton z ulgą w głosie.

– Mam jej adres w mieście, ale kiedy pracuje, nikt nie jest w stanie jej zlokalizować. Doktor Swenson nie chce korzystać z telefonów komórkowych.

– Dzwoni do mnie z automatu w porcie, kiedy przy pływa do miasta.

– I nie obchodzi jej, że akurat wozi pan kogoś innego...

Mówiła z własnego, odległego doświadczenia.

Milton potwierdził skinieniem głowy, ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie.

– Zawsze przyjeżdża i wyjeżdża bez ostrzeżenia. Bywa, że nie opuszcza dżungli przez długie miesiące. Dorastałem w Manaus. Nie wytrzymałbym tam tak długo.

– Doktor Swenson nic nie przeszkadza – stwierdziła Marina.

– To prawda – przyznał Milton, ale po namyśle dodał: – Chyba że ktoś nie zdąży jej odebrać z portu.

Milton pokonał jeszcze kilka zakrętów, wioząc Marinę do innej części miasta, gdzie ludzie chodzili ulicami, klóćąc się albo trzymając za ręce, jakby nie byli świadomi tego, że zapadła noc i wokół nic się nie dzieje. Daleko z przodu zauważyła mężczyznę siedzącego na niskim cementowym stopniu. Milton zatrzymał samochód tuż obok niego. Mężczyzna natychmiast wstał i otworzył Marinie drzwi. Był wysoki i szczupły, miał na sobie różową koszulę z bawełny, w której zmieściłoby się dwóch takich jak on. Powitał ich krótko i po portugalsku. Było widać, że nie jest tak zadowolony z późnego wyjścia z domu, jak sugerował Milton.

– *Negócio é negócio* – powiedział Milton, gasząc silnik.

Przedstawił Marinie swojego szwagra Rodriga, który podał jej rękę i pomógł wsiąść z samochodu.

Rodrigo powiedział coś do Milтона, otwierając drzwi do budynku. Wtedy Milton włączył światło. W środku pachniało trocinami. Kiedy weszli, właściciel upewnił się, że zamknął drzwi na klucz. Rodrigo zgasił światło, a Milton włączył je z powrotem. Rodrigo zakrył oczy rękami, jakby chciał sobie zapewnić ciemność, i przez cały czas szybko mówił w języku, którego Marina nie rozumiała. Zamrugła, jej źrenice rozszerzyły się, oślepione, a potem zalało je sztuczne światło. Sklep był zaledwie wielkim kwadratem o podłodze z drewnianych desek, wypchanym wszelkimi

towarami, jakie można było sobie wyobrazić: konserwami, ubraniami i pigułkami, okularami przeciwsłonecznymi, pocztówkami, workami nasion i mydłem do prania. Od kolorów pudełek i butelek piętrzących się aż do wysokiego sufitu zakręciło jej się w głowie. Ogólny wydzźwięk kłótni dwóch mężczyzn był dla niej jasny, mimo że nie rozumiała słów. Na zmianę gasili i zapalali światło, a ona musiała działać szybko, dopóki było cokolwiek widać. Wybrała czerwoną szczoteczkę do zębów, dezodorant, pastę do zębów, szampon, środek odstraszający owady, krem z filtrem, dwie bawełniane koszule, podkoszulki i słomkowy kapelusz. Uniosła parę spodni do talii i położyła je na ladzie. Jej walizka mogła przyjechać jutro rano albo i nigdy. Sięgnęła po opakowanie bielizny, a potem wzięła jeszcze pęk gumek do włosów.

– Więc kiedy po raz ostatni widział pan doktor Swenson? – zapytała.

– *Doutor Singh conhece o doutor Swenson* – wyjaśnił Milton szwagrowi.

Marina wyraźnie usłyszała te dwa nazwiska. W geście, który wydał jej się uderzająco indyjski, Rodrigo złożył dłonie uniesione do ust i wykonał lekki ukłon głową.

– Jest doskonałą klientką – wyjaśnił Milton. – Robi tu całe zaopatrzenie dla obozu. Szkoda, że pani nie widziała, jak wchodzi do tego sklepu. Staje pośrodku, dokładnie tam, gdzie teraz pani, i pokazuje, czego chce, a Rodrigo zdejmuje to dla niej z półek. Zawsze obywa się bez listy. To imponujące.

– *Muito decisivo* – powiedział Rodrigo. – *Muito rápido*.

– Zdarzało się, że po zapasy przyjeżdżał któryś z innych naukowców. Doktor Swenson bardzo ciężko pracowała nad swoim lekiem, więc przysyłała do miasta kogoś innego, a dwa dni później sama zjawiała się w porcie. Mówiła, że kupiono za mało albo nie to, co trzeba. W końcu mi powiedziała, że wysyłanie kogoś na zakupy to zwykła strata czasu. Czasami, jeśli potrzebuje czegoś konkretnego, przysyła Eastera z liścikiem, ale nie zdarza się to często. Nie byłby w stanie sam zrobić zaopatrzenia.

Rodrigo się z tym nie zgodził. Milton go zignorował. – Rodrigo zdążył ją dobrze poznać. Niektóre towary sprowadza tylko dla niej.

– Wspomniał pan o innych naukowcach – zdziwiła się Marina. Na zewnątrz rozległy się czyjeś głosy, a potem dał się słyszeć dźwięk towarzyszący szarpaniu za kłamkę i uderzaniu rękami w szybę. Tłum chciał się dostać do środka.

– Od jej ostatniej wizyty nie minął jeszcze miesiąc. – Milton spojrzał na Rodriga i zapytał po portugalsku: – *Um mês?*

Rodrigo potwierdził skinieniem głowy.

– To może być dla pani kłopot – ciągnął Milton. – Pamiętam, że raz nie pokazywała się przez trzy.

Marina wyobraziła sobie trzy miesiące w tym mieście, którego nie widziała jeszcze w świetle dnia: noszenie tych ubrań, uczenie się na pamięć podręcznika obsługi zaginionego telefonu. Kupi łódź i sama popłynie rzeką, jeśli to będzie konieczne. Zapytała, czy ktokolwiek wie, jak można znaleźć doktor Swenson.

Milton przechylił głowę w jedną, a potem w drugą stronę, jakby ważył swoje myśli.

– Jeśli w ogóle ktoś taki istnieje, to tylko Bovenderowie, ale tak naprawdę nie sądzę, żeby znali dokładne miejsce jej pobytu.

– *Doutor Swenson não Ihes diria nada* – powiedział Rodrigo.

Dość dobrze rozumiał rozmowę prowadzoną po angielsku, ale nie mówił w tym języku. Wyciągnął przeciwdeszczowe poncho z kapturem, złożone i zapakowane w przezroczysty foliowy woreczek, oraz małą parasolkę. Podał je Marinie i pokiwał głową z powagą nakłaniającą do dodania ich do nowych nabytków.

– Masz jakiś inny pomysł? – zapytał Milton swojego szwagra po angielsku.

– Bovenderowie – powtórzyła Marina.

– Tak się nazywa młoda para mieszkająca w jej apartamencie. Na pewno ich pani pozna. Trudno ich nie spotkać. To podróżnicy. – Milton zamknął oczy. – Jak to się mówi?

– *Boêmio* – podsunął Rodrigo z dezaprobatą.

Milton otworzył oczy.

– To młodzi przedstawiciele bohemy.

Rodrigo sporządzał listę wszystkiego, co brała Marina, i zapisywał ceny ołówkiem. Przyłożyła jedną żółtą japonkę do podeszwy swojego buta, a potem odłożyła ją, żeby przymierzyć inną. Sięgnęła po telefon na kartę. Jeśli Bovenderowie mieszkają w apartamencie doktor Swenson, Anders z pewnością znalazł ich bez większego trudu. Miał adres, pod który dostarczano jej korespondencję, więc na pewno najpierw poszedł właśnie tam. W sklepie rozlegało się nieregularne pukanie, stukot nie pochodzący od ludzi, którzy na zmianę usiłowali sforsować drzwi. Brzmiał tak, jakby ktoś uderzał krawędzią zegarka w ladę. Spojrzała na sufit i zobaczyła jakieś owady o twardych pancerzykach, które obijały się o jarzeniówkę. Z miejsca, w którym stała, nie wyglądały na uskrzydłone.

– *Estoque!* – zawołał Milton do ludzi stłoczonych po drugiej stronie szyby.

Potem dalej krzyczał na nich po portugalsku. Rodrigo znowu zgasił światło. W ciemności powkładał jej zakupy do cienkich jak bibułka reklamówek.

– Czego oni chcą? – zapytała Marina.

Milton odwrócił się i spojrzał na nią.

– Niczego – odpowiedział, wskazując różnicę dzielącą ją od tych ludzi. – Po prostu szukają jakiejś nocnej rozrywki.

Gdy Rodrigo w końcu otworzył drzwi, by wypuścić Milтона i Marinę, stało się jasne, że tłum nie jest taki wielki, jaki wydawał się zza szyby – było tam może z dwadzieścia osób, między innymi dzieci. Wyglądały na rozproszone, kiedy tak stały na ulicy, jakby w zasadzie nigdy nie miały siły potrzebnej, by wepchnąć się do środka. Mimo to czekały, by głośno wyrazić rozczarowanie, co uczyniły bez większego przekonania.

Kiedy Rodrigo otworzył przed Mariną drzwi samochodu, nagle zdała sobie sprawę, że za nic nie zapłaciła. Lekkie jak piórko reklamówki ze wszystkim, co wybrała, dyndały powieszona na jej palcach, więc uniosła je i pokazała dwóm mężczyznom.

– Nie zapłaciłam – powiedziała do Milтона.

Członkowie topniejącego tłumu, którzy nie poszli jeszcze do domu, pochylili się w jej stronę z nadzieją, że uda im się zobaczyć, co jest w reklamówkach.

Milton pokręcił głową.

– To wszystko idzie na rachunek, prawda?

– Czyj rachunek?

– Vogla – powiedział Rodrigo. Sięgnął do jednej z reklamówek i pokazał jej kopię rachunku, staranny zapis wszystkiego, z czym odjeżdżała.

Marina zaczęła coś mówić, ale potem zrezygnowała. Nawet jeśli jej wydawało się dziwne, że amerykański koncern farmaceutyczny ma otwarty rachunek w sklepie ogólnobranżowym w Manaus, ci dwaj mężczyźni nie widzieli w tym niczego dziwnego. Podziękowała im obu i pożegnała się z Rodrigiem, który za pośrednictwem Milтона życzył jej szybkiego odzyskania bagażu. Otworzył jej tylne drzwi samochodu, więc bardzo krótką podróż do hotelu spędziła na tylnym siedzeniu. Gdy dotarli do celu, Milton wziął jej nieliczne rzeczy i wprowadził ją do środka.

Wynajęła pokój w hotelu Indira. Nie przypuszczała, by ktoś, kto go rezerwował, wiedział o niej wystarczająco dużo, by zrobić to dla żartu. Weszła wielkimi drzwiami do głównego holu pełnego palm i sfatygowanych brązowych kanap, które oklapnięte



stały obok siebie, jakby dotarły najdalej, jak mogły, a potem się poddały. Milton zameldował ją, a potem wrócił i dał jej klucz. Uprzejmie życzył jej dobrej nocy, po czym zostawił ją, zakreśliwszy numer swojej komórki na wizytówce. Zdała sobie sprawę, że bez Milтона spałaby pewnie na krześle na lotnisku, a potem wróciła porannym lotem do Miami. Nawet gdy już była w swoim pokoju i wieszała płaszcz na metalowym drążku, który jakoś tak nago tkwił w ścianie, myślała o niedawnym locie. Usiadła na skraju łóżka i wydobyła parę okularów do czytania z dna torebki, by dojrzeć niekończący się rząd mikroskopijnych cyferek z karty do telefonu zakupionej w sklepie Rodriga. Jakimś cudem w Eden Prairie była zaledwie godzina wcześniej. Mimo tak długiej podróży Marina znalazła się jedynie godzinę od domu. Pan Fox odezwał się po drugim sygnale.

– Jestem na miejscu – powiedziała.

– To dobrze – odrzekł. – To dobrze. – Odchrząknął i w tle usłyszała jakiś szelest. Zastanawiała się, czy go nie obudziła. – Myślałem, że odezwiesz się wcześniej. Zjadłaś kolację?

Zastanowiła się. Musiała coś zjeść w samolocie, ale nie mogła sobie przypomnieć.

– Zaginęła moja walizka. Na pewno jutro ją przywiozą, ale chciałam ci powiedzieć, że nie mam telefonu.

– Włożyłaś telefon do walizki? – zapytał.

– Włożyłam.

Pan Fox milczał przez bardzo krótką chwilę.

– W dzisiejszych czasach walizki zawsze się znajdują. Zazwyczaj przywożą je do hotelu w środku nocy. Zadzwoń na recepcję, jak tylko się obudzisz. Założę się, że już będzie.

– Kierowca zabrał mnie na zakupy. Przynajmniej mam już szczoteczkę do zębów. Przy okazji: dziękuję.

– Za szczoteczkę?

– Za kierowcę, Milтона. – Zasłoniła słuchawkę dłonią i ziewnęła.

– Cieszę się, że jest pomocny. Wybacz, że sam nie mogę ci bardziej pomóc.

Pokiwała głową, co jednak niczego nie wniosło do ich rozmowy. Może powinna była poczekać z tym telefonem do następnego dnia. Zasłony były rozsunięte i spojrzała na miasto, na to bezkresne morze maleńkich światełek. W ciemności, w oddali mogłaby być gdziekolwiek. Zamknęła oczy.

- Marina? – zagadnął.
  - Przepraszam – ocknęła się. – Chyba zasnęłam.
  - Idź do łóżka. Porozmawiamy jutro.
  - Chyba że nie przywiozą telefonu – powiedziała, a potem coś sobie przypomniała. – Albo możesz zadzwonić do hotelu.
  - Tak zrobię – zapewnił. – Wyśpij się.
  - Napiszę do ciebie list.
- Nie pamiętała, jak odkładała słuchawkę.

Nietrudno było rozgryźć Manaus. Miasto zajmowało się obsługą turystów, podróżników i eksporterów, którzy w tym przychylnym zakątku byli zwolnieni z wszelkich ceł przywozowych. Wszyscy albo wysiadali z łodzi, albo na nie wchodzili, więc ulice były rozmieszczone w taki sposób, że zawsze miało się wrażenie oddalania się od wody albo zbliżania do niej. Trzeciego dnia Marina już z łatwością poruszała się po mieście. Gdy tylko ustaliła położenie rzeki, wszystko inne znalazło się na swoim miejscu. Poszła na rynek o szóstej rano, kiedy świat wyległ na ulice, by zdobyć wszystko, co w ludzkiej mocy, przed nastaniem prawdziwie niszczycielskiego upału. Woń tak wielu martwych ryb, kurczaków i kawałków wołowiny niebezpiecznie chylących się ku zgniliznie w nieruchomym powietrzu była tak intensywna, że zmusiła Marinę do zasłonięcia dolnej połowy twarzy pogniecioną koszulką, lecz nie zniechęciła jej do tego, by się zatrzymać i obejrzeć zioła oraz różne rodzaje kory na stole z lekarstwami. Łby węży unosiły się w czymś, co ze szczerą nadzieją uznała za alkohol. Czarny sęp wielkości indyka spacerował alejkami jak wszyscy pozostali klienci, rozglądając się w poszukiwaniu rybich łbów i wnętrzości, które można było znaleźć pod stołami. Trudno było dostrzec zakrwawione skrawki. Marina kupiła dwa banany o smaku jabłka i ciastko od kobiety, która trzymała towar pod pogniecionym arkuszem woskowanego papieru. Potem poszła nad rzekę, żeby popatrzeć na łódki. Spędzała sporo czasu, obserwując wodę, która miała kolor herbaty z mlekiem i była zupełnie nieprzezroczysta nawet w porcie, gdzie Marina przykucnęła na piętach i utkwiała w niej wzrok. Często tak robiła. Już pół centymetra pod powierzchnią nie było niczego widać. Marina czekała na doktor Swenson.

Czekanie na doktor Swenson byłoby zwykłą stratą czasu, gdyby można go było spożytkować w lepszy sposób. Czekanie na walizkę najzwyczajniej nie wymagało zatrudnienia na pełny etat, mimo że Tomo, młody mężczyzna z recepcji hotelu, okazał

się na tyle miły, by dzwonić na lotnisko dwa razy dziennie i wypytywać o losy zguby. Poza tym musiała czekać na Bovenderów. Miała adres apartamentu doktor Swenson, więc pisała do nich codziennie, umieszczając na kopertach obydwu nazwiska: Bovender i Swenson, i starannie kreśląc prośbę o nawiązanie kontaktu opatrzoną namiarami na swój hotel. Na podstawie architektury budynku i jego otoczenia oraz ładnie urządzonego holu, w którym co rano zostawiała list na kontuarze, doszła do wniosku, że to jedna z lepszych rezydencji w mieście. Zastanawiała się, ile płaci Vogel za utrzymanie *pied-à-terre* w Brazylii, w którym mieszkają głównie przedstawiciele bohemy i najwidoczniej nawet ich zazwyczaj nie ma w domu. Oczywiście możliwe, że wyjechali. W końcu zostali opisani jako podróżnicy, a wszystko wskazywało na to, że ludzie, którzy mają gdzie pojechać, raczej nie są skłonni pozostawać w takim mieście jak Manaus. Jeszcze raz skinęła do dozorca, który zawsze odbierał od niej kopertę z szerokim uśmiechem na twarzy i długo, energicznie kiwał głową.

– Bovenderowie – powiedziała z naciskiem.

– Bovenderowie! – odpowiedział.

Postanowiła, że jej zadaniem na popołudnie będzie sklecenie liściku po portugalsku, który da mu jutro. Byłoby lepiej, gdyby potrafiła wyjaśnić dozorca, podobnie jak tajemniczym Bovenderom, o co jej chodzi.

Wszystkie zajęcia Mariny – czekanie nad rzeką, czekanie przed apartamentowcem, snucie się po mieście z nadzieją, że być może spłynie na nią odrobina olśnienia, która sprowadzi ją na trop doktor Swenson – przerywał deszcz, oślepiające ulewy, które zdawały się spadać z bezchmurnego nieba i przemieniały ulice w rwące rzeki sięgające kostek. Ludzie spokojnie schodzili na bok i przywierali plecami do budynków, dzieląc się miejscem pod okapami i czekając, aż burza minie. Kilka razy dziennie miała okazję być wdzięczna Rodrigowi za to, że wcisnął jej gumowane poncho.

Oczywiście bywały chwile, w których nie wystarczało ani poncho, ani markizy i deszcz zmuszał Marinę do ucieczki w japonkach z powrotem do hotelu, a każda kropla kasała ją w skórę jak szerszeń. Substancje chemiczne w kremie z filtrem mieszały się z DEET w środku odstraszaającym owady i kiedy próbowała otrzeć wodę z twarzy, czuła pieczenie oczu, które niemal całkiem ją oślepiało. Po powrocie do hotelu brała prysznic, drzemała i starała się czytać powieść Jamesa, a kiedy już miała dość, czytała o endokrynologii rozrodu przedstawicieli ludu Lakaszi.

Jak próbował jej wytłumaczyć Anders, kiedy tak niechętnie go słuchała, Lakaszi

tworzyli odizolowane amazońskie plemię, w którym kobiety rodziły zdrowe niemowlęta jeszcze grubo po siedemdziesiątce. Przypisywanie tym kobietom określonego wieku nie spełniało oczywiście wymogów naukowej precyzji. Nie zmieniało to jednak ogólnej prawidłowości: staruszki rodziły dzieci. Kobiety z plemienia Lakaszi zachowywały zdolność do reprodukcji aż trzydzieści lat dłużej niż kobiety z sąsiednich plemion. Pięciopokoleniowe rodziny były tam czymś powszechnym i nie licząc czegoś, co chyba można by nazwać wzmożonym wyczerpaniem, wszyscy zdawali się cieszyć stanem zdrowia współmiernym do stanu zdrowia tubylców z sąsiednich plemion. Wady okołoporodowe, opóźnienie umysłowe, problemy z kośćmi, zębami, wzrokiem, wzrostem, wagą – w porównaniu z członkami sąsiednich plemion na przestrzeni trzydziestu pięciu lat badań częstość występowania tych wszystkich zjawisk oscylowała wokół średniej, zarówno w wypadku matek, jak i dzieci.

Marina przewróciła się na plecy i uniosła czasopismo nad głowę. „Na przestrzeni trzydziestu pięciu lat badań”? Czy to oznaczało, że podczas gdy doktor Swenson – o ile Marinie było wiadomo – ciągnęła etat w Hopkinsie, prowadziła jednocześnie badania nad Lakaszi w Brazylii? Oczywiście, kto mógł wiedzieć, co robiła w weekendy, podczas ferii zimowych i Święta Dziękczynienia. Niewykluczone, że przez te wszystkie lata latała do Manaus i wynajmowała łódź, która niosła ją w dół rozwidlających się dopływów Rio Negro. Gdyby chodziło o kogoś innego, Marina byłaby pewna, że cały ten raport to ambitne oszustwo, ale doktor Swenson zawsze przejawiała niesłabnącą energię, która opierała się wszelkiemu ludzkiemu pojmowaniu. Gdyby ktoś powiedział Marinie, że gdy ona zaspana wlokła się na obchód w Baltimore, doktor Swenson odbywała nocny lot do Brazylii, by gromadzić dane, byłaby pod wrażeniem, ale nie czułaby zaskoczenia. Właśnie czytała artykuł obejmujący badania opisane w rozprawie, za którą Harvard przyznał doktor Swenson doktorat z etnobotaniki. Wyglądało na to, że jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wie o doktor Swenson.

Gdy ulewny deszcz zaskoczył ją zbyt daleko od hotelu, Marina poszła do kawiarenki internetowej i zapłaciła pięć dolarów, by wyszukać informacje na temat doktor Swenson albo jej plemienia, ale gdy tam siedziała, próbując nie dopuścić do tego, by woda z jej włosów kapiała na klawiaturę, odkryła, że jest wyjątkowo niewiele informacji do zdobycia. Po wrzuceniu do Google'a „Annick Swenson” pojawiały się opisy kursów, wystąpienia na konferencjach medycznych, artykuły – związane przede

wszystkim z chirurgią ginekologiczną – nużące wpisy studentów medycyny, którzy narzekali, że zajęcia u doktor Swenson (i pewnie wszystkie pozostałe też) są niesprawiedliwie trudne. Większość wzmianek o plemieniu Lakaszi prowadziła do artykułu w „New England Journal of Medicine”, choć nazwisko doktor Swenson pojawiało się także w towarzystwie nazwiska słynnego etnobotanika z Harvardu Martina Rappa, który po raz pierwszy wszedł w interakcję z członkami plemienia, gdy zbierał próbki roślin w 1960 roku. Jego zainteresowanie tymi ludźmi sprawiało wrażenie powierzchownego, gdyż to, co napisał o ich zwyczajach, ograniczało się do gatunków grzybów, które jadali i których nie jadali. Znalazła jego jedno zdjęcie: przedstawiało niezwykle chudego i spalonego słońcem mężczyznę o jasnych włosach i prostym angielskim nosie, przewyższającego o głowę otaczających go tubylców. Wszyscy trzymali grzyby. Marina przeczytała to, co udało jej się znaleźć na temat doktora Rappa i Lakaszich. Miała nadzieję, że znajdzie jakąś informację o położeniu wioski, ale najbardziej konkretna wskazówka, na jaką trafiła, mówiła o „środku dorzecza Amazonki”. Tylko doktor Swenson była w stanie utrzymać internet z dala od swoich spraw.

– Powiedz mi, że znaleźli walizkę – odezwał się pan Fox, gdy tylko odebrała telefon.

O dziwo, bardziej interesowało go to, czy zdołała nawiązać kontakt ze swoim bagażem, niż doktor Swenson albo tajemniczy Bovenderowie.

– Okazuje się, że kod lotniska w Manaus to MAO. Madryt to MAD. Teoria głosi, że po pewnej liczbie walizek O zaczyna wyglądać jak D, więc część bagażu trafia do Hiszpanii.

– Wyślę ci drugi telefon – powiedział. – Zaprogramuję go i nadam jutro. Zresztą niedługo i tak będziesz potrzebowała więcej lariumu. Zrób listę potrzebnych rzeczy.

– Niczego nie potrzebuję – oznajmiła, patrząc na kręgi po ukąszeniach owadów otaczające jej nadgarstki i kostki jak bransoletki, na twarde czerwone wypukłości, które pragnęła zorać paznokciami. – Naprawdę. Gdy tylko wyślesz drugi telefon, na pewno zjawi się moja walizka i wtedy będę miała dwa.

– Nic nie szkodzi. Jeden dasz doktor Swenson. Może zechce do kogoś zadzwonić.

Tak naprawdę Marina cieszyła się z braku telefonu. Zaczynała jako stażystka z pagerem, a potem dodała do niego komórkę, która następnie zmieniła się w

blackberry. W Manaus doznała wręcz niemożliwego do opisania poczucia wolności płynącego ze spacerowania po obcym mieście ze świadomością bycia nieosiągalną.

– A skoro mowa o doktor Swenson, czytałam o Lakaszich.

– Zawsze dobrze poczytać o ludziach, zanim się ich spotka – odpowiedział pan Fox.

– To ciekawy artykuł, ale w zasadzie niczego nie zdradza.

– Doktor Swenson nigdy niczego nie zdradza.

– Więc co jest tym tajemniczym składnikiem? Czy ona w ogóle wie? Bo Lakaszi na pewno nie. Nieważne, jak prymitywne są te kobiety. Gdyby wiedziały, co sprawia, że zachowują płodność do śmierci, na pewno by się tego pozbyły.

Pan Fox zamilkł, a Marina czekała.

– Wiesz i nie chcesz mi powiedzieć? – zapytała ze śmiechem. Na pewno sekretarka pana Foxa, bardzo poważna pani Dunaway, weszła do gabinetu akurat w tej chwili, zmuszając go do zwlekania z odpowiedzią.

– To nie jest kwestia chęci – oznajmił w końcu pan Fox.

Wcześniej Marina odprężyła się i prowadziła rozmowę rozłożona na łóżku, ale ukłucie niedowierzania zmusiło ją do powrotu do pozycji siedzącej.

– Co?

– Zawarliśmy umowę o poufności...

– Jestem w Brazylii – przerwała mu. – Dziś rano znalazłam w wannie jaszczurkę wielkości małego kota. Nie wiem, gdzie jest doktor Swenson ani jak ją znaleźć. A ty nie chcesz mi powiedzieć, w jaki sposób kobiety Lakaszi zachowują płodność? Co jeszcze miałabym zrobić, by zasłużyć na twoje zaufanie?

– Marina. Marina, to nie ma z tobą nic wspólnego. Chodzi o umowę. Nie wolno mi o tym rozmawiać.

– To nie ma ze mną nic wspólnego? Więc dlaczego tu jestem? Jeśli to nie ma ze mną nic wspólnego, bardzo chciałabym już wrócić do domu.

Prawdę mówiąc, ta sprawa wcale jej nie obchodziła. Nie obchodziło jej, że Lakaszi mają w ciągu życia 3,7 razy więcej dzieci niż inni autochtoniczni mieszkańcy Brazylii. Nie obchodziło jej, gdzie mieszkają, czy są szczęśliwi i czy chcą dzieci, które im się rodzą. Ale obchodził ją – i to bardzo mocno – fakt, że jej pracodawca, który praktycznie zaproponował jej małżeństwo, a potem wysłał ją na równik, gdzie niedawno zmarł jeden z pracowników Vogla, odmawia podzielenia się z nią podstawową informacją dotyczącą prowadzonych tam badań.

– Czy gdy już znajdę doktor Swenson i te wszystkie ciężarne kobiety z plemienia Lakaszi, powinnam odwrócić wzrok, żeby nie móc się domyślić, jak im się to udaje? A może mają w zwyczaju zabijać każdego, kto pozna ich sekret? – Wtedy ujrzała Andersa stojącego po kostki w błotnistej rzece i trzymającego w dłoni pojedynczą błękitną kopertę. – Mój Boże – zreflektowała się. – Mój Boże, nie chciałam.

– Żują jakąś korę, gdy jeszcze jest na pniu – powiedział pan Fox.

Marinę wcale nie obchodziły żadne kory ani drzewa.

– Nie chciałam.

– Wiem – odrzekł, ale cała energia uszła z jego głosu.

Po paru zdaniach zakończyli rozmowę i rozłączyli się. Marina włożyła buty i znowu wyszła na ulicę. Deszcz ustał, słońce zbijało chodnik, budynki, ludzi i psy w płaską jednakowość. Nie chciała iść nad rzekę ani na targowisko, więc przez chwilę krążyła po placu w dławiącej wilgoci, myśląc o tym, że Anders też musiał tędy chodzić. Może kiedy tu przyjechał, wcale nie czuł się beznadziejnie. Może cieszył się z całodniowych wycieczek połączonych z obserwowaniem ptaków w dżungli, a wieczorami samotnie popijał w barze pisco sour. Marina pochyliła się, żeby spojrzeć na rzeźbione świecidełka na kocu sprzedawane przez grupkę tubylców. Wybrała bransoletkę, która mogła być z pomalowanych paciorków albo z czerwonych nasion z przewierconymi w środku otworami. Pozwoliła kobiecie na kocu zawiązać ją sobie na nadgarstku kilkoma skomplikowanymi i nierozwiązywalnymi supełkami, a potem odgryźć końcówki i, o dziwo, ani razu nie dotknąć przy tym skóry ustami. Jedno z dzieci, dziewięcio- lub dziesięcioletni chłopiec z wąską klatką piersiową, spojrzało na menażerię maleńkich rzeźbionych zwierzątek, które leżały rozłożone naprzeciw niego, wybrało białą czaplę wysoką na pięć centymetrów i trzymającą w igle dziobu malutką rybkę, po czym podało ją Marinie. Zamierzała odmówić, ale gdy ją uniosła, pomyślała, że w zasadzie czapla jest bardzo ładna, lepsza niż wszystko, co widziała wcześniej, więc zgodziła się kupić czaplę i bransoletkę za garść banknotów, które stanowiły równowartość jakichś trzech dolarów. Włożyła ptaszka do kieszeni i ruszyła ulicami, starając się zapamiętać wszystkie zakręty. Nie była w nastroju, żeby się zgubić. Im dalej szła, tym częściej zauważała, że nikt na nią nie patrzy. Mali chłopcy ze stertami koszulek i olśniewającymi motylami przypiętymi do tablic w tanich drewnianych ramkach nie szli za nią. Lodziarze nie wołali jej, podobnie jak mężczyzna z wąsem i małpkami na obu ramionach, który trajkotał do turystów po portugalsku. Z czarnymi

włosami spiętymi z tyłu pod kapeluszem, w tanim ubraniu i w japonkach mogła chodzić po Manaus tak, jak nigdy nie mogła chodzić po Minnesocie. Ludzie spoglądali na nią i widząc kogoś podobnego do nich samych, odwracali wzrok. Kierowano do niej najwyżej proste pozdrowienia, tyle rozumiała. Kiwała głową i szła dalej. Andersa napastowano tu pewnie bezustannie. Miał błękitne oczy i był zbyt wysoki, jego skóra wydawała się wręcz fosforyzująca, równie nieznana tym ludziom jak sam śnieg. Każdy przechodzień mógł zajrzeć w Andersa głębiej niż w Rio Negro. Marina przypominała sobie te wszystkie letnie poniedziałki, kiedy przychodził do pracy po weekendzie spędzonym na wiosłowaniu z chłopcami po jakimś jeziorze, jego spaloną słońcem skórę, która zaczynała już schodzić z ust i nosa.

– Nie słyszałeś o kremach z filtrem? – pytała. – O kapeluszach?

– Przed mężczyznami zataja się takie rzeczy.

W te dni nie wkładał do pracy krawata i miał rozpięty kołnierzyk. Marina starała się nie patrzeć w stronę jego podrażnionej, czerwonej szyi. Komu przyszło do głowy wysłać Andersa na równik? Jej skóra też pociemniała. Słońce przenikało przez kapelusze i kremy. Było nieuniknione.

Gdy Marina znowu skręciła, pokonując zakręt równie bezcelowy jak wszystkie poprzednie, znalazła się przed sklepem Rodriga. Tym razem przed drzwiami nie ujrzała tłumu, nikt nie zaglądał przez okno. W świetle dnia sklep nie wyglądał na tak fascynującą atrakcję. Na ulicy nie było ludzi, nie było samochodów. Kiedy weszła do środka z zamiarem przywitania się i kupienia butelki wody, w sklepie zastała tylko jakąś młodą parę – mężczyznę i kobietę w wieku dwudziestu paru lat, którzy wskazywali coś, co znajdowało się nad ich głowami. Kobieta miała długie ręce i nogi, była opalona i ubrana w czerwoną letnią sukienkę. Wspięła się na palce, próbując dosięgnąć tego, czego chciała. Jej długie jasne włosy, trzymane z dala od twarzy dzięki ogromnym okularom przeciwsłonecznym odsuniętym nad czoło, były najjaśniejszym elementem pomieszczenia, gdyż wyglądało na to, że w ciągu dnia Rodrigo korzysta z elektryczności równie niechętnie jak w nocy. Młody mężczyzna, który mógł być trochę wyższy niż kobieta, stał z tyłu w koszulce i workowatych szortach, patrząc, jak jego towarzyszka wspina się na palce. Miał jasnobrązowe, potargane włosy, a jego twarz, niemal zbyt ładna, została do połowy zasłonięta czymś, co było albo brodą, albo efektem kilkudniowej przerwy w goleniu. Nie zauważyli nadejścia Mariny, więc przyglądała im się bez słowa: po części dlatego, że tworzyli widok niezwykle dla Manaus, a po części dlatego, że była pewna, iż to Bovenderowie.



Wyobrażała ich sobie jako mniej więcej swoich rówieśników, bez egzaltacji nieodłącznie towarzyszącej tak ogromnej atrakcyjności szczupłych sylwetek, ale w chwili, gdy weszła do sklepu, skorygowała wyobrażenia swojego rozleniwionego umysłu. Kostkę młodego mężczyzny oplatał tatuaż, ozdobne pnącze, a kobieta miała w tym miejscu mały złoty łańcuszek. Marina dysponowała dokładnie jednym słowem charakterystyki, na którym mogła się oprzeć – bohema – a tych dwoje było jedynymi przedstawicielami bohemy, jakich widziała od trzech dni.

Rodrigo wszedł do sklepu z zaplecza. Powiedział do pary coś po portugalsku. Młoda kobieta zaprzeczyła i jeszcze raz bezradnie sięgnęła nad głowę, a młody mężczyzna splótł ręce na piersi. Może chciała mydło w płatkach? Kiedy Rodrigo odwrócił się w stronę drabiny, zauważył Marinę stojącą tuż za otwartymi drzwiami i skojarzył ją w ciągu sekundy, przypominając sobie, kim jest i kogo szukała, po czym ucieszył się, że to właśnie jemu dopisało szczęście i będzie mógł ich sobie przedstawić.

– *Ola! Doutor Singh!* – powiedział, a kiedy młoda para odwróciła się, by zobaczyć znajomą Rodriga, ten wskazał ich otwartymi dłońmi. – Bovenderowie.

Młodzi Bovenderowie, posiadacze doskonale wykształconego instynktu towarzyskiego, rozpromienieni ruszyli w jej stronę. Jeśli dotąd starali się jej unikać, okazali się mistrzami w ukrywaniu tego. Wyglądało to tak, jakby spotkanie jej w tym sklepie tego popołudnia było czymś, czego pragnęli najbardziej na świecie i nie mieli jej za złe małego spóźnienia.

– Barbara Bovender – przedstawiła się młoda kobieta, wyciągając rękę. Uśmiechnęła się, pokazując lekki bałagan wśród dużych białych zębów.

– Jackie – powiedział młody mężczyzna i Marina uściśniła dłoń także jemu.

Podejrzewała, że to australijski akcent, ale nie była pewna. Wydawali się zbyt opaleni jak na Anglików.

Rodrigo zaczął coś wyjaśniać Barbarze, a kiedy mówił, ona lekko zmrużyła oczy, jakby tłumaczyła każde słowo z osobna, a potem z powrotem składała je sobie w zdanie.

– *Nos?*

– *Doutor Swenson* – uściślił.

– Tak, oczywiście – powiedziała Barbara, prawie jakby odczuła ulgę. – Szuka pani doktor Swenson.

– Nas nikt nie szuka – zauważył Jackie.

– To dlatego, że nikt nie wie, gdzie jesteśmy – skwitowała Barbara, a potem się

roześmiała. – Brzmi to tak, jakbyśmy się ukrywali.

Marina próbowała powiązać tę parę z doktor Swenson. Próbowała sobie wyobrazić ich troje stojących w jednym pomieszczeniu. Nie potrafiła.

– Zostawiałam państwu listy.

– Nam? – zdziwił się Jackie. – W apartamencie?

– W budynku, w którym mieszka doktor Swenson. Zostawiałam je na kontuarze.

W tym momencie Rodrigo przyniósł drabinę i wspiał się pod sufit po opakowanie chusteczek do suszarki. Hierarchię, zgodnie z którą różne artykuły były pożądane, poszukiwane i sprzedawane, można było dokładnie zobrazować na podstawie tego, które produkty znajdowały się najbliżej sufitu, a które najbliżej podłogi. Wyglądało na to, że chusteczki do suszarki mającą na granicy zapomnienia u wszystkich mieszkańców Manaus oprócz Barbary Bovender.

– Cała korespondencja trafia prosto do skrzynki – wyjaśnił Jackie. – Annick wyjmuje ją stamtąd po przyjeździe do miasta.

– Albo i nie – dodała Barbara. – Niezbyt dobrze radzi sobie z korespondencją. Mówiłam jej, że mogę otwierać przesyłki i je dla niej sortować, ale ona powtarza, żebym nie zawracała sobie głowy. Chyba tak naprawdę po prostu jej nie obchodzi.

Jackie odwrócił się w stronę żony. Bo chyba była jego żoną? Równie dobrze mogli być rodzeństwem albo kuzynostwem. Wyglądali uderzająco podobnie.

– Ma mnóstwo spraw na głowie.

Barbara przytaknęła, mrużąc oczy, jakby rozważała wszystkie rozliczne ciężary, które musi dźwigać doktor Swenson.

– To prawda.

– My mamy skrytkę pocztową – wyjaśnił Jackie. – Będą mogli nam przesłać korespondencję, kiedy wyjedziemy do następnego miasta.

– Wyjeżdżają państwo? – zapytała Marina.

– Och, prędzej czy później wyjedziemy – odpowiedziała Barbara. Spojrzała na Rodriga, który trzymał już w dłoni opakowanie chusteczek do suszarki. – Zawsze wyjeżdżamy. Tutaj zostaliśmy dłużej niż gdziekolwiek indziej.

Nie wiedzieć czemu Marina miała nadzieję, że Barbara nie mówi o Manaus. Nie wyobrażała sobie, jak sama zdoła tu wytrzymać choćby tydzień.

– W Brazylii?

– Nie, tutaj – uściślił Jackie i uniósł otwartą dłoń, jakby chciał powiedzieć, że

bez końca siedzieli w sklepie Rodriga.

Wtedy Barbara spoważniała i pochyliła szczupłe ramiona w stronę Mariny.

– Zna pani Annick?

Marina wahała się tak krótko, że żadne z młodych ludzi tego nie zauważyło.

– Znam – powiedziała.

– Cóż, w takim razie pani wie. Jej praca jest taka ważna... Jackie przerwał jej w pół słowa:

– A ona sama jest dla nas naprawdę dobra.

– Wcale nie uważamy się za jej pomocników – ciągnęła Barbara. – Nie jesteśmy naukowcami. Ale jeśli ona myśli, że jesteśmy pomocni, jeśli istnieje jakiś sposób, byśmy i my mogli wnieść swój wkład, pozostanie tutaj trochę dłużej nie stanowi dla nas żadnego problemu. W każdym razie nie dla mnie. Mogę pracować wszędzie. W zasadzie Jackie ma trudniej.

– Czym się państwo zajmują? – zapytała Marina.

– Ja jestem pisarką – powiedziała Barbara.

Jackie podniósł dłoń i przecesał włosy rozcapierzonymi palcami.

– Ja surfuję – oświadczył.

Rzeczywiście, ma trudniej. Marina pomyślała o cieplej jak w wannie wodzie Rio Negro zmierzającej powoli ku Rio Solimões, by razem wpłynąć do Amazonki. Zamierzała go o coś w związku z tym zapytać – czy surfowanie naprawdę może być pracą albo w jaki sposób planuje rozwiązać aktualne problemy z zatrudnieniem – lecz przez otwarte drzwi weszła jedyna osoba, którą Marina знаła w Manaus. Gdy Milton zobaczył ich troje razem, niezmiernie się ucieszył. Zostawił garnitur w szafie i ubrał się odpowiednio do pogody. Wszystkie jego lekkie bawełniane ubrania były starannie uprasowane.

– Doskonale! – powiedział. – Znaleźli się państwo bez mojej pomocy.

Marina podała kierowcy dłoń. Wiedziała, że jest specjalistą od rozwiązywania problemów, więc to spotkanie sprawiło jej wyjątkową przyjemność.

– Właśnie byłam na spacerze.

– To zła pora na spacerowanie, ale bardzo dobrze się składa – powiedział Milton. – Ulżyło mi. Mówiłem im, żeby poszli do pani do hotelu.

Jackie oddalił się, by wziąć jedyne dostępne w sklepie opakowanie piłek do tenisa. Wyglądało na to, że Rodrigo pomyślał o wszystkim. Natomiast Barbara spiorunowała wzrokiem Milтона, który wydawał się zaskoczony surowością jej

spojrzenia.

– Przepraszam – powiedział, zanim odgadł, czym zawinił.

Barbara westchnęła i próbowała strzepnąć z sukienki średniej wielkości owada. Miał panczyk, był czarny, a maleńkie kolce na jego odnóżach uparcie trzymały się tkaniny, ale Barbara najwidoczniej tego nie zauważyła. Oparła kciuk o palec wskazujący i pozbyła się robaka jednym prztyczkiem.

– Wybacz mi pani – zwróciła się do Mariny, która uznała, że pewnie wybacz.

– Staramy się między innymi trzymać Annick w ukryciu: przed zjeżdżającymi tu dziennikarzami, innymi lekarzami i koncernami farmaceutycznymi, które próbują ukraść jej pracę. Nigdy nie wiadomo, kim ktoś naprawdę jest, bez względu na to, co mówi.

– Okropnie mi przykro – powiedział Milton.

– Przyjeżdżają tu dziennikarze? – zapytała Marina.

Barbara spojrzała na nią.

– No cóż, zaczną przyjeżdżać, kiedy się dowiedzą o jej badaniach. Przyjeżdżali, zanim się tu zjawiliśmy. Tak naprawdę najważniejsze jest to, by nikt jej nie rozpraszał. Nawet ci z dobrymi intencjami. – Próbowała być stanowcza, ale brakowało jej doświadczenia.

– Doktor Singh pracuje dla Vogla – wyjaśnił Milton, próbując się zrehabilitować za niedawną niedyskrecję. – Zatrudnia ją ten sam koncern co doktor Swenson. Przysłali ją tutaj po to, żeby... – Spojrzał na Marinę, ale w tym momencie musiał zamilknąć. Nie powiedziała mu, po co ją przysłali.

– Vogel. – Barbara spojrzała na Marinę. – Przepraszam, ale właśnie o tym mówię. Ci z Vogla są najgorsi. Interesują ich tylko jej postępy. Jak można oczekiwać, że będzie pracowała, skoro bezustannie ją kontrolują? To jest nauka. Te badania mają szansę zmienić porządek świata. Annick nie może tak po prostu ich przerwać i zacząć się spotykać z ludźmi. Wie pani, że jest pani drugą osobą, którą przysłał tu Vogel od świąt Bożego Narodzenia?

– Wiem – odpowiedziała Marina.

Gdyby z jakiegoś powodu była skłonna współczuć tej dziewczynie, powstrzymałaby się w tym miejscu, ale tego nie zrobiła. Jackie już wrócił i trzymał opakowanie piłek do tenisa. Może chciał je kupić. Może wiedział o jakimś pobliskim korcie, na którym mogliby pograć.

– Zna pani doktora Eckmana?

– Pracowaliśmy razem.

Barbara wzruszyła ładnymi ramionami, które były złociste na górze i wzdłuż.

– No cóż, jeśli się państwo przyjaźnią, przepraszam. To całkiem miły facet, ale strasznie ją rozpraszał. Wiecznie za nią chodził, ciągle zadawał pytania, ciągle chciał jej towarzyszyć. Rozpraszał nawet mnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak uciążliwy musiał być dla Annick.

– Zabierał mnie na oglądanie ptaków – wtrącił Jackie.

– Próbowałam mu wyjaśnić, że Annick nie ma czasu, ale on nie zamierzał wyjechać, dopóki się z nią nie zobaczy. W końcu przyjechała i zabrała go ze sobą. Z tego, co wiem, nadal tam jest.

– Nie – powiedziała Marina. – Albo i tak. Nie żyje.

Oczywiście nie była to wina tej dziewczyny, w żadnym razie, ale smutek Mariny z łatwością przemienił się w gniew.

Wtedy Jackie odłożył piłki do tenisa i wziął Barbarę za rękę w geście współczucia albo solidarności. Marina patrzyła, jak z dziewczyny uchodzi kolor: z twarzy, z szyi, cała krew pędziła do jej serca. Nawet złocistość odpłynęła z jej ramion.

– Doktor Swenson pochowała go na terenie stacji badawczej, w której pracuje. Powiadomiła nas o tym listownie. Przysłała nam bardzo mało informacji o jego śmierci, ale, jak pani wspomniała, jest zajęta. Żona doktora Eckmana chciała, żebym tu przyjechała i spróbowała się dowiedzieć, co się stało. Nie jest pewna, jak to wyjaśnić dzieciom.

Wtedy do sklepu weszły trzy kobiety, jedna z dzieckiem na ręku, a po chwili zjawiała się jakaś para. Sądząc po sposobie, w jaki ze sobą rozmawiali, wyglądało na to, że wszyscy się znają. Kobieta z dzieckiem podała je drugiej kobiecie, żeby móc obejrzeć olej do smażenia.

– Muszę usiąść – odezwała się Barbara.

Nie powiedziała tego dramatycznym tonem. Bovenderowie wyszli razem ze sklepu, by usiąść na cementowych schodkach na zewnątrz. Jackie prawie natychmiast wrócił, żeby zanieść Barbarze butelkę wody.

– Ach, pani biedny przyjaciel – powiedział Milton do Mariny. – Bardzo mi przykro.

Marina pokiwała głową, nie będąc w stanie skupić wzroku na Miltonie, na Bovenderach ani na niczym w sklepie.

Kiedy Barbara wypila wodę i Bovenderowie wstali ze schodów, nie wrócili już

do środka. Rodrigo starannie wypisał kolejny rachunek obciążający konto Vogla, a następnie zebrał rzeczy, które chcieli kupić, i powkładał je do toreb: chusteczki do suszarki, piłki do tenisa, nowy kapelusz chroniący przed słońcem, mango i banany. Spiesząc się z opryskliwością, Marina prawdopodobnie zerwała jedyną nić, która mogła ją zaprowadzić do dżungli. Być może Anders działał im na nerwy, ale na swój życzliwy sposób zdołał złamać ich opór. Mimo wszystko wolała myśleć, że gdyby to ona umarła i on przybyłby ją zastąpić, jego cierpliwość też by się wyczerpała.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

W drodze do Ponta Negra Jackie siedział z przodu z Miltonem, a Marina z tyłu z Barbarą. Jechali z opuszczonymi szybami. W tunelu powietrznym, który był na tylnym siedzeniu, kosmyki włosów Barbary nieustannie fruwały i uderzały Marinę w twarz, mimo że Barbara robiła co mogła, by zebrać włosy w dłonie i trzymać je na miejscu. Jackie cierpiał na chorobę lokomocyjną, a droga na plażę nie była ani równa, ani prosta.

– Nie czułbyś się lepiej, gdyby było trochę chłodniej? – zapytał Milton Jackiego.

Jackie nie odpowiedział.

– Potrzebuje świeżego powietrza – krzyknęła Barbara z tyłu.

Marina mogła wtrącić, że akurat to powietrze jest nieszczerólnie świeże, ale się powstrzymała. Bovenderowie zaprosili ją na plażę, więc postanowiła być im wdzięczna za ten wysiłek. Gdy zaproponowali Miltonowi, by przyłączył się do wycieczki i wziął swój samochód, powiedział, że powinni wyruszyć nie później niż o szóstej rano. Plaża, podobnie jak targowisko, była stworzona wyłącznie na poranki. Ale Bovenderowie nie chcieli słyszeć o szóstej. Twierdzili, że co najmniej do dziewiątej do niczego się nie nadają, i choć Milton i Marina czekali na nich przed apartamentem o umówionej godzinie, Bovenderowie zjawili się dopiero przed dziesiątą. Marina uznała to za zły początek.

– Nie będziesz miał choroby lokomocyjnej od surfowania? – zapytała, podnosząc głos, by usłyszał ją mimo hałasu cyrkulującego powietrza.

Jechali szybko. Wcześniej Jackie powiedział, że chce jechać szybko, by jak najprędzej wysiąść z samochodu.

– To żaden problem – powiedział.

– Może surfować po ogromnej fali, ale płynąć łodzią już nie – wyjaśniła Barbara. – Mój Boże, Jackie nie może nawet patrzeć na łodzie. Nie jest w stanie wejść do portu.

– Kochanie, błagam – jęknął Jackie słabym głosem.

– Przepraszam – zreflektowała się Barbara i odwróciła głowę w stronę okna.

– Nie mam problemów, kiedy sam prowadzę – dodał Jackie.

Gdy pokonali kolejny zakręt o sto osiemdziesiąt stopni, na drogę wyskoczyła jedwabista biała koza i Milton gwałtownie wcisnął hamulec. Marina, która nie przejawiała najmniejszej skłonności do choroby lokomocyjnej, poczuła ucisk w żołądku. Ludzie w samochodzie wiedzieli, że kozę uratowało najwyżej dziesięć centymetrów, ale koza tego nie rozumiała. Podniosła łeb, lekko zaskoczona, powąchała asfalt, a potem poszła dalej. Jackie otworzył drzwi i cicho zwymiotował.

– Nie mogę dać ci prowadzić – powiedział Milton.

– Wiem – westchnął Jackie i zakrył oczy dłonią.

Poprzedniego wieczoru podczas kolacji Bovenderowie zrobili listę wszystkich atrakcji, które powinna zobaczyć Marina podczas pobytu w Manaus.

– Nie ma tu zbyt wiele do roboty – powiedział Jackie – więc naprawdę powinna się pani postarać.

Zaproponowali, że zabiorą ją na plażę i do Muzeum Nauk Przyrodniczych, ale jedno i drugie wymagało samochodu. Barbara wyjęła komórkę i zadzwoniła do Milтона. Miała zapisany jego numer.

Bovenderowie sami do niej przyszli. Po tamtym niefortunnym pierwszym spotkaniu odczekali prawie tydzień, ale potem zadzwonili. Pytali o Andersa. Niesłusznie zakładali, że Marina wie o jego śmierci znacznie więcej, niż im powiedziała.

– Ale co napisała Annick? – Barbara przechyliła się tak mocno, że Marina wyczuła zapach jej perfum, mieszanki lawendy i limonki.

– Napisała, że zmarł wskutek gorączki. To wszystko, co wiem. Oprócz tego, że go tam pochowała.

W restauracji było ciemno, podłogę wylano z cementu, a nad barem wisiały wysuszone liście palm. W rogu stały dwa flipery, które świergotały i podzwaniały, nawet gdy w pobliżu nie było nikogo z drobniakami umożliwiającymi grę.

Barbara zataczała kręgi maleńką czerwoną słomką do koktajli, nerwowo mieszając zawartość swojej szklanki.

– Jestem pewna, że przetransportowanie ciała z powrotem graniczyło dla niej z niemożliwością.

– Jednak inni tak robią – powiedziała Marina. – Zdaję sobie sprawę, że doktor Swenson nie jest sentymentalna, ale podejrzewam, że czułaby się inaczej, gdyby



chodziło o jej męża. Żona Andersa chciałaby go pochować u siebie. – Przede wszystkim wolałaby, by nigdy nie wyjeżdżał.

– Annick ma męża? – zdziwiła się Barbara.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Rozmawiała pani z Annick o tym, co należy zrobić z doktorem Eckmanem?

Barbara była bardziej skora do rozmowy. Jackie zajął się mocno solonymi paskami bananów, które podawano zamiast chipsów.

– Z tego, co zrozumiałam, doktor Swenson nie ma telefonu. Napisała list, ale zanim dotarł do Vogla, od śmierci Andersa minęły dwa tygodnie. – Marina pociągnęła łyk jakiegoś owocowego ponczu z rumu, który Jackie zamówił dla nich wszystkich. – Zaadresowała ten list do pana Foxa.

Barbara i Jackie spojrzeli na siebie.

– Do pana Foxa – powtórzyli złowrogo.

Marina odstawiła drinka.

– Zna go pani? – zapytała Barbara.

– To prezes Vogla – powiedziała Marina spokojnym tonem. – Pracuję dla niego.

– Jest okropny?

Marina spojrzała na dziewczynę i uśmiechnęła się. Prawdę mówiąc, pan Fox działał jej ostatnio na nerwy. Rzeczywiście przysłał drugi telefon, kilka różnych antybiotyków i tyle lariumu, że starczyłoby na półroczny pobyt w Ameryce Południowej. Jeśli zamierzał w ten sposób przekazać Marinie jakąś wiadomość, nie było to nic, co sprawiłoby jej przyjemność.

– Nie – powiedziała obojętnym tonem. – Wcale nie jest okropny.

Barbara pomachała ręką.

– Nie powinnam była tego mówić. Ale musi pani zrozumieć...

– Staramy się bardzo chronić Annick – wyjaśnił Jackie, skubiąc pasek banana.

Barbara energicznie pokiwała głową, porządnie rozhuśtując długie kolczyki wysadzone kamieniami. Przesadziła ze strojem na kolację, wkładając jedwabny top bez rękawów w kolorze szmaragdowej zieleni. Była taką ładną dziewczyną. Marina przypuszczała, że musi jej być ciężko, skoro nie ma gdzie się podziać.

– Oczywiście, jest pani smutna z powodu pani przyjaciela. Nas też zasmuciła wiadomość o doktorze Eckmanie, ale cokolwiek się stało, to nie była wina Annick. Ona jest po prostu bardzo skupiona. Musi taka być.

Teraz, w Amazonii, Marinie wydawało się, że prawdopodobnie istnieje nieskończona liczba rzeczy, które mogą zabić człowieka bez czyjejkolwiek winy, chyba że można by ją przypisać panu Foxowi.

– Nigdy nie uważałam, że to jej wina.

Ta wiadomość sprawiła Barbarze ogromną ulgę.

– Tak się cieszę! – powiedziała. – Kiedy już zrozumie pani Annick, przekona się pani, że nikt nie może się z nią równać. Podejrzewam, że nie miała pani z nią ostatnio kontaktu albo pani zapomniała – ciągnęła, jakby wiedziała o czymś, o czym przecież nie mogła wiedzieć. – Annick jest jak żywioł. Jej praca jest porywająca, ale w zasadzie nie chodzi o pracę. To ona sama jest najbardziej zadziwiająca, ona jako człowiek, nie uważa pani? Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było mieć taką matkę, babkę, kobietę pozbawioną wszelkiego strachu, kogoś, kto patrzy na świat bez ograniczeń.

Marina pamiętała dokładnie takie samo uczucie. Była to myśl tak krótko obecna i tak głęboko pogrzebana, że ledwie zdołała ją wydobyć z powrotem: „A gdyby doktor Swenson była moją matką?”. Zanotowała w pamięci, żeby przed pójściem spać zadzwonić do swojej prawdziwej matki, nawet jeśli będzie bardzo późno.

– Ale co to ma wspólnego z panem Foxem?

– On zawraca jej głowę – odezwał się Jackie, jakby nagle się obudził i znalazł w restauracji, w środku rozmowy. Jego niebieskie oczy żywo spoglądały zza przydługiej grzywki. – Píše do niej listy, pytając, co robi. Dawniej do niej wydzwaniał.

– Dlatego pozbyła się telefonu – powiedziała Barbara. – To się stało wiele lat przed naszym przybyciem.

Marina zdjęła plasterek ananasa z krawędzi szklanki, zanurzyła go w drinku i zjadła.

– Czy to naprawdę taka wielka natarczywość z jego strony? Przecież ona dla niego pracuje. To on za wszystko płaci: za jej badania, apartament, za tę kolację. Nie ma prawa wiedzieć, jak się sprawy mają?

– Nie płaci pan Fox – poprawiła ją Barbara. – Płaci koncern.

– Tak, ale koncern to jego praca. On nim kieruje. On ją zatrudnił. On za wszystko odpowiada.

– Czy człowiek, który zatrudnia van Gogha, odpowiada za jego obraz?

Marina zastanawiała się, czy popisałaby się podobną dowcipną logiką, gdy miała dwadzieścia trzy lata albo tyle, ile sobie liczyła pani Bovender. Była całkowicie przekonana, że czułaby się tak samo. Chodziło o dokładnie tę samą werwę doktor

Swenson, która dawniej tak ją przyciągała, o absolutną pewność siebie, z którą ta kobieta poruszała się po świecie, załatwiając różne sprawy i niestrudzenie mając rację. Marina nie spotkała nikogo takiego jak Annick Swenson. Cieszyła się z tego i jednocześnie tego żałowała.

– Podejrzewam, że sukces obrazu na aukcji zależałby od van Gogha i że gdyby malarz nie pojawił się ze swoim dziełem po niezmiernie długim okresie oczekiwania, pracodawca miałby prawo...

Barbara położyła chłodną dłoń na nadgarstku Mariny.

– Przepraszam – powiedziała. – Pan Fox jest pani szefem. Doktor Eckman był pani przyjacielem. Nie powinnam o tym mówić.

– Rozumiem, co miała pani na myśli – skończyła Marina, podejmując świadomy wysiłek, by utrzymać dobre stosunki.

– Spróbujemy znaleźć sposób, by przekazać Annick wiadomość, a jeśli się nie uda, będziemy po prostu zabawiali panią sami, dopóki nie wróci.

Marina pociągnęła długi łyk drinka, mimo że wyraźny głos w jej głowie mówił, by tego nie robiła.

– Nie muszą państwo.

– Oczywiście, że musimy – zapewniła Barbara i spokojnie rozparła się na krześle, jakby wszystko zostało postanowione. – Annick by tego chciała.

O dziesiątej świat był już rozgrzany jak piec otwarty w zamkniętym pomieszczeniu, ale tuż za Manaus ludzie tłoczyli się nad brzegiem rzeki, by spędzić środę na ręcznikach rozłożonych na piasku. Dzieci bawiły się na płyciźnie, a dorośli pływali wokół nich, zataczając szerokie kręgi. Ich głosy, śmiech i krzyki towarzyszące opryskiwaniu się nawzajem wodą mniej przypominały słowa, a bardziej nawoływania ptaków. Milton w swej nieskończonej mądrości przywiózł w bagażniku wielki parasol w paski i miarowo dźgał nim piasek, póki parasol nie stanął prosto, by zapewnić kolisty cień. Na tym niewielkim polu usiadł z Mariną na ręcznikach i obydwójce opletli kolana rękami. Rano Marina poszła do Rodriga kupić kostium kąpielowy. Jedyne możliwe egzemplarze, czyli jedyny dostępny strój jednocześnie, był tani, jasny i zaopatrzony w małą spódniczkę, która upodabniała ją do podstarzałej łyżwiarki figurowej. Miała go teraz pod ubraniem, ale nie mogła pojąć, co w ogóle podsunęło jej myśl o wejściu do wody. Bovenderowie, których nie interesował parasol ani oferowana przez niego ochrona, pozbyli się ubrań i ich widok wytręcał ją z

równowagi. Jackie miał na sobie parę obciętych szortów, które niebezpiecznie zjeżdżały z ostrych wypukłości kości biodrowych, a bikini Barbary było niedbale związane kilkoma luźnymi sznurkami. Odnosiło się wrażenie, że te stroje kąpielowe mają przekonać innych plażowiczów, że silniejszy podmuch wiatru mógłby całkowicie obnażyć tych dwoje. W pewnej chwili Jackie ziewnął, pochylił się nad piaskiem i stanął na rękach. Mięśnie jego ramion i pleców podzieliły się w wyraźne grupy, które z wdzięcznością przestudiowałby każdy student pierwszego roku medycyny: mięsień piersiowy większy, mięsień piersiowy mniejszy, mięsień naramienny, mięsień czworoboczny, mięsień międzyżebrowy. Ludzie z sąsiednich ręczników pokazywali go palcami swoim dzieciom. Gwizdali i klaskali.

– Koniec choroby lokomocyjnej – skwitował Milton.

Jackie opuścił nogi na ziemię i ponownie na nich stanął. Pnącze otaczające jego kostkę było obwieszane maleńkimi kiściami winogron.

– Już mi lepiej.

– Dlatego za niego wyszłam – powiedziała Barbara, ukrywając pół twarzy za ogromnymi czarnymi okularami. – Zobaczyłam, jak to robi na plaży w Sydney. Miał na sobie szorty. Powiedziałam do przyjaciółki: „On jest mój”.

– Niektóre małżeństwa zawiera się z błahszych powodów – zauważyła Marina, choć tak naprawdę wcale nie była o tym przekonana.

– Pływa pani? – zapytał ją Milton.

Miał na sobie spodnie i białą koszulę z krótkim rękawem. Nic nie wskazywało na to, by zamierzał je zdjąć.

– Wiem, jak to się robi – odrzekła – jeśli o to pan pyta.

Barbara wyciągnęła się na ręczniku, jej nasmarowane oliwką ciało odbijało światło każdą powierzchnią z wyjątkiem kilku dyskretnych miejsc zakrytych materiałem. Na złotym łańcuszku wokół kostki wisiał mały okrągły brylant, który połyskiwał razem ze skórą.

– Ale gorąco – zawołała cicho.

– Gorąco to nasza specjalność – powiedział Milton.

Na czubku jego głowy tkwił mały słomkowy kapelusz, który jakimś sposobem sprawiał, że Milton wyglądał, jakby było mu chłodniej niż pozostałym.

– Chodźmy popływać – zaproponował Jackie i pochylił się, żeby lekko pacnąć żonę po brzuchu otwartą dłonią.

Całe jej ciało podskoczyło dwa centymetry nad ręcznikiem.

– Woda będzie jeszcze gorętsza – powiedziała.

– Wstawaj, wstawaj – nalegał, a potem sam wstał, by następnie znowu się pochylić i pociągnąć żonę do pozycji stojącej.

Zatrzymała się na chwilę, by wytrześć piasek z jasnych włosów. Dla pozostałych plażowiczów był to równie wspaniały spektakl jak widok jej męża stojącego na rękach. Gdy Bovenderowie byli już w połowie drogi do wody, obejmując się nawzajem na wysokości nagich talii, odwrócili się do swoich towarzyszy.

– Idą państwo, prawda? – zapytał Jackie.

Marina przecząco pokręciła głową.

– Wykąpcie się państwo sami – powiedział Milton. – Przyjdziemy popatrzeć. – Podniósł się sztywno i pomógł Marinie wstać. – Chcą, żebyśmy zobaczyli, jak ładnie wyglądają w rzece.

– Wyglądali wystarczająco ładnie, kiedy po prostu tutaj leżeli – zauważyła Marina.

– Zostaliśmy ich rodzicami – powiedział Milton. – Musimy popatrzeć.

Marina poszła za nim z ponurym poczuciem obowiązku, ale poza zasięgiem parasola świat okazał się zupełnie innym miejscem. Pod paskami w cukierkowych kolorach też nie był chłodny, natomiast z dala od nich słońce spuszczało zdumiewające cięgi. Przystanęła na chwilę, żeby odszukać wzrokiem Bovenderów, którzy wchodzili do brązowej wody, trzymając się za ręce. Po przyjeździe do Brazylii kilka razy było jej równie gorąco, ale zawsze mogła się ukryć w cieniu, wejść do kawiarni na puszkę oranżady, wrócić do pokoju hotelowego i stanąć pod zimnym prysznicem. Nauczyła się wyczuwać z wyprzedzeniem, kiedy upał ją przytłoczy, i przewidywała to z taką dokładnością, jakby miała termometr wbudowany w nadgarstek, więc mogła ratować się w porę, ale teraz, patrząc na wodę i na piasek, nie była pewna, dokąd miałyby pójść. Stapiała się z otaczającymi ją ludźmi, z Miltonem. Pod parasolem stała mała lodówka turystyczna, którą przyniósł kierowca – były w niej chłodne butelki z wodą i piwem dla Jackiego. Mogła potrzebować sztycę kostką lodu. Daleko przed nimi Bovenderowie zanurzyli się w wodzie i popłynąwszy kawałek dalej, zmieszali się z dziećmi wokół. Całym sercem przeklinała ich za to, że nie chcieli, nie byli w stanie obudzić się przed dziewiątą. Była zmęczona. Poprzedniego wieczoru zażyła lariam ze świeżo otwartej fiołki przysłanej przez pana Foxa i obudziła się o trzeciej w nocy, bez wątplenia budząc też wszystkich pozostałych gości hotelu Indira swoim nieprzerwanym krzykiem. „Ktoś próbuje zakłuć kobietę nożem” – pomyślała

przez sen, zanim zdała sobie sprawę, skąd dobiega ten dźwięk. Resztę nocy miała z głowy, koniec snu, tylko czekanie.

– Dobrze sobie pani z tym radzi – powiedział Milton ze wzrokiem utkwionym w rzece. – Podziwiam pani cierpliwość.

– Proszę mi wierzyć, nie jestem cierpliwa.

– W takim razie stwarza pani złudzenie cierpliwości. Efekt końcowy jest taki sam.

– Chcę tylko znaleźć doktor Swenson i wrócić do domu – powiedziała powoli. Słowa wychodzące z jej ust były rozgrzane.

– A żeby dostać się do doktor Swenson i wrócić do domu, musi pani najpierw minąć Bovenderów. Bovenderowie to strażnicy bramy. Ich zadanie polega na trzymaniu pani z dala od niej, za to im płaci. Nie mam pojęcia, czy w ogóle wiedzą, gdzie ona przebywa, ale jestem pewien, że nikt inny tego nie wie. Lubią panią. Być może coś wykombinują.

– Czyjaś ręka wystrzeliła z wody i pomachała, a Milton podniósł dłoń i odmachał jej.

Gdzie się podział deszcz, na litość boską? Jego oślepiające katarakty, które znosiła dzień po dniu. Potrzebowała go teraz. Niekoniecznie cokolwiek schładzał, ale przynajmniej na chwilę zasłaniał słońce.

– Niemożliwe, żeby mnie polubili.

– Uważają, że jest pani bardzo naturalna. Usłyszałem to od Barbary Bovender. Widzą w pani osobę, która szczerze opłakuje przyjaciela i próbuje zdobyć jakieś informacje o jego śmierci.

– Cóż, taka jest prawda – powiedziała, choć ten opis był jedynie przykrywką dla jej zobowiązań wobec Karen.

– Zaczynają dochodzić do wniosku, że doktor Swenson też by panią polubiła – dokończył Milton.

Marina czuła, że czubek jej głowy mięknie, w miarę jak słońce przedziera się przez jej mózg, rozluźniając jego zwoje.

– Doktor Swenson już mnie kiedyś znała. Jestem całkowicie pewna, że tak czy siak nie żywiła do mnie żadnych uczuć.

Otarła twarz ogromną czerwoną chustką, którą rano wcisnął jej Rodrigo. Z początku odmówiła, ale podarował jej ją w prezencie, choć prawdopodobnie i tak została wpisana na rachunek Vogla. Przy każdym wdechu Marina czuła kostium

kąpielowy pod ubraniem. Owijał jej ciało jak niekończący się bandaż, rozciągając się i poluzowując od wilgoci. Ciągłe przecierała twarz chustką. Wzrok miała zamglony od potu. Była w stanie rozróżnić jedynie podstawowe elementy krajobrazu: piasek, wodę, niebo.

– Bovenderowie wymagają dyplomacji – powiedział Milton. – Po prostu potrzebują trochę więcej pani czasu. Chcą panią poobserwować i upewnić się, że jest pani taka, jaka się wydaje.

Marina zmrużyła oczy i spojrzała w stronę falującej linii horyzontu.

– Nie widzę ich.

Chciała dodać, że chyba za chwilę zemdleje. Możliwe, że nawet wypowiedziała imię Milтона. Nie upadła, ale myślała o upadku, a wtedy on wziął ją pod rękę i poprowadził po ostatnim odcinku piaszczystej plaży w stronę rzeki. Weszli do wody po kolana, a potem po pas. To przypominało kąpiel, jedwabistą i ciepłą. Prąd był tak słaby, że ledwie poruszał jej ubraniem. Miała ochotę położyć się na wodzie. Milton zanurzył w rzece chusteczkę i rozłożył ją mokrą na jej głowie.

– Lepiej, prawda – powiedział.

Choć nie było to pytanie, przytaknęła. Jackie miał rację, nakłaniając Barbarę do wejścia do wody. To ratowało życie. Gdy Marina spojrzała w dół, niczego nie zobaczyła – jedynie linię, za którą jej tułów znikał w wodzie. Wszędzie wokół dzieci uganiały się za tratwami albo zeskakiwały sobie nawzajem z ramion.

– Skąd wiadomo, co jest pod powierzchnią? – zapytała Milтона.

– Nie wiadomo – odpowiedział. – Lepiej nie wiedzieć.

Kiedy Marina wróciła do pokoju hotelowego i sprawdziła komórkę, znalazła dwie wiadomości od pana Foxa, jedną od matki i jedną od Karen Eckman, której numer pokazał się pod imieniem Andersa. Zupełnie jakby była w domu. W pewnym stopniu rozumiała, dlaczego doktor Swenson odmówiła posiadania telefonu. Wzięła zimny prysznic, wypila butelkę wody i poszła do łóżka, gdzie przyśnił jej się sen o zgubieniu ojca na dworcu kolejowym. Obudziła się o dziewiątej wieczorem, kiedy Barbara Bovender zadzwoniła do hotelu.

– Chcieliśmy sprawdzić, czy wszystko u pani w porządku – powiedziała Barbara. – Obawiam się, że dziś po południu nasze wyobrażenie o zabawie omal pani nie zabiło.

– Nie, nie – zaprzeczyła Marina, zdezorientowana snem, gorącem i snami. –

Czuję się dobrze. Po prostu jeszcze do tego wszystkiego nie przywykłam. To chyba wymaga czasu.

– Zgadza się! – zawołała Barbara, z jakiegoś powodu uradowana tymi słowami.  
– Teraz radzę tu sobie znacznie lepiej niż kiedyś. Cały sekret to nie pozwolić upałowi uwieźć się w domu. Jackie przysięga, że po jakimś czasie klimatyzacja osłabia układ odpornościowy. Im częściej człowiek wychodzi, tym szybciej się przyzwyczajają. Powinna pani wpaść do nas na drinka.

– Teraz? – zapytała Marina, jakby mogła mieć coś innego do roboty.  
– Wieczorny spacerek dobrze pani robi.

Może i Bovenderowie strzegli bramy, ale poza tym byli samotni. Nic nie trzymało Mariny w hotelu Indira. Dwa dni wcześniej Tomo przeniósł ją do większego pokoju w uznaniu długości jej pobytu, ale nowy pokój był równie zatęchły i ponury jak poprzedni. Widok okazał się lepszy, lecz do ściany przymocowano taki sam metalowy drążek na ubrania. Marina spojrzała na swój wełniany płaszcz, nawet z daleka widziała koronkę dziurek wyżartych przez mole obok kołnierza. Powiedziała, że wpadnie.

Idąc ulicami obok pozamykanych sklepów, Marina zrozumiała, jak wspaniale byłoby teraz zobaczyć któryś z nich otwarty. Gdyby dziś wieczorem zauważyła światło w sklepie Rodriga, niewątpliwie podeszłaby i przyłączyła się do tłumu na ulicy, wyciągając szyję, by zobaczyć, co się dzieje w środku. Nie postanowiła jeszcze, jak długo będzie czekała w Manaus, jeśli oczekiwanie nadal będzie jedynie ćwiczeniem się we frustracji, ale czuła, że zbliża się do kresu wytrzymałości. Przywykła do dobrego wykonywania pracy, ale ta nie szła jej dobrze. O dziewiątej trzydzieści wieczorem przy kontuarze w holu apartamentowca doktor Swenson nadal siedział ten sam dozorca, którego widziała tam o ósmej rano. Wyglądało na to, że jej widok bardzo go ucieszył. Nie było jej tam przecież kilka dni.

– Bovenderowie – powiedziała do niego, a potem dotknęła piersi palcem wskazującym. – Marina Singh.

Kiedy Barbara Bovender otworzyła drzwi i zaprosiła ją do środka, Marina odniosła wrażenie, że z pustkowiec Manaus wkracza do zupełnie innego świata. Jasne, spędziła ponad tydzień w kiepsko umeblowanym pokoju, nosząc na zmianę trzy zestawy ubrań, które wieczorem prała w wannie. Była bardzo daleka od piękna, a jednak musiała pomyśleć, że to miejsce uderzyłoby ją swoim pięknem, gdziekolwiek by się znajdowało. Nie szczędziła mu komplementów i mówiła szczerze.



– Jest pani taka urocza – powiedziała Barbara, prowadząc ją korytarzem obok małych oprawionych w ramki prac na papierze, które nie mogły być dziełami Klee, a jednak wyglądały jak jego dzieła.

Korytarz zaprowadził je do ogromnego otwartego salonu z wysokim sufitem. Dwoje wysokich drzwi balkonowych stało otworem i bryza, której Marina nie czuła w żadnym innym zakątku miasta, delikatnie poruszała krawędziami zaciągniętych zasłon z czystego jedwabiu. Pachniała jaśminem i marihuaną. Z wysokości szóstego piętra rzeka wydawała się obramowana mrugającymi światełkami. Jeśli Marina nie skupiała wzroku, mogła się poczuć jak w dowolnym wspaniałym mieście.

– Cudowne miejsce – powiedziała Barbara, spoglądając na swój dom z obiektywizmem. – Szkielet z pewnością zawsze był dobry, ale kiedy przyjechaliśmy, wewnątrz wyglądało jak prawdziwy wrak.

– Barbara wspaniale się spisała – powiedział Jackie, lekko zaciągając się skrętem, który następnie wyciągnął w stronę Mariny.

Ta przecząco pokręciła głową, więc zamiast skręta przyniósł jej kieliszek białego wina, i podając go, pocałował ją w policzek, jakby byli starymi przyjaciółmi. Zdziwiła się, jak bardzo zaskoczył ją ten pocałunek, nawet bardziej niż skręt. Jackie podniósł rękę, wskazując otaczające ich ściany:

– Kobieta, która mieszkała tu przed nami, poprzednia asystentka Annick, sprowadziła tu swoje siostry, które wylegiwały się w hamakach rozwieszonych w całym mieszkaniu.

Barbara wzięła od męża skręta, pozwalając sobie na odrobinę dymu, a następnie zgasła niedopałek w małej srebrnej popielniczce. Odczekała chwilę i wypuściła powietrze.

– Annick chciała po prostu, żeby było miło. To jedyne wymaganie, jakie mi przekazała. Trudno się dziwić, prawda? Po tak długim czasie w dżungli to chyba niezbyt wygórowane oczekiwanie. Dobra pościel, dobre ręczniki...

– Kieliszek przyzwoitego wina – powiedział Jackie i uniósł swój kieliszek, sugerując, że powinni się napić.

Była w tym wszystkim jakaś doskonała prostota: na stole w jadalni bukiet białych kwiatów, których Marina nigdy wcześniej nie widziała, długa, niska skórzana ława przed równie długą białą kanapą, ściany pomalowane na tak jasny odcień błękitu, że może wcale nie były błękitne, może była to zasługa wieczornego światła. A do tego sami Bovenderowie o rozlicznych cielesnych atrybutach podkreślonych

elegancją otoczenia. Spiętrzone bransoletki Barbary zdawały się wyrzeźbione z tego samego drewna co deski w podłodze, których barwa w wyraźny sposób podkreślała ciepły odcień jej skóry. Mimo to trudno było sobie wyobrazić doktor Swenson siedzącą na tej kanapie. Marina wątpiła, czy doktor Swenson dosięgłaby nogami podłogi.

– Dokąd się państwo przenosicie, kiedy wraca?

Barbara wzruszyła ramionami.

– Czasami po prostu do pokoju gościnnego. Wszystko zależy od tego, czy jesteście jej do czegoś potrzebni. Jeśli mamy trochę czasu, jedziemy do Surinamu albo Gujany Francuskiej, żeby Jackie mógł posurfować.

– Muszę się wybrać do Limy – powiedział, zadowolony, że rozmowa zwróciła się w jego stronę, nawet jeśli tylko na jedno zdanie. – Fale dosłownie tam eksplodują, ale zdobycie biletu na lot z Manaus do Limy jest cholernie trudne. Tyle samo czasu zajęłoby mi dojście tam na piechotę.

Marina podeszła do balkonu. Nie mogła oderwać wzroku od rzeki. W ciemności ta gęsta brązowa zupa zmieniła się w lustro.

– Nie przypuszczałabym, że w Manaus można zobaczyć coś takiego – powiedziała.

Nie spodziewała się także meursaulta, więc upiła następny łyk. Chcąc nie chcąc, zastanawiała się, ile to wszystko kosztuje. Dla Vogla nie miało to pewnie znaczenia. Koszty ponoszone na apartament w puszczy amazońskiej dla badaczki, która z niego nie korzystała, były niczym w porównaniu z potencjalnymi zyskami z płodności.

– Musi pani wiedzieć, że kiedyś krążyło tu mnóstwo pieniędzy – zaznaczyła Barbara. – Życie w Manaus było droższe niż życie w Paryżu.

– Przybyli, zbudowali, wyjechali – podsumował Jackie, opadając na kanapę i wyciągając bosc stopy na stojącą naprzeciw ławkę. – A gdy nie można już było zarobić, gotując kauczuk z dżungli, wszystko się skończyło, krótka historia. Tutejsi mieszkańcy bardzo się ucieszyli, kiedy tamci wyjechali.

– Moim zdaniem to miasto nadal ma w sobie dużo elegancji. Ten budynek dorównuje budynkom w miastach z prawdziwego zdarzenia – stwierdziła Barbara. – A Nixon w recepcji profesjonalnie o wszystko dba. Ciągłe mu powtarzam, że mógłby zdobyć pracę w Sydney.

– Nixon? – zdziwiła się Marina.

– Serio, tak ma na imię – potwierdził Jackie z lekko zaczerwienionymi oczami.

– No cóż, z dostarczaniem korespondencji raczej sobie nie radzi – powiedziała Marina, a po zastanowieniu dodała: – Chyba że dostali państwo listy, które mu zostawiałam.

Barbara trochę bardziej się wyprostowała. Na obcasach była wyższa od Mariny.

– Nie dostaliśmy. Przecież pani mówiłam.

Marina wzruszyła ramionami.

– I to by było tyle, jeśli chodzi o profesjonalizm Nixona.

– Cała korespondencja trafia do skrzynki Annick. – Barbara wyszła do drugiego pokoju i wróciła z elegancką stalową skrzynką z uchwytyami po obu stronach, która wyglądała na coś, co leniwa dziewczyna zamówiłaby w Brazylii z katalogu, gdy wkładanie przesyłek do kartonu wydałoby jej się zbyt niechlujne. – Niech pani spojrzy – powiedziała. – Nawet tu nie zaglądam. Annick mówi, żeby wszystko wkładać prosto do skrzynki, więc wkładam. Trzymam ją w jej gabinecie. – Odstawiła skrzynkę na ławkę obok męża. Na podbiciu jego brązowych stóp odznaczały się blade litery V w miejscu, gdzie japonki weszły w kolizję z opalenizną. – Dawniej odpowiadałam na listy, informowałam ludzi, że nie mogą jej odwiedzić, ale w końcu Annick doszła do wniosku, że każda interakcja jest formą zachęty i kazała mi przestać.

– Dla tych ludzi „nie” znaczy „tak” – dodał Jackie.

Marina podeszła do skrzynki i usiadła, odstawiając kieliszek wina na podłogę. Nie zapytała o pozwolenie. Sięgnęła palcami do samego dna i wyjęła listy. Nie musiała długo szukać, by znaleźć własne pismo na białych hotelowych kopertach.

– Bovenderowie – powiedziała, rzucając pierwszą z nich na ławę, a potem wróciła do sterty listów i znalazła dwie pozostałe. – Bovenderowie, Bovenderowie.

Jackie pochylił się i wyłuskał kartkę z koperty.

– „Drodzy Państwo Bovender” – zaczął.

– Proszę, nie! – zawołała Barbara i zakryła uszy rękami, by podkreślić swój sprzeciw. – Czuję się jak skończona idiotka. Od tej pory będę przeglądała pocztę, obiecuję.

Marina spojrzała na nią.

– Nie płacą państwo rachunków?

Jackie zaprzeczył ruchem głowy.

– Wszystkie trafiają bezpośrednio do Minnesoty. Założę się, że ktoś o to zadbał.

Oczywiście, żeby nikomu nie zawracać głowy. Marina wróciła do skrzynki. Z boku stały starannie ułożone magazyny: „Harpers”, „New Yorker”, „Scientific

American” i „New England Journal of Medicine”. Wyglądało na to, że czeka tam mnóstwo listów z Vogla, przesyłek z innych krajów, ze szpitali, uniwersytetów i konkurencyjnych koncernów farmaceutycznych. Palce Mariny przerzucały, przerzucały.

Barbara spojrzała nad krawędzią i patrzyła, jak korespondencja jej pracodawcy przechodzi przez ręce kogoś, kogo w zasadzie wcale nie znała.

– Nie jestem pewna, czy powinniśmy to robić – powiedziała niepewnym głosem. Najwyraźniej dopiero teraz dotarło do niej, że przyniesienie całej skrzynki korespondencji mogło nie być najlepszym pomysłem. – Chyba że napisała pani do nas więcej listów. Annick nie lubi, kiedy...

Ale Marina już to znalazła. Nie musiała głęboko szukać. Od jego pobytu nie minęło przecież aż tyle czasu.

– Anders Eckman. – Rzuciła niebieską kopertę poczty lotniczej na korespondencję w hotelowej papeterii.

Jackie szybko cofnął nogi, jakby go czymś oparzyła.

Barbara pochyliła się i spojrzała na kopertę, nie dotykając jej.

– Mój Boże. Jak pani myśli, od kogo to?

„Anders Eckman przebywający pod opieką doktor Annick Swenson” – wyjątkowo nietrafne sformułowanie.

– Od jego żony – wyjaśniła Marina.

Gdy już zidentyfikowała charakter pisma Karen, szybko znalazła pozostałe listy. Wszystko, co wyciągnęła teraz ze skrzynki, zostało napisane po jego wyjeździe do dżungli. Napisanie: „pod opieką doktor Swenson w Manaus”, było jedyną szansą Karen na dotarcie do męża, który opuścił miasto – nie istniały inne adresy. Zanim wyruszył do dżungli, mogła do niego dzwonić albo pisać maile, a jeśli wpadła w sentymentalny nastrój – posłać list do hotelu. Karen opowiadała mu pewnie o chłopcach i o śniegu, kazała natychmiast wracać do domu, bo brzmiał coraz gorzej, a tak w ogóle niezbyt dobrze to wszystko przemyśleli. Marina знаła treść każdego listu, który przechodził przez jej ręce, i rzucała je po kolei na ławkę, gdzie wcześniej spoczywały nogi Jackiego. Widziała Karen siedzącą przy kuchennej wyspie, na wysokim taborecie, z pochyloną głową i jasnymi włosami odgarniętymi za uszy, piszącą stroną za stroną rankami po zawiezieniu chłopców do szkoły, a potem znowu, wieczorem, kiedy już położyła ich spać. Marina mogła je czytać, jakby stała za jej ramieniem. „Wróć do domu”. Listy leżały pojedynczo albo parami. Czasami trójkami.

Karen musiała pisać codziennie, może dwa razy dziennie, bo nie mogła zrobić nic innego, żeby mu pomóc. Tylko że wcale mu nie pomogła. Marina nie wątpiła, że Anders wiedział, że Karen do niego pisze i że jej listy trafiają na mur w Manaus. Zapewne znał lojalność swojej żony jako korespondentki. Nie otrzymując jej listów, nie wiedział jednak, że jego listy do niej docierają. Umarł, zastanawiając się, czy którykolwiek z jego listów zdołał opuścić dżunglę. Kto by nie podejrzewał, że chłopiec w czólnie zwyczajnie zabiera monety i już za zakolem rzeki wyrzuca koperty do wody, a potem dzielą się nimi ryby i słodkowodne delfiny? Tymczasem Karen Eckman przekuła swoją miłość w produkcję przemysłową i pisała do męża z gorliwością, która teraz leżała rozłożona na niskiej skórzanej ławie w apartamencie doktor Swenson.

W pewnym momencie Barbara podeszła do męża i usiadła obok niego. Trzymali kieliszki z winem i patrzyli na rosnącą stertę korespondencji z rumieńcem zawstydzenia na twarzy.

– Co pani z nimi wszystkimi zrobi? – zapytała Barbara, kiedy Marina po raz ostatni przeczesła skrzynkę.

Marina pochyliła się, by podnieść kilka zbłąkanych kopert, które spadły na podłogę.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Wezmę je. Nie wiem, co z nimi zrobię.

– Ten wygląda inaczej – zauważył Jackie i podniósł ze sterty mniejszą kopertę.

Marina wzięła ją i szybko rzuciła okiem.

– To ode mnie.

– Pani też do niego pisała? – zapytała Barbara.

Marina potaknęła. Pewnie były tam także liściki od chłopców. Karen adresowała za nich koperty.

– Kochała go pani?

Marina podniosła głowę, trzymając w dłoniach mnóstwo cienkich niebieskich kopert. Barbara Bovender wykazywała teraz większe zainteresowanie. Pochyliła się bardziej w jej stronę, lśniące pasmo włosów opadło jej na twarz.

– Nie – powiedziała Marina.

Miała zamiar dodać kilka ostrych słów, lecz równie szybko przysła jej do głowy całkiem inna myśl: tak. Już sam ten pomysł przyciągnął krew do jej policzków. Tak. Nie kochała go, kiedy żył ani kiedy pisała ten list, ale teraz? Myślała o Andersie, kładąc się wieczorem spać i budząc się rano. Wyobrażała go sobie stojącego na każdej ulicy, którą przechodziła. Wyobrażała sobie, że towarzyszyła mu w chwili śmierci, że

trzymał głowę na jej kolanach. Byleby tylko nie musieć myśleć, że był wtedy sam. I przynajmniej na minutę zakochiwała się w zmarłym przyjacielu.

– Pracowaliśmy razem – podjęła. – Prowadziliśmy te same badania. Jedliśmy razem lunch. – Podniosła list, który napisała. Bez wątpienia zawierał mnóstwo danych statystycznych dotyczących redukcji cholesterolu, które jej zdaniem mogły mu się spodobać. Cieszyła się, że go nie dostał. – Człowiek przyzwyczaja się do innych. Przywiązuje się do nich. Pracowaliśmy razem siedem lat. Ale nie, nie kochałam go.

Jeśli chodziło o Marinę, wieczór dobiegł końca. Położyła stertę listów na kolanach. Była zmęczona i smutna i nie wydawało jej się, by ona i jej gospodarze mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia.

Ale Bovenderowie chcieli, żeby została. Barbara powiedziała, że przygotuje lekką kolację, a Jackie zaproponował, by obejrzeli film.

– Mamy płytę z *Fitzcarraldo* – pochwalił się. – Niesamowite, prawda?

– Jeśli pani chce, może pani nawet przenocować – podsunęła Barbara, a jej blade oczy rozbłyły na tę myśl. – Byłoby tak fajnie. Tymczasem możemy się umówić, że posiedzimy do późna i za dużo wypijemy.

Dwudziestoletnia różnica wieku między Mariną i Bovenderami tworzyła przepaść nie do pokonania. Bez względu na to, co myślała o swoim pokoju hotelowym, wiedziała, że pizamowe przyjęcie mogłoby ją zabić.

– Doceniam to, naprawdę, ale całe to słońce po południu mnie wykończyło.

– No cóż, niech pani przynajmniej pozwoli Jackiemu odprowadzić się do hotelu – powiedziała Barbara, a Jackie w nieoczekiwanym przypływie rycerskości natychmiast zerwał się na nogi i rozejrzał w poszukiwaniu sandałów.

– Nie trzeba – powiedziała Marina.

Włożyła plik listów do torebki. Chciała wyjść szybko, zanim padnie następna propozycja, którą trzeba będzie odrzucić.

Barbara zaczęła markotnieć, gdy tylko stało się jasne, że towarzystwo wychodzi. Poniosła klęskę, bo nie umiała wysunąć bardziej kuszącej propozycji.

– Za każdym razem, kiedy panią widzimy, udaje nam się zrobić gorsze wrażenie – podsumowała.

Marina zapewniła ją, że to nieprawda. Barbara oparła się ramieniem o ścianę. Trudno byłoby to uznać za zagrozenie wyjścia, brakowało jej do tego obwodu w pasie, ale najwidoczniej zwlekała z pożegnaniem.

– Wolalabym, żeby nie wspominała pani Annick o tych listach – powiedziała w

końcu, obracając bransoletki. – Chyba nie byłaby zachwycona tym, że pozwalałam ludziom przeglądać jej korespondencję. Choć postąpiła pani całkowicie słusznie, zabierając listy od żony doktora Eckmana.

Marina pomyślała o tych wszystkich chwilach, kiedy inny stażysta prosił, by nie mówiła o czymś doktor Swenson, o wynikach laboratoryjnych niepotwierdzających diagnozy, o szczegółach kiepsko zdanego egzaminu. Przypomniała sobie niezwykle talent doktor Swenson do odkrywania prawdy mimo tych wszystkich zabiegów.

– Raczej nie jestem w stanie o czymkolwiek jej powiedzieć.

Barbara ujęła rękę Mariny w dwie chłodne dłonie.

– Ale będzie pani, kiedy znowu ją pani zobaczy.

– Te listy należą do Andersa i Karen. To wyłącznie ich sprawa.

Barbara posłała jej leciutki uśmiech szczerzej wdzięczności.

– Dziękuję – powiedziała. Ścisnęła dłoń Mariny.

Gdy tylko Marina wróciła do hotelu, położyła listy na stoliku nocnym i spojrzała na zgrabny stosik, który utworzyły. Nie podobało jej się, że są tak blisko. Były zbyt osobiste, by pozostawić je w skrzynce doktor Swenson, ale i zbyt osobiste, by mogły trafić do Mariny. Przełożyła je do płytkiej szuflady stolika nocnego, gdzie spoczęły obok portugalskiej Biblii, a potem zadzwoniła do Karen. Czuła potrzebę usłyszenia jej głosu, myśląc, że zagłuszy poczucie winy związane z tamtym nagłym przyływem miłości, który poczuła do jej męża.

– Jest bardzo późno – powiedziała Marina. Nie zastanawiała się nad porą, dopóki nie wybrała numeru.

– W ogóle nie śpię – odparła Karen. – A najgorsze jest to, że po ósmej nikt nie dzwoni. Boją się, że obudzą chłopców.

– Nie pomyślałam o tym.

– Cieszę się. Zresztą ich i tak nic nie budzi. Dzwoniłam do ciebie dziś rano. Pan Fox dał mi numer twojej komórki.

– Kontaktowałeś się z nim?

– Sprawdza, co u nas słychać. – Karen ziewnęła. – Jest lepszym człowiekiem, niż myślałam. Albo czuje się samotny. Trudno powiedzieć. Mówi, że jeszcze jej nie znalazłaś.

– Znalazłam Bovenderów.

– Bovenderów! – zawołała Karen. – Mój Boże, jak oni się miewają?

– Anders o nich opowiadał?

– Przez jakiś czas nie mówił prawie o nikim innym. Doprowadzali go do szału. Nie przepadał za nimi.

– Zauważyłam.

– Czuł, że go zwodzą, jakby za chwilę mieli mu pokazać doktor Swenson, ale zawsze coś im w tym przeszkadzało. Nigdy nie był do końca pewien, czy rzeczywiście wiedzą, gdzie ona jest, ale poświęcił dużo czasu na bycie miłym dla tych ludzi.

– No cóż, chyba powtarzam ten scenariusz. Ile czasu spędził w Manaus, zanim znalazł doktor Swenson?

Karen się zastanowiła.

– Miesiąc? Nie jestem pewna. Wiem, że co najmniej miesiąc.

Marina zamknęła oczy.

– Chyba nie zdołam wytrzymać miesiąca z Bovenderami.

– Co mówili o Andersie?

– Nie wiedzieli o jego śmierci – powiedziała Marina.

Po tych słowach na linii zapadła długa cisza. Marina usłyszała, jak w Eden Prairie Karen odkłada słuchawkę, a potem pozostało jej tylko czekać. Położyła się na łóżku i wbiła wzrok w bladą wodnistą plamę na suficie, którą kontemlowała co wieczór, odkąd zmieniła pokój. Żałowała, że nie może położyć ręki na głowie Karen i pogłodzić jej włosów. „Taka jest twoja odwaga, takie już mam szczęście”. Gdy Karen znowu się odezwała, oddychała już inaczej.

– Przykro mi – powiedziała Marina.

– To się dzieje tak szybko – wykrztusiła Karen, próbując złapać oddech. – Nie wiedzieli, że Anders nie żyje, bo im nie powiedziała. Dlaczego tego nie zrobiła?

– Dokładnie z tego samego powodu, o którym właśnie wspomniałaś: nie ma żadnego środka łączności. Zjawia się w mieście zaledwie raz na kilka miesięcy. Nawet nie sprawdza poczty. – Marina nie wiedziała, co robi z listami, ale nie zamierzała powiedzieć Karen, że je ma. Przynajmniej tego była pewna. Słyszała jej płacz z odległości tysięcy mil. Chłopcy spali w swoich łóżkach. Pickles spał. – Powinnam zadzwonić do pana Foxa? – zapytała. Pomysł nie wydawał się najlepszy, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

Karen znowu odłożyła słuchawkę i wydmuchała nos. Próbowwała wziąć się w garść, Marina to słyszała. Słyszała odgłosy wydawane przez osobę usiłującą powalić ogromny smutek na ziemię.

– Nie – powiedziała Karen. – Nie dzwoń do niego. Ostatnio już tak mam. To



przez to wszystko.

– Chcę ci powiedzieć coś innego – podjęła Marina.

– Wiem.

– Tu jest okropnie, Karen. Nie znoszę tego miejsca.

– Wiem.

Tamtej nocy, pierwszej nocy gorączki, śniło jej się, że wiosłuje razem z ojcem, płynąc małą łódką po rzece w dżungli, i ta łódka się wywraca. Ojciec utonął, a ona została sama w wodzie. Łódka się oddaliła. Marina zapomniała, że jej ojciec nie umie pływać.

– Mam coś, co się pani spodoba – oświadczyła Barbara przez telefon.

Marina nie utrzymywała kontaktu z Bovenderami od czasu wizyty w ich apartamencie kilka dni wcześniej. Od tamtej pory nie opuszczała hotelu i bardzo rzadko wstawała z łóżka. Nie była do końca pewna, czy lek zapobiegający chorobom przenoszonym przez owady wywołał jakąś chorobę, czy może złapała chorobę przenoszoną przez owady pomimo zażywania tego leku. Poza tym wydawało się całkiem możliwe, że wszystkie objawy, które obejmowały ból ciała i dziwną wysypkę na tułowi, mają charakter psychosomatyczny – że sama pragnie zachorować, aby to się wreszcie skończyło. Potem jednak zaczęła się zastanawiać, czy Anders nie doszedł do tego samego wniosku. „Mam gorączkę, która zaczyna się o siódmej rano i trwa dwie godziny. O czwartej po południu wraca, zmieniając mnie w bredzącą kupkę popiołu. Ostatnio przeważnie boli mnie głowa i martwię się, że jakieś maleńkie amazońskie zwierzątko wyżera dziurę w mojej korze mózgowej”. Marina przeczytała ten list tylko raz, a mimo to znała go na pamięć.

– Co mi się spodoba? – zapytała Barbarę Bovender, bo tak naprawdę nie przychodziła jej do głowy ani jedna rzecz w Manaus, która brzmiałaby interesująco.

– Idziemy do opery! Annick ma stałą rezerwację łoży, a jutro jest otwarcie sezonu. Dostaliśmy jej bilety!

– Ma łożę w operze? – Marinie nie starczyło sił na oburzenie, ale czy to naprawdę nie przesada?

– Podobno kilka lat temu padało tak mocno, że przyjechała do miasta na dłużej. Mówi, że opera ją ocaliła.

– No cóż, mnie raczej nie ocali. Rozchorowałam się. Muszę zostać w hotelu.

– Zjadła pani coś? – zatroskała się Barbara.

Pytanie było logiczne. Stragany na targowisku ugięły się pod artykułami, które mogły zabić każdego, kto nie skrywał w jelitach kilku pokoleń odpowiednich bakterii.

– To tylko gorączka – powiedziała Marina.

– Wysoka czy niska?

– Nie mam termometru. – Była znudzona. Chciała się rozłączyć.

– W porządku – oznajmiła Barbara. – Wpadnę mniej więcej za godzinę. I pokażę pani kilka sukienek.

– Nie chcę towarzystwa i nie chcę sukienek. Doceniam gest, ale proszę mi zaufać, skończyłam studia medyczne. Wiem, co robię.

– Nie ma pani pojęcia – beztrąsko odrzekła Barbara.

Dozorca Tomo w akcie zawziętej wytrwałości i wiary, która znacznie przekraczała wszystko, do czego była zdolna Marina, nadal codziennie dzwonił na lotnisko i pytał o jej bagaż. Chwilowo zlokalizowano go w Hiszpanii, a potem znowu zaginął. Tomo był także tym pracownikiem hotelu, którego przysyłano do jej pokoju, gdy ktoś dzwonił i skarżył się na krzyki. Teraz opiekował się chorą Mariną. Przynosił jej butelki z lepkiem sokiem trzciniowym i gazowane napoje oraz twarde, suche krakersy, które zastąpiły jej posiłki. Prawda wyglądała tak, że Marina, zdana na własne siły i niedomagająca, budziła współczucie całego personelu hotelowego, ale wszyscy uznali, że odpowiada za nią Tomo.

Kiedy zatem rozległo się pukanie do drzwi – nie była w stanie powiedzieć, ile czasu upłynęło (sen był jak narkoza, z której się wybudzała, by ponownie odpłynąć), Marina założyła, że to Tomo. Okryła się dodatkowym prześcieradłem, które pełniło funkcję jej szlafroka, i otworzyła drzwi.

Barbara zmierzyła ją czujnym spojrzeniem i dopiero potem się odezwała.

– Och, kiepsko z panią – powiedziała, jak zwykle używając długich, płaskich samogłosek. – Dlaczego pani do mnie nie zadzwoniła?

Marina, rozczarowana tym, że teraz nie będzie mogła z powrotem pójść spać, wycofała się do pokoju, w którym panował mrok i zaduch. Australijka poszła za nią.

– Przyniosłam pani parę rzeczy.

Barbara uniosła małą, brudną papierową torebkę i większą torbę z ozdobnym nadrukiem, jakby były kuszącą ofertą. Pokojówki nie zaglądały do pokoju od paru dni, bo Marina nie mogła przestać spać. Okruszki krakersów leżały rozrzucone na

podłozie jak piasek. Pani Bovender włączyła światło przy drzwiach, a potem podniosła rolety.

– Nie powinna pani tak mieszkać – powiedziała tylko.

– Zmieniły mi się standardy.

Marina zakopała się w łóżku. Można by pomyśleć, że trudno zasnąć w obecności kogoś, kogo ledwie się zna, ale okazało się to najłatwiejszą rzeczą na świecie.

Barbara wyjęła z torebki papierowy kubek i zdjęła pokrywkę.

– Proszę – powiedziała, podając go Marinie. – Niech pani usiądzie. Trzeba to wypić, póki gorące.

Marina pochyliła się i powąchała zawartość kubka. Była w nim rzeka, odparowana do swojej najobrzydliwszej esencji. Nawet kolor miała taki sam. Para, która przetaczała się po powierzchni, przypominała ciężką poranną mgłę.

– Skąd to pani wzięła?

– Ze straganu szamana na targowisku, ale proszę go nie lekceważyć, dopóki nie da mu pani szansy. Ugryzła mnie połowa owadów w tym kraju. Miewałam paskudne napady gorączki, czułam ból, o którym nie chcę nawet opowiadać. Jackiego dopadło raz zatrucie pokarmowe. Zjadł jakiegoś grillowanego żółwia od ulicznego sprzedawcy, co oczywiście było idiotyczne. Byłam pewna, że umrze. Za każdym razem ratował nas szaman. Praktycznie rzecz biorąc, mogłabym otworzyć u niego rachunek.

Wtedy bez wątpienia rozliczałby się bezpośrednio z Voglem.

– Przecież nie byłam u szamana – powiedziała Marina, stosując logikę tam, gdzie nie można było stosować logiki. – Na czym oparł swoją diagnozę? Pani też mnie nie widziała.

– Wyjaśniłam sytuację. Właściwie wyjaśnił ją Milton na moją prośbę, po tym jak ja wyjaśniłam ją Miltonowi. My z szamanem nie do końca posługujemy się tym samym portugalskim, a uważam, że należy wszystko dokładnie wytłumaczyć. Nawiasem mówiąc, Milton ma nadzieję, że poczuje się pani lepiej. – Przycisnęła kubek do mostka Mariny i trzymała go tam, dopóki Marina go nie wzięła.

– To idiotyczne – powiedziała Marina, spoglądając na mętny płyn. Kubek był ciepły. Zapach docierał do niej warstwami: woda, ryby, błoto, śmierć.

– Niech pani to wypije! – rozkazała Barbara surowym tonem. – Jestem zmęczona próbami pomagania pani. Proszę to wypić do dna, jednym haustem, no, dalej. Tak się robi w tym piekle.

Marina, bardzo zaskoczona siłą rozkazu i wyrazem szalonej frustracji na twarzy Barbary Bovender, zrobiła to, co jej kazano, i wypila cały ohydny płyn jednym długim łykiem. Nie był to wyłącznie płyn, na dole okazał się gęstszy, kleisty, i wyczuła w nim maleńkie kawałeczki czegoś twardego i włóknistego, co nie chciało przejść przez gardło. Czólno, którym płynęli, było zrobione z pnia. Przechyliło się na bok i Marina razem z ojcem wpadli do wody. Woda wypełniła jej oczy, nos i usta. Zakryła ją, zanim Marina miała szansę zacząć płynąć, i jedyne, co czuła, to smak rzeki. Wcześniej nie pamiętała, jak smakuje rzeka.

– Niech pani mocno odchyli głowę do tyłu i głęboko oddycha – poleciła Barbara. – Proszę tego nie zwymiotować. – Uklękła przed Mariną i położyła dłonie na jej kolanach.

Według pana Foxa różnica między Mariną i Andersem polegała na tym, że Anders nie miał na tyle rozumu, by wrócić do domu, gdy tylko zachorował, ale proszę, wcale nie chodziło o chęci. To była kwestia możliwości. Marinę przeszedł dreszcz, ogromna rozdygotana fala, która obmyła jej mokrą skórę i wstrząsnęła kręgosłupem.

– Dobrze – powiedziała cicho Barbara, poklepując ją po kolanie, jakby było łąbkiem maleńkiego pieska. – Ale to nie wszystko. Teraz będzie pani naprawdę chora, tylko przez chwilę, mniej więcej przez godzinę, może dwie. Wszystko zależy od tego, co musi się w pani przełamać. Potem całkowicie pani wyzdrowieje. Więcej, niż wyzdrowieje. Z radością dotrzymam pani towarzystwa. Mam wolne całe popołudnie.

Marina spojrzała na swojego gościa, ale była w stanie zobaczyć jedynie jasność włosów Barbary, która zdawała się nikać w jakimś tunelu. Powiedziała, że nie chce, by Barbara została.

Barbara usiadła na piętach, wyglądała na zawiedzioną. Wzięła zimne palce Mariny i lekko podrzucała je w dłoni.

– Dobrze, w takim razie wrócę o piątej i będziemy mogły porozmawiać o tym, jaką sukienkę włoży pani na jutrzejszy wieczór. Przyniosłam kilka, w których moim zdaniem będzie pani ładnie. Dobrze mieć przyjaciółkę, która jest równie wysoka jak pani. – Zaczekała chwilę. – Chce pani zwymiotować? Niech pani spróbuje to odwlec najbardziej, jak się da. Im dłużej zdoła to pani utrzymać w środku, tym lepiej zadziała. Głębokie oddychanie naprawdę pomaga.

Strużki potu zaczęły spływać z czoła Mariny, z czubka jej głowy, z karku. Przezroczysty, rzadki śluz wyciekał jej z nosa w tempie wygrywającym zarówno z potem, jak i ze łzami, które płynęły z oczu. Nie uniosła dłoni do twarzy. Pozwoliła

gładkiej ścianie płynąc bez ograniczeń. Było jeszcze wcześniej, ale bardzo wyraźnie zdała sobie sprawę, że nie może zrobić nic, by to powstrzymać. Drgawki wstrząsały nią wystarczająco mocno, by powybić jej zęby, więc próbowała trzymać usta otwarte. Nawet jeśli istniało jakieś antidotum, nie miała szans zdobyć go na czas. To był koniec końca. Teraz wiedziała, jakie to uczucie. Gdyby przeżyła i zobaczyła, jak zbliża się ponownie, znalazłaby dla niego odpowiednią nazwę. W jednej z ostatnich trzeźwych myśli Marina zastanawiała się, czy została zamordowana, czy też, wypijając zawartość kubka z własnej woli, popełniła samobójstwo.

Daleko za miastem nawoływały ją żaby, a głębokie, rytmiczne pulsowanie ich głosów popychało krew ku sercu.

Marina ocknęła się na chłodnych kafelkach na podłodze w łazience, z głową opartą na stercie ręczników. Otworzyła oczy i patrzyła, jak jaskrawoczerwony pająk średniej wielkości wślizguje się za szafkę pod umywalką. Szczegóły czasu, który minął – nie wiedziała, ile go upłynęło – nie były jasne, co jednak wzbudziło jej wdzięczność. Wciągnęła powietrze i wypuściła je, poruszała palcami u rąk i nóg, rozciągnęła usta i otworzyła je, a potem znowu zamknęła. Wywołana przez szamana choroba opuściła ją i gwałtownie odchodząc, zabrała ze sobą tę, która nękała Marinę wcześniej. Marina żyła, prawdopodobnie czuła się dobrze. Bolało ją biodro, bo leżała ułożona pod dziwnym kątem, ale miało to niewielkie znaczenie. Ostrożnie, powoli podźwignęła się na nogi, a potem pokonała krótką odległość i przeszła nad krawędzią wanny, w której usiadła, szukając poczucia bezpieczeństwa i pozwalając, by woda z słuchawki prysznicowej uderzała ją po głowie, póki nie stała się letnia. Potem umyła zęby i wypila butelkę wody. Była obolała i wycieńczona, ale doświadczała tej charakterystycznej jasności umysłu, która oznacza koniec gorączki. Obróciła głowę w jedną, a potem w drugą stronę. Weszła do pokoju naga, w turbanie z ręcznika, i zobaczyła, że wewnątrz jest wysprzątane, a Barbara Bovender siedzi na krześle przy oknie i czyta „New England Journal of Medicine”.

– Któż to się obudził! – zawołała Barbara.

– Miała pani wyjść – powiedziała Marina, ale z jej ust wydobył się jedynie bardzo cichy dźwięk. Odkaslnęła, próbując nastroić struny głosowe nadwyrężone wymiotami. – Miała pani wyjść. – W nogach łóżka znalazła złożone prześcieradło służące wcześniej za szlafrok i owinęła się nim.

– Miałam taki zamiar, ale bardzo szybko zaczęła pani wymiotować. Naprawdę

od razu na panią podziałało. Pomyślałam, że powinnam zostać i dopilnować, by pani nie upadła i nie uderzyła głową o sedes ani nic w tym rodzaju. Ale już pani lepiej, prawda? Wystarczy na panią spojrzeć.

– Tak – przyznała Marina.

Nie potrafiła się zmusić do podziękowania osobie, która niedawno ją otruła, ani zaprzeczyć, że trucizna wpłynęła na poprawę jej stanu.

– Nigdy nie czytałam tego artykułu – Barbara uniosła czasopismo. – To fascynujące, nawet fragmenty czysto naukowe, których zupełnie nie rozumiem. Ciągłe myślałam o tym, jak dobrze się złożyło, że mogłam spędzić w pani pokoju tych parę godzin. Muszę pani powiedzieć, że wcześniej w zasadzie nie rozumiałam pracy Annick. Pomyśleć, że można zaczekać i urodzić dzieci, kiedy tylko się zechce, po czterdziestce, po pięćdziesiątce, a nawet po sześćdziesiątce. To zadziwiające. – Barbara zamilkła i spojrzała na swoją gospodynię. – Wie pani, nigdy nie spytałam: ma pani dzieci?

– Nie mam – odpowiedziała Marina. Klimatyzator został nastawiony na wysokie obroty i zaczynała drżeć z zimna. – Chciałabym się teraz ubrać. – Po raz pierwszy od wielu dni poczuła głód.

– Jasne, oczywiście. – Barbara wstała z krzesła. – Mogłabym to pożyczyć? Wiem, że Jackie też chciałby przeczytać.

– W porządku – zgodziła się Marina.

– Niech pani przymierzy sukienki i da mi znać, która się pani podoba. – Barbara zatrzymała się przy drzwiach. – Naprawdę bardzo się cieszę, że wszystko się udało i już pani lepiej. Powiem szamanowi, będzie strasznie zadowolony. Wpadniemy po panią jutro o siódmej, dobrze?

Ale tak naprawdę to wcale nie było pytanie. Zanim Marina zdążyła odpowiedzieć, Barbara Bovender i „New England Journal of Medicine” zniknęli.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Celem wieczoru w Teatro Amazonas było zobaczenie nie tyle opery, ile samego budynku. Mieli bilety na *Orfeusza i Eurydykę* Glucka, ale wyłącznie dlatego, że do opery nie wpuszczano bez biletów. Już sam budynek był przedstawieniem: biegnące z przodu dwa długie i zakręcone rzędy marmurowych schodów, wysokie niebieskie ściany lamowane śnieżnobiałymi ozdobnikami, ogromne wyłożone kafelkami sklepienie, które potężna burza musiała zerwać z jakiegoś rosyjskiego pałacu i przenieść aż do Ameryki Południowej (tak przynajmniej powiedział Marinie pewien turysta, gdy pewnego ranka przystanęła, by sfotografować kopułę telefonem. W rzeczywistości nic nie było w stanie wyjaśnić, w jaki sposób taki budynek znalazł się w takim miejscu. Dla Mariny był on punktem granicznym cywilizacji, który odgradzał ją od dżungli. Bez budynku opery pnącza z pewnością wpęłyby na miasto i połknęły je w całości.

– Tubylcy przysięgają, że nikt go nie budował – powiedziała Barbara, wyjmując bilety z małej torebki z czarnej lakierowanej skóry. – Mówią, że po prostu się tu zjawiał.

Jackie potakująco pokiwał głową. Taka wersja odpowiadała mu najbardziej.

– Twierdzą, że przywieziono go statkiem kosmicznym dla jakiegoś księcia, bo tylko w tym miejscu mógł uprawiać seks.

Barbara Bovender miała na sobie krótką sukienkę koloru kości słoniowej, która odsłaniała całą nogę, bezwstydną powierzchnię opalonej łydki i uda, uwydatnioną wieczorowym sandałem na bardzo wysokim obcasie. Była to sukienka, którą zaproponowała Marinie jako pierwszą, ale Marina odmówiła. Każdej sukience przyniesionej przez Barbarę w gobelinowej torbie brakowało jakiejś ważnej części: przodu, tyłu albo spódnicy, co zmuszało Marinę do decydowania, którą część siebie byłaby w stanie ewentualnie pozostawić niezakrytą. Suknia w kolorze kości słoniowej miała skromny dekolt i długie rękawy, ale była wystarczająco krótka, by zawstydzić trzecioklasistkę. W końcu wybrała długą prostą sukienkę z ciemnoszarego jedwabiu, która odsłaniała ręce i plecy, gdyż Barbara zgodziła się jej pożyczyć szal, choć

twierdziła, że psuje linię. Gdy Marinie przeszła gorączka i ustąpiły torsje, w zasadzie poczuła wdzięczność, nie tylko za lekarstwo od szamana (choć żałowała, że przed wyruszeniem w tę podróż nie poddała się szczepieniu przeciwko zapaleniu wątroby typu A), lecz także za wypożyczenie niestosownej sukienki i szansę pójścia do opery. Doceniała to, że ktoś dał jej powód, by wyszorować paznokcie, wyjść wieczorem z hotelu i posłuchać muzyki. Co więcej, pani Bovender przyszła do niej przed przedstawieniem, by upiąć Marinie włosy i umalować jej oczy eyelinerem jak pannie młodej. Marina miała w życiu wiele przyjaciółek, które umiały wyrecytować z pamięci okresowy układ pierwiastków, ale od czasów liceum nie знаła nikogo, kto przejawiałby szczególny talent fryzjerski. Gdy Barbara ukończyła swoje wymagające dzieło, zaprowadziła Marinę do lustra, by ta mogła zachwycić się efektem, a Marina, która nie wyglądała równie pięknie nawet w dniu własnego ślubu, spełniła jej oczekiwania.

– Musi pani dbać o to, by od czasu do czasu ładnie wyglądać – podsumowała Barbara, zapinając na nadgarstku Mariny dużą złotą bransoletę. – Proszę mi wierzyć, jeśli tutaj pani o tym zapomni, wszystko stracone.

Gdy we trójkę szli korytarzem, bywalcy opery odwracali się, by na nich popatrzeć. Jackie, lekko upalony, w delikatnie przyciemnionych okularach i z lśniącymi włosami, wyglądał jak mężczyzna, który rzeczywiście może przybyć w towarzystwie dwóch kobiet. Miał na sobie białą lnianą koszulę ozdobioną z przodu białym haftem, surfingową wersję stroju wieczorowego. Marinie robiło się jedynie przykro na myśl, że całe to piękno, którego bez wątpienia nie była w stanie odtworzyć, marnowało się na Bovenderów. W końcu pan Fox lubił operę. Pomysł, że mógłby ją tu odwiedzić, nie był aż tak niedorzeczny. Wyobraziła sobie ciężar swojej dłoni spoczywającej pod jego ramieniem.

Bileter otworzył drzwi do ich łoży ciężkim mosiężnym kluczem uniwersalnym, który nosił na szyi na aksamitnym sznureczku. Lekko uklonił się każdemu z nich, wręczając program. Mogli wybierać spośród ośmiu foteli obitych czerwonym aksamitem. Marina przechyliła się przez mosiężną barierkę balkonu, by popatrzeć, jak zamożni obywatele Manaus odnajdują drogę do swoich miejsc. Wnętrze opery miało kształt tortu weselnego, każda misternie zdobiona warstwa balansowała delikatnie na ramionach warstwy poniżej, wznosząc się coraz bardziej ku sufitowi, gdzie aniołowie na fresku rozgarniali rękami błakające się chmurki. Gdy światło zaczęło gasnąć, Jackie położył rękę na udzie żony, a ona założyła na nią drugą nogę,



by ją tam przygwoździć. Marina skupiła się na orkiestrze poniżej. Z miną wyrażającą najczystszy spokój Barbara pochyliła się ku Marinie i szepnęła:

– Uwielbiam tę część.

Marina nie wiedziała, o której części mowa, i nie zapytała o to, ale gdy zapadła ciemność i uwertura wzniosła się ku ich balkonowi na trzecim piętrze, natychmiast zrozumiała. Nagle zapomniała o wszystkich owadach w Manaus. Zapomniała o łbach kurczaków walających się na stołach targowiska i o wygłodniałych psach, które czekają w nadziei, że któryś z nich spadnie na ziemię. Zapomniała o dzieciach z wachlarzami, którymi odganiają muchy od koszów z rybami, choć wiedziała, że nie powinna zapominać o dzieciach. Pragnęła jednak o nich zapomnieć. Udało jej się zapomnieć o zapachach, o ruchu ulicznym, o lepkich kałużach krwi. Muzyka uszczelniła drzwi, odgradzając ich od świata, i nagle stało się jasne, że zbudowanie opery było podstawowym aktem ludzkiego przetrwania. Chroniło ich wszystkich przed zgniciem w nieznośnym upale. Ocalało ich dusze w sposób, którego nie byliby w stanie przewidzieć krwiożerczy chrześcijańscy misjonarze. W ciągu tych kilku dni gorączki Marina zapomniała o sobie. Miasto łamało ją razem z lariamem, poczuciem porażki i wręcz szaleńczym pragnieniem bycia w domu w porze kwitnienia bzu. Lecz wtedy orkiestra uderzyła w dźwięk, który przywrócił jej pamięć. Każde przesunięcie smyczkami wiolonczelistów po strunach wiolonczel zdrapywało z niej odrobinę chaosu, a instrumenty dęte przywracały jej siłę. Siedząc w ciemności, Marina zaczęła myśleć, że ten budynek, a nawet ta opera powstały po to, by ją ocalić. Znała historię o Orfeuszu, ale dopiero gdy zaczął się śpiew, zdała sobie sprawę, że to historia jej życia. Była Orfeuszem, a Anders bez wątpienia był Eurydyką zmarłą od ukąszenia węża. Marina została wysłana do piekła, aby go stamtąd wyprowadzić. Gdyby Karen była w stanie zostawić chłopców, to ona stałaby się Orfeuszem. Urodziła się do tej roli. Karen była jednak w Minnesocie, a umysł Mariny wypełnił się już Andersem, siedmioma latami ich przyjaźni, pięćdziesięcioma godzinami tygodniowo, które spędzali, nanosząc lipidy na wykresy, słuchając wznoszenia się i opadania swoich oddechów.

Barbara otworzyła swoją małą torebkę i podała Marinie chusteczkę.

– Rozmazany tusz dokładnie pod pani oczami – szepnęła.

Kobieta śpiewała rolę Orfeusza, ubrana w obszerną togę. Włosy miała gładko zaczesane do tyłu i schowane pod koronę z połączonych liści. Stała na środku sceny z zasłaniającą piersi lirą i wyśpiewywała chórowi swój smutek. Jackie pochylił się nad kolanami żony.

– Dlaczego śpiewa kobieta? – szepnął do Mariny.

Marina delikatnie wytarła nos i przechyliła się w stronę Jackiego, by powiedzieć, że alternatywnym rozwiązaniem byłoby znalezienie kastrata, dla którego napisano tę partię, ale czyjaś dłoń wślizgnęła się między nich i dwa razy zdecydowanie klepnęła Jackiego w ramię.

– Cicho – powiedział kobiecie głos.

Marina i Bovenderowie wyprostowali się, jakby ten sam prąd o niskim napięciu popłynął w górę rzeźbionych nóg foteli i przedostał się przez aksamitne obicia. Zaczęli się odwracać, wszyscy troje, ale dłoń wróciła między Barbarę i Marinę, wskazując im scenę. Właśnie tak obejrzeni resztę opery: wpatrzeni przed siebie, lecz z całą świadomością zwróconą do tyłu i skupioną na doktor Swenson.

Doktor Swenson! Wróciła z dżungli i przyszała do opery bez żadnego uprzedzenia. Teraz musieli czekać, zamiast wstać z miejsc jak rozsądni ludzie, wyjść na schody albo zejść do foyer, by rozpocząć rozmowę, która powinna była zostać rozpoczęta wiele tygodni temu. Na początku Marina zastanawiała się, jak się poczuje, gdy już ujrzy doktor Swenson, ale im dłużej była w Brazylii, tym bardziej skłaniała się ku wnioskowi, że szanse na jej odnalezienie są bliskie zeru. Scenariusze, które rozpatrywała w myślach, obejmowały powrót do domu i wyznanie Karen i panu Foxowi, że poniosła klęskę. Eurydyka szła za Orfeuszem, z trudem pokonywali drogę z podziemnego świata, a ona nieustannie marudziła, narzekała, jej uroczy sopran przeszedł w warkot piły. „Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć? Dlaczego już mnie nie kochasz?” Mój Boże, nawet mimo swej wspaniałej urody była nieznośna. Marina utkwiała spojrzenie przed sobą i ze wszystkich sił próbowała się powstrzymać od spojrzenia przez ramię. Zauważyła, że dłoń Jackiego nie spoczywa już między udami jego żony i że obydwójce wpatrują się w scenę z ogromnym skupieniem, bez wątplenia zastanawiając się, czy odpowiednio przewietrzyli apartament, zasłali łóżko i odłożyli do szuflad wszystkie koronkowe elementy bielizny. Marina, która po zgaśnięciu światel złożyła szal na kolanach, gdyż w łoży na trzecim piętrze panował niemal idealny chłód, pomyślała o widoku swoich nagich ramion i pleców, które przysłaniały teraz scenę doktor Swenson, o skomplikowanym skręconym koku unieruchomionym dwoma czarnymi patyczkami ozdobionymi złotymi wachlarzykami jak u chińskiej księżniczki. Wyobraziła sobie siebie w szpitalnej sali, siedzącą przy łóżku pacjenta w ciemnoszarym jedwabiu, i nagle do pomieszczenia weszła doktor Swenson. „Wezwali mnie przez pager – powiedziała do niej Marina, próbując wyjaśnić brak części

sukienki. – Byłam w operze”.

Najbardziej zaskoczył ją własny strach, głuchy łoskot głęboko w żołądku, który kojarzyła z poleceniem, że można już otworzyć arkusze testowe i zacząć rozwiązywać zadania. Albo z późniejszym wywołaniem do odpowiedzi podczas obchodu: „Doktor Singh, czy zechciałaby nam pani wyjaśnić, dlaczego zdrętwienie nie ustępuje?”. Marina spodziewała się raczej złości, konfrontacji. Nie miałyby znaczenia, że ktoś śpiewa, że wszyscy wokół by ją usłyszeli. „Chcę wiedzieć, co się stało z Andersem!” Tak zamierzała powiedzieć. Cóż za naiwność. W rzeczywistości nie miała doktor Swenson nic do powiedzenia. Czekala, aż usłyszy, co doktor Swenson ma do powiedzenia jej. „Doktor Singh, oczywiście, pamiętam, to pani oślepiła to dziecko w Baltimore”. Pot z pach spływał jej po żebrach niepowstrzymaną strużką, a krój sukienki, zawiązanej na karku i nisko na plecach, sprawiał, że kałuża powstawała dopiero tuż przy talii. Orfeusz nie był w stanie wytrzymać ani chwili dłużej tego wiercenia dziury w brzuchu, mrozących krew w żyłach wątpliwości. Mógł odpowiedzieć: „Czy nie wystarczy ci to, że zszedłem po ciebie do piekła? Czy nie możesz zaufać mojej miłości i odczekać jeszcze dwadzieścia minut, póki nas nie wyprowadzę z tej wąskiej ścieżki?”. Ale nie, to nie działało w ten sposób. Musiał na nią spojrzeć. Musiał ją zapewnić o swojej miłości. Musiał zamknąć jej usta. Odwrócił się do ukochanej i ponownie ją tym zabił, posyłając w czeluść niekończącego się snu, gdzie rozpoczęła się ta historia.

Marina pragnęła z całych sił, by śpiewacy przestali śpiewać, muzycy odłożyli instrumenty w uznaniu nieznośnego niepokoju bijącego z łoży na trzecim piętrze. Taka jest natura marzeń. Nie wystarczyło, że w operze wskrzeszono zmarłą, która ponownie zmarła wskutek fuszerki głównego bohatera, trzeba było wytrzymać kolejne zakręty losu i bardzo długą część taneczną, ale w końcu nastąpił koniec. Marina i Bovenderowie energicznie bili brawo. Cała tłumiona energia oczekiwania wreszcie mogła zostać uwolniona przez ich klaszczące dłonie. – *Brava!* – zawołał Jackie, kiedy mezzosopranistka wyszła na scenę.

– Nie było aż tak dobrze – stwierdziła doktor Swenson za ich plecami.

Traktując to zdanie jak przyzwolenie, wstali i odwrócili się, wszyscy troje, niczym chór doktor Swenson.

– Pewnie nie – przyznała Barbara, jakby to była rozmowa. – Ale tak uroczo jest wybrać się do opery.

– Świetne miejsca – powiedział Jackie.

Marina, która w butach pani Bovender była znacznie wyższa, nie wzięła pod uwagę wzrostu doktor Swenson i odwracając się, spojrzała prosto nad jej głową. Zobaczyła drugą osobę w łoży, mężczyznę w garniturze, który stał obok drzwi. Milton przywitał się z nią, bezgłośnie poruszając ustami.

Barbara otoczyła Marinę ramieniem i przyciągnęła ją bliżej. Ten gest można było uznać za wyraz zaborczości albo czułości, lecz Marina podejrzewała, że tak naprawdę młodsza kobieta po prostu próbuje utrzymać się na nogach. Czowała, jak Barbarze Bovender bije serce, gdy zetknęły się biodrami i żebrami. Przebiegł między nimi lekki rozedrgany prąd i nie umiała rozpoznać, która z nich jest jego źródłem.

– Annick, znasz moją przyjaciółkę, doktor Singh – powiedziała Barbara.

– Doktor Singh – powtórzyła doktor Swenson i wyciągnęła rękę, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając tej znajomości.

Trzydzieści ostatnich lat nie zostawiło na doktor Swenson najmniejszego śladu, ale jej skóra, która podczas zim w Baltimore rzadko widywała słońce, była teraz dość opalona, a włosy stały się raczej białe niż siwe. Nadal okalały jej szeroką, otwartą twarz tą samą chaotyczną chmurą, którą zapamiętała Marina. Miała jasne, niebieskie oczy, jej drobna dłoń wydawała się okrągła i miękka w dłoni Mariny. Ubranie było pogniecione, praktyczne, nie robiło żadnych ustępstw na rzecz wieczoru w operze. Możliwe, że przybyła prosto z portu. Kobieta, która wyznaczyła kurs życiu Mariny, wyglądała zupełnie jak czyjaś szwedzka babcia na wycieczce z przewodnikiem po puszczy amazońskiej.

– Bardzo się cieszę... – zaczęła Marina.

– Usiądźmy, usiądźmy – przerwała jej doktor Swenson i usiadła, dając przykład pozostałym. – Zaśpiewa jeszcze Villa-Lobosa.

– Co zaśpiewa? – zapytała Barbara.

W odpowiedzi doktor Swenson spiorunowała ją wzrokiem i zajęła czwarte miejsce w pierwszym rzędzie, bok Mariny, podczas gdy sopranistka, uciążliwa i piękna Eurydyka, położyła skromną dłoń na piersi i pochyliła głowę, by przyjąć burzę oklasków. Utwór Villa-Lobosa, wyjątkowy wkład Brazylii w klasyczny repertuar, okazał się znacznie piękniejszy niż dzieło Glucka – albo sopranistka była skłonna go zaśpiewać z większą czułością niż ta, którą zdołała wnieść do poprzedniej roli i Marinie udało się zapomnieć, co ma za sobą (śmierć Andersa) i co jeszcze ją czeka (nieuchronna wyprawa do dżungli z profesorką), więc po prostu słuchała. Trzeba było ośmiu wiolonczel i głosu człowieka, by uciszyć jej umysł.

– No, na to warto było przyjść – stwierdziła doktor Swenson, kiedy w końcu po piętnastu minutach grzmiących oklasków sopranistka niechętnie oderwała się od proscenium.

Gdy podnieśli programy i otworzyli drzwi łoży, doktor Swenson zwróciła się bezpośrednio do Mariny:

– Jak się pani spodobał Gluck, pani doktor?

„Proszę nam opowiedzieć o pacjencie, pani doktor”. Marina się powstrzymała.

– Obawiam się, że dziś wieczorem nie jestem dobrą recenzentką. Byłam rozkojarzona.

Doktor Swenson pokiwała głową, jakby to była prawidłowa odpowiedź.

– Jestem pewna, że tak jest lepiej. Gluck we wspomnieniach zawsze zadowala bardziej niż Gluck na żywo.

Skręciła i poprowadziła ich korytarzem ku schodom, a oni poszli za nią. Przed stopniami Milton zaoferował Marinie ramię i była mu wdzięczna za tę uprzejmość. Bardzo rzadko chodziła na obcasach i czuła, jak kołyszą jej się kostki.

– Nikt się jej nie spodziewał? – zapytała Marina.

Ściszyła głos, choć na korytarz wypływał już tłum, który zapełniał przestrzeń wokół nich, i ludzie rozmawiali ze sobą albo przez komórkę. Powietrze trzaskało od twardych, jasnych sylab języka portugalskiego w wydaniu Brazylijczyków bardzo zadowolonych z wieczoru na mieście.

– Nikt nigdy nie spodziewa się doktor Swenson – powiedział Milton, mocniej przyciskając rękę Mariny, gdyż dwie młode dziewczyny przecięły tłum galopem. Ich wieczorowe suknie łopotały z tyłu, ukazując białe halki, kiedy dziewczęta pokonywały schody po trzy stopnie naraz. – Można mieć jedynie podejrzenia. Doktor Swenson nie lubi, gdy omija ją otwarcie sezonu. Nie przyjmowałam żadnych zleceń na dzisiejszy wieczór, mimo że mnóstwo osób chciało przyjechać samochodem. Nie dlatego, żebym się jej spodziewał, po prostu miałem pewne podejrzenia.

Marina straciła z oczu doktor Swenson, ale nie Bovenderów, którzy szli z dziesięć kroków dalej. Zwłaszcza pani Bovender była praktycznie jak latarnia morska.

– Szkoda, że nie podzielił się pan ze mną tymi podejrzeniami.

– W takim wypadku mógłbym zasiać w pani niepokój bez powodu. Nie zawsze przyływa. Nie ma takiej rzeczy, którą robiłaby zawsze.

– Rozumiem, ale gdybym wiedziała, że istnieje szansa na takie spotkanie, włożyłabym coś swojego.

Milton zatrzymał się na schodach, zmuszając ludzi z tyłu, by zrobili to samo.

– Coś nie tak z pani sukienką? Jak mogłaby się komukolwiek nie podobać?

Marina zobaczyła, że daleko z przodu Bovenderowie z pochyłymi jasnymi głowami wypływają rzeką ludzi przez główne drzwi opery. Przypuszczała, że rozmawiają z doktor Swenson, albo przynajmniej jej słuchają. Zignorowała pytanie Milтона i pociągnęła go naprzód.

Wieczór był ciężki i ciepły, ale czuć było lekką, pachnącą rybami bryzę z nad rzeki. Marina i Milton znaleźli pozostałych na wykafelkowanym podejściu przed operą. Wszyscy troje stali zwrócenii twarzami do tej bryzy. Niezliczone tysiące owadów pędziły ku elektrycznemu światłu, które obmywało boki wspaniałego budynku i wylewało się na tarasy i ulice przed nimi. Nawet w gwarze tłumu Marina słyszała brzęczenie ich skrzydełek i różnorodne bzykliwe tony. Owadzi zachwyty nad światłem przypominał jej reakcję publiczności na ostatnią arię. Blask doprowadzał te małe stworzenia do szaleństwa. Nigdy nie miały go dość.

– Bovenderowie mówią, że nic się nie zmieniło od dnia mojego wyjazdu – zaczęła doktor Swenson, gdy Milton i Marina dołączyli do reszty. – Czy to prawda? Takie duże miasto i nic się nie zmienia?

– Nie przypominam sobie, żeby coś się tu zmieniło w ciągu ostatnich dziesięciu lat – powiedział Milton.

– Coś musiało się zmienić – nie dawała za wygraną doktor Swenson.

Stała z zadartą do góry głową i odnosiło się wrażenie, że reflektor na górze świeci wyłącznie na nią. Jakby wycięto ją ze światła i wklejono w ciemne tło, wyraźnie oddzielając od tłumu wokół, tak jak we wspomnieniach. Choć długie poszukiwania Mariny dobiegły końca, nie mogła się pozbyć uczucia, że dwa bardzo odległe punkty jej życia zderzają się teraz ze sobą w sposób, który powinien być właściwy jedynie koszmarom. Właściwie po raz ostatni widziała doktor Swenson w przeddzień wypadku. Podczas dochodzenia nie miały ze sobą żadnego kontaktu, a potem Marina zmieniła specjalizację. Nigdy wcześniej o tym nie myślała.

– No cóż, teraz jest tu Marina – podsunął Jackie.

– Wolałabym usłyszeć o zmianie, o której jeszcze nie wiem. Milton zastanowił się chwilę.

– Rodrigo zaczął sprowadzać obroże przeciw pchłom. Twierdzi, że jeśli je włożyć pod poduszkę, z łóżka ucieknie wszelkie robactwo.

Doktor Swenson z uznaniem pokiwała głową, jakby właśnie taką wiadomość

miała nadzieję usłyszeć.

– Kupię kilka jutro rano.

Wtedy podszedł do nich szczupły chłopiec, brazylijski Indianin, przeciskając się z łatwością między dorosłymi i nie dotykając ich ubrań. Można go było zauważyć nawet w tłumie ludzi, bo reprezentował dwie grupy społeczne, które w zasadzie nie uczestniczyły w wieczorze: dzieci i Indian. Miał na sobie parę nylonowych szortów i zieloną koszulkę z napisem „World Cup Soccer”. Z wyglądu przypominał chłopców, którzy siedzieli na placu na kocach, sprzedając bransoletki i małe zwierzątka z orzechów. Miał takie same ciemne lśniące włosy i oczy, które wydawały się zbyt duże, choć w rzeczywistości to twarz była za mała. Logika podpowiadałaby, że to dziecko też coś sprzedaje – dzieci w Manaus były przedsiębiorcze: handlowały wachlarzami, pocztówkami i motylami w drewnianych pudełkach – ale ręce chłopca były puste.

– Easter! – zawołała Barbara Bovender i gwałtownie przykucnęła, co w tak krótkiej sukience było ryzykownym posunięciem. Wyciągnęła ręce do chłopca, który padł jej w ramiona i wtulił twarz w zagłębienie pod szyją.

– To przez włosy – wyjaśniła doktor Swenson. – Nigdy nie ma ich dość.

Jackie pochylił się, żeby podnieść malca, i wtedy jego żona się wyprostowała. Chłopiec złapał jej włosy w obie dłonie i uważnie im się przyglądał jak jakiemuś świetlistemu sznurowi spuszczoneму z góry przez bogów. Był za duży, by go podnoszono, i gest Jackiego wyraźnie go uradował.

– Chyba podrosłeś – powiedział Jackie, unosząc chłopca i opuszczając, jakby próbował oszacować jego ciężar.

– Nie urósł – zaprzeczyła doktor Swenson. Poklepała chłopca po piersi, a kiedy na nią spojrział, przemówiła: – Doktor Singh.

Uniosła palec wskazujący prawej dłoni i dotknęła nim lewego nadgarstka, a następnie narysowała linię biegnącą ku gardłu i przeciągnęła tym palcem przez powietrze wylatujące jej z ust. Potem wskazała Marinę. Chłopiec wypuścił włosy Barbary i podał Marinie rękę.

– Tylko spójrzcie! – zachwycił się Jackie, jakby zobaczył wyjątkowo sprytną sztuczkę. – Umie się witać.

W nagrodę zaczął lekko podrzucać chłopca, aż w końcu ten wybuchnął dziwnym, foczym śmiechem i musiał wypuścić dłoń Mariny.

– Miło mi cię poznać – powiedziała Marina. Olbrzymie oczy chłopca skupiły się na niej i nie odwracały. – Mogła go pani wziąć do opery – zwróciła się do doktor

Swenson. Czyżby z nią przyplął? – Było mnóstwo wolnych miejsc.

– Easter jest głuchy – wyjaśniła doktor Swenson. – Opera byłaby dla niego bardziej nużąca niż dla nas.

– Nie była taka zła – powiedziała Barbara do chłopca.

– Lubi sobie pospacerować, kiedy ma okazję – odrzekła doktor Swenson w jego imieniu. – Lubi się rozejrzeć w mieście.

Easter, usadowiony w ramionach Jackiego i ponownie skupiony na włosach Barbary, nie odwrócił głowy. Nawet gdyby słyszał, wydawałby się za mały na samotne spacerowanie ciemnymi uliczkami Manaus.

– Poszedłbym razem z tobą, gdybym wiedział, że tu jesteś – zwrócił się Jackie do chłopca. – Wymiksowalibyśmy się z tego razem.

– Jednak mógł przyjść. Myślę, że spodobałby mu się widok tych wszystkich ludzi – powiedziała Barbara. – W budynku opery jest na co popatrzeć, nawet jeśli nie można usłyszeć muzyki.

Doktor Swenson spojrzała na zegarek.

– Chyba dość już tych powitań. Powinam porozmawiać z panią doktor. Zakładam, że późna pora pani nie przeszkadza. Milton wspominał, że długo pani czekała.

Marina odpowiedziała, że chętnie z nią porozmawia.

– To dobrze. Niech więc reszta z was już idzie. Zobaczymy się rano. Milton, powiedz Rodrigowi, że będę w sklepie o siódmej.

– Czy mogę panie dokądś podwieźć? – zapytał Milton.

Doktor Swenson przecząco pokręciła głową.

– To idealna noc. Jestem pewna, że możemy się przejść. Da pani radę, pani doktor?

Marina, kolumna szarego jedwabiu na wysokich obcasach, nie była do końca pewna, czy da radę, ale powiedziała, że dobrze będzie się przejść po tak długim siedzeniu.

– Zabierzemy Eastera do apartamentu – zaproponowała Barbara.

Chłopiec zaczął zaplatać w warkocz część włosów, którą trzymał w dłoniach.

Doktor Swenson znowu zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jeszcze nie jadł. Pójdzie z nami. Postaw go, Jackie, to nie mała.

Jackie postawił Eastera na ziemię i chłopiec spojrzał na jednych, a potem na drugich. Chociaż niczego nie słyszał, sprawiał wrażenie, jakby wyrażał milczącą zgodę



na plan.

– W takim razie zobaczymy się później – powiedział Jackie, odnajdując palcami przedziałek we włosach chłopca i przyglądając je. Potem, przypominając sobie o jedynej zmianie, jaka ostatnio zaszła, wyciągnął rękę, a Easter uścisnął ją na pożegnanie. – Doskonale.

Ulice wokół opery były wyłożone płaskimi kamieniami tworzącymi nierówne puzzle i Marina pożałowała, że nie ma z nimi Miliona – nawet gdyby nie wiozł ich samochodem, mógłby przynajmniej zaoferować jej ramię. Marina była bardzo wysoką panią doktor, która pracowała w laboratorium w Minnesocie i te trzy rzeczy: wzrost, praca i stan wykluczały noszenie butów na obcasie, przez co miała niewielkie doświadczenie, z którego mogłaby teraz czerpać. Przeniosła ciężar ciała na palce i miała nadzieję, że obcas czółenek Barbary nie zaklinuje się między kamieniami. Nawet kiedy Marina zwolniła, doktor Swenson szła w niezmiennym tempie, mozolnym marszem o regularności metronomu, który tak dobrze pamiętała Marina. Dzięki spodniom koloru khaki i butom na gumowej podeszwie szybko wyprzedziła Marinę o jedną przecznicę i najwyraźniej nie zauważyła, że została sama. Easter trzymał się za nimi, być może po to, by zawiadomić doktor Swenson o ewentualnym upadku Mariny. Tłum z opery już się rozproszył i na ulicy pozostali tylko zwyczajni ludzie, którzy stali na skrzyżowaniach w ciemności i próbowali się zdecydować, czy przejść na drugą stronę. Patrzyli, jak Marina naciąga na ramiona pożyczony szal.

– Idzie pani, pani doktor? – zawołała doktor Swenson.

Skręciła za róg albo weszła do jakiegoś budynku. Jej głos wtopił się w noc. Dobiał znikąd.

„Idzie pani, pani doktor?” Dawniej tak szybko wchodziła do szpitalnej sali, że stażyci tracili ją z oczu. Poszła w prawo czy w lewo? Marina zmrużyła oczy i spojrzała na ulicę. Ciemność przełamowały uliczne latarnie, reflektory samochodów i kawałki stłuczonego szkła, które zrosiły krawężnik i odbijały światło.

– Idę – powiedziała.

Jej oczy nieustannie przesuwają się z jednej strony ulicy na drugą w powolnym oczopląsie. Żeby się uspokoić, zrobiła w myślach listę wszystkich rzeczy, przez które była zdenerwowana: zapadła noc, właściwie nie miała pewności, gdzie jest, choć mogła zawrócić i z łatwością wrócić do opery, a stamtąd do hotelu. Niepewnie czuła się w butach, które do spółki z sukienką uczyniły z niej ludzki odpowiednik ptaka ze

złamanym skrzydłem narażonego na spotkanie z każdym drapieżcą, który późną nocą mógłby krążyć ulicami. Gdyby nawet spotkała jakiegoś drapieżcę, musiałaby chronić głuche dziecko, a nie była do końca pewna, jak miałaby to zrobić. Czując pęcherze pojawiające się pod paskami sandałów, chcąc nie chcąc, pomyślała o niezliczonych badaczach, których wykończył zwyczajny pęcherz, a potem zapewniła się, że jest mało prawdopodobne, by właśnie w taki sposób dokonała żywota, zważywszy na trzy różne rodzaje antybiotyków, które pan Fox przysłał jej razem z lariamem i telefonem. A ponieważ była to lista obaw, nie mogła zignorować najbardziej naglącego ze wszystkich lęków: zakładając, że jednak dotrze do celu, będzie musiała usiąść z doktor Swenson i porozmawiać – o czym dokładnie? O prawach i interesach Vogla w Brazylii? O miejscu, w którym spoczywa ciało Andersa?

Potem, bez żadnej zapowiedzi chociażby w formie odgłosów stąpania, wyprzedził ją Easter. Na początku pomyślała, że pewnie znudziła go jej powolność i postanowił ją opuścić, ale zobaczyła, że dostosował się do jej tempa. Gdyby wyciągnęła rękę, z łatwością by go dosięgła. Został jej przewodnikiem. Kiedy spojrzała na jego plecy, na wąskie ramiona, na których ledwie można by powiesić koszulę, połowa obaw z jej listy uleciała. Jedną ręką mocno przycisnęła do piersi szal pani Bovender, a drugą napełniła jedwabiem spódnicy, którą uniosła, żeby się nie potknąć i by nie ciągnąć jej po błotnistych kałużach pozostawionych przez popołudniową ulewę. Nocne powietrze napierało na nią, gwałtownie wchodząc do jej płuc i wychodząc z nich. Bardzo niedawno była chora. Pomimo wsuwek, lakieru i czarnych pałeczek ze złotymi chińskimi wachlarzami czuła, że gdzieś tam kosmyki jej włosów wyswobadzają się i zawilgotniałe opadają na kark. Gdy dotarli na róg ulicy, Easter skręcił w prawo, a ona, bez żadnego pytania ani myśli, poszła za nim.

Dwie przecznice dalej, kiedy już mniej więcej była pewna, że nie będzie w stanie zrobić następnego kroku, Easter zniknął w drzwiach restauracji, której Marina nigdy wcześniej nie widziała, przy ulicy, której sobie nie przypomiwała. Chłopiec nie mógł widzieć, jak do budynku wchodzi doktor Swenson, ale okazało się, że pani profesor rzeczywiście jest w środku, siedzi przy stoliku w rogu, przed opróżnioną do połowy butelką wody sodowej. Jeśli to w ogóle możliwe, w pomieszczeniu było trochę ciemniej niż na ulicy, z której przyszła. Na każdym stoliku stała malutka świeczka zastępująca gwiazdę. Sześć stolików było zajętych, sześć kolejnych pustych. Zrobiło się późno. Chłopiec, wykonawszy swoje zadanie, wybrał najkrótszą drogę między innymi klientami i usiadł na drewnianym krześle obok doktor Swenson. Przywoziła

go tutaj z dżungli czy może Easter, podobnie jak Milton i Bovenderowie, miał swoje miejsce na liście płac Vogla? Doktor Swenson przechyliła w stronę chłopca koszyk z pieczywem, a on wziął kromkę i ładnie położył ją na talerzu. Marina starała się nie utykać, kiedy do nich podchodziła. Przez chwilę bez słowa stała obok stolika, jej olśniewający wygląd topniał w upale, i czekała, aż druga kobieta zauważy jej przybycie. Mogłaby czekać do końca życia.

– Zgubiłam panią – powiedziała w końcu Marina.

– Najwyraźniej nie – odparła doktor Swenson. – Easter wiedział, dokąd idziemy.

– Nie wiedziałam, że został poinformowany.

Doktor Swenson czytała menu przez okulary o wąskich szklach.

– Jestem pewna, że dość szybko się pani zorientowała. Ta restauracja jest trochę na uboczu, ale dzięki temu tłum z opery jej unika. Zawsze dostaję stolik.

Marina wysunęła krzesło obok Eastera, naprzeciwko doktor Swenson, i poczuła mocne pulsowanie w stopach, kiedy krew popłynęła z powrotem w górę nóg. Postanowiła być wdzięczna za to krzesło i za towarzystwo.

Po zapoznaniu się ze wszystkimi informacjami, które miało do zaoferowania menu, doktor Swenson odłożyła kartę na stół. Teraz, gdy już wiedziała, co zje na kolację, była gotowa rozpocząć rozmowę.

– Proszę pozwolić, że będę mówiła otwarcie, pani doktor – powiedziała, składając okulary i wsuwając je z powrotem do wyściełanego etui. – Dzięki temu obie zaoszczędzimy trochę czasu. Nie powinna była pani przyjeżdżać. Musi istnieć jakiś sposób, by przekonać pana Foxa, że nieustanna kontrola nie przyspiesza produkcji. Może właśnie tym się pani zajmie po powrocie do domu. Powie mu pani, że wszystko u mnie w porządku i że zrobiłby lepiej, gdyby zostawił mnie w spokoju.

Do stolika podszedł kelner i doktor Swenson złożyła łamanym portugalskim zamówienie dla siebie i dla dziecka. Gdy kelner zwrócił się do Mariny, poprosiła o kieliszek wina. Doktor Swenson kazała go dopisać do rachunku i odesłała kelnera.

– Cieszę się, że wszystko u pani w porządku – powiedziała Marina. – Ma pani rację, przyjechałam sprawdzić, jak posuwają się prace nad lekiem. Po części jestem tu właśnie z tego powodu. Poza tym byłam bliską przyjaciółką doktora Eckmana. Przyjaźnię się z jego żoną. Powinna poznać okoliczności jego śmierci.

– Zmarł w wyniku gorączki.

Marina potakująco pokiwała głową.

– Tak pani napisała, ale jego żona chciałaby się dowiedzieć czegoś więcej. Dzięki temu byłoby jej łatwiej wyjaśnić dzieciom, co się stało.

Easter nieruchomo siedział przy stole, trzymając obie nogi na podłodze – albo prawie na podłodze. Odrywał zgrabne kawałki chleba i powoli je zjadał. Najwyraźniej czekanie ani trochę mu nie przeszkadzało, przez co Marina zaczęła się zastanawiać, czy chłopiec ma w tym zakresie duże doświadczenie.

– Pyta pani, czy wiem, co wywołało gorączkę, czy miało to jakąś nazwę? Nie wiem. Lista możliwości jest zbyt długa. Wydaje mi się, że na początek należałoby sprawdzić historię jego szczepień. Poza tym mogę pani podać listę antybiotyków, na które jego organizm nie zareagował.

– Nie pytam, jakiego rodzaju była to gorączka – powiedziała Marina. – Pytam, co się stało.

Doktor Swenson westchnęła.

– Przyjechała mnie pani odwołać, pani doktor?

– Nie oskarżam...

Doktor Swenson pomachała ręką, wycierając słowa z powietrza.

– Wyjaśnię pani: lubiłam doktora Eckmana. Jego wizyta była dla mnie pod każdym względem kłopotliwa, ale miał w sobie pewną szczerą. Naprawdę interesowali go Lakaszi, moja praca. Był pani przyjacielem, więc wie pani, że posiadał wyjątkową zdolność okazywania zainteresowania, zarówno gdy chodziło o ptaki, jak i o poziom estrogenu w zgromadzonych próbkach krwi. Zadawał mnóstwo pytań i chłonał każde słowo z udzielanych odpowiedzi. Był grzeczny i życzliwy, nawet gdy próbowałam go namówić, by wyjechał, co robiłam bezustannie, i o czym powinna pani wspomnieć jego żonie. – Przerwała, by wypić resztę wody z kieliszka, który został ponownie napełniony przez czujnego kelnera, jeszcze zanim zdążył dotknąć stolika. – Pan Fox postąpił idiotycznie, przysyłając go tutaj. Chyba nie widziałam nikogo, kto byłby aż tak nieprzystosowany do dżungli, a to mówi o doktorze Eckmanie naprawdę wiele. Bo większość ludzi nie nadaje się do życia w dżungli. Upał, owady, nawet drzewa budziły w nim niepokój. Cóż, można by pomyśleć, że jeśli człowiek przybywa do miejsca, w którym nie chce być i w którym nikt go nie chce, będzie miał na tyle zdrowego rozsądku, by wyjechać. Doktorowi Eckmanowi brakowało tego rozsądku. Powiedział mi, że firma oczekuje ode mnie przyspieszenia prac, że chcą zobaczyć moje wyniki, sprowadzić innych badaczy i jak najszybciej przenieść jak największą część badań z powrotem do Vogla. Myślę, że cała nasza wymiana zdań zajęłaby godzinę, a

gdyby obie strony się streściły, piętnaście minut, ale doktor Eckman oczekiwał czegoś innego. Zupełnie jakby wszystko musiał zobaczyć na własne oczy. Przebył daleką drogę i Bóg mi świadkiem, nie zamierzał uwierzyć mi na słowo, że lek naprawdę jest w fazie produkcji. Czuł potrzebę prześledzenia całej historii mojej pracy. Zamierzał na nowo odkryć plemię Lakaszi. Zamierzał osobiście znaleźć źródła ich płodności. Nie pozwalał, by jego oplakany stan pokierował jego działaniami.

Niski mężczyzna w brudnym białym fartuchu wyszedł z kuchni z dwoma talerzami żółtego ryżu przykrytego kurczakiem. Mięso miało taki sam kolor jak ryż, lśniło i odchodziło od kości. Mężczyzna podał jeden talerz doktor Swenson, a drugi chłopcu, który rozpromienił się na widok kolacji.

– Nie mieliśmy szczęścia, jeśli chodzi o hodowlę kurczaków – powiedziała doktor Swenson. – Obydwoje nie mogliśmy się doczekać kolacji. – Poklepała Eastera po dłoni i po tym przyzwoleniu chłopiec sięgnął po widelec i zaczął rozdzierać mięso, przytrzymując kurczaka dwoma palcami. Jeszcze raz poklepała go po dłoni i podała mu nóż. – Maniery przy stole Eastera to zasługa doktora Eckmana. To wszystko jest dla chłopca nowe. Szczerze mówiąc, wcześniej nie przywiązywałam do tego wagi, Lakaszi mają inne zwyczaje niż my, ale postanowiłam kontynuować rozpoczętą pracę. Doktor Eckman bardzo się interesował tym dzieckiem. Mogę tylko przypuszczać, że tęsknił za własnymi... – Zamilkła i spojrzała na Marinę, rezygnując z zadania pytania.

– Synami – dokończyła Marina. – Miał trzech synów.

Doktor Swenson potakująco pokiwała głową.

– Cóż, można było się domyślić. Chyba wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale z pewnością wielka część mojej sympatii do doktora Eckmana brała się z jego życzliwości wobec Eastera.

Kelner, który zjawił się na początku, wrócił, by postawić przed Mariną kawałek tres leches, lecz ona na widok deseru przecząco pokręciła głową. Myślała o tamtych trzech chłopcach na kanapie, którzy mieli tak czuły słuch, że rozmowy dorosłych musiały zostać wypchnięte do kuchennej spiżarni i były prowadzone szeptem.

– Zamówiłam to dla pani – powiedziała doktor Swenson i odesłała kelnera. – To dobre ciasto. Pasuje do wina.

Marina zobaczyła, że chłopiec przygląda się deserowi, schwytny między radość z własnego posiłku a pragnienie tego, który podano jej.

– Jak długo był z panią Anders, zanim się rozchorował?

– Trudno powiedzieć, bo właściwie nie wiem, kiedy się zaraził. Z perspektywy

czasu wydaje mi się, że mógł coś złapać jeszcze tutaj, w Manaus, i przywieźć tam ze sobą. Wcześniej nie znałam doktora Eckmana. Możliwe, że go nie widziałam, kiedy jeszcze był całkowicie sobą.

– Widziała pani – zapewniła ją Marina. – Poznała go pani w Voglu przed pani wyjazdem. Był w komisji rewizyjnej, która przyznawała pani fundusze.

Wyobraziła sobie Andersa pochylonego nad biurkiem. Był całkowicie przekonany, że doktor Swenson go polubiła.

Doktor Swenson pokiwała głową, skupiając całą uwagę na kurczaku.

– Tak, oczywiście, wspominał mi o tym. Ale go nie pamiętałam. Nie miałam żadnego powodu, by pamiętać.

– Oczywiście – powiedziała Marina i po raz pierwszy coś sobie uświadomiła: „Ona mnie nie rozpoznała”.

Starsza kobieta włożyła do ust odrobinę ryżu.

– Trudno sobie ufać w dżungli – podjęła. – Niektórzy z czasem jakoś się tam odnajdują, ale inni do końca nie mogą się przystosować. Wszystko jest po prostu zbyt obce. Nie umiemy tam znaleźć zastosowania dla tego, co już wiemy. Nie myślę jedynie o kwestiach moralnych ani prawnych, choć ich także to dotyczy, ale o tym, że proste, konkretne fakty związane z istnieniem nie odpowiadają tym, do których przywykliśmy. Weźmy na przykład owady. Co roku na świecie odkrywa się setki tysięcy nowych gatunków, a kto wie, ile ich ginie. Zasady, według których oddzielamy te śmiertelne od tych zaledwie denerwujących, są niezwykle ograniczone, zważywszy, że owad, który panią ukąsi, wcale nie musi być jeszcze sklasyfikowany. No i w którym momencie samo nieustanne zdenerwowanie także staje się śmiertelne? Gryzie panią tyle owadów, że trudno nadażyć. Trzeba najzwyczajniej pogodzić się z tym, że cokolwiek to było, prawdopodobnie pani nie zabije. – Skinęła na Marinę widelcem. – Wie pani, że krwawi pani ramię, pani doktor?

Marina pozwoliła, by szal opadł jej z ramion na krzesło i teraz zauważyła cienką stróżkę wyschniętej krwi długości mniej więcej piętnastu centymetrów, która wypłynęła ze śladu po ugryzieniu na prawym bicepsie. Doktor Swenson sięgnęła po niewykorzystaną serwetkę z czwartego nakrycia przy stole i zanurzyła ją w swoim kieliszku z wodą. – Proszę – powiedziała. – Niech pani to wytrze.

Marina wzięła serwetkę i oczyściła ramię, poświęcając chwilę na dociśnięcie rany, gdyż po jej przemyciu na nowo popłynęła krew.

– Jestem pewna, że to nic groźnego – uspokoiła ją doktor Swenson, pracownicy

oddzielając ostatnie kawałki kurczaka od kości. – Właśnie o tym mówię. Tutaj łatwo popaść w hipochondrię, ale niebezpieczniejszym stanem jest jej przeciwieństwo: uparty głos, który powtarza, że pewnie przesadzasz, aż w końcu człowiek zaczyna lekceważyć prawdziwe objawy. Lekarze, jak pani zapewne wie, słyną z takiego zachowania i w wypadku doktora Eckmana stało się chyba podobnie. Ostatecznie jego poważne obawy zaprowadziły go zbyt daleko w przeciwną stronę. Za każdym razem, kiedy go pytałam, czy jest chory, stanowczo zaprzeczał. Kiedy zaprzeczanie stało się nedorzeczne, oznajmiłam mu, że odsyłam go z powrotem. Nie, nie, nie – powtarzał, jak dziecko, które nie chce stracić roli w szkolnym przedstawieniu. Zarzekał się, że za parę dni będzie lepiej. Nie mogłam podejmować za niego decyzji, pani doktor, proszę mi wierzyć, co jednak nie znaczy, że nie próbowałam. Długo czekał na mnie w Manaus i nie zamierzał wrócić, nie wypełniwszy misji, która, jak sobie uroił, została mu powierzona. Zanim się obejrzałam, urządzaliśmy izbę chorych. Wymagał niemal ciągłej opieki. – Doktor Swenson spojrziała na Eastera, który podniósł kość z talerza i zaczął ją obgryzać. Uniosła rękę, żeby go klepnąć, ale po chwili ją opuściła. Zrezygnowała. – Dostrzega tu pani paradoks? – zapytała Marinę głosem, w którym pobrzmiwało całkowite opanowanie. – Mężczyzna, który został tu przysłany, by mnie ponaglić, odciągał mnie od pracy. Przekroczył granicę oddzielającą wiarę w szybkie wyzdrowienie od poczucia, że jest zbyt chory, by wyruszyć w podróż. Powiedział mi, że chce zaczekać, aż jego stan się poprawi. Wolał nie wypływać na rzekę. Bał się jej. Pragnął być w domu, ale dotarcie z Amazonii do domu wymaga mnóstwa wysiłku, a on po pewnym czasie nie był już w stanie go podjąć. Nawet polubiłam doktora Eckmana, ale nie sądzę, by to robiło jakąś różnicę. Przeszkadzał mi, kiedy był zdrowy, i przeszkadzał mi, kiedy zachorował. Nie pozwolę, by mi przeszkadzał nawet teraz, po swojej śmierci. Nie będę próbowała analizować każdej chwili jego choroby, skoro nie mogę zmienić jej zakończenia. Przykro mi, że jego żona będzie musiała z tym żyć, ale nie mogłam na to nic poradzić wtedy i nie mogę na to nic poradzić teraz. Sam dokonał wyboru. Otrzymał najlepszą opiekę, jaką mogliśmy mu zapewnić, zważywszy na ograniczone środki, ale mimo to umarł. Czy to rzuca na sprawę więcej światła? Nie było mnie przy nim w chwili śmierci. Nawet jeśli wypowiedział jakieś ostatnie słowa, przekazał jakąś wiadomość, ja jej nie usłyszałam.

Marina siedziała przy stoliku i myślała o przyjacielu umierającym na bezimienną gorączkę w jakimś pomieszczeniu albo jakiejś chatce na końcu świata. Karen Eckman kazała jej obiecać, że zapyta, czy Anders naprawdę nie żyje. Zamiast

tego Marina zapytała doktor Swenson, czy umarł samotnie. Było to sentymentalne pytanie, ale chciała, żeby w jej umyśle pojawił się inny obraz niż ten, który miała obecnie.

– W chwili śmierci? Nie – odpowiedziała doktor Swenson. Jej wzrok na chwilę powędrował w stronę chłopca, a potem wrócił do Mariny. – Był z nim Easter.

Easter, który prawdopodobnie dorównywał wiekiem najstarszemu synowi Eckmanów, albo temu średniemu, widział, jak Anders odchodzi. Jego talerz został wyskrobany do czysta i wytarty chlebem, a pośrodku piętrzył się stosik kości kurczaka. Marina oddała mu swoje ciasto, a w zamian posłał jej taki uśmiech, że zapragnęła, by kelner wrócił i przyjął od niej zamówienie na następny kawałek, który też oddałaby chłopcu.

– Nie jest to historia warta przekazania rodzinie – powiedziała doktor Swenson.

– Nie – przyznała Marina.

– Zresztą nie jest przeznaczona dla uszu jego żony. – Doktor Swenson delikatnie wytarła kąciki ust serwetką. – Jest przeznaczona dla pani. Nie chcę się wdawać w szczegóły przy kolacji, ale musi mi pani uwierzyć, kiedy powiem, że doktor Eckman cierpiał. Niech to będzie historia ku przestrodze.

Marina potakująco pokiwała głową, próbując znaleźć w sobie jakąś niewykorzystaną odrobinę stoicyzmu, bo na myśl o śmierci Andersa bardzo chciała ukryć twarz w dłoniach.

– Rozumiem.

– Jak przypuszczam, nikt w koncernie się tym nie przejął, ale śmierć doktora Eckmana była trudna również dla mnie. Od początku zachowywałam ostrożność, a teraz jestem ostrożna podwójnie. Nie spieszno mi do przyjęcia nowego obowiązku. Jeśli chce pani wiedzieć, jak przebiega praca, powiem pani: jestem w tyle. To delikatna gałąź nauki. Poświęcam jej każdą chwilę życia, ale na obecnym etapie wymaga jeszcze więcej czasu. Rozumiem, że zarówno z perspektywy Vogla, jak i mojej własnej nie mam nieograniczonej liczby lat na dokończenie tego projektu. – Doktor Swenson dała kelnerowi znak, by przyniósł rachunek, i wypila resztę wody. – Pewnego dnia też chciałabym opuścić Amazonię, pani doktor. Przywykłam do tego miejsca, ale nie jestem w nim zakochana. Mam wszelkie możliwe powody, by zakończyć ten projekt najszybciej, jak to możliwe. Najwidoczniej zdaniem pana Foga tak dobrze się tu bawię, że kolejni emisariusze Vogla muszą mi przypominać o



potrzebie dokończenia badań. Może mu pani przekazać, że nie straciłam z oczu tego celu.

Marina przytaknęła. Zrozumiała, że właśnie dostała bilet do domu.

Doktor Swenson położyła obie dłonie na stoliku i delikatnie nimi zastukała, by oznajmić, że ich rozmowa dobiegła końca.

– Easter i ja odprowadzimy panią do hotelu. Mijamy go w drodze do apartamentu. Tam powiemy sobie dobranoc i pożegnamy się. Nie planuję długiej wizyty w mieście. Rozumie pani, że muszę wracać.

Marina ostrożnie poruszyła palcami u nóg. Gdy siedziała, jej stopy spuchły, i paseczki sandałów wrzynały się głęboko w skórę. Sięgnęła pod stolik, po czym z pewnym wysiłkiem, czując ostre ukłucie bólu, zdjęła buty. Easter, który już skończył jeść ciasto, pochylił się, żeby popatrzeć.

– Obawiam się, że nie będę w stanie wrócić pieszo – powiedziała Marina. Co jej szkodzi powiedzieć teraz prawdę? Sprawa skończona.

Doktor Swenson zawołała kelnera i Marina wyraźnie usłyszała, jak wymawia imię Miliona. Kelner potaknął.

– Przyjedzie po nas – oznajmiła doktor Swenson. Skinęła do Eastera, żeby podał jej jeden z sandałków, i spojrzała na but, jakby był jakimś rzadkim znaleziskiem archeologicznym. – Trudno mi zrozumieć, dlaczego kobiety tak się katuja. – Zwróciła srebrny sandałek drugiemu.

– Dla mnie to też tajemnica – przyznała Marina.

Nie miała zamiaru stawać w obronie butów. Były nie do obronienia. Wolałyby chodzić boso do końca życia, zanim włożyłyby je z powrotem.

– Barbara wspomniała, że była pani moją studentką – powiedziała doktor Swenson.

Możliwe, że to właśnie sandałki podsunęły jej tę myśl. Zastanawiała się, jak to możliwe, by jej studentka tak mało wiedziała na temat funkcjonowania ludzkiej anatomii.

– Tak – potwierdziła Marina.

Wszystkie obawy powoli się od niej oddalały. Co za różnica? Napotykała je jedną po drugiej, a potem wypuszczała.

– Domyślam się, że w Johnsie Hopkinsie?

Marina przytaknęła.

– Mam czterdzieści dwa lata.

Doktor Swenson podpisała rachunek i zostawiła go na stoliku. Bez wątpienia zostanie przesłany do Vogla.

– Cóż, chyba marnie się spisałam, skoro poszła pani na farmakologię. Chociaż z drugiej strony sama pracuję teraz nad stworzeniem leku. Wygląda na to, że ostatecznie skończyłyśmy w tej samej dziedzinie. – Sięgnęła ku podłodze i podała Easterowi sandaalki Mariny, żeby je poniósł. Wydawał się bardzo zadowolony z tego zadania. – Nikt z nas nie wie, co przyniesie życie, pani doktor.

Pani doktor właśnie miała się zgodzić z tym stwierdzeniem, lecz nagle Milton, który najwyraźniej od dawna czekał w samochodzie na zewnątrz, wszedł do restauracji, by zabrać ją do domu.

Tamtej nocy Marina spędziła dużo czasu w łazience, poświęcając uwagę swoim różnorodnym ranom: odstającym skrawkom skóry rozsianym po palcach u nóg i po piętach, poduszczkom odcisków, które jeszcze nie pękły, rozmaitym śladom po ugryzieniach owadów, swędzącym, krwawiącym albo zsiniałym, szorowała je wszystkie ręcznikiem nasączonym wodą z mydłem, aż skóra wokół czerwonych pęknięć także się zaczerwieniła, a potem osuszyła je i nasmarowała balsamem. To wszystko musiało zostać zrobione przed rozmową z panem Foxem. Nieważne, że było późno. Zamierzała go obudzić. Miała nawet nadzieję, że wyrwanie go ze snu da jej coś w rodzaju przewagi w rozmowie. Wyobraziła sobie telefon dzwoniący na stoliku nocnym obok jego łóżka, w którym czasami zasypiała, lecz w którym nigdy nie przespała całej nocy, tego samego łóżka, do którego pragnęła teraz wrócić. Pan Fox odezwał się po czwartym sygnale. Jego głos był przytomny, opanowany. Pewnie odczekał dwa sygnały, by dojsć do siebie po przebudzeniu.

– Powiedz, że nic ci nie jest – poprosił.

– Parę pęcherzy – powiedziała, delikatnie naciskając jeden z nich palcem u nogi – ale poza tym wszystko zupełnie w porządku. Znalazłam doktor Swenson.

Oznajmiła to od razu. Nie czekała, aż pan Fox zapyta, bo pytał o to za każdym razem, jakby odnalezienie doktor Swenson było czymś, co mogło się wydarzyć, a potem wylecieć Marinie z głowy. Opowiedziała mu o operze, o Easterze i kolacji. Opowiedziała, co usłyszała na temat Andersa, i próbując odtworzyć tamtą rozmowę, zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie przypominała ona zwyczajnej rozmowy. Mogła go poinformować, że realizacja projektu opóźniła się, ale nadal postępuje. Nawet jeśli brakowało szczegółów, miała pewność co do najważniejszego: doktor

Swenson chciała zakończyć pracę bardziej niż ktokolwiek inny i zakończy ją, w tej kwestii była bardzo przekonująca, choć nie zadała sobie trudu, by sprecyzować, kiedy będzie można skierować tworzony lek do FDA.

– Nie podała żadnego terminu? – zapytał pan Fox.

– Nic konkretnego – powiedziała Marina, choć tak naprawdę wcale nie zapytała doktor Swenson o termin.

Dlaczego tego nie zrobiła? Po tych wszystkich latach nadal słuchała doktor Swenson tak jak studentka słucha wykładowcy, tak jak Grek słucha wyroczni. Nie kwestionowała jej słów, zwyczajnie zapisywała odpowiedzi w pamięci.

– Nie przejmuj się tym – uspokoił ją pan Fox. – To było wstępne spotkanie. Dobrze zrobiłaś, że jeszcze na nią nie naciskałaś. Myślisz, że jutro wyruszysz?

– Jutro albo pojutrze. To zależy od biletów. Polecę pierwszym samolotem, w którym będzie miejsce.

– Lecisz samolotem? – zapytał pan Fox.

– Wracam do domu.

Na linii zaległa cisza, ale Marina się nie wysilała. Nawet gdy zdała sobie sprawę, że popełniła błąd w ocenie, chciała w nim trwać najdłużej, jak się da. Jej pełna nadziei wyobraźnia pozwoliła jej już popłynąć w stronę domu. Nie miała bagażu. Jej walizka się nie odnalazła. Wszystko, co kupiła w Manaus, musiała tam zostawić, nie licząc małej białej czapli i bransoletki z czerwonych koralików zawiązanej wokół nadgarstka. Widziała białe kwiaty za oknem lotniska Minneapolis-St. Paul. Spijała miodną bryzę po wyjściu z samolotu.

– Nie rezygnuj teraz – powiedział pan Fox. – Nie po tym, jak musiałaś tyle czekać, żeby ją znaleźć.

Mówiłby to samo po sześciu miesiącach, po roku: „Nie rezygnuj teraz”. Może chciał, by została, póki nie będzie mogła obiecać, że przywiezie w kieszeni chemiczny eliksir płodności.

– Przekazałam wiadomość – oznajmiła Marina. Patrząc na to z perspektywy czasu, nie była do końca pewna, że cokolwiek przekazała, ale była przekonana, że doktor Swenson i tak nie wysłuchałaby żadnej wiadomości. Doktor Swenson nie słuchała Mariny, Andersa ani pana Focha. Doktor Swenson nie miała w zwyczaju słuchać. Marina nie mogła zmienić biegu rzeki. – Anders też przekazał wiadomość. Powiedziała mi o tym. Doskonale wie, czego chcesz, i myślę, że dostarczy ci to najszybciej, jak to możliwe.

– To nie jest sprawa, w której można komuś uwierzyć na słowo. Możliwe, że lek już istnieje albo że nigdy nawet nie zaczęła go tworzyć. To przedsięwzięcie ogromnej wagi i pociąga ogromne koszty. Musisz się dowiedzieć, w jakiej fazie są prace – powiedział pan Fox, a potem dodał: – Dokładnie.

Spojrzała na swoje stopy, jasne i zaczerwienione w świetle lampy, śliskie od neosporinu.

– Będziesz musiał poszukać kogoś innego.

– Marina – powiedział. – Marina, Marina. – Mówił z czułością w głosie, z miłością.

Wyczuła swoją kapitulację z odległości kilometra. Taką miała naturę, to był jej obowiązek. Powiedziała dobranoc i rozłączyła się. W zasadzie nie mogła go winić. Opatulony własną, ciepłą i suchą pościelą, naprawdę nie był w stanie zrozumieć, o co ją prosi. Przed wyjazdem sama też nie byłaby w stanie wyobrazić sobie tego miejsca.

To był dzień lariamu. Od rana odkładała połknięcie tabletki, ale co to zmieniało? W końcu i tak ją zażywała. Tabletki, które tak beztrudno wyrzuciła do śmietnika na lotnisku, zdołały ją znów odnaleźć. Tomo nigdy nie narzekał, że musi opuszczać recepcję, by przerwać jej krzyki łomotaniem do drzwi. I nawet jeśli chwilowo zmagala się z mdłościami, paranoją – mój Boże, trudno było przypisywać to wszystkiemu działaniu lariamu. Nawet gdyby poleciała jutro do domu, musiałaby go zażywać przez kolejne cztery tygodnie. W ten sposób lek przypominał pacjentowi, że podróż jeszcze się nie skończyła. Że trwa we krwi, w tkankach. Wszystkie potencjalne katastrofy związane z tym miejscem nadal będą się tam czały. Marina położyła tabletkę na języku i popiła ją połową butelki wody, która stała na komodzie, a potem zgasła światło. Zaczynała się przyzwyczajać do zagłębienia pośrodku materaca, do piankowej poduszki, która pachniała jak kartonowe pudła, do odgłosu wody płynącej do lodownika w korytarzu, i do następującego kilka godzin później zrzutu małych zamrożonych ładunków do pojemnika. Zastanawiała się, jak długo to wszystko będzie jej towarzyszyło po powrocie do domu. Zastanawiała się, jak długo zostanie z nią Anders i jakie uczucia będą towarzyszyły samotnemu powrotowi do ich laboratorium oraz kto w końcu przyjdzie go zastąpić. Zastanawiała się, jak długo będzie o nim myślała codziennie i jak to będzie zdać sobie kiedyś sprawę, że minęło kilka dni i zupełnie zapomniała o nim pomyśleć. Przypomniał jej się stosik listów napisanych przez Karen, który czekał w szufladzie stolika przy łóżku. Pomyślała o Andersie pogrzebanym w ziemi dżungli pięć tysięcy kilometrów od Eden Prairie. Mimo

zmęczenia nie mogła przez to zasnąć. Gdy umysł nie był już w stanie dłużej znieść tej wieści – Anders nie żyje – zajął się szczegółami: gdzie jest jego aparat? gdzie jest jego lornetka?

Po przebudzeniu Marina stała przed oknem swojego pokoju hotelowego, choć nie pamiętała, by wstawała z łóżka. Było strasznie zimno. Wcześniej chodziła z ojcem po kampusie uniwersytetu w Minnesocie, gdzie zrobiła doktorat z mikrobiologii. Mocno padał śnieg. Właściwie pamiętała jedynie Hindusów wychodzących ze wszystkich budynków i kobiety w czerwonych i fioletowych sari, które zupełnie odmieniły krajobraz, tak jak mężczyźni w różowych koszulach przełamujących biel. Drżeli na arktycznym wietrze, aż w końcu kolory zaczęły wibrować, tworząc morze drgających, pokrytych śniegiem maków. Zasnęła przy klimatyzacji pracującej pełną parą i teraz wewnętrzna powierzchnia hotelowego okna była tak mokra, że w stuporze niezakłóconego snu Marina zastanawiała się, czy w końcu nie zaczęło padać nawet w środku. Krople wody spływały po szybie, ograniczając widok na świat zewnętrzny do głębokiej, fioletowej ciemności upstrzonej kuleczkami połyskliwego światła. Zimne powietrze dmuchało z siłą huraganu w tanią bawełnianą koszulę nocną, którą kupiła u Rodriga. Przykucnęła przed umieszczonym pod oknem urządzeniem, podmuch odrzucił jej włosy do tyłu i na oślep wciskała małe guziki, aż w końcu system zrobił ostatni mroźny wydech i zamarł. Trzęsła się i nie była pewna, ile w tym winy temperatury, a ile snu. Mogła być pewna jedynie tego, że próbowała wrócić do domu, ale nie mogła z powodu śnieżycy. Nie wracała do domu. Być może pan Fox całą noc szeptał jej to do ucha – w każdym razie gdy spała, świat odsunął się od lotniska ku dokom. Mocne postanowienie, które powzięła w restauracji, najwidoczniej ustąpiło jak gorączka w którymś momencie nocy i budząc się, Marina czuła, jak Minnesota oddala się wraz z resztą jej snu. Nie zamierzała wracać do łóżka. Skończyła z tym łóżkiem. Jak niedobudzona lunatyczka pozbierała wszystko, co należało do Barbary Bovender: ubłoconą na dole sukienkę z szarego jedwabiu, okrutne buty, szal, wsuwki, i włożyła to do reklamówki. Potem pootwierała szuflady i wyjęła ich skromną zawartość. Poskładała swoje rzeczy, formując z nich stosiki na komodzie. Zaglądając w każdy kąt pokoju, powtarzała sobie, że teraz liczy się ruch, że chodzi nie tyle o to, by wrócić do domu, ile o to, by opuścić Manaus. Nie była pewna niczego z wyjątkiem tego, że nie spędzi kolejnej nocy w hotelu Indira. Położyła stosik listów Karen na

trzech złożonych bluzkach. Nie miała torby, w którą mogłaby włożyć swój dobytek, ale uznała, że to najmniejszy problem.

O szóstej ubrała się i wyszła. Wczesnym rankiem w mieście panowała atmosfera działania, dzieci siedziały na swoich kocach, malowane miski, prymitywne piszczałki i bransoletki z koralików, którymi handlowały, leżały w równych rzędach, kobiety szły w stronę hali targowiska, nie dziarsko, ale szybciej, niż szłyby o każdej innej porze dnia. Psy węszyły wzdłuż ulic w oddali z pochylonymi, czujnymi łbami, a światło i cień tworzyły doliny między ich żebrami.

Wyglądało na to, że w całym Manaus tylko Nixon jeszcze spał. Z twarzą wciśniętą policzkiem w biurko leżał w holu apartamentowca goszczącego doktor Swenson i Bovenderów, a jego wyciągnięte z przodu ręce były szeroko otwarte. Marina przez chwilę obserwowała ten głęboki i pozbawiony marzeń senny sen, czując do tego człowieka sympatię, dla której nie znajdowała uzasadnienia, chyba że chodziło o to, że tak niewielu ludzi w tym mieście znała z imienia. Wyobrażała go sobie jako dobrego człowieka, mimo że na dowód mogła mieć jedynie jego oddanie pracy.

Usiadła w holu, by napisać liścik do Bovenderów, ale gdy już zadała sobie trud znalezienia kartki i długopisu, odkryła, że nie ma pojęcia, co w nim zawrzeć. Nie mogła im podziękować. Byli przecież wielką ławą przysięgłych, trzymali ją w wynajętej celi hotelu Indira przez dwa tygodnie, zastanawiając się, czy jej przypadek zasługuje na uwagę doktor Swenson. A może powinna im podziękować, że zdołali podjąć decyzję w dwa tygodnie? Andersa zwodzili ponad miesiąc, cały zmarnowany miesiąc życia, podczas którego jego synowie sami jeździli rowerami w wiosennej brei. Uwagę Mariny odwrócił ciężki oddech Nixona. Nagle ustał. Dwadzieścia sekund, trzydzieści, już miała wstać, gdy w czterdziestej piątej sekundzie Nixon gwałtownie wciągnął powietrze, jego plecy się uniosły i znowu zaczął oddychać. Nadal pogrążony we śnie, westchnął i odwrócił twarz w drugą stronę. Bezdech śródsenny. Nic nie mogła na to poradzić.

Usadowiła się z powrotem w fotelu należącym do małej grupy mebli dla gości, gdzie siedziała sama. Nie mogła podziękować Bovenderom, ale odkryła, że nie może też mieć do nich pretensji. W wieku dwudziestu trzech lat z radością podjęłaby się takiej pracy. Gdyby pewne sprawy potoczyły się inaczej, mogłaby zostać na tym stanowisku do czterdziestego trzeciego roku życia. Gdyby Bovenderowie jej o tym nie przypomnieli, pewnie by zapomniała, jak to jest wpaść w zachwyt, zakochać się na

zabój w zasadach i prawdziwie wyjątkowym umyśle. Byli jedynie ładnymi dziećmi, lekkimi jak piórko i zdolnymi do niekończących się kłamstw, a jednak w ich słonecznej naturze tkwiło coś, co czyniło ich niezniszczalnymi. Oddałaby wszystko, by zabrać ich ze sobą do dżungli. Dlatego ostatecznie napisała prawdę w takiej postaci, jaką wówczas знаła. „Będzie mi państwa brakowało”. Opatrzyła reklamówkę ich nazwiskiem i dorzuciła dwadzieścia dolarów na czyszczenie sukienki, a potem zawiązała torbę na supeł i zostawiła na kontuarze obok jednej z rąk śpiącego Nixona. Doktor Swenson zazwyczaj zjawiała się przed czasem. Jeśli obchód zaczynał się o siódmej, pierwszego pacjenta odwiedzała już o szóstej trzydzieści. Nie trzeba było długich obserwacji, by poznać jej grafik. Marina nie chciała jej spotkać w holu, żeby nie wyglądało to jak zasadzka. Szybko ruszyła do sklepu Rodriga. O tej porze był już wypełniony ludźmi, jak wszystkie inne sklepy. Nalała sobie kawy z dzbanka na ladzie i gdy on obsługiwał klientów, znalazła nylonową torbę podróżną. Wzięła jeszcze więcej kremu z filtrem, więcej sprayu odstraszającego owady. Nie należało się zbytnio zastanawiać nad tym, czego będzie potrzebowała, bo w końcu wzięłaby wszystko. Całe zakupy trafiły na rachunek Vogla, łącznie z kawą. Sięgnęła po następne opakowanie plastra z opatrunkiem i po drugą parę japoniek. Gdy oglądała siatkę do zawieszenia nad łóżkiem, do sklepu weszli doktor Swenson i Milton.

Rodrigo zauważył ich pierwszy. W sklepie było za mało miejsca dla doktor Swenson i wszystkich kobiet przybyłych po mąkę i nici – rzeczy, które bez problemu mogły poczekać na późniejszą porę. Rodrigo zaczął wyganiać innych klientów. Krzyczał na nich, a mimo to nikt nie sprzeciwił się jego brutalności. Kilka kobiet odłożyło to, co akurat trzymało, i natychmiast wyszło ze sklepu, a inne czym prędzej zdjęły z półek kilka dodatkowych rzeczy i pospieszyły zapłacić przy ladzie. Może знаły doktor Swenson. Może szykowały się do wyjścia, tak jak chciał sprzedawca. Rodrigo, zawsze tak starannie wypisujący rachunki, szybko ocenił wzrokiem stertę towarów i warknął cenę, którą każda z kobiet uiściła bez pytania. Doktor Swenson w ogóle tego nie zauważyła. Stała z zadartą głową. Interesowały ją głównie artykuły z górnej półki, towary ignorowane przez codzienny pieszy ruch Brazylijczyków. Mamrotała swoje myśli do sufitu, a Milton je spisywał. Nie zauważyłaby Mariny, nawet gdyby ta została oblana żółtą farbą. Milton, który nie odrywał wzroku od notesu i ołówka, także jej nie dostrzegł. Klientki po kolei opuszczały sklep. Marina podeszła za ostatnią z nich do lady, by dodać zakupione rzeczy do swojego rachunku. Rodrigo, który zdawał się doskonale rozumieć podjętą przez nią decyzję, dorzucił dodatkowy kapelus, trzy

bawełniane chusteczki i kilka podłużnych opakowań dropsów.

– Bardzo wcześnie pani wstała, pani doktor – powiedziała doktor Swenson do sufitu.

Zaskoczony Milton podniósł głowę.

– O, dzień dobry – przywitał się. – Zatem mogę wykreślić ze swojej listy zadań odnalezienie pani dziś rano.

– Wspomniała pani, że będzie tu z samego rana – wyjaśniła Marina. – Poza tym ja też potrzebuję kilku rzeczy.

– Lista rzeczy potrzebnych w puszczy amazońskiej nie ma końca – stwierdziła doktor Swenson. – To, czego nie zjedzą robaki, szybko gnije. To dlatego nasz przyjaciel Rodrigo prowadzi taki świetny biznes. Natura gwarantuje nieustanny obrót towarów. Mimo to uważam, że skoro dziś pani wyjeżdża, lepsze zaopatrzenie zrobi pani w domu, chyba że szuka pani pamiątek.

Nie pozostało nic innego, jak tylko jej powiedzieć. Marina oznajmiła, że też wyrusza do dżungli. Doktor Swenson najwyraźniej nie była zaskoczona. Przyjęła wiadomość, jakby była ona dla niej tyleż niemiła, ile spodziewana.

– Rozmawiała pani z panem Foxem.

Marina także spojrzała na wysokie półki, zastanawiając się, co takiego można tam zobaczyć.

– Powinnam przynajmniej zabrać rzeczy Andersa.

– Rodzynki – powiedziała doktor Swenson do Milтона, który dopisał je do listy.

– Tapioka. – Zwróciła się do Mariny: – Czy brak zaproszenia ma dla pani jakieś znaczenie?

Byłoby łatwiej, gdyby została zaproszona, ale jeśli dobrze wiedziała, doktor Swenson nigdy nie zapraszała studentów na zajęcia, stażystów do programu ani pacjentów do szpitala. Nie widziała powodu, dla którego w tym wypadku miałyby być inaczej.

– Niezupełnie.

– Doktor Rapp zawsze powtarzał, że ludzie uwielbiają dołączać się do wypraw.

Przesunęła się bardzo powoli, kładąc uprzednio rękę na pudełku krakersów obok worka z kawą. Milton pisał dalej, a teraz zaczął pisać także Rodrigo. Starsza kobieta z dzieckiem przywiązany do piersi jaskrawoczerwoną chustą otworzyła drzwi, lecz na widok ludzi w środku zawróciła i wyszła bez słowa.

– W wypadku jego wypraw niewątpliwie tak było. Sama widziałam.



Niekończąca się procesja kundli i symulantów, najbardziej leniwych wyrzutków, którzy uważali się za odkrywców. Jego polityka była jasna: nie brał odpowiedzialności za ich żywienie, schronienie, bezpieczeństwo ani zdrowie. Nie tracił czasu na zniechęcanie ich, bo szczerze mówiąc nie było takich argumentów, które by ich przekonały. Całą energię, którą mogli włożyć w inteligencję, zużyli na umacnianie się w uporze. Ale szybko się przekonałam, że ich upór ograniczał się do wyruszania w drogę, a nie do wytrwania w podróży. Gdy tylko stawali na szlaku, zaczęli padać jak muchy. Niektórzy wytrzymywali dzień albo dwa, inni rezygnowali po kilku godzinach, a doktor Rapp nigdy na nich nie czekał. Pozostawał cudownie konsekwentny: był tam po to, by pracować, więc kontynuował pracę. Nie odsyłał łodzią słabych i chrymch. Sami postanowili się tam dostać, więc sami musieli znaleźć sposób, by się stamtąd wydostać. Ludzie chętnie godzili się na te warunki, dopóki sami nie zaniemogli. Wtedy zupełnie zmieniali ton i zarzucali doktorowi Rappowi, że jest bez serca. Nie mogli go znieważać jako naukowca, ale mówili niekończące się obelżywości o nim jako człowieku. Nie uratował ich! Nie był dla nich ojcem i matką! Zaręczam pani, że żadne z tych słów nie spędzało mu snu z powiek. Gdyby wziął za nich odpowiedzialność, odwodząc ich od zrealizowania ich ambicji albo ratując przed ich własną głupotą, najwspanialszy botanik naszych czasów zostałby zdegradowany do niańki. To byłby nieobliczalny cios dla nauki, a wszystko w imię ocalenia głupców.

Powietrze, zawsze ciężkie, zupełnie zastygło. Milton bez namysłu wsunął ołówek i *notes* do kieszeni, a Rodrigo odłożył swój. Gdy doktor Swenson obliczała, ile jedzenia potrzebuje ze sobą zabrać, pozostała trójka stała z zapartym tchem, nawet nie mrugając. Marina czuła się tak, jakby usiłowała sobie przypomnieć odpowiedź, choć nie padło żadne pytanie. Wszyscy czekali.

– Nie sądzę, bym okazała się dla pani równie wielkim kłopotem – powiedziała w końcu.

Doktor Swenson, która skupiła się na małym opakowaniu skarpetek, nie podniosła wzroku.

– Równie wielkim jak co?

– Jak kundle – odpowiedziała Marina. – I symulanci.

– Nie musi pani brać wszystkiego do siebie. Opowiedziałam pewną historię. To nie była historia o pani.

Po tych słowach Milton wciągnął powietrze równie gwałtownie jak wcześniej Nixon na kontuarze.

– No i proszę – powiedział, chcąc przyjąć to wyjaśnienie. – Ile puszek moreli?

Doktor Swenson odczekała chwilę, jakby tworzyła rejestr w głowie.

– Skrzynkę więcej niż zwykle – powiedziała, spoglądając na Marinę. Nie sposób powiedzieć, jak dużo moreli zje dodatkowa osoba, gdy oddalą się od cywilizacji.

Następnie uzgodniono, że Milton odbierze Marinę sprzed hotelu Indira o jedenastej, więc pomimo panującego o tej porze upału stała gotowa przed wejściem, wciśnięta pod markizę z w połowie pustą torbą. Pożegnała się z Tomem, który z ogromną radością zgodził się przechować jej płaszcz i swetry do powrotu Mariny z dżungli. Nie pożegnała się z panem Foxem. Miasto, tak ruchliwe w chwili jej przebudzenia o poranku, było teraz praktycznie opustoszałe. Psy przywierały do drzwi, kryjąc się w wąskich paskach cienia. Samochody sunęły powoli, jakby każdy kierowca próbował zdecydować, czy to przypadkiem nie on powinien zawieźć Marinę do doków. Przyglądali jej się uważnie i naciskali klakson.

Gdy Milton w końcu przyjechał, na fotelu pasażera siedział Easter. Zobaczywszy Marinę przez otwarte okno, chłopiec wyciągnął do niej rękę, jakby należał wyłącznie do niej. W tym, że ją rozpoznał, było coś wspaniałego, szczęście na jego twarzy wydawało się zupełnie nieproporcjonalne do stopnia ich znajomości. Marina podeszła do niego i ujęła dłonie chłopca, a on powitał ją entuzjastycznym uściskiem obu rąk. Milton dotknął ramienia chłopca kciukiem i wskazał mu miejsce z tyłu. Easter natychmiast przeskoczył z miejsca na miejsce, demonstrując sztuczkę, którą zachował specjalnie na tę okazję.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Milton zmęczonym głosem, kiedy Marina wsiadła do samochodu.

Siedział na złożonym ręczniku, jego koszula, spodnie i włosy były kompletnie przemoczone. Nawet mały słomkowy kapelusz odsunięty na tył głowy oklapł i zawilgotniał. Kilka przecznic dalej mogła szaleć burza, której Marina nawet nie widziała. A może wpadł do rzeki.

– Co mam panu wybaczyć?

Milton pokręcił głową.

– Załadunek zajął nam więcej czasu, niż przypuszczaliśmy. – Wyjął mniejszy ręcznik i otarł nim twarz.

Easter wysunął się przez okno aż do pasa i rozglądał się na wszystkie strony: chłopiec jak żółw, samochód jak skorupa. Wiatr wysuszył koszulkę piłkarską z poprzedniego dnia i mierzwił ciemne mokre loki na karku chłopca. Patrząc na niego,

Marina zdała sobie sprawę, że Easter jest kimś w rodzaju gwaranta. Łódź była załadowana, doktor Swenson weszła już na pokład. Gdyby Milton nie wziął ze sobą Eastera, doktor Swenson nie miałaby powodu, by zwlekać tych kilka minut potrzebnych na kurs pod hotel i z powrotem.

– I tak nie miałam nic innego do roboty – powiedziała Marina.

– Podoba mu się samochód – wyjaśnił Milton, przechylając głowę do tyłu.

– Z pewnością.

Marina nigdy wcześniej nie dotarła aż do portu, który znajdował się dalej w górę rzeki. Drewniane deski pomostu zostały wypaczone przez niekończącą się serię upałów przeplatanych ulewnymi deszczami. Kolekcja zardzewiałych holowników i barek mieszkalnych, które wyglądały, jakby składano je przez wiele pokoleń, unosiła się między wolno płynącymi taksówkami wodnymi. Z nabrzeża widziała frachtowce i statki wycieczkowe sunące w oddali gęsiego obok betonowych pirsów. Poniżej zauważyła drobną postać drepczącą w cieniu czarnej parasolki.

– Jesteśmy spóźnieni, Milton – zawołała doktor Swenson. Silnik łodzi już pracował i nad wodą unosił się blady lawendowy dym.

– To ostatnia szansa, by zmienić zdanie – powiedział Milton ściszym głosem.

– Jeśli jest pani skłonna zmienić zdanie.

Easter wyprzedził ich, biegnąc w japonkach, rezygnując z niebezpiecznych schodów na rzecz jeszcze bardziej niebezpiecznej pochyłości z błota, kamieni i chwastów. Mieli płynąć łodzią pontonową, taką jaką jej ojciec wynajmował na weekend co roku latem, gdy Marina była mała i jej rodzice byli jeszcze małżeństwem. Ojciec był słabym żeglarzem, ale twierdził, że ponton jest jak kucyk wypożyczony dzieciom: stateczny i niski, nieskory do gwałtownych ruchów.

– Nic mi się nie stanie – zapewniła Marina.

Była teraz w ruchu. Równie dobrze mogła już płynąć.

– Nie przypominam sobie, żebyś ci kazała zabrać ze sobą Eastera – powiedziała doktor Swenson, kiedy podeszli do starego pontonu z płaskim metalowym dachem.

Chłopiec stał już za nią i trzymał ręce na sterze, udając, że steruje. Wzdłuż burty leżały starannie rozmieszczone skrzynie i łódź miała spore zanurzenie.

– Nie, nie kazała mi pani – potwierdził Milton.

Podał Marinie dłoń, by pomóc jej wejść na pokład, i w chwili gdy jej dotknęła, pomyślała o nim to samo, co wcześniej o Bovenderach. Byłoby znacznie lepiej, gdyby

po prostu popłynął razem z nią.

Doktor Swenson poklepała Eastera po ramieniu i wskazała cumy, na co chłopiec wyskoczył z łodzi, by je odwiązać. Oparł się stopami o krawędź nabrzeża, zacisnął na niej palce u nóg i odepchnął łódź. Pozwolił jej odpłynąć tak daleko, że przez jedną okropną chwilę Marina myślała, iż on też nie płynie, ale potem skoczył, jakby dziecięce kości miał wypełnione sprężynami, po czym wylądował obiema stopami na pokładzie.

– Płyńcie bezpiecznie – powiedział Milton i uniósł dłoń na pożegnanie.

Był jedyną osobą w porcie i stał tam, jakby patrzył na Lusitanię. Machał, by wrócili, a nie by wypłynęli.

Easter pewnie stał za sterem. Dziecko wolno wprowadziło łódź w mały nurt prądu, z powagą w oczach lustrując szeroki horyzont. Doktor Swenson, bezpieczna pod zadaszeniem łodzi, złożyła parasolkę. Marina rzuciła torbę pod nogi i złapała się barierek. Milton oddalał się, ale nie odchodził, stał z uniesioną dłonią, coraz bardziej malejąc. Drogi Milton. Pomachała do niego. Nie wyraziła jasno swojej wdzięczności. Po tych wszystkich pustych godzinach, w czasie których można by przeprowadzić wszystkie rozmowy świata, odpłynęli w kilka minut, nie wspominając o tym, dokąd zmierzają, ile czasu zajmie im podróż ani kiedy będą mogli zacząć planować powrót. Jednak, o dziwo, to wszystko przestało się liczyć. Marina nie rozumiała potęgi rzeki, dopóki nie znalazła się na wodzie. Niebo było usmarowane białymi chmurami, które nawarstwiały się albo rzedły, w zależności od tego, w którą stronę spojrzała. Część z tych chmur zakryła słońce, więc przez chwilę było chłodniej, a bryza towarzysząca ruchowi łodzi odganiała owady. Ptaki przylatywały od strony brzegu i śmigały nad wodą. Marina wyobraziła sobie Andersa na dziobie, z lornetką uniesioną do oczu. Ależ musiał się cieszyć, że w końcu opuszczał to miasto. Marina nigdy by w to nie uwierzyła, dopóki sama nie weszła na pokład, ale woda przyniosła jej ogromną ulgę.

– Pięknie tu – powiedziała do jedynej uczestniczki wyprawy, która mogła ją usłyszeć.

– Zawsze czujemy się lepiej, gdy zmierzamy w stronę domu – odrzekła doktor Swenson.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na Negro panował spory ruch, barki i holowniki, taksówki wodne z gnijącymi zadaszieniami krytymi strzechą, na których uwiły gniazda jaskółki rzeczne, drażone czółna wiozące całe rodziny – siostry z dziećmi, braci, kuzynów, dziadków i ciotki trzymające otwarte parasolki; w jednym czólnie tłoczyło się tyle osób, że jego krawędź prawie równała się z powierzchnią brązowej wody, gdy jeden człowiek z tyłu ostrożnie wiosłował. Mniejsze łódki trzymały się brzegu, a statek wycieczkowy, biały jak mundur galowy marynarza, wzburzał środkowy pas. Easter zachowywał bezwzględną czujność. Bryza odgarniała do tyłu jego mokre włosy, a on powoli wodził oczami z boku na bok. Zwalniał przez szacunek dla innych, mniejszych łódek i machał do tych większych, gdy czyniły to samo dla niego. Całość nosiła wszelkie znamiona uporządkowanego świata. Potem chłopiec odwracał się i spoglądał za siebie, kiwał głową w stronę Mariny i doktor Swenson, a one odpowiadały mu takim samym skinieniem.

– Steruje przez całą drogę? – zapytała Marina, nie mając pojęcia, jak daleko się wybierają.

Doktor Swenson potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Lubi to. – Siedziała na skrzynce pełnej puszek z zapiekanką mięsno-ziemniaczaną, a Marina stała. – Który chłopiec nie chciałby sterować łodzią? To daje mu mocną pozycję w plemienu. Steruje albo Easter, albo ja, nikt inny. Kilku mężczyzn ma łódki z silnikiem przyczepnym, z których korzystają od lat, ale nigdy nie sterowali taką łodzią jak ta. Kiedy widzą, jakim zaufaniem darzę Eastera, są zmuszeni okazać mu szacunek. Z silnikiem też radzi sobie dobrze. Rozpracował go.

Marina nie była znawczynią dzieci, ale jej zdaniem Easter wyglądał za młodo jak na kapitana łodzi albo mechanika oraz kogoś, kto samotnie spaceruje po mieście nocą, choć jakiś kilometr wcześniej widziała dziecko, które samo płynęło maleńką łódeczką, mimo że mogło mieć najwyżej pięć lat. Na dziobie leżała włócznia, a wiosło rytmicznie zanurzało się w wodzie i wynurzało z niej.

– Ile lat ma Easter?

Doktor Swenson podniosła głowę i mrużąc oczy, spojrzała w stronę Mariny.

– Zapytać go?

Czy to możliwe, że skoro doktor Swenson nie zmieniła się pod wpływem czasu, doświadczenia, warunków geograficznych i klimatycznych, w Marinie także nie zaszły żadne istotne zmiany? Czy tak naprawdę nadal była tą samą osobą co na studiach medycznych, w podstawówce?

– Musi mi pani wybaczyć – powiedziała Marina, a potem wróciła do poprzedniego pytania. – Nie wiem o Lakaszich nic ponad to, co pani napisała, a nie pisała pani o ich zdolności percepcji czasu. Czy ktokolwiek z nich wie, ile ma lat? Czy jego rodzice wiedzą?

– Formuluje pani niekończące się założenia, pani doktor. To pani zwyczaj? Muszę powiedzieć, że tę jedną rzecz podziwiałam u doktora Eckmana: absolutnie żadnych przyjętych z góry wniosków. Prawdziwie otwarty umysł to największy atut naukowca. Musiał być bardzo wnikliwym badaczem. W innych okolicznościach poprosiłabym go pewnie, by tu został.

Marinę ani trochę nie wytrąciła z równowagi ta pochwała Andersa. Wiedziała, jaką rolę odgrywają komplementy w pedagogice doktor Swenson: używała ich nie po to, by kogoś wywyższyć, lecz by pokazać komuś innemu, gdzie jego miejsce. Marina żałowała jedynie, że nie może tego powtórzyć Andersowi. Bez wątpienia byłby zszokowany tak wielką życzliwością okazaną mu po śmierci.

– Natomiast pani zakłada, że Easter jest z plemienia Lakaszi. Nie jest. Oczywiście nie mogę mieć pewności, skąd się wziął, bo pewnego ranka najzwyczajniej zjawił się w wiosce, nie słysząc i nie mówiąc. Gdybym miała pójść za pani przykładem, na podstawie kształtu jego głowy i ułożenia zatok założyłabym, że jest z plemienia Hummocca. Huramocca mają mniej widoczne zagłębienia zatok niż Lakaszi. Ich twarze są bardziej zaokrąglone, nie aż tak płaskie, ale różnica jest subtelna. Poza tym są trochę niżsi, co prowadzi nas z powrotem do pani pytania o jego wiek. Mówię to wszystko w oparciu o jedno krótkie i nieprzyjemne spotkanie sprzed wielu lat z członkami tego plemienia. Mimo to uważam, że strach może czasami podnieść naszą zdolność obserwacji do poziomu wielkiej przenikliwości. Pamiętam głowy Hummocców tak wyraźnie, jakbym przeprowadziła sekcję jednej z nich.

Dwupokładowa łódź turystyczna przepłynęła obok, nie zwalnając, i na chwilę wpadli w spieniony kilwater. Gdy ponton zaczął szarpać w przód i w tył, kołysząc się na małych falach jak beczka, Marina chwyciła się słupka, a Easter uniósł pięść,

wygrazając większej łodzi. Turysta z wyższego pokładu skierował w ich stronę aparat fotograficzny. Doktor Swenson na chwilę pochyliła głowę, jakby chciała zatopić drugą łódź siłą swojego skupienia.

Gdy najgorsze kołysanie minęło, Annick Swenson podniosła głowę. Jej niebieskie oczy były jasne i otoczone kropelkami potu.

– Niech pani zawsze wybiera pontony – poradziła, sapiąc lekko, jakby usiłowała powstrzymać wymioty. – Nie wyobraża sobie pani, jak mocno uderzyłby w nas ten kilwater, gdybyśmy nie płynęli pontonem. Ale do czegoś zmierzałam: Easter jest bardzo małym dzieckiem, powiedziałabym nawet, że opóźnionym. Przyczyna leży prawdopodobnie w stałym braku pożywienia. Wydaje się całkiem możliwe, że nikt nie chciał dawać części plemiennych zasobów głuchemu dziecku albo też choroba, w wyniku której ogłuchło, zatrzymała także jego wzrost. Teraz jednak zbaczam w stronę czegoś, co można nazwać jedynie domysłami, a to nigdy w niczym nie pomaga. Biorąc pod uwagę jego umiejętności, zdolność uczenia się, byłabym skłonna go uznać za dwunastolatka o przeciętnej, być może ponadprzeciętnej inteligencji. Moja ocena będzie bardziej precyzyjna, kiedy chłopiec wejdzie w okres dojrzewania. Początek dojrzewania przedstawicieli płci męskiej to w plemienu Lakaszi okres między trzynaście przecinek dwa a trzynaście przecinek osiem, znacznie węższy przedział niż u Amerykanów. Obawiam się, że nigdy się nie dowiem, czy w wypadku plemienia Hummocca jest podobnie. Ma pani dzieci, pani doktor?

Marina była co najmniej trzy pytania z tyłu. Bardzo chciała poznać szczegóły tamtego nieprzyjemnego spotkania, ale czując, że została wywołana do najłatwiejszej odpowiedzi, przecząco pokręciła głową.

– Nie.

– To dobrze. Doktor Eckman nie powinien był tu przyjeżdżać, zostawiając w domu troje dzieci. Jest pani mężatką?

– Nie.

– To też dobrze. – Doktor Swenson z aprobatą pokiwała głową, a potem zwróciła twarz w stronę bryzy. Niebo nawijało błękit nad rzeką w obydwu bezkresnych kierunkach. – To zajęcie dla starych panien, i nie mówię tego obraźliwie, bo sama jestem jedną z nich. Łatwiej mi się pogodzić z pani obecnością na tym pokładzie, kiedy znam pani sytuację.

Skoro mowa o założeniach: ile światła rzuca na jej sytuację fakt niezamężności i bezdzietności? Czy to oznacza, że gdyby umarła, nikt by po niej strasznie nie

rozpaczał, że nie pojawiłoby się tyle komplikacji, ile wywołała śmierć doktora Eckmana? Marina nic nie powiedziała, ale usiadła na pokładzie obok nóg doktor Swenson. Słońce wdzierало się pod zadaszenie i chciała się schronić w cieniu.

Doktor Swenson przechyliła się na bok i otwartą dłonią poklepała swoją skrzynkę konserwowej zapiekanki.

– Wolę siedzieć na skrzynce. Nie chroni przed karaluchami, ale lubię myśleć, że przesyła pewną wiadomość: jesteśmy na innym poziomie. Jest tu skrzynka z sokiem grejpfrutowym. Zachęcam.

Marina posłusznie wstała i wypchnęła skrzynkę z sokiem, a potem na niej usiadła. Minęli grupkę otwartych domów wzniesionych na palach. Kilkoro dzieci, wszystkie za małe, by wchodzić same do wody, stały zanurzone po pas w rzece i machały.

– A jeśli chodzi o rodziców Eastera... – Doktor Swenson urwała i spojrzała na drobne plecy kapitana. Przechyliła głowę w bok. – W tym wypadku rodzice to bardzo sentymentalne określenie. Mężczyzna, który zapłodnił kobietę, kobieta, która wypchnęła dziecko ze swojego ciała, inni członkowie plemienia, którzy mogli, ale nie musieli podjąć próby wychowania tego dziecka, kiedy tamta para nie stanęła na wysokości zadania: jego rodzice się nie ujawnili. Hummocca zostawili to Lakaszim, co, zważywszy zwyczaję tego pierwszego plemienia, wydaje mi się uderzającym przejawem ludzkich uczuć. Pomyślałabym raczej, że są bardziej skłonni porzucić dziecko w dżungli, by umarło z głodu lub zostało pożarte. Chcę przez to wszystko powiedzieć, że chłopiec jest ze mną już od jakichś ośmiu lat, osiem minęło w ostatnie święta wielkanocne. Chyba to ja jestem jego rodzicami.

– Całkiem prawdopodobne, że Hummocca pozostawili Eastera pani, a nie Lakaszim, zakładając, że wiedzieli o pani obecności. – Gdy tylko te słowa wyszły z jej ust, Marina zdała sobie sprawę, że poczyniła kolejne założenie, ale doktor Swenson puściła to mimo uszu.

– Och, wiedzieli, że tam jestem – powiedziała, potakująco kiwając głową. – W końcu wszyscy się o wszystkim dowiadują. Z początku człowiek myśli, że w dżungli jest bardzo odizolowany, ale to nieprawda. Wieści rozchodzą się wśród plemion, mimo że nigdy nie zdołałam się dowiedzieć, jak to się dzieje, bo wiele z nich odmawia komunikowania się ze sobą nawzajem. Byłby z tego wspaniały temat rozprawy, gdyby kiedykolwiek zapragnęła pani pogłębić edukację.

Marina wspomniałaby o swoich dwóch doktoratach, ale nie zdążyła się wtrącić.



– Moim zdaniem to małpy – ciągnęła doktor Swenson. – Chociaż z drugiej strony zazwyczaj za wszystko winię małpy. „Biała kobieta mieszka z plemieniem Lakaszi”. Tego typu wieści rozchodzą się wzdłuż rzeki w kilka godzin. Potem któregoś dnia chłopiec ścina drzewo maczetą, a gdy bierze zamach, zatapia ostrze w głowie siostry. Zadziwiająco, że takie rzeczy nie dzieją się tu co piętnaście minut. No więc znalazłam w torbie igłę i kawałek żyłki i zszylałam tę dziewczynkę. Było dużo krwi, a ona bardzo dramatyzowała, ale przecież zszycie komuś głowy nie wymaga ukończenia studiów medycznych. Nie trzeba było wielu takich wypadków: ukąszenie przez węża, poród pośladkowy i nagle cała Brazylia wie, że niedaleko Rio Negro jest pewna lekarka. Musi to pani zrozumieć, pani doktor, choć bardzo niewiele rozumie: nie jestem z Lekarzy bez Granic. Nie przyjechałam do puszczy amazońskiej, by zostać lekarzem rodzinnym. Po prostu na początku popełniłam pewne błędy. Gdy tu przyjechałam, nie wiedzieli, że jestem lekarką. Dla Lakaszich byłam członkinią zespołu doktora Rappa. Myśleli, że jestem taka jak on, że interesuje mnie flora, a nie oni. Kiedy przyjechałam już sama, przez kilka pierwszych lat bez końca przynosili mi różne grzyby. Przyciągnęli do obozu tyle zwałonych pni olbrzymich zgniłych drzew, że każde towarzystwo mikologiczne wpadłoby w euforię. Zupełnie nie zauważali tego, że mierzyłam im temperaturę, pobierałam krew i ważyłam ich dzieci: nadal widzieli we mnie tę osobę, którą poznali, następczynię doktora Rappa. Zamierzałam być taka jak on, płynąć na fali ich chybionych wniosków, ale pewnego razu zszylałam głowę tej dziewczynki. To był fatalny błąd. Ani się obejrzałam, jak w łodziach zaczęto przywozić chorych, by oddać ich pod moją opiekę, aż w końcu podrzucono mi głuche dziecko.

Głuche dziecko wozilo ją do miasta. Odeskortowało jej gościa do restauracji po operze, załadowało pudła na łódź i sterowało łodzią płynącą po rzece. Głuche dziecko na coś się jednak przydawało.

– Istniała jakaś inna możliwość? – zapytała Marina. – Wracając do tamtej dziewczynki.

– Do tej hemofiliczki? Pytanie, czy postanawia pani zakłócić porządek otaczającego świata, czy może pozwolić mu trwać, jakby nigdy się pani nie zjawiała. Na tym polega szacunek dla rdzennych mieszkańców. Jeśli choć trochę pani uważa, przekona się pani, że i tak nie mogłaby pani nawrócić ich na swój styl życia. To nieustępliwa rasa. Każdy wynalazek, jaki im pani podsunie, zostanie odrzucony, zanim zdąży się pani odwrócić. Równie dobrze można by próbować wyprostować zakole rzeki. Dlatego najważniejsze to obserwować życie, które sami tu ukształtowali,

i uczyć się od nich.

Marina czuła się dziwnie nieporuszona tymi słowami.

– Więc gdyby udało się cofnąć czas i stanęłoby przed panią dziecko z maczetą w głowie, co by pani zrobiła?

Im dalej płynęli, tym mniej łodzi mijali. Od czasu do czasu nadal dostrzegali jakąś grupę ludzi, przeważnie bardzo małych dzieci stłoczonych nad brzegiem, ale było ich coraz mniej. Dobrze się czuła, zadając pytanie po raz drugi. To coś, na co w przeszłości na pewno by się nie zdobyła.

– Dramatyzuje pani, pani doktor. Powiedziałam pani, że to dziecko miało maczetę w głowie? Powiedziałam, że odniosło ranę. Bez wątplenia doszło do pęknięcia czaszki. Wybrałam cążkami fragmenty kości, ale nic innego nie można było zrobić. Jeśli wyciekał płyn mózgowo-rdzeniowy, to nie w mojej obecności. Zszyłam ją, dałam trochę maści z antybiotykiem. Hura, teraz mogę spełnić pani oczekiwania w zakresie przyzwoitości, oczywiście chyba że pani oczekiwania obejmują zabranie jej do Manaus na prześwietlenie. Ale działania, które pani podziwia, są nierozsądne, były odruchowe, przywiozłam je ze sobą wraz z zachodnim wykształceniem medycznym. Powinna pani zapytać, co by się stało z dziewczynką, gdyby mnie nie było. Plemię miało kogoś, kto radził sobie z takimi sytuacjami przed moim przybyciem, i on, bo w tym wypadku to był on, wykorzystałby wszelkie dostępne środki, by jej pomóc. Czy miałby sterylną igłę? Raczej nie. Czy ona by umarła? Bardzo wątpliwe. Ale skoro już pani moralizuje, warto zadać sobie następne pytanie: co się stanie ze zranioną przez brata dziewczynką po moim wyjeździe? Czy plemię nadal ufa człowiekowi, który zszywał głowy przede mną? Zachował swoje umiejętności czy za bardzo skupił się na obserwowaniu moich. Nie zamierzam tu zostać na zawsze.

– Myśli pani, że ten mężczyzna, który zszywa głowę dziewczynce, ten, którego tak pani szanuje, stosuje równie skuteczne metody jak pani?

– Teraz celowo sięga pani po absurd. Mam bardzo niewielki szacunek dla tego, co uważa się tutaj za naukę. Człowiek Zachodu niczego nie kocha bardziej niż myśli o uleczeniu jakimiś nalewkami z gotowanych korzonków. Wydaje mu się, że to miejsce jest czymś w rodzaju czarodziejskiej skarbnicy leków, ale większość tutejszych kuracji składa się ze słabo zachowanych plotek przekazywanych przez wieki przez ludzi, którzy wiedzieli bardzo mało, ludziom, którzy wiedzą jeszcze mniej. Oczywiście dżungla ma wiele do zaoferowania, w końcu przyjechałam tu po to, by stworzyć lekarstwo, ale w większości wypadków rośliny są równie bezużyteczne jak begonia w

donicze rosnąca na parapecie w pani kuchni. Te, które mają potencjał, mogą być przydatne w medycynie, tylko jeśli zastosuje się je w odpowiedni sposób. Ci ludzie nie znają pojęcia dawki ani określonej długości kuracji. Jeśli cokolwiek z tego działa, moim zdaniem zakrawa to na cud.

Marina przypomniała sobie kubek szlamu, który Barbara Bovender przyniosła jej od szamana, i zastanawiała się, czy jest jedynie człowiekiem Zachodu, który uległ urokowi gotowanej nalewki. Nigdy by się nie przyznała, że spróbowała takiego lekarstwa.

Doktor Swenson na chwilę się ożywiła.

– Powiem pani, do czego tutejsi mieszkańcy mają prawdziwy talent: do trucizn. Tyle tu roślin, owadów i różnych gadów zdolnych zabić człowieka, że chyba nawet idiota potrafi uzyskać substancję, która powaliłaby słonia. Co do reszty, ludzie żyją bez względu na to, jaką otrzymują opiekę. Zwierzę zwane człowiekiem jest zbyt odporne, by mogło być inaczej. Nie mnie się do tego wtrącać.

– Rozumiem pani nastawienie. Po prostu uważam, że w tej konkretnej chwili, mając przed sobą dziecko i krew, trudno byłoby nie zareagować.

– Może w takim razie dzięki pani obecności tutaj zyskam więcej czasu. Wszystkie codzienne nagłe przypadki będę kierowała do pani.

Słyszając to, Marina się roześmiała.

– Jestem pewna, że byliby bardziej zadowoleni z lokalnej opieki medycznej. Nikogo nie zszywałam od blisko piętnastu lat.

Nagle Marina zdała sobie sprawę, że nie pamięta, jak zszywała ostatnią pacjentkę. Pamiętała, że wyjęła noworodka i że w tamtej chwili zdała sobie sprawę, co zrobiła. Pamiętała, że jedna z pielęgniarek wzięła dziecko, ale co było potem? Gdzie była igła? Nie zostawiła pacjentki w takim stanie, z macicą i brzuchem otwartym na świat, ale nie mogła znaleźć w pamięci obrazu, na którym by ją zszywała.

– To natychmiast się przypomina – powiedziała doktor Swenson. – Była pani moją studentką. Proszę mi wierzyć, wbiłam to pani do głowy.

Marina nadal szukała w myślach chwili zakończenia zabiegu, lecz przyszło jej do głowy coś innego:

– A doktor Rapp?

– Co z nim?

– Czy on nie zszyłby głowy tej dziewczynki?

Doktor Swenson prychnęła.

– Z pewnością by tego nie zrobił, i to nie dlatego, że nie był lekarzem. Doskonale znał się na fizjologii człowieka i miał najpewniejsze ręce, jakie kiedykolwiek widziałam. Mógłby wszczepić żyły przy ognisku, gdyby uznał, że to konieczne. Ale doktor Rapp nie miał wygórowanego mniemania o swojej roli w plemienu. Nigdy nie dążył do bycia wielkim białym bohaterem. Nigdy nie brał ani jednego okazu więcej, niż to było absolutnie konieczne. Niczego nie zakłócał.

– Więc pozwoliliby jej wykrwawić się na śmierć.

– Uszanowałyby zastany porządek.

Marina pokiwała głową, myśląc, że być może ma więcej szczęścia, niż myślała, skoro znalazła się w ekspedycji, która zachowała jeszcze zdolność do popełniania błędów współczucia.

– Czy doktor Rapp nadal żyje?

Równie dobrze mogłaby zapytać, czy prezydent Kennedy przeżył zamach.

– Czyta pani cokolwiek, pani doktor? Żyje pani na tym świecie?

Było to piękne pytanie z ust kobiety siedzącej w łodzi, która wiozła ją rzeką ku bijącemu sercu nicości.

– Tak – odpowiedziała Marina.

Doktor Swenson westchnęła i pokręciła głową.

– Doktor Rapp zmarł dziewięć lat temu. W sierpniu minie dziesięć.

Marina, czując, że współczucie jest na miejscu, powiedziała, że przykro jej to słyszeć, a doktor Swenson jej podziękowała.

– Studiowała pani wtedy mikologię? To dlatego zaczęła pani współpracować z doktorem Rappem? – Przecież to wydawało się możliwe, wszystko było możliwe. Mogła nawet przybyć do Amazonii jako agentka CIA.

– Byłam studentką doktora Rappa, a nikt nie umiał przewidzieć, gdzie doktor Rapp postanowi prowadzić zajęcia. Jeździłam za nim po Afryce i Indonezji, ale to Amazonia była źródłem jego najważniejszych dokonań. Studiował botanikę, a ja mogłam swobodnie studiować funkcjonowanie umysłu prawdziwego naukowca. Robiąc licencjat na Radcliffe, nie mogłam chodzić na jego zajęcia na Harvardzie, Harvard nie zniósłby niczego aż tak radykalnego, ale doktor Rapp pozwalał mi brać udział w wyprawach. Był pierwszym napotkanym przeze mnie wykładowcą, który nie stwarzał ograniczeń kobietom. Jak się okazało – jedynym.

Po tych słowach długo milczały, wpatrując się w różne elementy dżungli, która przesuwała się obok, odtwarzając bez końca ten sam kawałek scenerii. Dwie godziny

później Easter zrezygnował z ochrony zapewnianej przez prawy brzeg i przeciął rzekę, odbijając ku lewemu. Tam skręcił w dopływ, który pod każdym względem przypominał inne niezliczone dopływy, jakie minęli wcześniej, i choć nie był oznaczony, stanowił zjazd z autostrady międzystanowej prowadzący na ulicę, przy której mieszkała doktor Swenson. Nie popłynęła za nimi żadna inna łódź, choć miejsce, w którym dopływ wpadał do rzeki, było szerokie. Kilka minut później bezimienna rzeka zwęziła się, zieleń opadła za nimi niczym kurtyna i Negro zniknęła. Wcześniej Marina myślała, że ważna granica, którą przekroczyła, ciągnęła się między dokiem a łodzią, lądem i wodą. Myślała, że to woda jest granicą, za którą znika cywilizacja. Gdy jednak sunęli między dwiema grubymi ścianami oddychającej roślinności, zdała sobie sprawę, że jest w zupełnie innym świecie i że zanim dotrą do celu, cywilizacja będzie znikać jeszcze wiele razy. Marina widziała jedynie zieleń. Niebo, woda, kora drzew: wszystko, co nie było zielone, stawało się zielone. „W zielonym stroju mknęła moja miłość”<sup>1</sup>.

Doktor Swenson oznajmiła, że pora na lunch.

– Chłopiec zasługuje na odpoczynek. Stoi tam taki wyprężony, że gdyby spadł na niego orzech, roztrzaskałby biedaka na kawałki. Nie ma sposobu, by komuś przekazać, że powinien się odprężyć, zdaje sobie pani z tego sprawę? Można się przeciągnąć i wygiąć szyję na boki, ale to wszystko wygląda niedorzecznie.

Doktor Swenson położyła ręce na udach i spróbowała się podźwignąć, ale nie wstała. Była cięższa w pasie niż w Baltimore i wyglądało na to, że waga i długie siedzenie przykuło ją do skrzynki z konserwami. Z obliczeń Mariny wynikało, że doktor Swenson ma około siedemdziesiątki. Możliwe, że na tym etapie nawet ktoś taki jak ona czuł zmęczenie. Marina wstała i wyciągnęła rękę. Doktor Swenson przez chwilę masowała kolana, uparcie odwracając wzrok, ale potem przyjęła pomocną dłoń.

– Dziękuję – powiedziała. Wstała i wypuściła rękę Mariny. – To trudne dni. Mimo całej mojej wiedzy o ludzkim ciele nie tego się spodziewałam. – Przeszła kawałek dalej i poklepała Eastera po ramieniu, a potem zatoczyła ręką łuk i wskazała brzeg. Pokiwał głową ze wzrokiem utkwionym przed siebie. – Nie zatrzyma się od razu – powiedziała doktor Swenson, wracając tam, gdzie stała Marina. – Ma ulubione miejsce, gdzie może przywiązać łódź do drzewa. Kotwica go denerwuje. Nie można na niej polegać. Raz ją rzucił i musieliśmy się strasznie namęczyć, żeby ją wciągnąć z

---

<sup>1</sup> E.E. Cummings, *150 wierszy*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1983, s. 11 (przyp. tłum.).

powrotem. W takiej rzece kotwica ma mnóstwo okazji, żeby się zaklinować.

Marina spojrzała za burtę. Nie była w stanie nawet sobie tego wyobrazić.

– Od jak dawna tu pani przyjeżdża?

– Lakaszich odkrył doktor Rapp. – Doktor Swenson odchyliła głowę do tyłu, spojrzała w stronę czubków drzew. – To było jakieś pięćdziesiąt lat temu. Uczestniczyłam w tamtej wyprawie, stojąc na scenie historii. Pamiętam, jak płynęłam tą rzeką po raz pierwszy. Był wspaniały dzień. Nie miałam pojęcia, że będę tu wracała przez resztę życia.

– Nie wygląda na to, by wiele się zmieniło – powiedziała Marina, spoglądając ku brzegowi na prostą ścianę roślinnego życia. Nigdzie nie było już widać ani jednego człowieka, chatki ani łódki.

– Niech pani nie da się zwieść temu krajobrazowi – ostrzegła doktor Swenson. – Wtedy było zupełnie inaczej. Za zakrętem nie widywało się wielkich połaci lasu spalonego pod uprawę. Nie widywało się ciągłego dymu tak jak teraz. Nawet Lakaszi byli inni. Tracą umiejętności równie szybko jak dorzecze lasy. Dawniej sami robili sznur, tkali ubrania. Teraz nawet oni mogą kupować. Ścinają kilka drzew, związują je, spławiają do Manaus i sprzedają, dostając wystarczająco pieniędzy na naftę i sól oraz na powrót do domu taksówką wodną, a nawet na odrobinę rumu, jeśli uda im się ubić dobry interes, choć przeważnie są fatalnymi przedsiębiorcami. Przywożą z miast ubrania, te same śmieci, które Amerykanie wrzucają do skrzynek Armii Zbawienia. Pewnego razu przy płynęłam do wioski, wiele lat temu, i członek starszyzny plemiennej, którego nazywali Josie, powitał mnie w porcie ubrany w koszulkę Johnsa Hopkinsa. Tamtego ranka zakończyłam zajęcia w Hopkinsie, przyleciałam do Brazylii i przepłynęłam sześć rozwidlonych rzek tylko po to, by powitał mnie człowiek w koszulce Johnsa Hopkinsa. – Na to wspomnienie pokręciła głową. – Dobry Boże, był taki dumny z tej koszulki. Nosił ją codziennie. W zasadzie został w niej nawet pochowany.

– Więc przez cały tydzień prowadziła pani zajęcia i leczyła pacjentów, a potem przylatywała tu pani na weekend?

– Nie co tydzień, o nie, chociaż gdybym miała wystarczająco czasu albo pieniędzy, pewnie mogłabym tak funkcjonować. Było tu tyle do zrobienia. Wylatywałam w czwartek późnym wieczorem po ostatnich zajęciach. W piątki miałam tylko dyżury, a nie bywałam na dyżurach. Nigdy w nie nie wierzyłam. Pytania niosą korzyść dla wszystkich studentów, a nie tylko dla tego, który podnosi rękę. Jeśli ktoś

nie ma odwagi, by wstać podczas zajęć i przyznać, że czegoś nie rozumie, ja nie mam czasu mu tego wyjaśniać. Jeśli nie opracuje się polityki przeciwko bzdurom, można skończyć ze stadkiem zalęknionych króliczków czekających w kolejce przed gabinetem i szykujących się do zadania człowiekowi na ucho tego samego idiotycznego pytania.

Marina doskonale pamiętała, że sama należała do tych piątkowych króliczków i godzinami czekała na krzesło pod drzwiami jej gabinetu, aż w końcu jakiś inny student przechodzący korytarzem wykazał na tyle przyzwoitości, by wyjaśnić, że tkwi tam na próżno.

– Czy dziekanowi nie przeszkadzało, że nie pełni pani dyżurów?

Doktor Swenson spuściła głowę.

– Czy jako dziecko chodziła pani do prywatnej szkoły, pani doktor?

– Do państwowej – odparła Marina. – Więc wracała pani w niedzielę i w poniedziałek znowu prowadziła zajęcia?

– Wracałam w nocy. Lądowałam w poniedziałek rano i jechałam taksówką prosto do kampusu. – Przeciągnęła się, unosząc ręce nad głowę. Odstające sprężyny jej siwych włosów sterczały na wszystkie strony. – W poniedziałki nigdy nie wyglądałam najlepiej.

– Nie zauważyłam – powiedziała Marina.

– To jedno muszę przyznać temu pani panu Foxowi: umożliwił mi pozostanie tu i kontynuowanie pracy. Nie mogę powiedzieć, że nic nie zakłóca mi spokoju, bo sam podejmuje wszelkie starania, by go zakłócić, ale uwolniłam się od obłędu związanego z próbą prowadzenia ważnych badań, gdy ich uczestnicy znajdują się w innym kraju. Od dziesięciu lat pracuję tu na stałe. Przez pierwsze trzy starałam się o granty, ale ciągle poszukiwanie funduszy zabierało więcej czasu niż ciągle latanie na uczelnię i z powrotem. Nie było takiego koncernu farmaceutycznego, który nie chciałby wziąć na siebie kosztów tych badań, ale ostatecznie zwyciężył Vogel. Doceniam to, co należy docenić.

Easter zwolnił, a następnie wrzucił wsteczny, co w połączeniu z wcześniejszą siłą rozpędu zaowocowało czymś w rodzaju spienionego bezruchu. Skierował łódź ku miejscu, które wydawało się lekkim wgłębieniem w twardej ścianie drzew, a potem mocniej chwycił linę, spoczywającą już w jego dłoni, i przerzucił ją przez gałąź wiszącą nad wodą pod dogodniejszym kątem niż pozostałe.

– Zgrabnie mu poszło – zauważyła Marina, kiedy lina była już porządnie przywiązana. Wolą rozmawiać o gałęziach i linie niż o „jej panu Foxie”.

– Zawsze dobrze mu idzie. To drzewo Eastera. To, na które czeka. Dokładnie wie, gdzie go szukać.

Marina wolno rozejrzała się po okolicy. Tysiące drzew, setki tysięcy drzew jak okiem sięgnąć po obu stronach rzeki i ani jednej polanki. Niekończące się gałęzie, wieczne liście.

– Pamięta jedną gałąź? Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

Od czasu do czasu stadko ptaków eksplodowało z wrzaskiem ze splątanej zieleni, ale dżungla wyglądała na tak nieprzeniknioną, że Marina nie miała pojęcia, w jaki sposób ptaki do niej wlatują. Jak choćby jeden ptak odnajduje drogę do swojego gniazda? Jak Easter zdołał zapamiętać najlepsze miejsce do zacumowania łodzi?

– Z tego, co zaobserwowałam, Easter pamięta wszystko – powiedziała doktor Swenson. – Mówiąc, że moim zdaniem może mieć ponadprzeciętną inteligencję, nie kierowałam się sentymentami.

Każde działanie chłopca było wykonywane z pełną wdzięku skutecznością ruchów: zgasił silnik, zrobił węzeł, odwrócił się, by skinąć głową do doktor Swenson.

– Bardzo dobrze! – pochwaliła go, unosząc dwa kciuki.

Easter się uśmiechnął. W chwili gdy zacumowali, znów stał się dzieckiem, które Marina zobaczyła po raz pierwszy przed budynkiem opery i które Jackie trzymał w ramionach. Od tej chwili odpowiedzialność za łódź przeszła na drzewo i chłopiec mógł znów być sobą. Wskazał wodę i jeszcze raz spojrzął na doktor Swenson. Ona pokiwała głową, a gdy tylko zdążyła nią poruszyć, chłopiec zdjął koszulkę, ukazując im gładką brązową skórę na piersi, tors cienki jak zapalka. Wdrapał się na dwie skrzynki moreli w puszcze i przeleciawszy nad sznurami zastępującymi barierkę, skoczył jak rakieta do brązowej wody, by spowodować głośny plusk. Nogi podkulił do piersi, pochylił głowę, a ręce uniósł do światła. I zniknął.

Marina dwoma susami dopadła burty, a doktor Swenson zajęła się szukaniem czegoś w brązowej papierowej torbie. Woda była aksamitna, niewzruszona ciężarem tak drobnego chłopca. Nie zadała sobie nawet trudu, by odzwierciedlić jej twarz jak tafle innych wód. Nic nie było widać na powierzchni ani pod nią.

– Gdzie on jest? – zawołała Marina.

– Och, to jego sztuczka. Myśli, że w ten sposób śmiertelnie mnie przeraża. I na tym polega cała zabawa. – Doktor Swenson grzebała wśród wrzuconych luzem rzeczy.

– Jada pani masło orzechowe? Ostatnimi czasy wszyscy Amerykanie postanawiają mieć alergię na fistaszki.



– Nie widzę go!

Woda była równie nieprzenikniona jak ziemia. Połknęła chłopca w całości, jak płótkę, jak myśl.

Doktor Swenson podniosła głowę i patrząc w stronę Mariny, westchnęła.

– Aż kusi, żeby się z panią podroczyć, pani doktor. Jestem pewna, że ta szczerłość czyni z pani bardzo łatwy cel. To dziecko ma płuca japońskiego poławiacza pereł. Wypłynie dwie trzecie szerokości rzeki dalej, dokładnie na wysokości łodzi. – Odczekała chwilę. – Teraz.

I w oddali ukazała się głowa chłopca, który odgarnął mokre włosy na bok, uniósł rękę i pomachał. Światło odbijające się na płaszczyznach jego twarzy przydało mu złotego blasku. Nawet z tej odległości Marina widziała, jak bierze potężny wdech, by znowu zanurkować, i tym razem wierzgnął nogami tak, że światło uchwyciło różowe podeszwy jego stóp, zanim zniknęły pod wodą. Marina osunęła się na skrzynkę z morelami, z której tak niedawno odbiły się te stopy, i zaczęła płakać.

– Masło orzechowe i marmolada – powiedziała doktor Swenson, rozkładając sześć kromek chleba na skrzynce, jakby miały grać w pokera. Zakręciła foliową torebkę kawalkiem drucika i sięgnęła po sfatygowany nóż o długim wąskim ostrzu. Zanurzyła je w słoiku z marmoladą. – Rodrigo zamówił marmoladę Wilkins and Son. Oto człowiek, który wie, jak zadowolić klienta. Nie doceniamy przyjemności oferowanych przez marmoladę, póki nie zostanie nam odebrana. Zachęcam do delektowania się chlebem. Gdy ten bochenek się skończy, nie będzie następnego. Po prostu nie wytrzymuje. Przywiozłam drożdże i czasami go wypiekają, ale daleko temu do chleba z piekarni. Muszę przyznać, że ten jest wyborny.

Myślała, że się utopił, i chociaż było to głupie, nie potrafiła zapanować nad wyobraźnią. To oczywiste, że chłopiec umie nurkować, że umie pływać. Przyplynie z powrotem i zabierze je tam, dokąd zmierzają. Jak to możliwe, że w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin tak bardzo uzależniła się od głuchego dziecka? I dlaczego się rozplakała, na miłość boską?

– Niech się pani weźmie w garść, pani doktor – poleciła doktor Swenson, skupiając się na równomiernym rozsmarowaniu masła orzechowego na chlebie. – Za chwilę wejdzie na pokład i bardzo się zmartwi, jeśli zobaczy, że dalej pani płacze. Jest głuchy. Robi wszystko, żeby pani o tym zapomniała, ale jako dorosła osoba powinna pani o tym pamiętać. Nie zdoła mu pani wytłumaczyć, dlaczego pani płacze. Nie znalazłam jeszcze gestu oznaczającego głupotę, więc nie może mu pani powiedzieć, że

po prostu zachowała się pani niemądrze. Wystraszy go pani, więc proszę przestać.

Easter już się wynurzył i płynął efektownym stylem grzbietowym, a plusk wody koił zmysły obydwu kobiet na pokładzie. Używając tego samego noża, doktor Swenson pokroiła kanapki w trójkąty i zostawiła je na skrzynce.

– A teraz proszę podejść i zjeść lunch – powiedziała do Mariny. Był to raczej rozkaz niż zaproszenie.

Marina przycisnęła oczy do rękawa bluzki.

– Zwyczajnie się wystraszyłam. To wszystko – wyjaśniła. Ani jej głos, ani wytłumaczenie nie brzmiały przekonująco.

– Jeszcze nawet nie dopłynęliśmy – powiedziała doktor Swenson i sięgnęła po trójkątną kanapkę. – Musi pani być twardsza, bo Bóg mi świadkiem, że w przeciwnym razie zostawię panią na tym brzegu. W dżungli są straszniejsze rzeczy niż kąpiel chłopca na spokojnym odcinku rzeki.

Gdy Easter znowu znalazł się na pokładzie, lśniący i mokry jak foka, a kanapki zostały zjedzone (kiedy doktor Swenson zgodziła się, by dostał dokładkę, obchodził się ze słoikiem masła orzechowego z delikatną czułością), ogłoszono drzemkę.

– *Sesta* – powiedziała doktor Swenson i klasnęła w dłonie. Język portugalski sprawił, że zabrzmiało to jak coś niezbędnego. – Mawiają tu, że *sesta* to jedyny dar, jaki Europejczycy przywieźli do Ameryki Południowej, ale moim zdaniem Brazylijczycy sami doszliby do tego, że można pospać po południu, wcale nie musieli znosić wieków mordowania i niewolnictwa.

Poklepała Eastera po ramieniu i wskazała niską skrzynię przed sterem, a następnie zamknęła oczy i ułożyła głowę na złożonych dłoniach w dziecięcej pantomimie snu. Po otrzymaniu tych wytycznych chłopiec wyjął z pudła dwa hamaki i zabrał się do rozwieszania ich między słupkami w cieniu zadaszania.

– Przed przybyciem do dżungli nie wierzyłam w drzemanie – ciągnęła doktor Swenson, wybierając hamak zawieszony najbliżej steru. – Uważałam je za oznakę słabości. Ale ten kraj mógłby z każdego zrobić wielbiciela drzemki. Warto zwracać uwagę na to, co podpowiada nam ciało.

Usiadła na długim pasie materiału, a gdy odchyliła się do tyłu i uniosła nogi, hamak połknął ją całą. Marina spojrzała na swoją wykładownicę, nisko zawieszoną bryłę spowitą bawełnianym kokonem w paski, która kołysała się na boki, bo energia złożona na odpoczynek wytwarzała ruch.

– Niech pani pośpi, pani doktor – powiedział zniekształcony głos. – Doskonale

to pani zrobi na nerwy.

To było tak, jakby doktor Swenson zniknęła z łodzi, tak samo jak Easter zniknął niedawno pod wodą. Marina patrzyła na hamak, póki kołysanie nie ustało. Czarodziejska sztuczka: owiń ją kocem, a zniknie. Cisza, która zaległa bez niej, była wielowarstwowa, subtelna: z początku Marina słyszała w niej tylko ciszę, brak ludzkich głosów, ale gdy jej ucho do niego przywykło, pojawiły się inne dźwięki, ćwierkanie głęboko w lesie, krakanie dobiegające z czubków drzew, paplanie niższych gatunków naczelnych, nieustanne bzyczenie owadziego życia. Było to dość podobne do uwertury w operze, z której wprawny słuchacz potrafi wyłowić pikolo, cichy dźwięk waltorni, samotną, lecz znaczącą altówkę. Wychyliła się z bezpiecznego cienia i spojrzała na słońce. Jej zegarek wskazywał drugą. Easter usiadł na pokładzie przed jedną z wielu skrzyń, które tworzyły ich meble. W dłoni trzymał długopis. Marina dotknęła wolnego hamaka, a potem wskazała na chłopca. Złożyła dłonie i oparła na nich policzek.

Easter przecząco pokręcił głową, wskazał na nią, a potem na hamak. Zamknął oczy i pochylił się. Gdy stała i obserwowała go, nie ruszając się z miejsca, powtórzył wcześniejsze gesty, tym razem wskazując długopisem, by położyć na nie większy nacisk. Miała skorzystać z hamaka.

Pomysł nie był zły. Czowała zmęczenie. Mimo to miała wrażenie, że w takiej sytuacji wskazana jest czujność. Przecież ktoś musi obserwować dżunglę, prawda? Ktoś musi dopilnować, by dziecko nie wypadło za burtę.

Easter wstał i rozłożył hamak obiema rękami, otwierając go dla niej jak kopertę, i pouczająco skinął głową, jakby podejrzewał, że posługiwanie się hamakiem jest dla niej skomplikowane. Więc to on miał obserwować dżunglę. To on miał dopilnować, by nie wpadła do wody. Posłusznie usiadła, położyła się, a kiedy już leżała w hamaku, Easter położył jej dłoń na czole jak choremu dziecku. Uśmiechnął się do niej i odpowiadając mu uśmiechem, zamknęła oczy. Była w łódce, na rzece w Brazylii. Była w Amazonii i uciniała sobie drzemkę z doktor Swenson.

W dzieciństwie miała bujną wyobraźnię, systematycznie okrajaną przez późniejsze lata studiowania chemii nieorganicznej i nanoszenia lipidów na wykresy. Teraz Marina pokładała wiarę w danych; świat, któremu ufała, był światem, który mogła zmierzyć. Ale nawet naprawdę wspaniała wyobraźnia nie podsunęłaby jej myśli, że kiedyś znajdzie się w dżungli. Poczwała, jak coś prześlizguje się po jej klatce piersiowej – owad? kropelka potu? Nie ruszała się, spoglądała nad krawędzią hamaka

na widniejący przed nią jasny skrawek dziennego światła. Południowy upał przykuł ją do miejsca. Pomyślała o akademii medycznej, o jarzeniowych korytarzach tamtego pierwszego szpitala, o stosach podręczników, od których bolały ją plecy, kiedy taszczyła je z biblioteki do domu. Czy gdyby wiedziała, że po czwartkowym wykładzie poświęconym tkance endometrium doktor Swenson wchodzi na pokład samolotu i leci do Manaus, żałowałyby, że nie może lecieć razem z nią? Czy oczami wyobraźni ujrzałyby siebie w Amazonii u boku swojej wykładowczynie, na wyprawie zorganizowanej w imię nauki? Doktor Swenson na pewno bez problemu wyobrażała sobie siebie w Amazonii z doktorem Rappem, kiedy była studentką. Może Marina mogłaby podjąć podobnemu zadaniu? Spróbowała odsunąć na bok włosy spięte w kok, żeby nie leżeć bezpośrednio na nim, i przez to znowu wprawiła swoje ciało w lekkie kołysanie. Odpowiedź brzmiała „nie”. Marina była bardzo dobrą studentką, ale podnosiła rękę, tylko gdy była pewna odpowiedzi. Osiągała doskonałe wyniki nie dzięki gwałtownym przyływom inspiracji, lecz dzięki ciężkiej pracy konia ciągnącego pług. Kilka razy doktor Swenson zauważyła ją i doceniła, ale nigdy nie była w stanie zapamiętać jej imienia.

Gdy kołysanie ustało, Marina poruszyła biodrami, by rozpocząć je na nowo. Hamak skrywał wiele warstw zapachu – woni jej potu, która zawierała śladowe ilości mydła i szamponu, woni samego hamaka, który był zarówno zapleśniały, jak i spalony słońcem, oraz lekką nutkę sznurka, łądzi, benzyny i oleju, a także świata poza łódką, wody w rzece i ogromnej fabryki liści pompujących tlen w atmosferę, niestrudzonej fotosyntezy roślin obracających promienie słońca w energię, choć przecież fotosynteza nie ma zapachu. Marina głęboko wciągnęła powietrze i jego zapach ją odprężył. Wszystkie te zasadniczo odmienne elementy zmieniły się w coś ogólnie przyjemnego. Nie przypuszczała, że to możliwe.

Zamknęła oczy. Czuła, jak łódź kiwa się lekko w prądzie rzeki, który pociąga za linę. Czuła delikatny, warstwowy ruch wody przenikający przez dno łodzi, biegnący po słupkach podtrzymujących hamak, a potem przez hamak i jej kości, i ten ruch sprawił, że zasnęła.

Był tam jej ojciec, ale strasznie się spieszył. Wracała z nim na uniwersytet. Był spóźniony na prowadzone przez siebie zajęcia, a ulice Kalkuty zatkały się ludźmi, którzy coraz tłumniej napierali, szukając miejsca na chodniku. Wielu studentów też spieszyło na wykłady. Złapała ojca za rękę, żeby nie zgubić go w tłumie, i pomyślała, jak dziwnie muszą wyglądać: ich dwoje trzymający się za ręce. Gdy kobieta

nadchodząca szybkim krokiem z naprzeciwka i niosąca na głowie worek ryżu wcisnęła się między nich, jakby nie było innej drogi, Marina uchwyciła się paska ojca, zanim zdążył jej się wymknąć. Próbowwała przechytryć sen. Wystarczająco dobrze go poznała. Jej ojciec szedł tak szybko! Patrzyła na odrobinę siwizny z tyłu jego głowy, gdzie włosy nadal były bardzo gęste i przeważnie czarne, i nagle jakiś człowiek z wózkiem pełnym opon rowerowych ruszył w ich stronę. Jak zdołał się tak rozpędzić w tym ścisku? Sen trwał przy własnych historycznych zasadach – było napisane, że tych dwoje musi zostać rozdzielonych – więc mężczyzna wepchnął swój wózek między nich, jakby zamierzał przeniknąć przez jej rękę. Cios uderzył w nią z taką prędkością, że wzbila się w powietrze. To było jak sen i przez chwilę unosiła się nad tłumem, widząc wszystko, wszystkich ludzi i zwierzęta, okropne chałupy stojące wzdłuż drogi, która prowadziła do wielkich domów, żebraków i ich miski, bramę uniwersytetu, szczupłe ramiona ojca pędzącego naprzód, nieskrępowanego jej ciężarem. Ujrzała wszystko, nieprawdopodobieństwo wszystkiego, a potem runęła na chodnik, spadając całym ciałem na łokieć.

– To wąż? – krzyknęła do niej doktor Swenson. – Ukąsił panią, pani doktor?

Marina leżała na pokładzie łodzi. Jej lot był bardzo krótki. Wisząc w hamaku, znajdowała się nie wyżej niż metr nad pokładem, ale mimo to dno łodzi okazało się twarde i dosłownie ją poraziło. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła stopy w tenisówkach, a obok nich małe brązowe nogi. Odczekała jeszcze chwilę, by złapać oddech.

– Niech pani odpowie! Czy to wąż?

– Nie – zaprzeczyła Marina, mocno przyciskając lewy policzek do brudnego drewna.

– Więc dlaczego pani krzyczała?

Łódka była już w ruchu i doktor Swenson szturchnęła Eastera w ramię i gestem dłoni kazała mu wracać za ster. Jakiś czas wcześniej ruszyli w dalszą drogę i przez chwilę nikt nie sterował.

Och, przychodziło jej do głowy wiele powodów, dla których mogłaby krzyczeć, a wśród nich rwący ból w każdej kości po lewej stronie ciała. Marina przewróciła się na plecy. Delikatnie poruszała palcami lewej ręki, a potem sprawdziła, czy może swobodnie wyginać lewy nadgarstek. Odchyliła stopę na boki, by dokończyć oględziny. Niczego nie złamała. Hamak, w którym spała, wisiał teraz tuż nad jej głową.

– Coś mi się śniło.

Doktor Swenson wyciągnęła rękę i odpięła hamak Mariny od słupka, a potem okrążyła ją, by zdjąć drugą część. Efekt był taki, jakby ktoś gwałtownie rozsunął zasłony. Wszystko załało światło. Niechcący Marina spojrzała doktor Swenson pod koszulę i zobaczyła miękki, biały nawis jej brzucha w miejscu, w którym stykał się ze ściągniętymi sznurkiem spodniami.

– Myślałam, że ukąsił panią wąż.

– Tak, rozumiem. – Marina lekko drżała mimo upału. Zacisnęła prawą dłoń, próbując poczuć pasek ojca.

– W tych stronach występują kajsaki, a to geniusze pełzania po gałęziach. Wąż tyleż głupi, ile śmiercionośny. Każdy tu zna kogoś, kto pożegnał się z życiem, bo nadepnął na kajsakę. Są doskonale zakamuflowane, a poza tym nie robią nic, żeby zejść komuś z drogi albo dać znać o swojej obecności, chyba że poprzez zatopienie zębów w czyjejs kostce. Raz Easter uratował mnie przed wdepnięciem w sam środek takiego węża, który leżał zwinięty w naszym obozie. Musiał mieć ze dwa metry, ale niczym się nie różnił od sterty liści i ziemi. Nawet gdy Easter mi go pokazał, z początku go nie zauważyłam. – Urwała i wzdrygnęła się.

– Groziło mi, że wdepnę w takiego węża?

– Czasami spadają na łodzie – odparła cierpko doktor Swenson. – Lubią wpełzać pod coś albo do czegoś. Hamak to dobra kryjówka dla węża. Pani krzyk mnie zaskoczył. Musiałam panią wyrzucić, żeby zobaczyć, czy w hamaku nie ma węża.

– Wyrzuciła pani hamak? – Wcześniej Marina założyła, że sama wypadła z hamaka podczas snu.

– Oczywiście, że wyrzuciłam. Oczekiwała pani, że znajdę węża, nie budząc pani?

Marina pokręciła głową. Gdyby miała w hamaku dwumetrowego węża, zrzućcie go na pokład, na który potem spadłaby Marina, raczej nie ocaliłoby jej przed ukąszeniem, ale gdy chodziło o węże, ludzie często podejmowali pochopne decyzje. Zamknęła oczy i zasłoniła je obiema rękami. Doktor Swenson uznała pewnie, że myśli o wężu, ale tak naprawdę Marina myślała o swoim ojcu. Przez chwilę żadna z nich się nie odzywała, a potem Marina poczuła, że coś bardzo zimnego puka ją w ramię.

– Niech pani usiądzie – powiedziała doktor Swenson. – Proszę wypić butelkę wody. Niech pani siada. Na łodzi mamy lód. Chce pani trochę lodu?

Marina przecząco pokręciła głową.

– Lód to luksus ograniczony do tej chwili. Jeśli chce pani lodu, to teraz ma pani okazję. Niech pani usiądzie, pani doktor. Nie mogę patrzeć, jak ktoś leży na tym pokładzie. Jest obrzydliwy. Coś się pani przyśniło. A teraz proszę usiąść i wypić wodę.

Marina usiadła, a potem, przypominając sobie o karaluchach, podźwignęła się z powrotem na skrzynkę z sokiem grejpfrutowym. Bolała ją głowa. Wtedy zauważyła, że skrzynka, na której siedzi, jest pokryta literami – była pewna, że wcześniej ich tam nie widziała. Drukowanymi literami różnej wielkości napisano alfabet albo większość alfabetu. Brakowało litery K, a gdy przesunęła udo, zobaczyła, że nie ma także Q. Niektóre litery, na przykład A, zostały napisane idealnie, podczas gdy inne, R i Z, były odwrócone. Na końcu rzędu liter zobaczyła dwa słowa: EASTER i ANDERS, po których dorysowano schematyczny obrazek przedstawiający węża. Marina dotknęła palcami imienia Andersa.

– O co tu chodzi?

– To jedna z wielu pamiątek pozostawionych przez pani przyjaciela doktora Eckmana. Jestem pewna, że są też inne, na które jeszcze się nie natknęłam. W ciągu tego krótkiego czasu, który z nami spędził, zdołał nauczyć Eastera podstaw zachowania przy stole i alfabetu, czy raczej większości alfabetu. Widzę, że brakuje K.

– W dodatku umie napisać ich imiona.

– Wydało mi się ciekawe, że doktor Eckman postanowił nauczyć chłopca akurat tych dwóch słów. Easter, no cóż, to zrozumiałe, ale Anders? Jednak pod koniec był bardzo chory. Może uznał, że dzięki temu zostanie zapamiętany.

Marina wyobraziła go sobie siedzącego na pniu z notesem otwartym na kolanach i Easterem przytulonym z boku. To jasne, że umiał nauczyć chłopca pisania. Wcześniej nauczył już trzech. Głuchota Eastera nie robiła mu pewnie żadnej różnicy. „To ty – mówi do niego Anders, wskazując imię Eastera. Potem pokazuje własne. – A to ja”.

– Doktor Eckman wszystko mu napisał, to było coś w rodzaju konspektu. Easter bez przerwy ćwiczy. Po śmierci doktora Eckmana pozwoliłam mu zatrzymać jego długopisy. Przez jakiś czas pisał po swoich rękach i nogach, ale mu zabroniłam. Nie wiem, ile tuszu wchłania się przez skórę, lecz dziecku na pewno to nie służy. To zły nawyk, zwłaszcza gdy jest mnóstwo papieru, który doskonale się do tego nadaje. Nie wiem, czym dokładnie są według niego litery, ale pamięta je, większość z nich. Zapisuje je we właściwym porządku.

– Może uważa je za coś, co należało do Andersa.

Doktor Swenson potaknęła. Patrzyła, jak chłopiec patrzy na rzekę.

– Easter krzyczy przez sen. Tylko wtedy słyszę jego głos. Czasami upływają całe miesiące, zanim ponownie nadarzy się ku temu okazja, jednak od śmierci doktora Eckmana codziennie śnią mu się koszmary. Dźwięki, które wydaje, są okropne. – Doktor Swenson odwróciła się i utkwiała spojrzenie w Marinie. – Szkoda, że nie może z nim pani o tym porozmawiać. To coś, co was łączy. Zakładam, że w pani wypadku powodem jest meflochina i że pan Fox nie przysłał mi tu osoby z poważną chorobą psychiczną.

– Biorę lariam.

Pomyślała, że chciałaby zawieźć skrzynkę po soku grejpfrutowym Karen. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, byłoby to wyjątkowe osiągnięcie.

– Słyszałam tu sporo krzyków, ale nigdy nie myślę, że to lariam. W takich chwilach zawsze myślę o wężu.

– Lepiej dmuchać na zimne.

Doktor Swenson przytaknęła.

– Lariam jest dla turystów, pani doktor. Mam szczerą nadzieję, że jest pani turystką i ucieknie stąd pani pierwszym czółnem, jakie się trafi. Tymczasem sugeruję, by wyrzuciła pani te tabletki do rzeki. Myśli pani, że ja biorę lariam? Tutaj nie da się żyć, krzycząc z powodu koszmarów, paranoi i samobójczych fantazji. W dżungli i bez tego jest ciężko.

– Nie mam myśli samobójczych.

– Cóż, pogratulować. Ale mogą się jeszcze pojawić. Znałam młodego mężczyznę, który pewnej nocy wszedł do rzeki i już z niej nie wyszedł. Zauważyli go tubylcy, myśleli, że idzie popływać.

– Proszę mi wierzyć, nie biorę lariam dla tego, że go lubię.

– Tym bardziej powinna pani przestać. Na niektóre osoby wywiera silny wpływ. Sądząc po tym, co zobaczyłam, podejrzewam, że i pani należy do tego grona.

Marina powoli wciągnęła powietrze, pottrzymała je w płucach, a potem wypuściła. Czowała, że wraca do siebie, mimo narastającego bólu w ręce.

– Wolałabym nie zachorować na malarię.

– Cóż, nie powiedziałabym, że szerzy się tu epidemia. Ja jeszcze nie zachorowałam. To znaczy raz zachorowałam, ale nie tutaj. Poza tym jest przecież lekarstwo.

– Czy Anders brał lariam?



Doktor Swenson zatopila palce we włosach i agresywnie podrapala sie po glowie.

– Nie krzyчал przez sen, wiec nie bylo okazji o tym dyskutowac. Pyta pani, czy doktor Eckman umarl na malarie?

Wcale o to nie pytala, choc takie pytanie byloby calkowicie uzasadnione.

– Wydaje sie to mozliwe.

– Malaria jest czymś w rodzaju mojej specjalności – powiedziala doktor Swenson. – Wiec moge pani zapewnic, ze nie. Chyba ze byla to *P. falciparum* i dotarla do mozgu. To bylyby oczywiscie prawdziwa rzadkosc, w tych stronach *P. falciparum* nie zdarza sie zbyt czesto.

*P. falciparum*, *P. vivax*, *P. malariae*, a do tego byla jeszcze jedna. Kiedy po raz ostatni Marina musiala sobie przypominać szczepy malarii?

– *P. ovale* – podsunela doktor Swenson.

– Mysli pani, ze mogle miec *P. ovale*?

– Nie, to ta, ktorej nie moze sobie pani przypomniec. Wystarczy, ze lekarz uslyszy o ktoryms z szczepow malarii, a probuje sobie przypomniec trzy pozostale, lecz nikt nie pamietal o *P. ovale*. Bardzo rzadko sie ja spotyka poza Afryka Zachodnia. Czy za kazdym razem sni sie pani ten sam sen?

Marina zbyt niedawno sie obudzila, by cokolwiek z tego zrozumiec, zbyt niedawno weszla na poklad tej lodzi, zbyt niedawno rozmawiala o wezrach, zbyt niedawno byla w Kalkucie, zbyt niedawno byla z Andersem. *P. ovale*?

– Mniej wiecej.

– Interesujace w meflochinie wydaje mi sie to, ze wbija sie w jeden konkretny zakamarek podswiadomosci. Rownie dobrze sprawdzilyby sie jako lek, co jako srodek zapobiegawczy. Nie ma sensu cierpiec z wyprzedzeniem. W wypadku malarii mozgowej na niewiele by sie zdala, ale jak juz wspomnialam, byly to niezwykle rzadki przypadek w Brazylia. Co sie pani sni, pani doktor?

„Co ci sie sni?” – pytala ja matka, kiedy jako dziecko Marina krzyczala w lozku. „Co ci sie snilo?” – zapytal pan Fox, trzymajac ja za ramiona.

– Mój ojciec – odpowiedziala Marina. – Jestem z ojcem i cos nas rozdziela. Nie moge go znalezc.

Doktor Swenson wstala z pewnym wysilkiem. Rozmowa dobiegla konca.

– No coz, nie brzmi to az tak zle.

Marina musiala jej przyznac racje. Gdy przedstawilo sie to jednym zdaniem,

bez ozdobników, wcale nie brzmiało tak źle.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

O zmroku owady rozszalały się jak burza: te z twardymi pancerzykami i te o miękkich bokach, te kłające i gryzące, cykające, bzyczące i burczące, wszystkie co do jednego rozłożyły papierowe skrzydełka i fruwały z niewyobrażalną prędkością w stronę oczu, ust i nosów jedynych trojga ludzi, jakich udało im się znaleźć. Easter z powrotem wślizgnął się w koszulkę, a doktor Swenson i Marina owinęły głowy jak Beduini podczas burzy piaskowej. Gdy już całkiem się ściemniło, tylko zbłąkane owady pędziły ku ludziom na pokładzie, a reszta postanawiała dokonać żywota na dwóch jaskrawych, rozgrzanych lampach umieszczonych na obu końcach łodzi. Noc wypełniła się nieustannym pstrykaniem ich ciał uderzających o szkło.

– Doktor Rapp zawsze powtarzał, że entomolodzy mają łatwo – powiedziała doktor Swenson, odwracając się plecami do szturmujących owadów. – Wystarczy, że włączą światło, a wszystkie okazy czym prędzej do nich przylatują.

Teraz Marina czuła się w dżungli jeszcze mniej pewnie, bo jej nie widziała. Czuła, że roślinne życie napiera na brzeg rzeki, sięgając w ich stronę każdym korzeniem i wąsem.

– Nie tylko same przylatują, ale jeszcze mają na tyle przyzwoitości, że same się zabijają.

– To gorsze niż gradobicie – stwierdziła doktor Swenson, wypluwając na pokład małego skrzydlatego żuka. – Obejdziemy się bez światła. – Po tych słowach zgasła reflektory.

Całun z owadów natychmiast się uniósł i Marina ujrzała nicość, jakiej jeszcze nigdy nie spotkała. Zupełnie jakby sam Bóg pogasił światła, wszystkie co do jednego, i pozostawił ich w ziejącej ciemności swojego osamotnienia.

– Czy Easter nie powinien widzieć, dokąd płyniemy? – zapytała. Ledwie słyszała własny głos ponad warkotem silnika. Chłopiec, który potrafił znaleźć jedną konkretną gałąź w tysiącu kilometrów nieprzerwanych lasów, z pewnością umiał odnaleźć drogę do domu w ciemności. To ona chciała, żeby znowu rozbłysło światło.

– Niech pani otworzy oczy, pani doktor – poleciła doktor Swenson. – Niech

pani spojrzy na gwiazdy.

Marina wyciągnęła ręce przed siebie i przesuwiała nimi w powietrzu, póki nie znalazła linki na skraju łodzi. Złapała ją mocno i przechyliła się na bok. Nad spektrum ciemności ujrzała jasne gwiazdy rozrzucone na stole nocnego nieba i poczuła się tak, jakby nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego jak gwiazdy. Nie byłyby w stanie ich zliczyć, a nawet gdyby jej się to udało, nie zdołałaby oddzielić jednej gwiazdy od drugiej, całość była znacznie potężniejsza niż suma jej części. Zobaczyła podręcznik konstelacji, bohaterów mitologii pozujących na polach atramentu. Teraz widziała w górze mleczną biel, niebo było posmarowane światłem. A gdy w końcu zdołała się oderwać od teatru nad głową i znowu spojrzeć przed siebie, ujrzała następne światełko mrugające jak miraż na horyzoncie. Było małe i pomarańczowe i w miarę jak się do niego zbliżali, zdawało się rozciągać w jedną linię, a gdy pomyślała, że ta linia na trwałe zapisała jej się przed oczami, jasność się rozpadła. Rozproszyła się i rozpiezchła, a jej kawałeczki zaczęły podskakiwać.

– Coś tam jest – powiedziała do doktor Swenson, a po chwili dodała: – To ogień.

Chciała powiedzieć: „Zawracajmy”.

– Istotnie – potwierdziła doktor Swenson.

Ognisk było dwanaście, potem ich liczba się potroiła, aż w końcu Marina nie była w stanie ich zliczyć. To, co z daleka było linią, uległo rozwarstwieniu, a w warstwach znajdowały się kręgi światła, które unosiły się i opadały. Czyżby ogień płonął na czubkach drzew? A może jakimś cudem na wodzie? Easter włączył światła na łodzi i ogień natychmiast zaczął podskakiwać. Noc rozerwało zawodzenie. Dźwięczny odgłos niezliczonych języków uderzających o niezliczone podniebienia wypełnił całą dżungłę i sunął falą po rzece.

Na brzegu byli ludzie.

Za chwilę mieli się spotkać z plemieniem. Taki był cel wyprawy, więc dlaczego Marinie nie przyszło to wcześniej do głowy? Tym, przez co na rzece czuła się tak nieswojo, była nieobecność ludzi. Wszystko, co jak dotąd miała do zaoferowania dżungla, sprowadzało się do roślin i owadów, pnączy i niewidocznych zwierząt i już sam ten fakt był wystarczająco niedobry, ale teraz Marina zdała sobie sprawę, że najgorszy scenariusz obejmuje ludzi. Zupełnie jakby szła sama ciemną uliczką i nagle skręciła za róg, by stanąć przed grupą młodych mężczyzn patrzących złowrogo z jakiejś bramy.

– Lakaszi? – zapytała Marina, mając nadzieję, że przynajmniej czeka ich spotkanie z czymś znanym.

– Tak – odpowiedziała doktor Swenson.

Marina czekała chwilę, licząc na coś więcej niż tylko jedno słowo potwierdzenia. Była na nienazwanej rzece w środku pustki, w środku nocy, i właściwie czuła się tak jak zawsze w towarzystwie doktor Swenson: jak Oliwer Twist wyciągający pustą miskę. Czy prosiła o zbyt wiele, pragnąc usłyszeć, że bez wątplenia jest to dla niej zupełnie nowa sytuacja? Może nawet doktor Swenson wysiliłaby się na tyle, aby opowiedzieć Marinie historię swojego pierwszego spotkania z plemieniem Lakaszi. „Miałam szczęście, że było wtedy widno” albo „Bardzo się cieszyłam, że doktor Rapp wie, co robić”. Lecz aby ziścił się taki scenariusz, doktor Swenson musiałaby być kimś zupełnie innym. Łódź pełzła w stronę falujących, wirujących płomieni, aż w końcu zbliżyła się wystarczająco, by Marina mogła dojrzeć kształt głów za płomieniami. Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety machali płonącymi kijami, dzieci trzymały cienkie płonące gałęzie, podskakując i krzycząc. Widziała iskry, które rozpraszały się i leciały we wszystkich kierunkach, gasnąc, zanim zdążyły dotknąć ziemi. Wielkością przypominały gwiazdy. Im bliżej podpływali, tym wyraźniej brzmiał dźwięk: zbyt potężny jak na stado ptaków, zbyt rytmiczny jak na zwierzę. Marina przypomniała sobie pogrzeb, na który ojciec zabrał ją w dzieciństwie, tysiące światełek w papierowych kubkach unoszących się na wodach Gangesu, ludzi stłoczonych na brzegu, wchodzących do wody, przecinających nocne powietrze wypełnione zapachem kadzidełek i dymem. Tamten spektakl tak bardzo ją wystraszył, że schowała twarz w koszuli ojca i trzymała ją tak przez resztę wieczoru, ale teraz cieszyła się, że choć trochę wtedy zobaczyła. Nie wyjaśniało to tego, co miała przed sobą teraz, ale przypominało o wszystkich sprawach, których nie rozumiała.

– Jak pani myśli, co się stało? – zapytała Marina.

Niektórzy ludzie na brzegu wyrzucali już swoje pochodnie. Wchodzili do wody i płynęli ku łodzi. Marina doskonale wiedziała, jak mogą wejść na pokład, ale nie była w stanie pojąć, jak sama mogłaby z niego zejść.

– Co ma pani na myśli? – odparła doktor Swenson.

„Co ma pani na myśli, pani doktor, mówiąc o raku szyjki macicy drugiego stopnia?”

Marina, nie znajdując słów, wyciągnęła rękę w stronę brzegu rzeki.

Doktor Swenson spojrzała na płynących ku nim mężczyzn. Wyciągali długie

szyje jak żółwie, aby woda nie dostała im się do ust, bo cały czas krzyczeli i nawoływali. Potem spojrzała na swoją pasażerkę, jakby nie mogła uwierzyć, że znowu zawracają jej głowę zalęknione króliczki i ich niemądre pytania.

– Wróciliśmy – oznajmiła.

Marina odwróciła się od żywiołowego powitania, od płomieni, podskoków, plusku, niekończącego się la-la-la-la-la i z powrotem spojrzała na doktor Swenson, która kiwała głową w stronę tej masy ludzi, wyrażając coś w rodzaju znużonej akceptacji.

– Nie było pani tylko jedną noc.

– Nigdy w to nie wierzą. Nieważne, ile razy im to powtarzam. Ich poczuciu czasu brakuje... – Ale nie dokończyła zdania.

Łódź gwałtownie przechyliła się w prawo, bo mężczyźni zaczęli chwytać się prawej strony i podciągać w górę. Skrzynka z sokiem grejpfrutowym niespodziewanie się przesunęła, uderzając Marinę w kostki i o mało nie popychając jej na ludzi, którzy wynurzali się z wody. Marina chwyciła się słupka i odzyskała równowagę. To dlatego jej ojciec zawsze się upierał, aby na początku lata wynajmowali ponton: nie tylko łatwiej się nim sterowało i nie mógł zatonać, lecz bez trudu można by na niego wrócić, gdyby któreś z nich wypadło za burtę. Ale żadne z nich nigdy nie wypadło. Teoria nie została poddana próbie. Ociekający wodą mężczyźni wdrapali się na pokład i stanęli. Byli znacznie niżsi od Mariny, choć wyżsi od doktor Swenson. Mieli na sobie nylonowe szorty i zupełnie przemoczone koszulki reklamujące amerykańskie produkty: Nike i Mr. Bubble. Jeden z nich włożył czapkę Peterbilt. Zaczęli uderzać Eastera otwartymi dłońmi po rękach, ramionach i plecach, jakby był ogniem, który postanowili ugasić. Easter, wyraźnie zadowolony, poklepywał ich w taki sam sposób. Na pokładzie było siedmiu mężczyzn, potem dziewięciu i wszyscy krzyczeli z przeszywającym zaangażowaniem. Czarna woda wzburzyła się od pływaków, a Easter od czasu do czasu pochylał reflektor i oświetlał wodę – w odpowiedzi mężczyźni ożywiali się jak na widok tarpona. Podnosili głowy i machali. Nikt nie mógłby mieć do Eastera pretensji, gdyby łódź kogoś staranowała, bo w wodzie aż się roiło od ludzi, ale gdy wolno sunący ponton natrafiał na czyjeś ramię albo głowę, ten ktoś najzwyczajniej dawał nura i wypływał kawałek dalej – jeśli założyć, że była to ta sama osoba. Ile łodzi w historii witali tak entuzjastycznie nastawieni tubylcy? Jakiś mężczyzna na pokładzie przyglądał się Marinie. Dotknął jej policzka mokrą dłonią, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Dwaj mężczyźni z tyłu głaskali jej włosy.

Czwarty przesunął palcami po jej przedramieniu w geście niemal zbyt tkliwym, by można go było znieść. Czują się tak, jakby witano ją w szkole dla ociemniałych. Gdy piąty mężczyzna wyciągnął rękę i ujął jej pierś, doktor Swenson głośno klasnęła.

– Dość tego – powiedziała i mężczyźni dotykający Mariny odskoczyli do tyłu, lądując na palcach tych, którzy stali za nimi i czekali na swoją kolej.

W rezultacie wszyscy zamilkli i wyczekująco spojrzeli na doktor Swenson. W tamtej chwili Marina była pewna dwóch rzeczy: Lakaszi nie mówili po angielsku, nie znali słowa „dość”, lecz mimo tej drobnej przeszkody robili to, co kazała doktor Swenson. Warknięcie w jej głosie sprawiło, że puls Mariny przyspieszył bardziej niż w zetknięciu z mokrymi palcami tych mężczyzn. Ostatecznie nie wydawali się groźni, lecz raczej zaciekawieni. W tej hierarchii doktor Swenson okazała się niekwestionowanym tronem, a Marinie było bliżej do tubylców niż do ich przywódczyni.

– No, dalej – powiedziała doktor Swenson i wskazała za burtę.

Mężczyźni jeden po drugim wskakiwali do wody, często lądując na głowie jakiegoś nieszczęśnika.

– Ci ludzie bardzo polegają na dotyku – wyjaśniła doktor Swenson, kiedy ostatni z mężczyzn zniknął z pluskiem. – Nie mają na myśli nic złego. Jeśli nie mogą czegoś dotknąć, to dla nich nie istnieje.

– Pani nie dotykają – zauważyła Marina, wycierając twarz rękawem.

Doktor Swenson przytaknęła.

– Teraz już wiedzą, że istnieje. Udaje mi się uniknąć tych zabiegów.

Z brzegu wystawał wąski pomost, jeden przyzywający palec, i Easter zgrabnie zaparkował wzdłuż niego, a wtedy mężczyźni przekazali płonące kije kobietom i zaczęli po kolei wchodzić na pokład, biorąc skrzynie i bagaż i niosąc je w noc. Większość z nich poklepywała Marinę po ramieniu albo przystawała, aby dotknąć jej policzka, ale czekała ich robota, więc nikt się nie ociągał. Tym razem śpiewały kobiety. Gdy Marina opuściła łódź z Easterem i doktor Swenson, uniosły pochodnie nad głowami, by stworzyć szerszą wstęgę światła. Miały na sobie luźne ręcznie szyte sukienki w stonowanych kolorach, a ich włosy były zaplecione w długie warkoczki opadające na plecy. Do piersi przywiązały dzieci w chustach, starsze latorośle stały ucepione ich nóg albo siedziały podtrzymywane na biodrze, a w ich ciemnych okrągłych oczach odbijał się otaczający je ogień. Doktor Swenson ciężkim krokiem ruszyła piaszczystą ścieżką w stronę dżungli i od czasu do czasu kiwała głową do

kobiet, które w zachwycie wyśpiewywały wibrujące samogłoski. Dzieci stojące na ziemi wyciągały ręce i dotykały spodni Mariny, kobiety przesuwały palcami wokół jej uszu i poklepywały ją po obojczyku. Od czasu do czasu któreś dziecko, bardzo małe, wyciągało rączkę do doktor Swenson, ale jego matka natychmiast odsuwała ją z powrotem.

– Przecież nie wiedzieli, że dzisiaj pani wraca – powiedziała Marina, przyspieszając kroku, aby być bliżej doktor Swenson. Posunęła się nawet do tego, że położyła jej dłoń na ramieniu. – Czasami zostaje pani w Manaus trochę dłużej. Dwie noce, trzy.

– Czasami spędzam tam tydzień – odparła doktor Swenson, patrząc przed siebie. – Nie lubię tego, ale zdarza się.

Kobieta w ciąży wyciągnęła rękę i odsunęła nisko zawieszoną gałąź nad ścieżki.

– Ale skoro oni nie mają poczucia czasu, a pani nie ma możliwości skontaktowania się z nimi, to skąd wiedzą, że pani wraca?

– Nie wiedzą.

– W takim razie jak wpadli na to, że powinni przygotować to całe powitanie akurat dziś wieczorem?

Doktor Swenson zatrzymała się i odwróciła do Mariny. Okropną ciemność przełamywało tyle odrębnych płomieni, że cienie, podobnie jak głosy, otaczały obie kobiety ze wszystkich stron. Od czasu do czasu kawałek płonącego patyka spadał na stertę liści. Trudno było pojąć, jakim cudem cały ten las nie został jeszcze przemieniony w kupkę tłącego się popiołu.

– Podejrzewam, że kiedy mnie nie ma, robią to codziennie. Właściwie nie wiem. Rano może pani zapytać doktora Nkomo. Teraz już się pożegnaj, pani doktor. Easter się panią zajmie. Jestem zmęczona.

Gdy padły te słowa, lekko się zakołysała i Marina mocniej ścisnęła ją za ramię. Doktor Swenson zamknęła oczy.

– Nic mi nie jest – powiedziała, a potem spojrzała na Marinę. Wyglądała tak, jakby nie mogła złapać tchu. – Czasami to trudniejsze, niż przypuszczałam.

Doktor Swenson wyciągnęła rękę i kobieta stojąca obok ścieżki, kobieta ze śpiącym dzieckiem przywiązany do piersi i dwojgiem starszych, być może bliźniąt, uczepionych jej łydek, wzięła ją za tę rękę i poprowadziła w noc. Gdy doktor Swenson odeszła, razem z nią odeszło całe światło i dźwięk, tłum podążył za jej pochodnią. To



Marina powinna była poprosić o pochodnię, bo zanim się obejrzała, została sama w ciemności.

Przejęłaby się stanem doktor Swenson, tym, jak starsza kobieta ugięła się pod ciężarem Amazonii, ale zamiast tego pomyślała o kajsakach. Zastanawiała się, czy śpią na ziemi, czy na drzewach, a jeśli na drzewach, to czy ich zwinięte ciała tracą czasami przyczepność. Najlepszym rozwiązaniem byłoby pójść za tłumem, zostać w zasięgu światła, ale po kilku krokach poczuła się niepewnie i nie wiedziała, gdzie powinna stawiać stopy. Wokół rozlegało się tyle trzasków i chrobotów. Małe kolce ciągnęły ją za ubranie i była przekonana, że coś pełźnie jej po szyi. Już miała zacząć krzyżeć, ale zobaczyła zbliżające się od strony pomostu światelko, które tworzyło podłużny, spokojny promień. Latarka! Poczula się tak, jakby nigdy w życiu nie widziała niczego równie nowoczesnego. Wszystko wskazywało na to, że idzie po nią Easter. Easter nie używał latarki jak typowy chłopiec. Skupił światło na ścieżce. Nie świecił Marinie w oczy ani nie omiatał czubków drzew. Gdy do niej dotarł, wziął ją za rękę i razem weszli głębiej w dżunglę. Było tam coś w rodzaju wąskiej ścieżki, choć mogła to być jedynie przypadkowa luka w zaroślach. Marina trzymała się krok za Easterem i stawiała stopy w miejscach, z których chwilę wcześniej uniosły się jego nogi, a Easter torował im drogę, odsuwając nisko wiszące pnącza, pajęczyny tak wielkie i mocne, że bez trudu mogłyby schwytać małe prosię. Marina była bardzo skupiona na swoich stopach, więc nie wiedziała, dokąd idą, dopóki się nie zatrzymali. Miejsce, do którego przyprowadził ją Easter, było blaszaną puszką wzniesioną na palach. Pochylił się, podniósł kamień, wyjął spod niego klucz i otworzył drzwi. Marina nie spodziewała się drzwi w dżungli, a tym bardziej zamykanych na klucz. W środku Easter poświecił latarką na stół i kilka krzeseł, na sterty skrzynek, z których część chyba rozpoznała: sok, konserwowa zapiekanka. Byli w magazynie. Easter, który nawet teraz trzymał Marinę za rękę, poprowadził ją na zaplecze, skąd drugimi drzwiami wyszli na szeroką werandę, która być może także była jakimś pomieszczeniem. Trudno powiedzieć. Nie było żadnej bryzy oprócz podmuchu wytwarzanego przez setki tysięcy fruujących owadów. Easter skierował snop światła w stronę długiej kolumny moskitiery zawieszanej pod sufitem i rozłożonej wokół posłania. Wskazał Marinę, a potem posłanie. To wszystko wyglądałoby inaczej w świetle dnia. Nic nie wydawałoby się aż tak beznadziejne, gdyby mogła to zobaczyć.

Kiedy usiadła na krawędzi łóżka, zdała sobie sprawę, że przez strach przed ogniem i węzami oraz przez błędzące dłonie tubylców zostawiła na łodzi swoją

walizkę, a choć chciała się przebrać i umyć zęby, nie była nawet pewna, gdzie mogłaby znaleźć miednicę z wodą. Nie umiała wymyślić pantomimy, którą mogłaby przekazać Easterowi pragnienie wspólnego powrotu do łodzi, a nie zamierzała tam iść sama, więc postanowiła zapomnieć o całej sprawie. Na pewno chętnie skorzystałaby z telefonu. Powinna była zadzwonić do pana Focha przed wypłynięciem z Manaus. Wiedziała, że zostawił już pewnie z dziesięć wiadomości i że gdy ona rano je odsłucha, wyczuje wzbierającą w jego głosie panikę. Na początku były to zwyczajne fochy z jej strony, wymierzona mu kara w postaci całego dnia nieświadomości co do miejsca jej pobytu, a teraz, kiedy było zbyt ciemno, by próbować znaleźć telefon, nie miała jak go pocieszyć. A może myślał, że Marina jest już w połowie drogi do Miami, że wraca do domu pierwszym samolotem, tak jak mu zapowiedziała, choć nie sądziła, aby w to uwierzył.

Zdjęła buty i pokazała Eastera palcem. „Idziesz spać?” Skierował latarkę w stronę ściany, niespełna dwa metry od nóg jej łóżka i pokazał hamak, pustą skorupę czekającą na chłopca. Potem, wręczywszy Marinie latarkę, zdjął koszulkę i wdrapał się do środka, a ona stała, świecąc w jego stronę, oniemiała na widok małego dyndającego kokonu, który stworzył. Miała szczęście, spała w pokoju Eastera. Próbowała sobie wyobrazić, że to akt nadzwyczajnej uprzejmości ze strony doktor Swenson, podczas gdy tak naprawdę było to prawdopodobnie jedyne wolne miejsce pod zadaszeniem. Nieważne. Zdała sobie sprawę, że bez niego nie byłaby w stanie zasnąć. Na swoim posłaniu, pod moskitierą, z łatwością mogła wyliczyć względy, pod którymi jej sytuacja mogłaby wyglądać gorzej. Wyciągnęła się i zgasiła światło, słuchając miarowego oddechu dżungli. To było lepsze niż hotel Indira. Posłanie okazało się nie mniej wygodne niż tamto łóżko. Najwidoczniej Lakaszi byli przygotowani na przyjęcie gości, bez względu na to, jak uparcie sprzeciwiała się temu doktor Swenson. Już wcześniej ludzie przybywali tu i mieszkali, i prawdopodobnie wszyscy kładli się pod tą moskitierą, dziękując Bogu, że hamak Eastera wisi niespełna dwa metry dalej. Marina otworzyła oczy. W słabym świetle księżycy zajrzała w białą chmurę swojej moskitiery. Pewnie Anders też tu spał. Easter był przy nim w chwili śmierci, tak powiedziała doktor Swenson. Marina usiadła. Anders. Dotarło to do niej: ta ciemność, to pomieszczenie, to posłanie. W gorączce patrzył przez tę samą moskitierę. Marina wstała, wsunęła stopy z powrotem w buty. Musiał tu gdzieś być długopis. Sięgnęła po latarkę, spojrzała w stronę małego ciała Eastera zawieszzonego w hamaku. Nie miała nic, ani torebki, ani plecaka. Weszła do magazynu. Teraz, gdy

sama trzymała latarkę, zobaczyła, że pomieszczenie pełni funkcję dużej szafy – mnóstwo pudeł, plastikowe wiadra, plastikowe kubki, skrzynki z jedzeniem, butelki z wodą, mniejsze pudełka z próbkami i szkiełkami. Znalazła miotłę, stertę ścierek, ogromną szpulę szpagatu. Nie było szuflad ani półek. Żadnego oczywistego miejsca, w którym można by schować długopis, żadnej logiki. A potem przypomniała sobie, że długopisy Andersa trafiły po jego śmierci do Eastera. To było dziedzictwo tego chłopca: garść pisaków. Wróciła na werandę sypialną, poświeciła na jakieś wiadra, powiodła snopem światła wzdłuż linii, gdzie ściana stykała się z podłogą, i właśnie tam, tuż pod hamakiem, zobaczyła metalową skrzynkę, większą niż pudełko na dokumenty, ale mniejszą niż na sprzęt wędkarski albo na narzędzia. Uklękła i sięgnęła pod wiszącym ciałem chłopca, aby przesunąć metal po szorstkich, nieoheblowanych deskach podłogi. Nie było zamka, jedynie klamerka, która trzymała wieczko zamknięte. Na górze znajdowała się mała metalowa taca pełna piór. Podnosiła je po dwa, trzy i cztery. Znalazła tam ponad dwadzieścia pięć piór w kolorach, których nigdy nie wyobrażałaby sobie na ptaku, fioletowych i jaskrawożółtych, każde idealnie oczyszczone, z ciasno spiętymi promieniami. Na tacce był kamień, który wielkością i ubarwieniem uderzająco przypominał ludzką gałkę oczną. Była też doskonale zachowana skamielina prehistorycznej ryby odcisnięta w łupku oraz zwinięta wstążka z czerwonego jedwabiu. Pod tacką leżała niebieska koperta aerogramu opatrzona z przodu imieniem EASTER, a gdy ją rozłożyła, przeczytała: „Proszę, zrób wszystko, co w Twojej mocy, aby pomóc temu chłopcu dotrzeć do Stanów Zjednoczonych. Spotka cię za to nagroda. Zawieź go do Karen Eckman”. Dalej był adres, jego numer telefonu. „Wszystkie koszty zostaną zwrócone. NAGRODA. Dziękuję. Anders Eckman”. Poniżej widniało to samo, tyle że w języku hiszpańskim, którego Anders uczył się w *college*’u. Nie znał portugalskiego, więc mógł liczyć jedynie na hiszpański. Marina usiadła na piętach. Znalazła kieszonkowy notes na spirali, w którym był alfabet, po jednej literze na stronę, wszystkie napisane wersalikami, a na końcu słowa „Easter”, a potem „Anders” i „Minnesota”. Na dnie pudełka leżało prawo jazdy Andersa i jego paszport. Może Easter chciał zachować jego zdjęcie – albo Anders chciał mu je zostawić. Były jeszcze trzy dwudziestodolarowe banknoty. Pięć gumek recepturek, sześć długopisów, garść monet, amerykańskich i brazylijskich. Marinie zakręciło się w głowie. Wcześniej chciała obudzić chłopca, napisać słowo „Anders”, jedno z trzech słów, jakie znała. Chciała wskazać to słowo, a potem swoje posłanie. „Czy Anders tu spał?” Ale już nie musiała o to pytać. Odłożyła wszystko na miejsce. Poukładała pióra, zamknęła

wieczko i przysunęła pudełko do ściany. Wyłączyła latarkę, wróciła za światłem księżycyca na posłanie Andersa i wślizgnęła się pod moskitierę. Anders pokazał jej paszport, gdy tylko przysłali mu go pocztą. Kartonowa okładka była sztywna. Zdjęcie zupełnie nie oddawało jego wyglądu. Nie było nawet kolorowe. To w prawie jazdy wyszło lepiej.

– Nie miałeś paszportu? – zdziwiła się.

– Miałem – powiedział, siadając na jej biurku i spoglądając jej przez ramię, by jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciu. – Na trzecim roku *college'u*.

Spojrzała na niego.

– Dokąd się wybrałeś?

Żałowała, że sama nigdy nie wzięła dziekanki, aby spędzić rok za granicą. Z drugiej strony wiedziała, że nie mogłaby znieść myśli o byciu tak daleko od domu.

– Do Barcelony – odpowiedział, bezwstydnie sepleniąc. – Rodzice chcieli, żebym poleciał do Norwegii. Ale kto by wyjeżdżał z Minnesoty po to, żeby spędzić semestr w Norwegii? W Barcelonie myślałem, że już nigdy nie wrócę do domu. Układałem list do rodziców, wyjaśniając im, że jestem stworzony do słońca, sangrii i sjesty. Byłem najszczęśliwszym Amerykaninem w Hiszpanii.

– Więc co tutaj robisz?

Anders wzruszył ramionami.

– Mój czas dobiegł końca. Jakimś cudem zebrałem się i wróciłem do domu. Poszedłem na medycynę. Nigdy więcej nie byłem w Barcelonie. – Wziął od Mariny paszport i znowu na niego spojrzał. – Nie uważasz, że to dobre zdjęcie? Wyglądam tak poważnie. Mógłbym być szpiegiem.

Tej nocy Marinie nie przyśnił się sen. Cena, jakiej lariam żądał od jej podświadomości, została zapłacona po południu na łodzi, ale w pewnej chwili, kiedy Marina spała i o niczym nie śniła, obudził ją przesywający krzyk, wysokie, beznadziejne wołanie zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Marina usiadła.

– Easter? – powiedziała.

Włączyła latarkę i w hamaku chłopca zobaczyła tak zaciętą walkę, że natychmiast pomyślała o wężu. Zerwała się z posłania, chcąc chwycić hamak za krawędź i wywrócić go na drugą stronę, żeby ocalić chłopca przed tym, co go pożera, ale zanim zdążyła się wydostać spod moskitiery, zrozumiała, co się dzieje, i wstrzymała się jeszcze sekundę, by usłyszeć dźwięk jego głosu, a potem wyciągnęła rękę i położyła mu je na ramionach. Wiedziała, że należy budzić śniącego z koszmaru,

że nikt nigdy tego nie robi, choć powinien. Potrząsnęła nim delikatnie, pozwalając, aby jego ciało drgało pod jej dłońmi. Pocił się, trząsł, przewracał oczami. Wydała wszystkie odpowiednie w takich sytuacjach dźwięki, których nie mógł usłyszeć. Szepnęła: „Spokojnie, już dobrze”. Nie umiała się powstrzymać. Wzięła go w ramiona i pozwoliła, by wypłakał się na jej szyi, a sama składała mu obietnice, zataczała kręgi na wąskiej przestrzeni między jego łopatkami, a gdy znowu mógł swobodnie oddychać i na powrót zapadał w sen, wyprostowała mu włosy palcami, odwróciła się, żeby wrócić na swoje posłanie, a on poszedł za nią i wdrapał się pod moskitierę. Marina nigdy wcześniej nie spała z dzieckiem, nie odkąd sama przestała nim być – bo wcześniej urządziła z koleżankami imprezy z nocowaniem – ale nie było to nic trudnego. Zrobiła dla niego miejsce pod swoim ramieniem, wtuliła jego plecy w swoją pierś i zanim zdążyła o czymkolwiek pomyśleć, obydwójce spali, bezpieczni w białym tunelu z siatki.

W którymś momencie nocy żonglowanie pochodniami i wrzeszczący jak wściekli Lakaszi ustąpili miejsca plemieniu klasy pracującej, grupie trzeźwych ludzi, którzy zajęli się codziennymi sprawami bez fanfar i płomieni. Marina odnalazła ich, poszedłszy ścieżką na polanę nad brzegiem rzeki – choć mijając to miejsce w nocy, mogłaby przysiąc, że była tam tylko zwarta dżungla. Zastała na niej kobiety, które prały w rzece ubrania i myły dzieci, kobiety zbierające gałązki do koszyków i zaplatające włosy dziewcząt w warkocze. Każdy ruch, jaki wykonywały, wystawiał je na bezlitosne słońce. Było tam także mnóstwo małych nagich dzieci, które pluskały się w wodzie, wymachując rączkami, i taplały się w kałużach – małych dzieci i raczkujących niemowląt w tak ogromnej ilości, że Marina zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie natrafiła na plemienne przedszkole. Zauważyła, że mężczyzn jest mniej, ale kilku z nich drążyło ogromny pień. Byli bez koszul, boso, a gdy Marina przechodziła obok nich, rzucili jej krótkie, obojętne spojrzenie, jakby była turystką, a oni widywali takie turystki już wcześniej. Łodzie są oczywiście kluczem do życia nad rzeką, więc inne czółna wydrażone z pni czekały stłoczone na brzegu, a rzeką wiosłował jakiś mężczyzna. Obok przeszły dwie dziewczynki w spodenkach, ale bez koszulek. Każda z nich miała maleńką małą owiniętą wokół szyi, a zwierzątko kurczowo ścisnęły w łapkach swoje chwytne ogonki. Obie małe odwróciły łebki w stronę Mariny i pokazały jej spiczaste żółte ząbki odsłonięte w szerokim uśmiechu.

Tylko małpki patrzyły jej w oczy. Potem jedna z małpek zauważyła jakieś maleńkie żyjątko we włosach swojej dziewczynki, wyciągnęła łapkę, chwyciła je i połknęła.

Marinie nie udało się jeszcze odnaleźć dwóch osób, które знаła nad tą rzeką. Gdy obudziła się rano, Eastera nie było ani w jej łóżku, ani w hamaku, i zdziwiła się na myśl, że ktokolwiek umie być wystarczająco cicho, by jej nie obudzić, zwłaszcza dziecko, które samo nie było zaznajomione z dźwiękami. Nie napotkała jeszcze także doktor Swenson, ale domyślała się, że to będzie większe wyzwanie. Doktor Swenson albo stała tuż przed tobą, albo zniknęła, a w takim wypadku nie było sensu czekać pod jej gabinetem z nadzieją, że się zjawi.

Łódź pontonowa kołysała się lekko na cumie przy pomoście, dokładnie w tym miejscu, gdzie zostawili ją poprzedniego wieczoru, więc Marina odebrała to jako znak, że na razie wszystko jest w porządku. Kiedy weszła na pokład, mężczyźni, którzy drążyli pień, przerwali pracę i wstali, żeby na nią popatrzeć, stukając o uda zakrzywionymi nożami. Już po kilku sekundach zauważyła, że jej torby nie ma na pokładzie. W łodzi było pusto i brakowało miejsca, w którym można by ukryć bagaż. Marina przesunęła językiem po zębach i znowu pomyślała o szczoteczce. Poranek już był gorący, a niebo gęste od zapachu gnijących albo rozwijających się liści. Nad wodą moskity częstowały się jej kostkami i drażyły studnię na jej karku. Jeden wleciał jej za koszulę, by ugryźć pod łopatką, w miejscu, którego nie była w stanie podrapać. Chciała odzyskać tę torbę znacznie bardziej niż walizkę, która nigdy nie dotarła do Manaus. Zastanawiała się, czy gdzieś w magazynie z werandą sypialną można by znaleźć środek odstraszający owady, i po raz pierwszy słowo „owadobójczy” skojarzyło jej się z „zabójczy”. Nagle wyczuła poruszenie wśród Lakaszich, zbiorowe prostowanie pleców, po którym nastąpiła ożywiona paplanina niepoddająca się żadnym analizom składniowym ani odniesieniom do znanych Marinie słów. Potem zobaczyła bardzo wysokiego, chudego jak słomka czarnego mężczyznę. Wynurzył się z dżungli, jego małe okulary w drucianej oprawce połyskiwały w słońcu. Pochylił głowę, odwracając się na wszystkie strony w geście, który był czymś mniej niż pokłonem, ale czymś znacznie więcej niż skinieniem, a wszyscy tubylcy stali i odpowiadali mu tym samym. Kilkoro z nich wykrzyknęło słowa powitania, a on je powtórzył, doskonale chwytając rytmiczne drganie na końcu zdania, które wprowadziło tłum w zachwyt. Kobiety podniosły dzieci i kołysały nimi w jego stronę, mężczyźni odłożyli noże. Następnie rozpoczęło się coś w rodzaju wymiany haseł i odzewów: ktoś z plemienia rzucał jakieś zdanie, a wysoki mężczyzna je powtarzał. Bez względu na to, jak skomplikowane

zдание mu serwowano, udawało mu się odbić piłeczkę. Lakaszi zakołysali się na boki w całkowitym zadowoleniu, a mężczyzna pokłonił się znacznie niżej niż uprzednio, co najwyraźniej miało oznaczać, że doskonale się bawi, ale musi już wracać do pracy.

– Doktor Singh, jak przypuszczam? – powiedział, okrążając ognisko, aby podać Marinie dłoń. Miał na sobie spodnie koloru khaki i niebieską bawełnianą koszulę. Obie części garderoby wyglądały tak, jakby regularnie tłuczono nimi o skały. – Thomas Nkomo. Miło mi.

Jego angielszczyzna była tak melodyjna i tak wyraźnie świadczyła o tym, że nie jest jego językiem ojczystym, iż Marina zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie uczył się angielskiego poprzez śpiewanie.

– Mnie również – powiedziała, ściskając jego długą, chudą dłoń.

– Doktor Swenson mówiła, że pani z nią przyplynie. Chciałem się przedstawić wczoraj wieczorem, przywitać się, ale wszyscy przybyli panią pozdrowić i nie mogłem się dopchać.

– Raczej nie chodziło im o mnie.

Doktor Swenson mówiła, że Marina z nią przyplynie?

– Lakaszi lubią, kiedy coś się dzieje. Zawsze szukają okazji do świętowania.

Marina skinęła głową do tłumu za ich plecami, który usiadł, aby oglądać ich rozmowę, jakby to była jakaś sztuka teatralna.

– Pięknie pan mówi w ich języku.

Thomas Nkomo roześmiał się.

– Papuguję. Potrafię oddać to, co mi dają. W ten sposób się uczę. Znają trochę portugalskiego, przyplływają tu handlarze, a Lakaszi odwiedzają Manaus, ale mimo to próbuję opanować ich mowę. Nie wolno być nieśmiałym, gdy chodzi o język.

– W tym wypadku nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

– Najpierw trzeba otworzyć usta.

– Rozumie pan Lakaszich?

Wzruszył ramionami.

– Wiem więcej, niż mi się wydaje. Jestem tu już dwa lata. To wystarczająco dużo czasu, by co nieco podłapać.

Dwa lata? Tuż za grubą zasłoną liści Marina dostrzegła zarys kilku chatek, niewyraźne kontury cywilizacji. Czy pośród drzew było coś w rodzaju przedmieść, miejsca, gdzie ludzie mogą znośnie żyć przez lata, bez przerwy?

– Więc pracuje pan z doktor Swenson?

Z pewnością pan Fox wiedział, ale zapomniał jej napomknąć, że Vogel opłaca też innych naukowców pracujących w terenie.

– Pracuję z doktor Swenson – potwierdził, ale zabrzmiało to tak, jakby znów papugował, jakby albo nie wierzył w to, co mówi, albo nie zrozumiał pytania. Po chwili dodał: – Dziedziny, w których się specjalizujemy, zazębiają się. A pani, pani doktor? Doktor Swenson mówiła, że pracuje pani dla Vogla. W czym się pani specjalizuje?

– W cholesterolu – powiedziała Marina, myśląc, że z całą pewnością żaden mieszkaniec lasów deszczowych nie zastanawiał się nigdy nad swoim poziomem cholesterolu ani nawet nie musiał tego robić. Było tu tyle kajsak, na które można nadepnąć.

– Należę do zespołu prowadzącego długofalowe badania nad statynami.

Słyszac to, Thomas Nkomo złożył długie, eleganckie dłonie i przycisnął opuszki palców do ust, smutno i wolno kręcąc głową. Zobaczyła jego złotą obrączkę jaśniejącą na skórze niczym latarnia morska. Lakaszi, którzy nawet na chwilę nie oderwali od niego wzroku, pochylili się do przodu, zaniepokojeni smutkiem malującym się na jego twarzy. Minęło bardzo dużo czasu, zanim ponownie się odezwał.

– W takim razie przyplęnęła tu pani z powodu naszego przyjaciela.

Marina zamrugła. Istniały spore szanse, że tylko jeden z naukowców, którzy przybyli tu wcześniej, interesował się cholesterolu.

– Tak.

Westchnął ze spuszczoną głową.

– Nie domyśliłem się wcześniej, ale oczywiście, oczywiście. Biedny Anders. Bardzo nam go brakuje. Jak się miewa jego żona? Jak się czują Karen i chłopcy?

Wymawiał jej imię jak „Kar-ron”. Podróż Karen do Brazylii od początku była nierealna, lecz mimo to Marina żałowała, że Karen nie może zobaczyć cierpienia na twarzy Thomasa Nkomo, że nie ona jest adresatką tak uprzejmego współczucia.

– Chce, żebym się dowiedziała, co się z nim stało. Dotarły do nas bardzo skąpe informacje.

Ramiona Thomasa Nkomo oklapły.

– Nie wiem, co powiedzieć. Jak możemy jej to wytłumaczyć? Myśleliśmy, że Anders wyzdrowieje. Ludzie w dżungli zapadają na ciężkie choroby, gorączka jest tu czymś powszechnym. Pochodzę z Dakaru. W Afryce Zachodniej można powiedzieć, że bardzo młodzi umierają nagle, a bardzo starzy powoli, ale ci spośród, zdrowi



mężczyźni tacy jak Anders Eckman, z czasem pokonują chorobę. Wszyscy tu jesteśmy naukowcami. – Przykrył serce dłonią. – Ja jestem naukowcem. Nie spodziewałem się tego.

Jakby w odpowiedzi na ten pokaz emocji, Lakaszi gwałtownie wstali, a potem zebrali dzieci i noże. Szybko powkładali gałazki i ubrania do koszyków i nim zdążyła upłynąć minuta, ostatni z nich zniknął w dżungli. Thomas Nkomo nerwowo spojrzał na niebo.

– Powinniśmy już iść, pani doktor. Burza będzie gwałtowna. Lakaszi mają absolutnie niezwykle zdolności meteorologiczne. Pójdzie pani ze mną, prawda? Pokażę pani laboratorium. Będzie pani pod wrażeniem tego, czego dokonaliśmy w tych prymitywnych warunkach.

Zobaczyła, jak od zachodu nad rzeką zbliża się burza i poczuła nagłą zmianę w fakturze powietrza. Doktor Nkomo położył jej rękę na plecach.

– Proszę, chodźmy już – powiedział i szybko ruszyli w kierunku, gdzie Marina jeszcze nie była.

Ptaki zataczały kółka nad wodą i nurkowały prosto w baldachim z drzew, a inne stworzenia – stworzenia, których Marina nie była w stanie wyraźnie dojrzeć – wbiegały na drzewa. Potem ukazała się pojedyncza rozszczepiona błyskawica, poprzedzająca o kilka milisekund kłaśnięcie grzmotu, które mogłoby rozłupać świat na pół, a następnie, jako że wszystko występowało trójkami, lunął deszcz. Marina, prawie całkowicie oślepiąca przez błyskawicę i ogłuszona łoskotem, nagle pomyślała, że za chwilę utonie na stojąco.

W Manaus Marinie wielokrotnie udawało się prześcignąć burzę, a przynajmniej jej najgorszą część: pędziła ulicą w japonkach, znajdując schronienie pod markizą, zanim pękło niebo, ale aby biegać w dżungli, trzeba się urodzić w dżungli, bo w przeciwnym razie korzenie i pnącza stają się siłkami, łamaczami nóg, a błoto rozsmarowuje krajobraz na olej. Lakaszi już dawno zniknęli wraz z ptakami i tymi innymi umykającymi nieznajomymi, wracając do domów, gniazd i nor i pozostawiając całe to miejsce Marinie i doktorowi Nkomo, którzy powoli przesuwali się po nierównej ścieżce. Każda kropla deszczu uderzała o glebę z taką siłą, że odskakiwała z powrotem, upodabniając ziemię do powierzchni wrzącej wody. Marina przesuwała dłonie od drzewa do drzewa, opierając się o gałęzie, i próbowała zapanować nad oddechem w strumieniach deszczu.

Doktor Nkomo postukał długim palcem w jej palce.

– Przepraszam, ale to nie najlepszy pomysł – powiedział głośno. – Nigdy nie wiadomo, co się ukrywa w korze, której nie powinno się dotykać.

Marina szybko odsunęła palce i pokiwała głową, a potem zwróciła dłonie do góry i umyła ręce w deszczu.

Doktor Nkomo ciągnął dalej, właściwie krzycząc, by jego głos dał się słyszeć ponad rykiem burzy.

– Raz oparłem się o drzewo, a dwudziestoczwierogodzinna mrówka przebiła mi koszulę i ugryzła mnie w ramię. Może zna pani łacińską nazwę rodzajową: *Paraponera*? – Zdjął okulary, które w deszczu stały się bezużyteczne, i włożył je do kieszeni koszuli. – Tylko jedna mrówka długości paznokcia mojego kciuka, a mimo to leżałem w łóżku przez tydzień. Nikt nie lubi się skarżyć na takie dolegliwości, ale ból zapadł mi w pamięć. Tam, skąd pani pochodzi, nie ma dwudziestoczwierogodzinnych mrówek, prawda?

Marina pomyślała o świerszczach i wojakach, o królikach i sarnach, o disnejowskiej księżce przyrody, która spała na przepastnych zielonych łąkach jej rodzinnego stanu.

– Nie ma – przyznała.

Jej włosy zupełnie przemokły, podobnie jak bielizna, a ziemia pod stopami rozmiękła, gdy spływały na nią strugi wody spomiędzy drzew. Usłyszeli głośny gwizd przeszywający nawet grzmot i zastanawiali się, czy im się nie przesłyszało. Wyobraźnia grała w dżungli ważną rolę, zwłaszcza podczas burz. Zatrzymali się i czekali, aż w końcu znowu rozległ się gwizd i nastąpiła cisza. Marina odwróciła głowę i zobaczyła, że to, co wcześniej wzięła za drzewo, tak naprawdę jest słupem. Były cztery słupy, a półtora metra nad jej głową znajdowała się platforma, nad którą wisiał palmowy dach. Zza jej krawędzi obserwowało ich czworo wychylonych członków plemienia Lakaszi. Doktor Nkomo spojrział w górę, pomachał, a oni mu odmachali.

– To zaproszenie – wyjaśnił Marinie. – Powinniśmy wejść na górę, prawda?

Marina, która ledwie to dosłyszała ponad szumem wody wzbierającej jej w uszach, weszła po drabinie jako pierwsza.

Biorąc pod uwagę brak bocznych ścian, pojedyncze spore otwarte pomieszczenie, które pełniło funkcję domu, okazało się cudownie suche. Dach był kilkadziesiąt centymetrów szerszy niż podłoga i kończył się nisko po bokach. Marina i doktor Nkomo instynktownie podnieśli głowy, by podziwiać tę barierę między sobą a deszczem. Jedna z kobiet siedziała na podłodze i starannie splatała trzy bardzo długie

liście palmowe w gonty, jakby chciała pokazać, że takie rzeczy naprawdę są możliwe. Była tak pochłonięta pracą, że zdawała się nie zauważać przybycia gości, choć Marina mogłaby przysiąc, że pół minuty wcześniej ta sama kobieta wychylała się zza krawędzi podłogi, aby na nich popatrzeć. Odgłos kropel bębniących o liście palm był nieskończenie bardziej łagodny niż odgłos kropel bijących o głowę i Marina była wdzięczna tej kobiecie za jej pracę. Dwaj mężczyźni, którzy równie dobrze mogli mieć trzydzieści jak pięćdziesiąt lat, podeszli, żeby poklepać doktora Nkomo po piersi i plecach, choć to poklepywanie było bardziej stonowane i powściągliwe niż tamto, którym w nocy witali Eastera. Potem, ciągle ze sobą paplając, sięgnęli po kosmyki przemoczonych włosów Mariny, krótko obejrzeni jej uszy i pozwolili, by włosy ociekły z wody. Znacznie cięższa kobieta po sześćdziesiątce albo siedemdziesiątce siekała stertę białawych korzeni, wykorzystując podłogę jako deskę do krojenia oraz ten sam nóż, którym niedawno budowano czółno. Ponieważ w pomieszczeniu znajdowało się dwóch mężczyzn, na podłodze za nią leżał drugi, podobny nóż. Była tam też nastoletnia dziewczyna o skórze usianej pryszczami i obgryzionych paznokciach, która bez celu wodziła wzrokiem po pomieszczeniu, jakby miała nadzieję znaleźć telefon; była rozbiegana dwu – lub trzylatka ubrana w mniejszą wersję zgrzebnych sukienek noszonych najwyraźniej przez wszystkie kobiety Lakasich; oraz nagie niemowlę płci męskiej, pełzające całkiem szybko po nieoheblowanych deskach. Marina błyskawicznie obliczyła, z jaką prędkością porusza się dziecko i jaka odległość dzieli je od krawędzi podłogi, i natychmiast skoczyła w jego stronę, by złapać chłopca za małą brązową nóżkę dokładnie w chwili, gdy lewa rączka sięgnęła po puste powietrze.

– Aaa! – zawołali Lakaszi, a potem się roześmiali.

Marina z zapartym tchem wyjrzała za krawędź podłogi, gdzie woda z dachu pieniała się w dole błota i pńczy, jakby spływała z wodospadu Niagara. Wsunęła rękę pod brzusek dziecka i zaniósła je z powrotem na środek pomieszczenia. Dziecko też się śmiało. Na czym dokładnie polegał dowcip? Na tym, że naprawdę myślała, iż dziecko wypadnie, tak samo jak wcześniej była przekonana, że Easter nie wynurzy się już z wody? Na tym, że właśnie tak zapewniali przetrwanie inteligentnej rasie: pozwalając, aby nierozważne dzieci spadały niczym dojrzałe owoce z drzew? Uniosła dziecko, trzymając je pod paszkami, i spojrzała mu w twarz. Chłopczyk był bez wątpienia chudszy niż przeciętny amerykański egzemplarz, ale wyglądał bardzo zdrowo, wierzgał i wesoło gruchał. Rozbiegana dwulatka na chwilę przystanąła, by

sięgnąć po zostawiony bez opieki nóż, i zaczęła stukać ostrzem w podłogę tuż za starszą kobietą. Wtedy niemowlę nasiusiło na Marinę długim obfitym strumieniem skierowanym na przód jej już i tak przemoczonej koszulki. Mężczyźni roześmiali się jeszcze głośniejsze, a kobiety zrobiły to powściągliwiej, kręcąc głowami na wszystkich niemądrych cudzoziemców świata, którzy nie wiedzą, że dziecko należy trzymać odwrócone w odpowiednią stronę. Nóż dwulatki utknął w desce podłogi, ale po chwilowym płaczu udało jej się go stamtąd wyciągnąć i wbić z powrotem, niespełna dwadzieścia centymetrów od pleców starszej kobiety.

– Mógłby pan zabrać ten nóż? – zwróciła się Marina do doktora Nkomo.

Doktor Swenson bez wątpienia namawiałaaby do poszanowania naturalnego porządku, w którym niemowlęta spadają z krawędzi, a dwulatki bawią się nożami, którymi pewnego dnia będą się musiały posługiwać, żeby zdobyć pożywienie. Te dzieci dożyły przybycia Mariny bez poważnych obrażeń i niewątpliwie miały spore szanse na dalsze istnienie po wyjściu gości, lecz mimo to doktor Nkomo wyjął nóż z niechętnych do współpracy rączek dziewczynki, a gdy oddał go jednemu z mężczyzn, mała położyła główkę na podłodze i rozplakała się. Kobieta plotąca gonty wstała i powiedziała coś do doktora Nkomo, wskazując najpierw na Marinę, a potem na niego. Nastolatka podeszła i zabrała niemowlę.

– Już popełniłam jakiś błąd? – zapytała Marina.

– Chodzi o pani ubranie – wyjaśnił. – To jedyne słowo, które zrozumiałem, a i tego nie jestem pewien.

Starsza kobieta zwinnie podniosła się z podłogi i zaczęła rozpinąć koszulę Mariny. Marina złapała ją za palce i przecząco pokręciła głową, ale kobieta najzwyczajniej zaczekała, aż Marina wypuści jej dłonie, po czym wróciła do rozpoczętej czynności. Jej dotyk był cierpliwy i jednocześnie uparty. Marinie zupełnie nie przeszkadzało, że jej brudne, przemoczone ubranie zostało obsiudane, ale nie potrafiła tego wytłumaczyć. Kiedy zrobiła krok do tyłu, kobieta znowu się przysunęła. Była znacznie niższa od Mariny, jak oni wszyscy, więc doktor Singh pozostało jedynie patrzeć na przedziałek między jej siwymi włosami i długi warkocz opadający na plecy. Sukienka kobiety opinała brzuch, a brzuch naciskał na pachwinę Mariny. Był uniesiony i twardy, ale nagle Marina odkryła, że staruszka ma chude ramiona, chudą twarz i chude nogi. Tylko brzuch jej wystawał. Marina zastanawiała się nad tym, odsuwając się jeszcze bardziej, aż w końcu obu kobietom zagroziło wypadnięcie z chatki. Marina zatrzymała się, szukając sposobu, żeby się uwolnić, a kobieta znowu

zajęła się guzikami, napierając na nią brzuchem. Marina poczuła kopnięcie dziecka.

– Mój Boże – powiedziała.

– Chyba chce uprać pani koszulę – wtrącił się doktor Nkomo. Wydawał się niezwykle zakłopotany. – Gdy raz coś sobie postanowią, bardzo trudno ich do tego zniechęcić.

– Ona jest w ciąży. Poczulałam kopnięcie dziecka – oznajmiła zdziwiona Marina.  
– Kopnęło mnie.

Dziecko kopnęło jeszcze raz, jakby było wdzięczne za uznanie, a kobieta podniosła głowę i patrząc na Marinę, pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Ech, dzieci, cóż można poradzić?”. Jej czoło było porane głębokimi bruzdami, a skóra na szyi obwisła. Z boku nosa, niedaleko oka widniał ciemny, płaski pieprzyk o nieregularnym kształcie, być może czerniak. Po rozpięciu guzików kobieta pomogła Marinie zdjąć koszulę, a Marina pozwoliła jej ją zabrać. Jak to ujął Anders? *Zaginiony horyzont* jajników? Ile dzieci rozbierała ta kobieta i ilu ludzi w tym domku na drzewie było jej dziećmi? Dwulatka płacząca po stracie noża? Kobieta plotąca dach? Mężczyźni czekający, aż będą mogli wrócić do drążenia swojego pnia na czółno? Druga kobieta podeszła ze ścierką, która była mała i nieszczególnie czysta, i najpierw wytarła nią ręce i plecy Mariny, a potem jej brzuch i szyję. Dotknęła stanika i powiedziała coś do starszej kobiety, która zbliżyła nos do piersi Mariny, by uważniej obejrzeć koronkowe wykończenie białych miseczek. Doktor Nkomo zajął się dwulatką, zdecydowanie odwracając się do Mariny plecami, ale dwaj pozostali mężczyźni splekli ręce na piersi i obserwowali widowisko z zainteresowaniem. Marinie wcale to nie przeszkadzało. Kopnął ją płód, którego matka miała co najmniej sześćdziesiąt lat, a z powodzeniem mogła już być po siedemdziesiątce. Nastolatka stanęła przed Mariną, uniosła ręce i trzymała je w górze tak długo, aż Marina zrozumiała, że to polecenie, a nie zabawa. Także podniosła ręce. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna ma zamiar wsunąć Marinie przez głowę szeroką sukienkę, lecz dzieląca je różnica wzrostu pokrzyżowała jej plany i Marina włożyła sukienkę sama. Gdy tylko wsunęła głowę w otwór nieco krzywej sukienki, któraś z kobiet ściągnęła jej spodnie i zaczęła wycierać nogi tą samą ścierką. Marina posłusznie wyszła z nogawek, najpierw jedną nogą, potem drugą, a następnie spodnie zabrano. Marina stała tam tak jak pozostałe kobiety, w luźnej trapezowej sukience, wystarczająco obszernej, by starczyła do końca ciąży, bo wszystkie ubrania kobiet z plemienia Lakaszi były strojami ciążowymi. Nie miały zamków ani guzików, więc Marina pomyślała, że zarówno ona, jak i te kobiety

wyglądają w nich jak kandydatki do wiejskiego domu wariatów. Na niej strój był znacznie krótszy. Kobiety poszturchiwały jej kolana i śmiały się, jakby w kolanach Mariny było coś z lekka skandalicznego. Kobiety usiadły na podłodze, a Marina usiadła razem z nimi i znowu położyła ręce na brzuchu starszej kobiety, czekając, aż dziecko ponownie się poruszy. Kobieta, która robiła gonty, zaciesała włosy Mariny do tyłu rzeźbionym grzebieniem i zaplotła je ciaśniej niż kiedykolwiek zdołała je zapleść matka Mariny, gdy ta była jeszcze dzieckiem. Podczas gdy dziecko pływało Marinie pod rękami, nastolatka odgryzła pojedynczy pasek liścia palmowego i związała nim koniec warkocza. Na oko Marina oceniła, że to szósty miesiąc. Wtedy zdała sobie sprawę, że odkąd dotykanie ciężarnych kobiet przestało być jej obowiązkiem, nie dotknęła ani jednej. Jak to możliwe? Jak mogła z nich wszystkich zrezygnować, po tym jak podczas szkolenia przesuwiała rękami po niezliczonych kobiecych brzuchach?

– Wiedziała pani o Lakaszich, o tym, z jakiego powodu jest tu doktor Swenson, prawda? Anders pani powiedział? – zapytał doktor Nkomo.

Dziewczynka siedząca mu na kolanach bawiła się jego okularami. Delikatnie rozkładała je i składała z powrotem.

– Wspominano mi o tym, ale nie mogę powiedzieć, że naprawdę uwierzyłam. Zupełnie inaczej jest to zobaczyć na własne oczy.

– Ma pani rację – zgodził się doktor Nkomo, potakująco kiwając głową. – Czytałem wcześniej artykuły doktor Swenson, ale mimo to byłem bardzo zaskoczony. Za dużo myślałem o płodności i reprodukcji moskitów, a za mało o płodności i reprodukcji kobiet. Tak podsumowałaby to moja żona. Twierdzi, że jeśli jeszcze dłużej będziemy zwlekać z dzieckiem, sama będzie musiała tu przyjechać i żyć wśród Lakaszich, żeby móc zająć w ciążę.

Marina sięgnęła do tyłu i poruszała podstawą warkocza, próbując go poluzować, zanim rozboli ją głowa.

– Myślałam, że prowadzi pan badania nad płodnością razem z doktor Swenson.

– No tak – powiedział doktor Nkomo, zabierając okulary dziewczynce, czym ponownie złamał jej serce. – Pracujemy razem, ale nie zajmujemy się tą samą dziedziną badań. Nasze specjalizacje się zazębiają.

Gospodarze w skupieniu śledzili ich rozmowę, obracając twarze od jednego do drugiego, jakby oglądali mecz tenisowy.

– Jaką dziedziną się pan zajmuje, doktorze?

– Proszę mi mówić Thomas – zaproponował. – Chyba można powiedzieć, że

skupiam się na efektach ubocznych toksyczności substancji, tyle że w tym wypadku substancja nie jest toksyczna. Wykazała korzyści niezwiązane z płodnością.

Należało zadać kilka pytań, mianowicie o to, jakie to korzyści przynoszą jego badania i kto za nie płaci, ale w tym momencie na szczycie drabiny pojawił się Easter, dokładnie tak samo przemoczony jak wtedy, kiedy wynurzył się z rzeki za burtą łodzi. Marina zrozumiała wyraz paniki na jego twarzy. Był pewien, że ona nie żyje, tak jak ona była pewna, że on się utopił. Szybko powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, jego spojrzenie przesunęło się po niej i tylko na chwilę zatrzymało na Thomasie Nkomo. Zaczął z powrotem schodzić po drabinie, ale wtedy Marina szybko wstała i gdy zobaczył, że to ona siedziała w tej sukience, z włosami zaplecionymi w warkocz, wskoczył po ostatnich szczeblach drabiny, w koszulce rozciągniętej od deszczu i z nogami ubłoconymi po kolana. Zaczął ją klepać otwartymi dłońmi po ramionach, biodrach, plecach. Nie mógł się powstrzymać. Odpowiadał za nią i ją zgubił.

Lakaszi kiwali głowami, cmokali językami i pokazywali go sobie palcami, ale Easter nie patrzył w ich stronę, więc przestali. Nie można przedrzeźniać głuchego, jeśli nie chce na ciebie spojrzeć.

– Deszcz ustaje – oznajmił Thomas, wyciągając szyję, by zajrzeć pod okap. – A może już przestał i krople kapią tylko z drzew. Bardzo trudno odróżnić taki deszcz od tej ciągłej ulewy, która nas zaskoczyła.

– Nie mam nic przeciwko zmoknięciu jeszcze raz.

Marina objęła Eastera ramieniem. Myślała o jego pudełku, o długopisach i piórach, o liście otwartym do świata napisanym przez Andersa w imieniu chłopca.

– W takim razie powinniśmy już iść. – Thomas zaczął rozdawać głębokie pokłony na lewo i prawo.

– Jak się mówi „dziękuję”?

– Z tego, co wiem, w języku Lakaszich takie słowo nie istnieje. Zadawałem to pytanie innym ludziom, ale nikt niczego nie wymyślił.

Marina spojrzała na swoich gospodarzy, którzy wpatrywali się w nią z wyczekiwaniem, jakby mieli nadzieję, że sama zgadnie.

– A po portugalsku?

– *Obrigado*.

– *Obrigado* – powiedziała Marina do ciężarnej kobiety, lecz na twarzy staruszki nie zaszła żadna zmiana.

Marina jeszcze raz przyłożyła dłoń do jej brzucha, ale dziecko już się nie

poruszyło.

Easter pociągnął Marinę za sukienkę, po czym uniósł koniec swojej koszuli, wskazał go, a następnie Marinę. Marina rozejrzała się wokół. Między słupkami wisiało kilka hamaków, na podłodze leżało trochę koców i ubrań, kosze z korzeniami i kosze z gałązkami, ale nigdzie nie zauważyła swojej koszuli i spodni. Prawdę mówiąc, gdyby chłopiec nie wspomniał o jej ciuchach, prawdopodobnie zeszlaby po drabinie bez nich – tak bardzo była rozkojarzona po tym, co zobaczyła. Przecząco pokręciła głową. Wtedy Easter podszedł do ciężarnej kobiety i pokazał jej swoją koszulę ujętą dwoma palcami, a następnie wskazał Marinę. Wyglądało na to, że kobieta nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Marina odegrała pantomimę rozpinania guzików, przesuwając palce w dół sukienki, gdzie powinny być guziki, ale kobieta i tym razem wzruszyła ramionami.

Wtedy Thomas powiedział jakieś słowo, „basa” albo „basi”, które według niego prawdopodobnie oznaczało ubranie, ale spotkało się ono z taką samą obojętnością jak portugalskie „dziękuję”. Dotknął własnej koszuli i wskazał Marinę. Młodsza kobieta zajęła swoje miejsce na podłodze, wracając do skręcania i supłania liści palmy, jakby w jej domu nie było żadnych gości, a następnie, w najbardziej pograżającym geście fałszywej niewinności, nastolatka usiadła, żeby jej pomóc. Dziecko zostało odłożone na podłogę i wręczono mu palmowy liść, żeby miało się czym bawić. Wsunęło jego koniuszek do buzi i z zadowoleniem zaczęło ssać.

– Obawiam się, że panią ograbiono – skwitował Thomas.

– Z ubrania?

Marina nie mogła sobie wyobrazić, by coś takiego było w ogóle możliwe, mimo że stała w zgrzebnej sukience. Easter przeszedł przez pomieszczenie i zaczął grzebać w stercie na podłodze, a wtedy jeden z mężczyzn podszedł i pacnął go w bok głowy otwartą dłonią.

– Niedobrze – powiedziała Marina. – Nie wiem, gdzie jest mój bagaż.

– Torba, którą przywiozła pani z Manaus? – zapytał Thomas. – Nie było jej w łodzi?

Odwróciła się do niego. Nagle sukienka wydała jej się bardzo mała.

– Oczywiście, że była w łodzi, ale, mój Boże, podpłynęliśmy do tych wszystkich pochodni i wrzasków, ci mężczyźni zaczęli wynurzać się z wody i wchodzić na pokład, i ani się obejrzałam, jak doktor Swenson już była na pomoście. Nie zamierzałam tam zostać i szukać swojego bagażu.

– Oczywiście – przytaknął Thomas.



Nie zaoferował jej ani słowa pocieszenia. Nie powiedział jej tego, co powiedziała by każda inna osoba: że są w bardzo małej wiosce i jej torba z pewnością się odnajdzie. Nastolatka już wstała i otwartą dłonią wymierzała ciosy rękoma Eastera, a potem podeszła także dwulatka i też go uderzyła.

– Powinniśmy już iść, pani doktor – ponaglił Thomas.

– Proszę – powiedziała, zaskakująco zdruzgotana tak niewielką stratą – mów mi Marina.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Marina była w dżungli od tygodnia, kiedy doktor Alan Saturn, którego nazwała doktorem Saturnem numer jeden, oznajmił, że pożyczy łódź Eastera i wybierze się do placówki handlowej, od której dzieliła ich dwugodzinna podróż, aby wysłać kilka listów (placówka handlowa tak naprawdę wcale nie była placówką handlową, lecz większą wioską nad rzeką, gdzie mieszkali bardziej ucywilizowani Indianie Jinta; za niewielką cenę zgadzali się przechowywać listy i pieniądze do chwili przybycia handlarza z Manaus, co czynili z pewną regularnością; z kolei handlarze, za wyższą cenę, zabierali listy do miasta, by następnie je wysłać – było to nie lada wyzwanie, gdyż korespondencja szła na Jawę, do Dakaru i do Michigan, a handlarze nie byli ludźmi stworzonymi do stania w długich kolejkach na poczcie). Gdy tylko zaplanowano wyprawę, wszyscy oprócz doktor Swenson przerwali pracę, by jakiś czas po lunchu usiąść i poświęcić się pisaniu. Doktor Budi dała Marinie trzy niebieskie aerografy ze swoich okazałych zapasów, a Alan Saturn powiedział, że zafunduje jej znaczki. Marina, która nie odnalazła jeszcze swojego bagażu, spędziła poprzedni tydzień w sukience Lakaszych, choć anonimowy członek plemienia, powodowany poczuciem winy albo współczuciem, podarował jej drugą, identyczną. Nancy Saturn, doktor Saturn numer dwa, dała jej dwa dodatkowe komplety bielizny, a Thomas Nkomo miał szczoteczkę do zębów, której jeszcze nie zdążył wyjąć z foliowego opakowania. Bardzo dyskretnie wsunął ją Marinie do ręki. Były to dla niej jedne z najmilszych prezentów w życiu.

– Właśnie dlatego nikomu nie pożyczam łodzi – skwitowała doktor Swenson, rozglądając się po laboratorium, kiedy naukowcy rozpierzchli się z kartkami i długopisami, tymi uroczymi dinozaurami komunikacji. – Gdy tylko powiesz, że łódź odpływa, wszyscy zapominają o pracy.

Ale oprócz pracy nie było tam niczego, czym można by się zająć. Marina została ulokowana w kącie laboratorium i powierzono jej zadanie przeprowadzania testów na trwałość substancji, by sprawdzić, czy ulegnie rozpadowi na skutek ciepła i innych czynników atmosferycznych. Podobnie jak Anders, Marina była człowiekiem od

małych molekuł. Obydwoje zajmowali się pigułkami i choć nie do końca korespondowało to z zadaniem, które otrzymała, spokojnie mieściło się w zakresie jej doświadczenia. Zgromadzono tyle danych, że mogłaby na nich pracować przez lata, i zastanawiała się, czy nie taki jest przypadkiem cel doktor Swenson – dopilnować, by Marina była zajęta. Możliwe, że dawali jej problemy, które już zostały rozwiązane, bo chcieli ją udobruchać albo sprawdzić jej kompetencje. Mieli przecież myszy, najwidoczniej przeszli już do badania stężenia substancji we krwi. Mimo to wiedziała, że jeśli pozostanie w swoim kącie i zajmie się tym, co jej dano, znacznie łatwiej będzie dokonać realistycznej oceny tego, jak daleka droga dzieli ich jeszcze od pierwszej skutecznej dawki. Od czasu do czasu mogła podejść do doktor Budi – Budi zajmowała się organizacją badań klinicznych – i zadać jej pytanie dotyczące prac nad próbkami krwi pobranymi od Lakaszich. Teraz widziała, jak niedorzeczne było wypytywanie doktor Swenson przy kolacji o poczynione postępy. Pracując tutaj, miała szansę dokonać własnej oceny, a właśnie tego od początku chciał pan Fox.

Poza tym co miałyby robić całymi dniami, gdyby nie ta praca? Dżungla z jej skrzeczącymi wrzaskami śmierci i pełzającymi stosami liści raczej nie była miejscem, w którym można samotnie chadzać na popołudniowe spacer. Dwóch młodych mężczyzn z plemienia marzyło o tym, aby nauczyć się angielskiego i niemieckiego, a potem zostać przewodnikami w jednej z wioszek dla ekoturystów setki kilometrów stąd. Spławiając drewno do Manaus, widywali ogromną białą nadzieję pod postacią statków wycieczkowych. Podczas wizyt w wiosce Jintów spotykali przyrodników. Nieustannie chcieli ćwiczyć, więc chętnie zabierali niestrudzoną panią doktor w miejsce oddalone od łatwo dostępnych ścieżek, gdzie liście filtrowały popołudniowe słońce. Uzbrojeni w szeroki wachlarz gestów, kilka powszechnie znanych słów w czterech różnych językach i dwa przewodniki o śliskich kartkach z nazwiskiem Andersa Eckmana wypisanym na drugiej stronie okładki, chcieli oprowadzać wycieczki po dżungli, pokazując jaskrawo ubarwione żaby wielkości dziesięciocentówek, które miały wystarczająco trucizny w oślizłej skórze, aby powalić dwudziestu mężczyzn. Wszyscy naukowcy zgodnie przyznawali, że po ośmiu minutach spędzonych głębiej w dżungli zawsze dochodzą do wniosku, że oddaliby cały majątek, byleby tylko ktoś ich stamtąd bezpiecznie wyprowadził.

Czasami późnym popołudniem, kiedy generator nie wytrzymał zbyt wielkiego obciążenia i w laboratorium wysiadał prąd (działały wtedy tylko zapasowe generatory, które utrzymywały w iście arktycznej temperaturze próbki krwi w

zamrażalnikach), upał wypychał naukowców – nie licząc doktor Swenson – nad rzekę i szli popływać, mimo że rzeka była jeszcze gorsza niż dżungla, bo nikt nie mógł wiedzieć, co się czai w tej mętnej zupie. Gdy powoli brodzili w wodzie z nadzieją, że nie spowodują żadnego atrakcyjnego plusku, rozmowa zwracała się nie w stronę fantastycznej émy o skrzydłach wielkości chusteczek, która przez chwilę unosiła się nad ich głowami, lecz ku mikroskopijnej rybie kandyra, która potrafi wpłynąć do cewki moczowej, przynosząc katastrofalne skutki. Marina, która nie miała innego wyjścia, pływała w sukience i liczyła na to, że wykonując powolne ruchy, zdoła ją trochę wyprać. Rozglądali się w obawie przed węzami wodnymi, których łby sunęły nad powierzchnią rzeki niczym maleńkie peryskopy, i wspominali nietoperze wampiry, które wplątywały się pazurami w moskitiery nad ich łózkami. Nikt nie siedział w wodzie zbyt długo, nawet doktor Budi, która w młodości była podobno kimś w rodzaju pływackiej mistrzyni Indonezji.

Jeśli ktoś szukał rozrywki niezwiązanej z naturą, były tam stare numery czasopism naukowych i „New Yorkera”, ale najciekawsze fragmenty niezmiennie okazywały się wyżarte przez jakieś żyjątka. Doktor Swenson miała kompletny zestaw dzieł Dickensa w twardej oprawie i trzymała te książki poowijane z osobna w ciężkie kawałki plastikowego brezentu i przewiązane szpagatem. Wypożyczała je, a potem robiła niezapowiedziane kontrole, sprawdzając, czy czytelnicy mają czyste ręce. W plastikowej okładce każdego tomu tkwiła zwinięta kora cynamonowa, gdyż jak kiedyś powiedział doktor Rapp, mrówki unikają jej zapachu. Doktor Swenson uważała, że mrówki doprowadzą do końca cywilizacji.

Nie licząc krótkich i niesatysfakcjonujących przerywników w formie spacerowania, pływania i czytania, doktor Swenson, doktor Singh, doktorowi Nkomo, doktor Budi i doktorom Saturnom pozostawało jedynie laboratorium, a ono pod pewnymi względami przypominało kasyno w Las Vegas. Funkcjonowali w nim bez kalendarza i zegarka. Pracowali, póki nie poczuli zmęczenia, a wtedy wracali na swoje posłania w małym kręgu chat, które tkwiły za laboratorium niczym letnia wioska indiańska dla dziewcząt nad jeziorem Mille Lacs. Przed zaśnięciem czytali Dickensa. Pod koniec pierwszego tygodnia swojego pobytu Marina była w połowie *Małej Dorrit*. Ze wszystkich zaginionych i utraconych rzeczy szczególnie brakowało jej powieści Jamesa.

Co do Lakaszich, byli cierpliwymi uczestnikami badań, poddawali się nieustannemu wazeniu i mierzeniu, pozwalali nanosić na wykresy swoje cykle

menstruacyjne oraz kłuć swoje dzieci i pobierać ich krew do badań. Pod tym względem doktor Swenson zasługiwała na uznanie i chętnie przyjmowała jego wyrazy, opowiadając historie o niestrudzonym przypochlebianiu się i dawaniu prezentów, których dawniej tubylcy oczekiwali nawet w zamian za najprostsze badania.

- Oswoiłam ich – podsumowała, używając tego słowa bez cienia skrępowania.
- Zdobycie ich zaufania było naszą życiową misją, doktora Rappa i moją.

Jednak nawet jeśli nauczyła ich tolerancji dla swoich badań, nie stała się ich towarzyszką. Tubylcy rzadko częstowali naukowców swoimi suszonymi rybami i przesuszonym maniokiem – nie żeby ktoś był zainteresowany – ale to przecież podstawowa zasada przekazywana na każdych zajęciach z wprowadzenia do antropologii: dzielenie się jedzeniem jest pierwotnym symbolem harmonijnego życia we wspólnocie. Z drugiej strony doktor Swenson surowo zabroniła częstować tubylców zapasami naukowców, gdyż uważała, że słoik masła orzechowego wypacza zachowania autochtonów bardziej niż telewizja. Możliwe zatem, że niechęć Lakaszych do dzielenia się swoją strawą była jedynie formą biernego odwetu. Tylko Easter jadał z dwóch stołów, albo raczej z dwóch garnków. Lakaszi nie pukali do drzwi laboratorium z zaproszeniem w te wieczory, gdy bez żadnej widocznej przyczyny postanawiali tańczyć do trzeciej w nocy, i nie zostawiali liścików, gdy od czasu do czasu znikali, wszyscy naraz, pozostawiając za sobą niepokojącą ciszę. Wracali dwanaście godzin później z przekrwionymi oczami i w milczeniu chodzili na paluszkach dręczeni wspólnym tubylczym kaczem. Nawet dzieci dziwnie pachniały dymem i siedziały jak kolki w rzędzie nad brzegiem rzeki, gapiąc się prosto przed siebie i nie drapiąc bąbli po ugryzieniach owadów.

- Dawniej na cześć rdzennych Amerykanów nazywaliśmy to poszukiwaniem wizji – powiedziała doktor Swenson, kiedy Marina wbiegła do laboratorium zlaną panicznym potem i zapytała, gdzie się wszyscy podziali.

Była w obozie od trzech dni i nagle wszyscy Lakaszi zniknęli jak w jakiejś strasznej scenie z filmu *science fiction*.

- To była idealna nazwa dla tego, co robią – mówiła dalej doktor Swenson – póki nie stała się tytułem gry wideo i zawołaniem każdej zgrai podstarzałych wyznawców New Age, którzy szukają usprawiedliwienia dla swojego zainteresowania psychodelikami. Więc nazwa stała się nieaktualna. Budzę się, widzę, że zniknęli, i myślę: o, znowu to samo.

- Poszła pani kiedyś razem z nimi? – zapytała Marina.

Doktor Swenson rozwiązywała skomplikowane równanie w notesie na spirali, ale rozmowa najwidoczniej nie przeszkadzała jej w zapisywaniu ciągów cyfr. W laboratorium były komputery, lecz pośród zawodnej elektryczności i nieznośnej wilgoci, która od czasu do czasu dopadała generatory niczym gorączka, wszyscy skłaniali się ku prowadzeniu ważnych obliczeń ręcznie, dowodząc wartości zastępów nauczycieli matematyki. – Nikt już z nimi nie chodzi. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że zapraszali chyba tylko doktora Rappa, a reszta z nas po prostu szła razem z nim. Gdy przestał tu przyjeżdżać, Lakaszi zaczęli po prostu znikać w środku nocy, kiedy my spaliśmy. Nigdzie indziej nie widziałam ludu, który w jednej godzinie robi tyle hałasu, jakby był koniec świata, a już w następnej idzie po wyschniętych liściach, nie wydając najmniejszego dźwięku. Potrafią przeprowadzić całą operację wyjścia z wioski, nie łamiąc nawet jednej gałązki.

Marina nadal czekała na odpowiedź, ale uwaga doktor Swenson ponownie skupiła się na równaniu. Marina zdała sobie sprawę, że to właśnie przez takie rozmowy Bovenderowie bardzo starali się odgrodzić doktor Swenson od społeczeństwa. Społeczeństwo było jedynie długą, nudną rozmową na wystawnej kolacji, na której jest się zmuszonym rozmawiać z osobą po prawej i po lewej stronie.

– Ale pani tam chodziła?

Doktor Swenson na chwilę podniosła głowę, jakby zaskoczona, że Marina jeszcze tam jest.

– Oczywiście, kiedy byłam młodsza. Wtedy to wydawało mi się fascynujące, jakbyśmy odkryli kluczowy element tożsamości tych ludzi. To było bardzo ważne dla doktora Rappa, ważne dla całej mikologii. Do dziś mam przed oczami tych wszystkich studentów, chłopców z Park Avenue, z Hyde Parku i Back Bay, którzy wcześniej spędzali wakacje w Hamptons, dorabiając w lodziarniach, maszerujących do dżungli, gotowych strawić wszystko, czym zostaną poczęstowani. Patrząc, jak otwierają usta i zamykają oczy, można było pomyśleć, że Lakaszi rozdawali komunię. W zasadzie cała ceremonia byłaby fantastycznym materiałem dla studiów interdyscyplinarnych: biologii, antropologii, religioznawstwa. Dla mnie jako studentki medycyny zdecydowanie najbardziej frapujące było to, jak długo człowiek może utrzymać tak niskie tętno. Nie spotkałam tam nikogo, kto miałby puls szybszy niż dwadzieścia cztery. Raz zabrałam ze sobą ciśnieniomierz i mierzyłam ciśnienie Lakaszich i studentów co dwadzieścia minut przez pięć godzin po tym, jak stracili przytomność. Ciśnienie rozkurczowe mieli prawie jak u trupa. Mierzyłam je wyłącznie z własnej

ciekawości, ale gdyby udało mi się zebrać oddaną nauce grupę kontrolną, z czasem mogłoby z tego powstać ważne badanie.

– A czy pani... – Marina nie była do końca pewna, jak sformułować pytanie.

– Tak, oczywiście, ale mikologia nigdy nie była moją dziedziną. Bardziej interesowało mnie to, co się dzieje z uczestnikami. Zawsze powtarzam: niech botanik sam robi notatki o swoim haju. W tym sensie byłam bardzo pomocna doktorowi Rappowi. Nigdy nie mógł znaleźć studenta, który zechciałby się powstrzymać i ograniczyć do obserwacji. Mnie oczywiście to nie przeszkadzało. Cieszyłam się, że mogę wesprzeć naukę. Prawdziwy problem tkwił w samych Lakaszich. Gdy tylko kobiety zdały sobie sprawę, że nie zaliczam już odlotu, zaczęły mi podrzucać wszystkie niemowlęta, wszystkie dzieci. Szybko położyłam temu kres.

– Dzieci też w tym uczestniczą?

– Podejrzewam, że kłóci się to z pani wyobrażeniem o dobrym rodzicielstwie. Patrząc na to z perspektywy czasu, wyobrażam sobie, że wołałaby pani, bym je powstrzymała, ale wtedy jeszcze pani nie znałam.

– Nie szkodzi. Dzieci mnie nie interesują – powiedziała Marina i mówiła szczerze. Z tego, co zauważyła, dzieci Lakaszich były zbudowane z tytanu. Jadły przypadkowo znalezione jagody, kąsały je pająki, spadały z drzew, pływały z piraniami i nic im nie było. Nie przypuszczała, by regularne dawki halucynogenu mogły tu cokolwiek zmienić. – Ale czy kiedy miała pani ten, jak go pani nazwała, odlot, podobało się pani?

Marina poświęciła młodość nauce, wierząc całej propagandzie wyliczającej zagrożenia związane z narkotykami, podczas gdy wielbiona przez nią profesorka spędzała weekendy w Amazonii, jedząc halucynogenne grzyby. Marina uznała, że zasłużyła na to, aby się dowiedzieć, przynajmniej z drugiej ręki, czy doktor Swenson było po tym fajnie.

Doktor Swenson zdjęła okulary do czytania i mocno nacisnęła koniuszkami placów grzbiet nosa.

– Ciągle mam nadzieję, że reprezentuje pani sobą coś więcej, niż na razie pani pokazuje, pani doktor. Już prawie panią polubiłam, ale skupia się pani na najbardziej przyziemnych sprawach. Tak, udział w tym rytuale był oczywiście ciekawym przeżyciem, po to tu przybyliśmy. Za pierwszym razem trochę się przeraziłam, tyle wrzasków i dymu, pod tym względem przypominało to trochę pani nocne przyplnięcie do wioski, tyle że podczas rytuału wszyscy siedzą bardzo blisko siebie w

olbrzymiej zamkniętej chacie. Oczywiście warto było ujrzeć Boga. Szczerze wątpię, by cokolwiek w naszej zachodniej tradycji mogłoby mi Go ukazać w tak upostaciowionej formie. Pamiętam, że przez kilka dni po tym doświadczeniu doktor Rapp był dość spokojniejszy i nadal widział dużo fioletu. Jak my wszyscy. Ale ostatecznie oceniam się jako osobę, która nie lubi wymiotować, a rytuał Lakaszich obejmuje naprawdę dużo torsji. To nieunikniony element programu. Ciało nie jest w stanie przetworzyć takiej ilości trucizny bez... – Doktor Swenson, która siedziała na niskim taborecie przed stołem służącym jej za biurko, zamknęła oczy, jakby przypomniawszy sobie tamte doznania. Stanowczo zbyt długo miała opuszczone powieki.

– Doktor Swenson?

Uniosła rękę i prawie niezauważalnie pokręciła głową, ucinając kolejne pytania. Potem wstała, spocona i blada, szybko wyszła na zewnątrz i zwymiotowała obok schodów.

Drogi Jimie,

to prawda, że nikt tutaj nie ma telefonu. Myślę, że w jakiś sposób wiąże się to z wilgocią, która jest wrogiem wszystkich urządzeń. Powiedziano mi, że w wiosce oddalonej o kilka godzin na zachód od Manaus (czyli i tak daleko stąd) jest internet, ale działa wyłącznie wtedy, gdy przez dwa pełne tygodnie nie pada deszcz, co de facto oznacza brak internetu. Drugi telefon, który mi przysłałeś, zniknął razem z torbą podróżną po moim przybyciu do wioski Lakaszich. Kiepsko zarządzam swoim dobytkiem. Tak długo nie byłam w stanie Ci powiedzieć, gdzie jestem, że teraz pewnie już myślisz, że nie żyję. Mam nadzieję, że poczta się spisze i list szybko do Ciebie dotrze. Jestem tu od tygodnia i to moja pierwsza szansa na wysłanie go z wioski. Doktor Nkomo powiedział mi, że Anders stał na brzegu rzeki z listem w dłoni i wyglądał przepływających czółen. Przede wszystkim chcę Cię zapewnić, że nie musisz się o mnie martwić. Życie wśród Lakaszich jest lepsze, niż przypuszczałam. Mam zajęcie w laboratorium i myślę, że za jakiś czas będę w stanie dokładniej stwierdzić, jakie tak naprawdę zrobiono postępy w pracy nad lekiem. Choć wszyscy są przyjaźni, nikt nie jest szczególnie rozmowny, gdy próbuję się dowiedzieć, za które aspekty badań odpowiada. Mówię Ci, te ciążę są zdumiewające. Trudno udokumentować wiek starszych członkiń plemienia (doktor Swenson zaczęła prowadzić rejestr dzieci pięćdziesiąt lat temu, kiedy



przyplęła tu po raz pierwszy), ale widuję ciężarne kobiety, które najprawdopodobniej skończyły siedemdziesiątkę. Im więcej widzę, tym bardziej rozumiem Twoje zaangażowanie w sprawę tego leku, bez względu na to, ile musi upłynąć czasu, zanim będzie można wyprodukować pierwszą dawkę.

Marina dotarła do końca składanej kartki i zawahała się przed ostatnim zdaniem. Miłosne wyznania nie weszły jeszcze do ich języka, a jednak była pewna, że takie zakończenie listu byłoby w dyskretny sposób prawdziwe. Nie widziała powodów, dla których – biorąc pod uwagę wszystko, co się stało – w umieszczeniu go tutaj miałyby być coś niestosownego. Napisała je zatem atramentem: „Z wyrazami miłości Marina”. Potem dodała do listu bardzo krótkie wiadomości dla matki i Karen, poświęcając większość papieru na wyjaśnienie, dlaczego są takie krótkie. Łódź wkrótce odpływała, a przecież Marina nie chciała, żeby ktoś na nią czekał. Obiecała, że natychmiast zacznie pisać dłuższe listy i zachowa je na następny raz.

To prawda, że system pocztowy wystawiał cierpliwość Andersa na próbę, wspomniało o tym kilka osób. Anders zabierał Eastera nad rzekę i stał tam godzinami, czekając, aż ktoś będzie przepływał, a kiedy w końcu kogoś zauważył, kazał chłopcu płynąć do niego z listem i pieniędzmi. Doktor Budi powiedziała, że starał się przekazywać listy każdej przepływającej łódce, by zwiększyć szanse, że choć parę z nich odnajdzie drogę do domu, do jego żony. Po jakimś czasie rozchorował się jednak tak bardzo, że nie mógł już sam chodzić nad wodę ani spędzać tylu godzin w słońcu, więc posyłał Easteta samego. Domyślenie się reszty nie wymagało od Mariny zbyt wielkiego śledztwa i nie musiała snuć zbyt wielu domysłów, by wypełnić luki w tej opowieści: chory Anders pisał listy do żony. Zaniepokojony Easter nie chciał zostawiać Andersa aż na tyle czasu, ile musiałby czekać na przepływającą łódkę. Na ich małym dopływie w najlepszym razie panował marny ruch, a bywało, że przez cały dzień nikt tamtędy nie przepływał. Choć Easter zapewne rozumiał rytuał przekazywania błękitnej koperty osobie w łódce, nie mógł rozumieć, czym jest list ani co zawiera. Wiedział jedynie, że Anders bez przerwy pisze. Ledwie chłopiec zdążył wrócić na werandę, przyjaciel wysyłał go nad rzekę z kolejną kopertą.

Gdy Marina znalazła w łóżku jeden z tych błękitnych papierowych prostokątów,

starannie sklejonych i zaadresowanych do Karen Eckman w Eden Prairie, zastygła równie mocno jak próbka krwi na samym dnie zamrażarki. Wychyliła się zza krawędzi werandy i poświeciła latarką w nocną dżunglę, wypatrując z łomoczącym sercem mignięcia uciekającego Andersa. Nie potrzebowała jednak dużo czasu, by się domyślić, kto dostarczył list. Dla Eastera te koperty były najcenniejszym dobytkiem i zarazem najlepszymi prezentami, a ponieważ wiedział, że wszedł w ich posiadanie poprzez bezpośredni akt nieposłuszeństwa, posiadały także dodatkowy ekscytujący walor w postaci poczucia winy. Otaczał listy tak wielką tajemnicą, że nie chciał ich trzymać w swojej skrytce z piórami. Bez względu na to, skąd się wzięły, składał je powoli, co drugi, trzeci dzień, pod prześcieradłem, pod poduszką, w jej zapasowej sukience.

Pozwól, że ci przedstawię zaletę gorączki: ona sprowadza tu CIEBIE. Wolałbym, żeby sprowadzała mnie do domu, i parę razy rzeczywiście tak się stało, ale przeważnie to Ty przybywasz o szesnastej, wyciągasz mnie z tego łóżka i idziemy przez dżunglę, i, Karen, Ty wiesz o dżungli WSZYSTKO. Znasz nazwy wszystkich pajaków. Niczego się nie boisz. Ja też niczego się nie boję, kiedy tu jesteś. Pozwól mi żyć w tej gorączce. Teraz, w godzinach, gdy czuję się dobrze, jest znacznie gorzej.

Potem nic. Może to były listy, których Anders nie skończył, te, które zaczął, ale o nich zapomniał, a kiedy spał, Easter zbierał je z podłogi i chował. Dwa z trzech, które do tej pory dostała, kończyły się na pierwszym akapicie, a trzeci był zaledwie dwoma zdaniami:

Jak się nazywała ta para, która mieszkała obok nas w bloku przy Petit Court? Ciągle ich tutaj widzę, a nie mogę sobie przypomnieć ich imion.

Doktor Swenson zwymiotowała i poszła do swojego pokoju na zapleczu laboratorium, a zanim wróciła, wszyscy skończyli pisać listy, nie licząc doktor Budi, dla której kwestia tego, co chciałaby napisać, najwyraźniej okazała się problemem przestrzennym. Kobieta długo wpatrywała się w swoją kartkę, a potem wznosiła oczy ku sufitowi, jakby chciała obliczyć, ile dokładnie potrzeba słów, aby wyrazić swoje

uczucia, i ile centymetrów pozostało dla tych słów na papierze. Doktor Swenson wróciła po lunchu i wyglądała, jakby nic się nie stało, a gdy Marina chciała ją zapytać, jak się czuje, ta zbyła ją machnięciem ręki.

– W porządku – powiedziała, nie czekając na pytanie.

Alan Saturn stanął przed doktor Budi i zastukał palcami w stół.

– Daj sobie spokój – powiedział.

– Mogłeś powiedzieć wczoraj wieczorem, że zamierzasz dziś wypłynąć.

Doktor Budi była drobnokościstą kobietą w nieokreślonym wieku, która zaplatała swoje czarne włosy w warkocz tak jak Lakaszi. Złożyła list i przesunęła językiem wzdłuż paska kleju.

– Przecież nic się tutaj nie dzieje – nie pojmował Alan. – Nie potrzeba aż tyle czasu, żeby napisać list.

Doktor Budi sięgnęła do kieszeni swojego bawełnianego fartucha i wyjęła z niej kilka małych banknotów, które podała doktorowi Saturnowi razem z kopertą. Potem, bez dalszych rozmów, z powrotem skupiła się na pracy. Pod względem oddania pracy doktor Budi była pewnego rodzaju archetypem w medycznej społeczności, podobnie jak wybuchowy chirurg czy uzależniony anestezjolog. W każdej grupie lekarzy zawsze zdarza się taki, którego samochód stoi już na parkingu, gdy inni przyjeżdżają o świcie, i tkwi tam nadal po północy, kiedy reszta pracowników odjeżdża; taki, który stoi w pokoju pielęgniarskim o czwartej rano i przegląda kartę, choć to nie jego dyżur; taki, którego inni lekarze wyśmiewają za plecami, mówiąc, że nie ma życia prywatnego, choć jednocześnie odczuwają dręczącą i irracjonalną potrzebę konkurowania z nim. Niezwykle było to, jak doskonale doktor Budi pełniła tę funkcję pomimo braku szpitala, parkingu i pacjentów. Choć wszyscy bez przerwy pracowali, doktor Budi pracowała jeszcze więcej. Twierdziła, że przeczytała już wszystkie książki Dickensa.

– Była pani kiedyś na Jawie? – zapytał Marinę Alan Saturn. – Albo w ogóle w Indonezji?

Poszła za nim na pomost razem z tubylcami, nawet nie zadawszy sobie pytania, dlaczego to robi. Wypłynięcie, przyplłynięcie, zaczynała dostrzegać w nich urok odmiany. Była pewna, że jeden z mężczyzn ma na nadgarstku jej zrolowane majtki. Od czasu do czasu mijały ją też inne części jej garderoby i nie mogła zrobić nic, jak tylko im się przyglądać. Pokręciła głową.

– Mam taką teorię, że Budi jest lepiej przystosowana do tropików niż reszta z nas. To powietrze, te zapachy, to wszystko jest pewnie jej drugą naturą. Tak rzadko

odrywa się od pracy i podnosi głowę, że chyba myśli, że jest w domu.

Doktor Saturn próbował poluzować węzeł cumy, która trzymała łódź pontonową przy brzegu, lecz jego wysiłki sprawiły tylko, że jeszcze bardziej się zacieśnił. Easter podszedł do doktora Saturna po pomoście i walnął go w ramię. Było jasne, co chce powiedzieć.

– Weźmy na przykład mnie i Nancy, jesteśmy z Michigan – ciągnął doktor Saturn. – Dla nas to trudniejsze. Nieważne, jak długo tu jesteśmy ani jak często przyplływamy. Nigdy się do końca nie zaaklimatyzujemy. Obcość tego miejsca zawsze będzie nas rozpraszała.

– Doktor Swenson urodziła się w Maine, a wcale nie wygląda na rozkojarzoną.

– Mówiąc o tym, jak normalni ludzie reagują na środowisko, nigdy nie należy się odwoływać do przykładu doktor Swenson.

Jakiś dziwny wielki biały ptak o rozpiętości skrzydeł pterodaktyla pędził wzdłuż rzeki w ich stronę. Miał łysą czarną głowę, długi czarny dziób i czerwoną obrączkę wokół kościstej szyi. Wszyscy stali sparaliżowani jego widokiem i patrzyli na niego, póki nie odbił ostro w lewo i nie zniknął wśród liści. Doktor Saturn ułożył dłoń na kształt daszka chroniącego przed popołudniowym słońcem.

– Anders by wiedział, co to było.

Po gorączkowym przerzucaniu stron Benoit pokazał zdjęcie ptaka w książce Andersa, uradowany tym, że tak szybko je znalazł. Pokazał je doktorowi Saturnowi, który pokiwał głową w uznaniu dla prawidłowego dopasowania.

– Bocian żabiru – powiedział.

Benoit, jeden z tych młodych mężczyzn, którzy mieli nadzieję zrobić karierę w turystyce, jako dziecko został wzięty do szkoły misyjnej działającej przez krótki okres kilka dopływów dalej. Dzięki grupie baptystów z Alabamy umiał czytać i pisać po portugalsku oraz nauczył się na pamięć wersetów z Biblii, które mógł recytować na żądanie. Te umiejętności uczyniły go jednym z najmniej pogodnych członków plemienia. Marina podeszła, by spojrzeć na zdjęcie.

– Przyniosłam kapelusz! – zawołała Nancy Saturn, podchodząc do rzeki. – Mam dwa. Teraz może pani popłynąć z nami. – Podała Marinie kapelusz z szerokim rondem, a gdy ta się zawahała, doktor Saturn wziął kapelusz od żony i włożył go Marinie na głowę. Różnica wieku między doktorami Saturnami była większa niż ta dzieląca Marinę i pana Foxa. Można było się domyślić, choć nikt nie powiedział tego na głos, że kiedyś był jej nauczycielem. Marina rozpoznała sposób, w jaki żona

pochylała się w stronę męża, kiedy mówił, bo przypominało to sposób, w jaki sama często pochylała się ku doktor Swenson. Podczas którejś z późnowieczornych rozmów przy butelce pisco, gdy doktor Saturn numer jeden perorował o sprawach związanych z medycyną tropikalną, jego żona wyjęła z kieszeni notes, by zapisać coś, co powiedział. Zrobiła to dyskretnie i pewnie nikt by nie zauważył, gdyby nie doktor Swenson, która dość głośno zapytała kobietę, czy nie jest w stanie zwyczajnie polegać na swojej pamięci. Doktor Swenson zdecydowanie odsunęła się od młodej doktor Saturn. Najwyraźniej uważała ją za osobę, która wcisnęła się bez zaproszenia, za pasożyta, mimo że młodsza kobieta, botaniczka z dyplomem ze zdrowia publicznego, prawdopodobnie miała najlepsze kwalifikacje, by się na coś przydać. Z pewnością były one najbliższe kwalifikacjom doktora Rappa.

– Nigdy nie polegam na pamięci, kiedy piję – odpowiedziała Nancy Saturn.

Easter przekręcił kluczyk i silnik łodzi motorowej zaczął parskać i kaszleć. Wszyscy Lakaszi cisnęli się teraz do przodu i Marina poczuła się spychana z boku na bok przez mężczyzn bez koszul w sportowych szortach i kobiety z wielkimi brzuchami. Przyłapała się na tym, że patrzy na ich uszy, na sznury nasion i zębów zwierząt wokół ich szyj, i nagle zdała sobie sprawę, że przez cały tydzień nie śniły jej się Indie. Ojciec, którego od tylu lat nie było już w jej życiu, znowu zniknął i na chwilę wyraźnie odtworzyło się w niej to puste, beznadziejne uczucie towarzyszące zgubieniu go w tłumie. Gdy zaczęła się zastanawiać, czy w jej organizmie nie ma już lariamy, moskit ugryzł ją w zgięciu pod kolanem.

– Skaczcicie! – zawołał Alan i sam wskoczył do łodzi z cumą w dłoni. Prąd natychmiast pochwycił łódź i odciągnął ją od brzegu. Doktor Saturn odwrócił się i wyciągnął rękę do Mariny. – Za pięć sekund na łodzi znajdzie się całe plemię – krzyknął. – Tutaj wahanie oznacza to samo co otwarte zaproszenie.

To prawda, Lakaszi już się szykowali do rozpoczęcia abordażu, wszyscy. Benoit przepchnął się do przodu i wskoczył, nie czekając na zachętę. Najwyraźniej chciał dokąds popłynąć. Nancy wskoczyła za nim. Do łodzi dostało się jeszcze dwóch Lakaszich, ale zanim złapali równowagę, Benoit strącił ich do wody. Potem wskoczyła Marina, choć wcale nie miała takiego zamiaru. Easter roześmiał się na widok jej niezgrabnego lądowania, a ona podeszła do niego i stanęła za nim, opierając ręce na jego ramionach. Codziennie szli spać osobno, on w hamaku, a ona na poślaniu pod moskitierą, i co noc jego sny budziły ich obydwoje. Jego sny, a nie jej. Podchodziła i podnosiła go, a potem znowu niosła do siebie i przez resztę nocy spali razem w jej

małym łóżku. Dobrze im to wychodziło.

W ciągu zaledwie tygodnia nauczyli się wyciągać i przewracać równocześnie.

Lakaszi wchodzili do wody i płynęli swoim ulubionym stylem łączącym kraula z pieskiem. Marina spojrzała na ich ciemne głowy w wodzie, zastanawiając się, czy ona też by popłynęła, byleby tylko znaleźć coś do roboty. Nancy Saturn zdjęła kapelusz i pomachała nim do nich, pokazując krótkie kasztanowe włosy, które sama sobie obcinała. Entuzjastycznie wykrzyczała szereg słów na pożegnanie – „do widzenia” po angielsku, „*tchau*” po portugalsku, a potem coś w rodzaju buczenia zakończonego wysokim piskiem, co w języku Lakaszich oznaczało z grubsza „odszedłem od ciebie”. Po czwartej albo piątej powtórcie Lakaszi w końcu zawrócili i popłynęli z powrotem ku brzegowi. Nie żeby kiedykolwiek zdołali dogonić łódź. Teraz, gdy na pokładzie nie było doktor Swenson, Easter dawał silnikowi porządny wycisk.

– Pragną jedynie odrobiny uznania – powiedziała Nancy, patrząc na zostających coraz bardziej w tyle tubylców i machając do nich. – Jeśli im nie pokażesz, że widzisz, co robią, po prostu będą to robili dalej. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, aby byli dobrymi pływakami. Nie można pozwolić, żeby pół plemienia utonęło w drodze na pocztę.

– Nancy byłyby doskonałą behawiorystką społeczną – stwierdził Alan Saturn, obejmując żonę bardzo opaloną ręką. – Doktor Rapp na pewno by się nią zachwycił. Dawniej nie zauważaliśmy mnóstwa rzeczy, które Nancy wychwyciła od razu, kiedy tu przyплыnęła.

– Znał pan doktora Rappa? – zapytała Marina.

Nancy na chwilę uniosła brwi, a potem westchnęła, wiedząc, co za chwilę nastąpi.

– Jak to się stało, że ominął panią ten wykład? – powiedziała, wychodząc spod ramienia męża, by pogrzebać w swojej torbie w poszukiwaniu kremu z filtrem i żelu odstraszającego owady. Jedną tubkę podała Marinie, a sama zaczęła używać drugiej.

Alan Saturn odsunął okulary przeciwsłoneczne na czoło, żeby lepiej pokazać rozkosz malującą się w jego oczach.

– Byłem jego studentem na Harvardzie! Zapisalem się na jego słynne zajęcia z mikologii w roku, kiedy złamał nogę w kostce w Nowej Gwinei i postanowił wrócić na uczelnię, żeby wykladać przez cały semestr. Te wykłady opublikowało później Oxford University Press i powstają niekończące się artykuły na ich temat. Jestem pewien, że czytała pani niektóre z nich. Wokół tych zajęć urosło wiele legend. Co roku figurowały

w katalogu, ale doktor Rapp praktycznie nigdy nie pokazywał się w sali wykładowej dłużej niż parę dni. W rzeczywistości zajęcia prowadził któryś z jego doktorantów, który wprawdzie też zajmował się tą dziedziną, ale jego kwalifikacje ograniczały się do czytania notatek i sprawdzania testów. Więc mimo że „Studia nad mikologią” uważano za jeden z najbardziej nowatorskich kursów na uniwersytecie, tak naprawdę zapisywali się na nie jedynie nudziarze. Zgłoszenie się było równoznaczne z przyznaniem, że nie ma się pojęcia, o co chodzi, więc równie dobrze można spróbować. Kiedy ludzie zdali sobie sprawę, co się stało, że wielki badacz we własnej osobie wraca, by wyklądać, starsi studenci, studenci studiów podyplomowych, a w niektórych wypadkach nawet członkowie kadry składali pierwszorocznikom oferty finansowe w zamian za odstąpienie miejsca. Ja jednak byłem nieugięty i w nagrodę dostałem znacznie więcej niż te pięćdziesiąt dolców, które odrzuciłem. W tamtym semestrze postarałem się o to, żeby poznać doktora Rappa, a potem przez trzy lata z rzędu zapraszał mnie na ekspedycje do Amazonii.

– I wtedy poznał pan doktor Swenson? – Marina pomyślała o swojej wykładowczyni, która zadawała sobie trud, by złapać nocny lot powrotny z Manaus. Jeśli dobrze pamiętała, doktor Swenson nie opuściła ani jednego wykładu.

Nancy Saturn rozsmarowała na twarzy sporą ilość białej pasty i zaczęła ją wcierać.

– Znać Martina Rappa oznaczało znać Annick Swenson.

– Nie psuj opowieści – zbeształ ją Alan. Z powrotem skupił się na Marinie, niewykorzystanym źródle przyjemności płynącej z posiadania słuchacza. – Annick jest oczywiście kilka lat starsza ode mnie. – Podał tę informację, żeby polechtać własną próżność, gdyż Alan Saturn, z jego rzednącymi białymi włosami, ogromnymi białymi brwiami i niebezpiecznie chudymi kostkami nóg spokojnie mógłby zostać uznany za starszego od doktor Swenson. Jedyną rzeczą, dzięki której mógł się wydawać młodszy, była jego młodsza żona. – Przyjeżdżała tu już wiele lat przede mną. Można powiedzieć, że w terenie byli praktycznie nierozłączni.

– To ona wybierała chłopców, którzy jeździli na wyprawy – dodała Nancy. – Wyłącznie chłopców. Przeprowadzała z nimi rozmowy kwalifikacyjne w jego gabinecie na Harvardzie. To ona wybrała Alana. Doktor Rapp nie miał czasu, żeby pełnić dyżury osobiście.

Marina oczami wyobraźni ujrzała wysokiego i tyczkowatego studenta z płóciennym plecakiem na plecach.

– Pani też go znała? – zwróciła się do Nancy.

Nancy parsknęła cichym śmiechem i nałożyła warstwę kremu z filtrem na mostek, sięgając aż za kołnierz koszuli, żeby wykonać to zadanie jak trzeba.

– Przyjechałam już po doktorze Rappie.

Alan Saturn nie zwracał na nią uwagi. Wpadł w trans. Olbrzymie drzewo osunęło się do rzeki, a jego korzenie i gałęzie sięgały nad wodę, jakby błagały o ocalenie. Jaskrawożółty ptak z długą smukłą szyją siedział na jednej z tych gałęzi i obserwował przepływającą łódź. Benoit, zauważywszy go, rozpoczął gorączkowe przewracanie kartek.

– Martin Rapp był dla mnie kimś więcej niż tylko nauczycielem. Był człowiekiem, jakim sam chciałem być. W pełni zaangażowanym w każdą minutę swojego życia. Nie wlekl się noga za nogą, robiąc to, co mu kazali. Nigdy nie był trybikiem w maszynie. Chodził z uniesioną głową i patrzył na otaczający go świat. Cóż, mój ojciec był bardzo porządnym człowiekiem, pracował jako krawiec w Detroit w czasach, kiedy w Detroit byli jeszcze mężczyźni szyjący garnitury na miarę. Pracował, dopóki artretyzm nie powykręcał mu palców tak bardzo, że nie mógł już utrzymać igły. Jeśli do pracowni mojego ojca przychodził jakiś człowiek i mówił mu, czego chce, ojciec miał dla niego tylko jedną odpowiedź: tak. Nieważne, że zamówienie było niedorzeczne, że facet zjawiał się w sobotę rano i chciał mieć garnitur na sobotę wieczorem, a na ojca czekała fura innych zamówień. Zawsze odpowiadał: tak. A gdy mój ojciec mówił „tak”, można było uważać robotę za wykonaną, bo jego słowo było jedyną rzeczą, jaką miał na świecie. Spędził całe życie na zapleczu sklepu i poznał w swoim środowisku jedynie tę igłę wchodzącą w materiał i wychodzącą z niego. Robił to wszystko po to, żebyśmy ja i moi bracia mogli pójść do *college'u*, nie musieli pracować jako krawcy i któregoś dnia mogli sobie pozwolić na luksus odmówienia komuś. No więc ja, syn krawca z Michigan, poszedłem na Harvard. Zanim się obejrzałem, siedziałem w sali wykładowej, do której wchodził wielki Martin Rapp z nogą w gipsie, wymachując kulami. Podszedł do mównicy i powiedział: „Panowie, zamknijcie książki i posłuchajcie. Musimy się zastanowić nad całym światem”. Oniemieliśmy, wszyscy co do jednego. Moglibyśmy tak przesiedzieć cztery lata *college'u*. Pamiętam z tego dnia dosłownie wszystko: tamtą salę, ogromne tablice, światło wpadające przez okna z szybkami w ołowianych ramkach. Ujrzałem przed sobą mężczyznę z charakterem. To była najbardziej niezwykła rzecz i nigdy przedtem ani potem nie doświadczyłem niczego podobnego. Otaczała go jakaś aura. Siedząc



dziesięć rzędów dalej, wiedziałem, kim on jest, i wiedziałem, że pojechałbym za nim wszędzie.

– Proszę – powiedziała Nancy do Mariny – niech pani weźmie krem z filtrem i da mi żel odstraszający owady.

Marina wzięła krem z filtrem, ale filtr nie mógł tu wiele zdziałać. Choć starała się zachować ostrożność, jej skóra już była ciemna jak u tubylców. Nie poznałaby jej własna matka.

– Krem z filtrem! Słyszała to pani? – oburzył się Alan, odmawiając skorzystania z ochrony przeciwsłonecznej. – Dawniej nie mieliśmy kremów z filtrem. W końcu doktora Rappa zabił czerniak. Nie potrafię sobie wyobrazić tych wszystkich lat, które spędził na pokładzie łodzi, osłaniając się jedynie słomkowym kapeluszem i białą koszulą. To zadziwiające, że wytrzymał tak długo. Pod koniec przyjechałem do Cambridge, żeby się z nim zobaczyć, i okazało się, że pod każdym względem pozostał sobą. Własna śmierć go interesowała, fascynowała. Robił notatki. Miał już wtedy ponad osiemdziesiąt lat, nie mógł pracować w terenie. Kiedy zapytałem, czy nadal medytuje, powiedział: „A dlaczego miałbym tego nie robić?”. To coś, czego większość ludzi o nim nie wiedziała: bez względu na to, czy był w swoim domu w Cambridge, czy w namiocie w ulewnym deszczu pod Iquitos, zawsze medytował, i to już w czasach, gdy zaledwie garstka Indian i być może kilku Tybetańczyków zetknęło się z tym słowem. Mawiał, że wszyscy mamy w sobie kompas, musimy jedynie go znaleźć, a potem się nim kierować. Byliśmy jednak studentami i przeważnie nie potrafiliśmy nawet znaleźć własnego tyłka rękami, więc zamiast tego kierowaliśmy się jego kompasem. Zanim się dowiedzieliśmy, jak być mężczyznami wedle własnych standardów, próbowaliśmy być tacy jak doktor Rapp. Oczywiście nie mieliśmy szans mu dorównać, ale cel był szczytny. Patrząc teraz na tę rzekę i widząc go, jak wiosłuje w czółnie razem z resztą z nas. W zasadzie my przestawaliśmy wiosłować, becząc jak dzieci z powodu odcisków i drzazg, a on po prostu płynął dalej. Nie odzywał się słowem, a potem nagle brał tak ostry zakręt, że o mało się nie wywracaliśmy. Skręcał do brzegu i zanim zdążyliśmy się obejrzeć, wskakiwał do wody, a potem wchodził do dżungli i znikał. Znikał! Zostawaliśmy sami. Dziesięć minut później wracał z grzybem w torbie, egzemplarzem nieodnotowanego dotąd gatunku. Zapisywał współrzędne i robił zdjęcia, a potem czyścił chusteczką nóż, którym odciął grzyb od drzewa, co było najpewniejszym sygnałem, że odkrycie dokonano się w pełni. Wszystko, co robił, było zorganizowane, każdy ruch był piękny. My, chłopcy, pędziliśmy do dżungli, próbując

odkryć, co takiego zobaczył i skąd wiedział, że są tu grzyby, a gdy go o to pytaliśmy, odpowiadał: „Mam oczy otwarte”. – Alan Saturn był wzruszony wspomnieniami. – „Mam oczy otwarte”. W ten sposób dawał nam lekcję. Muszę pani powiedzieć, że to były najszcześniejsze lata mojego życia.

Wiodąc wzrokiem wzdłuż brzegów rzeki w oślepiającym słońcu, po siatce dżungli gęstej jak dwadzieścia drucianych ogrodzeń ustawionych jedno za drugim, Marina pomyślała, że zapuszczenie się tam po jednego grzyba z leśnej podłogi musiało być czymś w rodzaju wyciągnięcia dorosłej owcy z cylindra: wyczynem oszalamiającym i jednocześnie bezsensownym. Easter za sterem odwrócił się i pomachał do niej. Benoit rozglądał się w poszukiwaniu ptaków na drzewach.

– Więc dlaczego później już pan z nim nie jeździł?

– Malaria – powiedział Alan i westchnął na wspomnienie tego, co stracił. – Zachorowałem w Peru latem po trzecim roku studiów. Doktor Rapp chorował na malarię niezliczoną ilość razy. Powiedział, że z tego wyjdę, ale nie było aż tak dobrze. Po powrocie do domu musiałem przesiedzieć w kraju pierwszy semestr ostatniego roku. Gdy znowu nastaly wakacje i doktor Rapp zbierał załogę, odzyskałem już jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent zdrowia, ale ojciec nie chciał mnie puścić. Chyba nie powinienem mieć do niego pretensji. Uważał, że mnie chroni, a ja nie potrafiłem go przekonać. Ojciec nigdy nie widział świata, więc nie sądził, by odgroźenie mnie od niego było jakąś zbrodnią.

Nancy Saturn spojrzała na męża, grube smugi niewchłoniętego białego kremu nadal widniały jej na brodzie i wokół uszu. Odczekała jeszcze chwilę, żeby sprawdzić, czy mąż szykuje coś więcej, a potem zapytała go:

– Skończyłeś?

– To przegląd najważniejszych wydarzeń – powiedział.

– Ilekroć słyszę tę historię, nie mogę pojąć dwóch spraw – oznajmiła.

– Mów – zachęcił ją Alan.

– No cóż, po pierwsze, twój nieszczęsny ojciec. Dlaczego zawsze musi wychodzić na gburę w przeciwieństwie do obdarzonego wolnym duchem Martina Rappa? Bo nie chciał, żeby jego syn, który czasami miewał jeszcze nawroty malarii, wrócił do dżungli, gdzie się jej nabawił? Nie brzmi mi to jak przestępstwo.

Alan Saturn przez chwilę w zamyśleniu rozważał słowa żony, trawiąc jej krytykę. Strzepnął z włosów jakiegoś długonogiego świerszcza.

– Masz sporo racji – orzekł w końcu. – Ale tak wygląda historia mojego życia,

historia moich relacji z ojcem, a potem z mentorem, który, co dość oczywiste, też był dla mnie kimś w rodzaju ojca. Nie rozumiałem ojca opacznie. Mówię, że ciężko pracował, był naszym żywicielem. Mam jednak prawo skłonić się ku doktorowi Rappowi, wybierając go na swój wzór.

Nancy czekała dłuższą chwilę, a potem wzruszyła ramionami. Chyba kosztowało ją to sporo wysiłku.

– Rozumiem.

– Wysłuchałem cię jednak – dodał Alan Saturn. – I doceniam twoje słowa.

Marina zastanawiała się, czy mają za sobą długą terapię małżeńską, czy może cały czas rozmawiają ze sobą w ten sposób. Minęło tyle czasu, odkąd miała męża. Nie wyobrażała sobie, żeby ona i Josh Su, mając po dwadzieścia parę lat, prowadzili takie rozmowy.

– Mówiłaś o dwóch sprawach – zauważył Alan.

– Annick Swenson.

– Nie ma jej w tej historii.

– Jest w domyśle w każdej historii o doktorze Rappie. Twoja opowieść mówi równie dużo przez to, co pominąłeś, jak przez to, o czym wspomniałeś.

– Pomijam to, co było jego życiem prywatnym. Te sprawy mnie nie obchodziły i nie obchodziły także nauki.

– Słyszała pani? – doktor Saturn zwróciła się do Mariny. – Co to ma być? *Meet the Press?* – Odwróciła się z powrotem do męża. – Z pewnością cię to obchodziło. Gdy twój wzór zabiera kochankę na kolejne wyprawy z dwunastoma chłopcami, a ty jesteś jednym z tych chłopców, to to cię obchodzi. Obchodzi cię, kiedy później idziesz do niego do domu i jesz kolację razem ze swoim mentorem i jego żoną.

– Doktor Swenson była jego kochanką? – zapytała Marina.

Już samo to pytanie wywołało kwaśny smak w jej ustach. Uważała, że to paskudne słowo, w żaden sposób nieoddające istoty rzeczy. Kochanka to kobieta czekająca w pokoju hotelowym.

– Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o prywatnych sprawach – odparł Alan z naciskiem.

– Pani Rapp mieszka w Cambridge i ma trzy córki. Skończyła dziewięćdziesiąt dwa lata. Wysyłamy jej grejpfruty na święta Bożego Narodzenia. Nie twierdzę, że ludzie nie miewają romansów, nawet bardzo porządni ludzie, a przecież za takich chcielibyśmy uchodzić. Ale nie możemy rozplatać historii czyjegoś życia, wyjmując z

niej wszystkie części, które nie służą naszym celom, i zostawiając jedynie te, które nam odpowiadają. Doktor Rapp był wielkim naukowcem, co do tego nie ma wątpliwości, i pod każdym względem posiadał prawdziwą charyzmę, ale był też rażąco niewierny dwóm kobietom, a to, szczerze mówiąc, nie daje mi spokoju. Drażni mnie, że człowiek, o którym mówisz, że chciałeś być taki jak on, przez całe życie uganiał się za spódniczkami.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytała Marina.

– Ależ możemy rozkładać życie na części. Ciągłe to robimy. – Żyły na skroniach Alana Saturna pchały się do przodu w nowym przyływie krwi. – Picasso gasił papierosy na swoich kochankach, ale to nie znaczy, że jego obrazy podobają nam się mniej. Wagner był faszystą, a potrafię zanucić każdy dźwięk otwierający *Walkirie*.

– Nie znam Picassa i nie znam Wagnera!

– I nie znałaś doktora Rappa!

Krzyki sprawiły, że Benoit oderwał wzrok od przewodnika, który studiował. Wskazał na czubek drzewa i powiedział po angielsku:

– Patrzcie!

Ale żadne z Saturnów nie spojrzało w tamtą stronę, podobnie jak Marina. Easter oczywiście nawet go nie usłyszał.

– Znam jego żonę! – powiedziała Nancy piskliwym głosem. – Znam jego kochankę! Gdybym nie znała tych dwóch kobiet, pewnie bym się z tobą zgodziła. Byłaby to dla mnie jedynie kolejna plotka z annałów historii, ale tak nie jest. Nie można oddzielić tych dwóch sfer, kiedy chodzi o kogoś znajomego. Mówię ci, że to nie był dobry człowiek.

– Był najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem.

– Zostawił cię z plemieniem Indian w Peru, kiedy miałeś ponad czterdzieści stopni gorączki!

– A oni zabrali mnie do Iquitos i w końcu dostałem się do Limy. To nie było tak, że położył mnie obok pnia w dżungli i sobie poszedł. Wszyscy rozumieliśmy warunki zawartej umowy. Każdy, kto spowalniał grupę, był od niej odcinany. Doktor Rapp przyjechał tam pracować, a my mieliśmy się uczyć.

– Mielście dziewiętnaście lat, a on zbierał grzyby! – Nancy Saturn mierzyła go dzikim spojrzeniem, jakby opowiadała o czymś, co przytrafiło się jej dziecku, a nie mężowi. – Jego kochanka pewnie skończyła już wtedy medycynę. Przynajmniej ona mogłaby z tobą zostać.

W tym momencie Alan Saturn wypadłby pewnie z pokoju jak burza, pragnienie opuszczenia żony wyraźnie drgało w jego mięśniach, przedzierając się przez szczękę, ale płynęli rzeką przez dżungłę.

– Incydent, do którego nawiązujesz, miał miejsce bardzo dawno temu – mówił spokojnym, cichym głosem. – Najwyraźniej popełniłem błąd, zwierając ci się.

– Jestem twoją żoną. W końcu by to wypłynęło. – Nancy Saturn zdecydowanie nie była jeszcze gotowa, aby przestać. Zobaczyła, że zdobyła przewagę w grze, i nawet nie mrugnęła.

– Naprawdę nic pani nie wiedziała o Annick i doktorze Rappie? – zwrócił się Alan do Mariny. W jego głosie pozostały jeszcze iskry gniewu, mimo że nie kierował tych słów do żony.

– Nie miałam pojęcia – powiedziała Marina.

Wolałyby teraz oddalić się od Saturnów, znaleźć miejsce na łodzi bez karaluchów, gdzie mogłyby usiąść, bo choć na podstawie przedstawionych informacji mogła stwierdzić, że Alan Saturn się myli, bo doktor Rapp rzeczywiście źle się zachował, i że Nancy Saturn ma rację, bo takie sprawy warto poddawać ocenie, poczuła, że staje po stronie Alana, bo w jego zdeterminowanym oddaniu mentorowi było sporo czegoś, co brzmiało dla niej znajomo. W życiu kochamy tych, których kochamy. W pewnych historiach fakty okazują się niemal nieistotne.

– Tak – powiedział, starając się oddychać wolniej i być może wykorzystując do tego jedną z dawno poznanych technik. – Cóż, sprawy prywatne. – Nancy otworzyła usta, ale delikatnie położył jej dłoń na czole i kciukiem wtarł kleks kremu z filtrem, który przywarł do nasady jej włosów. Odchrząknął. Bardzo się starał uspokoić ich oboje. – Widzi pani tę rzekę w oddali? – zapytał Marinę. Skinął głową w stronę dopływu. Łatwo byłoby go przeoczyć, mały wlot dyskretnie wsuwał się w dżungłę. – Tamtędy płynie się do plemienia Hummocca. Mieszka dwie albo trzy godziny drogi stąd. To najbliżsi sąsiedzi Lakaszich, a mimo to, choć bywałem tu wiele razy, nigdy ich nie widziałem.

Była to heroiczna próba zmiany tematu. Odsunął rękę od czoła żony i zawarli milczące porozumienie. Płyną łodzią. Nie są sami. Znajdą sposób, by przestać się klócić.

– Doktor Swenson wspomniała, że Easter jest z plemienia Hummocca – powiedziała Marina, rozumiejąc, że jej rola w tej sztuce polega na udawaniu, że nic się nie stało.

– Tak naprawdę nikt tego nie wie – odrzekła Nancy, ostrożnie ważąc słowa. – Ale to jedyne logiczne wyjaśnienie. Jintowie by go nie zostawili.

– Nikt nie próbował go zabrać z powrotem? Nie zauważyli, że brakuje im chłopca?

Marina spojrzała w stronę Eastera, ale nawet nie odwrócił głowy w stronę mniejszej rzeki. Benoit pokazywał mu jakiś obrazek. Easter sterował jedną ręką.

– Plemiona są jak kraje – powiedział Alan Saturn. – Każde z nich ma własny charakter narodowy. Takie plemiona jak Jinta to zasadniczo Kanadyjczycy. Inne, takie jak Hummocca, bardziej przypominają Koreę Północną. Nie mamy z nimi żadnego bezpośredniego kontaktu, więc w zasadzie nie wiemy, co robią, a to, co wiemy, każe nam trzymać się od nich z daleka.

– Doktor Swenson ich widziała – zauważyła Marina. – Wspomniała mi o tym, kiedy płynęliśmy do wioski.

– I nic więcej nie mogła dodać – skwitował Alan. – Ta historia nie wykracza poza tę jedną informację: widziała ich i ją przestraszyli. Już sama myśl, że Annick się czegoś wystraszyła, wystarcza, żebym trzymał się od tego z daleka.

– To kanibale – powiedziała Nancy.

– Byli kanibalami – poprawił ją Alan – co oznacza jedynie tyle, że podczas rytuałów spożywali niewielkie ilości mięsa, a nie że uczynili z ludzkiego mięsa podstawę swojej diety, a poza tym żadne doniesienia nie mówią o tym, by robili to w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat.

Minęli dopływ. Marina obejrzała się przez ramię, ale nigdzie nie było już śladu po mniejszej rzece. Nie była pewna, czy gdyby zawrócili, potrafiłaby ją znaleźć.

– W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat nie pojawiały się żadne doniesienia na ich temat, ale raczej nikt tam regularnie nie bywał, żeby badać ich nawyki.

– Strzelali do handlarzy zatrutymi strzałami – wtrąciła Nancy. – Albo nie są zbyt dobrymi strzelcami i strzały padały daleko od łodzi, albo strzelają bardzo dobrze i to miało być jedynie ostrzeżenie. Nawet jeśli w którymś momencie życia Easter był jednym z nich, nikt nie ma zamiaru go tam odsyłać.

Gdy dotarli do placówki handlowej, okazało się, że mniej przypomina ona Kanadę, a bardziej Florydę. Około dziesięciu turystów przyplłynęło ze swojej ekologicznej osady otwartą łodzią z przewodnikiem, by popatrzeć na ubrane w spódniczki z trawy dzieci Jintów kręcące nieistniejącymi bioderkami w takt tubalnych dźwięków bębnów. Na bębnach grali przysadziści mężczyźni w średnim wieku z

nagimi torsami, którzy najprawdopodobniej byli ich ojcami. Wzdłuż nosów i na policzkach namalowali sobie czerwone kreski wyglądające jak zrobione szminką i gwałtownie potrząsali głowami na boki niczym członkowie garażowej kapeli. Bębnilo dobrze, ale ich dzieci z nadgarstkami otoczonymi kępkami traw były jeszcze lepsze. Zebrało się ich co najmniej dwadzieścioro, w wieku od bardzo małych do nieco większych od Eastera, i wytupywały skomplikowany wzór, by potem podskakiwać w wielkim kręgu na jednej nodze, wydając z siebie krzyki wojowników. Urzeczeni turyści robili im zdjęcia telefonami komórkowymi. Dziesięć – albo dwunastoletnia dziewczynka z czerwonym kwiatem hibiskusa wetkniętym za ucho wyszła naprzód, by zatańczyć solo z boa dusicielem owiniętym wokół szyi, który tak ładnie zwisał i kołysał się na jej ramionach, że chcąc nie chcąc, człowiek przypominał sobie o tym, iż to właśnie ten gad jest pierwowzorem boa z piór. Matki tańczących dzieci szybko rozłożyły ścierki na ziemi i pokazały na nich całą gamę małych dmuchawek, tych białych rzeźbionych czapli i sznurkowych bransoletek z nanizanymi czerwonymi nasionami. Widząc okazję do zrobienia zakupów, białe kobiety zaczęły się targować, domagając się bransoletki i naszyjnika za cenę samej bransoletki. Jedna z kobiet podała mężowi aparat, a potem podeszła i stanęła obok Mariny.

– Zrób mi zdjęcie z tą – powiedziała. – Jest dwa razy większa niż reszta z nich.

Marina, ubrana w sukienkę od Lakaszich, objęła kobietę w pasie, aby uwiecznić na zdjęciu własną bransoletkę z nasion.

Easter stanął obok jednego z mężczyzn z wysokim bębniem i przystawił dłonie do podstawy instrumentu. Po minucie zaczął kiwać głową do taktu. Jakiś chłopiec przyszedł z trójpalczastym leniwcem, którego zawiesił turystce na szyi, a zwierzę, dopiero co obudzone, odchyliło głowę do tyłu i wyglądało tak, jakby się do niej uśmiechało. Leniwiec pozujący do zdjęć był jeszcze większym hitem niż Marina. Potem zjawiała się przysadzista kobieta w brudnej koszulce i obciętych dżinsach, siłując się z dwudziestoparokilogramową kapibarą, którą trzymała w ramionach. Niosła ją obróconą brzuchem do góry, jak dziecko, myśląc prawdopodobnie, że ogromny gryzoń też wyszedłby ładnie na zdjęciu, ale zwierzę piszczało i wierzgało, a w końcu ją ugryzło, więc była zmuszona je wypuścić i patrzeć, jak pędem ucieka w krzaki, skamląc ze strachu. Wtedy dwaj bardzo starzy mężczyźni w olbrzymich pióropuszech wyszli w podskokach z chaty krytej strzechą, potrząsając patykami deszczowymi, a roztańczone dzieci ustawiły się za nimi gęsiego. Starszy z dwóch mężczyzn, ten bez zębów, przystanął i wziął Marinę za rękę, lekko ją pociągając.

- Ma pani zatańczyć – wyjaśniła Nancy.
- Nie mogę – wzbraniała się Marina.
- Chyba nie ma pani wyjścia.

Marina spojrzała na tłum, a potem na Indian. Na wszystkich twarzach malowała się ta sama wiadomość: nie masz wyjścia. Wzięła więc wodza za rękę, a on uniósł jej dłoń wysoko nad głowę, mniej więcej do poziomu kości policzkowych Mariny, i razem zaczęli powoli podskakiwać, posuwając się naprzód, podczas gdy mężczyźni walili w bębny, turyści robili zdjęcia, a dzieci kontynuowały swoje tańce oraz dalej zajmowały się węzłem i leniwcem. Marina tańczyła z ludźmi, którzy nie byli biali, ale biali ich obserwowali. Nigdy nie chciałaby zostać elementem atrakcji turystycznej. Jedno z dzieci podało jej leniwcę, a ona go wzięła. Zawiesiła go sobie na szyi i tańczyła dalej, czując na skórze miękką, ciepłą sierść. Gdyby dano jej wybór, wolałaby wrócić na werandę sypialną za magazynem, wejść pod moskitierę i czytać *Małą Dorrit*. Wiedziała jednak, że z jakiegoś powodu mniej poniżające, mniej nieuprzejme jest tańczenie z tubylcami niż zwyczajne stanie i patrzenie na nich.

Dolary gromadziły się w plecionym koszyku, ofiary dla bogów. Listy zostały przekazane przewodnikowi, który powiedział, że następnego dnia będzie miał dwie godziny wolne w Manaus i wyśle je osobiście. Benoit rozmawiał z nim cały czas i wysłuchiwał zdecydowanych rad dotyczących wagi angielskiego i niemieckiego. Powinien także mówić po hiszpańsku. Portugalski to jedynie podstawowe osiągnięcie.

W drodze powrotnej z placówki handlowej Marina i Saturnowie poświęcili Benoit całą uwagę. Patrzyli na każdego ptaka i każdą małpę, którą im pokazywał, a gdy znalazł w książce odpowiedni obrazek, demonstrowali mu, jak wymawiać te słowa po angielsku. „Spotbilled toucanet”. Alan przyniósł lornetkę i pokazał Benoit, jak się z nią obchodzić. Być może udzieliło im się zachowanie turystów, bo sami zachowywali się jak turyści. Zgodnie skupiali wzrok na wodzie, na liściach, na niebie i prawie w ogóle nie patrzyli na siebie nawzajem. Mignęły im różowe delfiny, rozmawiali o ptakach. Kilka razy niepotrzebnie skręcili w bardzo małe dopływy, bo Benoit pokazał je Easterowi, a Easter, nieskrępowany żadnym planem, z radością się podporządkował. Marina i Saturnowie przerobili wcześniej tyle emocji, że teraz wszyscy czuli się niezwykle spokojni, a może jedynie wyczerpani. Po opuszczeniu Jintów nie minęli po drodze żywej duszy i świat wydawał się czymś milczącym i rozległym, należącym



wyłącznie do nich. Po lewej było coś, co wyglądało na chrupkie pole dryfującej sałaty. Benoit klepnął Eastera w ramię, a chłopiec skreślił i zabrał ich w tamtą stronę.

Pod dźwiękami wydawanymi przez nawołujące się ptaki dawał się słyszeć delikatny odgłos chrupania, jakby łódź płynęła przez lekko zamarznięty staw w grudniu i lód grubości połowy szyby okiennej łamał się, by ją przepuścić. Marina wychyliła się nad dziobem i patrzyła, jak sałata ściska się i zanurza pod pontonem, by następnie znów spleść się za rufą, wygładzając ścieżkę, którą właśnie przepłynęli, i nie tracąc nawet jednego listka. Jesteśmy tu, pomyślała Marina, a nigdy nas tu nie było. Ta zieleń była znacznie jaskrawsza, znacznie świeższa niż wszystko, co widziała w dżungli do tej pory. Długopalce ptaki przechadzały się po delikatnych łąkach z pewnością, z której rodziła się kusząca myśl, iż te maleńkie dryfujące roślinki mogłyby unieść ciężar farmakolożki. Pozostawało pytanie, czy poniżej woda ma głębokość pół metra, czy siedmiu metrów. Benoit jeszcze raz klepnął Eastera, a potem uniósł dłoń i chłopiec zatrzymał łódź. Wtedy Benoit położył się na brzuchu, wysuwając głowę i ramiona za burtę. Zobaczył coś. Saturnowie podeszli i pochylili się nad nim, podobnie jak Marina.

– Ryba? – zapytała Nancy. – *Peixei?*

Benoit przecząco pokręcił głową.

– Nic nie widzę – powiedział Alan.

Easter nie odrywał oczu od Benoit, który nie patrząc już więcej na kapitana, skierował rękę w lewo, w prawo, a potem odrobinę do tyłu. Easter dawał mało gazu i przesuwał dużą łódź najdelikatniejszymi ruchami, aż w końcu Benoit, skupiając każdą odrobinę uwagi na słodkich sprężynach sałaty, gwałtownie podniósł rękę i Easter natychmiast zgasił silnik. Zapadła zdumiewająca cisza. Przyszły przyrodnik, nie podnosząc się z brzucha, zanurzył w liściach tę samą rękę, którą wcześniej dawał znaki sternikowi, i zaczął wyciągać na pokład olbrzymiego węża.

Człowiek instynktownie czuje, że przede wszystkim należy trzymać gadzi łeb z dala od twarzy, więc Benoit wyprostował rękę, jakby chciał ją odrzucić od ciała, choć jednocześnie cały czas zaciskał dłoń zbyt mocno, aby wężowi mogło być wygodnie. Długie, lekko zakrzywione zęby kłapały zaciekle w powietrzu, nurkując w stronę nadgarstka Benoit, podczas gdy on majtał gadzim łbem na boki, próbując zyskać na czasie, nim zdoła zmniejszyć odległość między swoją dłonią a głową węża. Przewrócił się na bok, potem na plecy i jakimś cudem zdołał wciągnąć pierwszą połowę gada na pokład, choć wiła się jak odcięty kabel pod napięciem. Tuż pod łbem wąż miał grubość

nadgarstka Benoit, a dalej jego cielsko, gładkie łuski najciemniejszej zieleni z czarnymi plamkami u góry i kremową jasnością pod spodem, nabrzmiewało do grubości uda. Wąż wpełzał coraz wyżej, coraz więcej jego cielska wślizgiwało się na pokład grubymi, umięśnionymi zwojami, próbując odnaleźć drogę do ciała Benoit, rozciągając się obok niego, ugniatając je, podczas gdy Benoit mężnie walczył, by odsunąć od siebie dwie głowy. Nie można dopuścić do zetknięcia się głów.

– Wyrzuć go! – krzyknęła Nancy po angielsku, w języku, który stał między Benoit a jego marzeniem o karierze przewodnika. – Wyrzuć go!

– Kurwa! – zawołał Alan Saturn, a potem bez końca powtarzał to słowo.

Jasne, Benoit złapał węża, ale nie trzymał go wystarczająco blisko łba. Nad dłonią Benoit było zbyt dużo węża, którego olbrzymia ziejąca paszcza szukała celu, otwierając szczęki szerzej, niż można by pomyśleć, widząc tak mały łeb. Mignęły im liczne rzędy mniejszych zębów czekających na to, by zacisnąć się na skórze. Tylko energiczne wymachy powstrzymywały węża od zatopienia ich w nadgarstku Benoit. Chłopak wydawał się skupiony jedynie na piętnastu centymetrach węża między swoją zaciśniętą pięścią a koniuszkiem jego języka i zupełnie ignorował olbrzymie cielsko, które ciężko wpełzało na jego ciało, więc mokry od potu i wody przyniesionej przez węża na pokład śmiał się w najlepsze. Leżąc na plecach, przygwożdżony niczym zapaśnik na niesportowym meczu, wył z dzikiej radości, próbując przesunąć rękę wyżej z pomocą drugiej ręki. Easter, jak zawsze skory do pomocy, chwycił dolną połowę ich gościa i usiłował ją ściągnąć ze swojego przyjaciela. Było zbyt wiele zwijających się i rozwijających zwojów, by dokonać precyzyjnej oceny, ale wąż musiał mieć z pięć metrów długości, a po rozprostowaniu nawet sześć. Benoit wyglądał na metr sześćdziesiąt pięć, więc był lżejszy od węża o ponad dwadzieścia kilogramów. Troje naukowców odsunęło się z przerażeniem, wykrzykując różne obraźliwości w niepomocnym języku. Marina chciała wskoczyć do wody i uciec po sałacie wodnej razem z długopalcymi ptakami, ale któż mógł wiedzieć, czy wąż nie ma tam przypadkiem rodziny? Wokół unosił się zapach, którego żadne z nich nie znało, woń rozwścieczonego gada, oleisty odór wstrętnej furii, który wsiąkał w śluzówki ich nosów, jakby zamierzał tam zostać na zawsze. Tylna połowa węża wystrzeliła w górę, zawiązała supeł wokół szczupłej talii Eastera, owijała się i owijała, a w chwili gdy głowa gada przemknęła obok, Easter sięgnął w górę ręką o ćwierć sekundy szybszą niż wąż i chwycił go za gardło tuż pod łbem, znacznie wyżej niż pięść Benoit. Easter złapał węża złapanego przez Benoit.

Och, cóż za radość! Zwycięstwo i euforia! Okrzyki Benoit i Eastera wstrząsnęły dżunglą, bo Easter bez wątpienia krzyczał, a jego głos był tak przeszywający, tak bardzo przypominał śmiertelną agonię, że wszyscy trzej naukowcy byli przekonani, iż chłopiec został ukąszony, więc powodowani instynktem ludzkiej przyzwoitości rzucili się naprzód, by ocalić mu życie. Easter śmiał się jednak jak szalony i dalej ścisnął węża, a Benoit, znacznie silniejszy, szybko złapał gada tuż pod miejscem, w którym trzymał go młodszy przyjaciel. Spoglądali teraz w paszczę tego stworzenia, jakby była jakąś karnawałową atrakcją, a język, srebrzysta iskra światła, wysuwał się ku nim.

– To pieprzona anakonda! – zawołał Alan. – Złapał anakondę gołymi rękami!

Alan Saturn zdawał się tkwić dokładnie u zbiegu radości zwycięskich Lakaszich, przerażenia Mariny i jego żony oraz wściekłości węża, którego oczy skupiły się w dwóch maleńkich punkcikach morderczej żądz.

Easter kaszlnął.

Możliwe, że Marina zrozumiała wcześniej niż on, ale oczywiście nie sposób tego stwierdzić. W jednej chwili wszystko stało się dla niej jasne, przebiła się przez mur swojego obrzydzenia i strachu, by złapać ogon węża zaciśnięty na biodrze Eastera. Ciało gada było oślizłe i jednocześnie suche, chłodne pomimo potwornego upału dnia. Kiedyś, na zajęciach z biologii w *college'u*, Marina zrobiła sekcję zwłok małego pończoszника, który już dawno nie żył i śmierdzał w formaldehydzie. Rozcięła go wzdłuż i otworzyła, przyszpilając do woskowanej tabliczki. Jeśli dobrze pamiętała, był to jedyny wąż, jakiego kiedykolwiek dotknęła. Drugi był ten, którego próbowała teraz odciągnąć od chłopca. Gdy udało jej się go trochę poluzować, przesunęła dłoń w górę cielska, jedną za drugą, jakby wciągała się po linie, tylko że koniec tej liny zaczął się owijać wokół jej nadgarstka. Nigdy wcześniej nie spotkała się z takim mięśniem. Nie walczył z nią. Nie zauważył jej. Pociągnęła. Easter znowu kaszlnął. Teraz także Benoit dostrzegł problem: wąż owinał się wokół jego przyjaciela, dostrzegając sposób, by zwolnić uścisk dłoni trzymającej go za szyję. Benoit przesunął rękę w górę, aby zastąpić nią dłoń Eastera, w chwili gdy ta odpadła. Easter usiłował wcisnąć swoje drobne rączki między siebie a węża, lecz gdy wciągnął powietrze, by wsunąć między nich koniuszki palców, wąż poczuł ruch oddechu i ścisnął jeszcze mocniej. Wzrok Eastera pobiegł najpierw do Mariny, która zobaczyła w jego strachu samą duszę i znów pociągnęła. Ręce Alana znalazły się obok jej rąk i ciągnęli razem, wszyscy. Benoit trzymał węża za gardło, a Nancy Saturn krzyczała o nóż, o nóż, a potem:

– *Faca!*

Ale Benoit już jej nie słyszał. Przymarzył do węża szykującego się do zabicia jego przyjaciela, który mógł mieć jedenaście albo dwanaście lat, lecz był bardzo mały jak na swój wiek.

– Powiedzcie mi, że na tej łodzi jest jakiś pieprzony nóż! – zawołała Nancy.

Usta Eastera robiły się sine. Z braku tlenu albo pod ciężarem węża osunął się na kolana. Marina zdała sobie sprawę, że jego kręgosłup może nie wytrzymać. Wszyscy uklękli. Wiedziała, że u steru łodzi jest przywiązana maczeta, którą Easter przyciął gałęzie, gdy przywiązywał łódź do drzewa. Natychmiast wstała. Nóż był prawie tak długi jak jej ręka, ciężki jak rakietka tenisowa. Przyłożyła ostrze tuż nad pięścią Benoit i jednym pociągnięciem ucięła gadowi łeb. Gdyby ucięcie łba zabiło węża, byłaby to najszcześniejsza chwila jej życia, ale dekapitacja niczego nie zmieniła. Pracowity łeb nadal kłapał na pokładzie śmiercionośnymi zębami, zataczając powolne kręgi, otwierając i zamykając szczękę, a cielsko nadal dusiło chłopca.

– Jezu – powiedziała.

Widziała ścięgna wystające z pleców Benoit, jego krzywe dolne zęby, żuchwę wysuniętą z wysiłku, rękę, po której spływała krew bezgłowego węża. Benoit dalej ciągnął górną część węża, Saturnowie ciągnęli dolną, a między nimi Easter nadal umierał. Marina zaczęła piłować zwoje bezgłowego gada, trzymając rękę na głowie Eastera, a czubek maczety tuż przy palcach jego nóg. Jej celem było równoczesne przecięcie obu zwojów, bo wątpiła, czy znajdzie się czas, by zrobić to dwukrotnie. Easter nie wydał ani jednego dźwięku. Nie mógł wciągnąć w płuca już ani łyżeczki powietrza. Tkwił znieruchomiały w tym kaftanie i nie odrywał oczu od Mariny. Najpierw natrafiła na ogromny kręgosłup i aby go przepiłować, musiała się pochylić tak mocno, jak musiałaby się pochylić, przepiłowując ludzki nadgarstek długim nożem ustawionym pod nieodpowiednim kątem. Bała się nacisnąć zbyt mocno i zranić Eastera, ale Easter nadal był bardzo daleko. Przełamała kręgosłup pierwszego zwoju, a potem przesunęła ostrzem na boki, by sforsować drugi zwój. Następnie przecięła żebra, grube mięśnie biegnące wzdłuż tarczki brzusznej, kloakę. Gdy była już bardzo blisko Eastera, odłożyła maczetę i pozostałą część rozerwała rękami. Wtedy ciężar węża zadziałał na jej korzyść, rozdzierając jego cielsko i spadając na pokład.

Nancy Saturn podniosła chłopca, dziecko lekkie jak powietrze, rozłożyła go za oprawcą, a potem długo dmuchała mu w usta, ściągając wargi, by dopasować je do tak małej buzi. Wsunęła jedną rękę pod kark Eastera, odchyliła mu głowę do tyłu, a palcami drugiej dłoni zatkała mu nos i dmuchała, póki jego pierś nie zaczęła się

unosić, choć żadne z nich nie było jeszcze w stanie stwierdzić, za sprawą czyjego oddechu. Przerwała na chwilę. Oddychał chłopiec. Z początku płytko i nierówno, ale oddychał sam. Podniosła jego koszulkę i lekko dotknęła czerwonych obrzęków wokół torsu, a Alan Saturn ukląkł obok niej i przyłożył ucho do piersi Eastera. Benoit przykucnął z dala od nich, kryjąc głowę między kolanami. Jego plecy unosiły się od oddechu. Po drugiej stronie łodzi Easter zamrugał. Wtedy Marina usiadła obok niego w rosnącej kałuży krwi i wzięła go za rękę.

Gdy wrócili, było jeszcze widno. Alan Saturn sterował łodzią i choć na brzegu czekało ponad dwadzieścioro Lakaszich, gałęzie w ich rękach nie były zapalone. Na widok łodzi wstali, żeby popatrzeć, ale nie podskakiwali ani nie krzyczeli. Być może dlatego, że podróżników nie było jedynie pół dnia, a może dlatego, że zabrakło wśród nich doktor Swenson. W każdym razie wszystkim na pokładzie ulżyło, choć mieli większe powody do świętowania niż kiedykolwiek wcześniej razem wzięci. Kiedy jednak Alan Saturn dobił do małego pomostu i Lakaszi weszli na pokład, krzyki i wrzaski rozpętały się na poważnie. Nie był to teatralny pokaz sprzed tygodnia, lecz głęboka, niezmacona radość, jakiej Marina jeszcze nie widziała. Trzech mężczyzn podniosło trzy olbrzymie kawałki węża z zakrwawionego pokładu, a czwarty podniósł łeb, ten sam łeb, który Marina zamierzała wcześniej posłać kopniakiem do wody, lecz nie chciała go ponownie dotknąć nawet stopą. Ponieśli kawałki węża, każdy ciężki jak małe drzewo, unosząc je nad głową, aby pokazać żywiołowemu tłumowi. Dziś na kolację będzie anakonda. Uczta, o której będą opowiadać wnukom jeszcze przez wiele lat. Tyłu Lakaszich klepało Benoit, że wręcz go bili. Wyciągnęli kawałki węża w rzadkim geście integracji do Saturnów, którzy gwałtownie się do siebie przytulili i odmówili. Easter wstał, lecz prawie natychmiast zaczął się słać na nogach, więc Benoit wziął go na rękę, a Lakaszi zawiwatowali na ich cześć, wtórując okrzykowi bólu z ust chłopca. Marina poprowadziła ich na werandę i kazała Benoit zostawić Eastera na łóżku, a gdy Benoit wyszedł, wślizgnęła się pod moskitierę, aby położyć się obok chłopca. Żyli, byli razem i cuchnęli wężem.

Niedługo potem przyszedł doktor Swenson i znalazła ich dwoje w tym małym łóżku, ramię przy ramieniu, trzymających się za rękę, małego Jasia i dużą Małgosię. Easter zasnął, oddychając płytko przez usta, ale oczy Mariny były szeroko otwarte. Nawet po tak długim czasie nie zapadła jeszcze całkowita ciemność.

– Saturnowie powiedzieli mi, co się stało. – Doktor Swenson sięgnęła pod moskitierę i dotknęła jego włosów.

– Nie mam pojęcia, co się stało – odparła Marina ze wzrokiem utkwionym w miejscu związania moskitiery. – To zupełnie bez sensu. Zauważył węża w wodzie i wciągnął go na łódź? Po co?

– Benoit chce być przewodnikiem wycieczek, a podstawą tego fachu w Amazonii jest umiejętność podnoszenia rozmaitych rzeczy: tarantuli, kajmanów, najdziwniejszych różności. Wciągnięcie anakondy na pokład to wyjątkowe osiągnięcie. Nigdy nie widziałam, żeby komuś się to udało, a byłam świadkiem wielu prób. Gdyby ta historia zakończyła się lepiej, prawdopodobnie poprosiłby panią o napisanie listu polecającego do Krajowej Rady Turystyki.

– To cud, że ten potwór żadnego z nich nie ukąsił. Do końca życia będę miała przed oczami te kły.

Doktor Swenson pokręciła głową.

– Zęby – poprawiła Marinę. – Nie kły. Słyszałam, że ukąszenie jest niezwykle bolesne i trudno wydobyć zęby z ciała, ale jad nie jest trujący. Znacznie groźniejsze jest to, co ten wąż próbował zrobić Easterowi.

Marina odwróciła głowę, żeby spojrzeć na swoją mentorkę.

– A co z jego wątrobą, ze śledzioną? Gdybyśmy byli w domu, mogłabym go zabrać na tomografię.

– Gdyby była pani w domu, nie zaatakowałaby go anakonda. Jechałby rowerem i potrafiłby go SUV. Ma większe szanse w starciu z wężem.

– Co?

– Tu jest niebezpiecznie, nie musi mi pani o tym mówić, ale tam jest jeszcze gorzej. Tutaj Easter rozumie, co się dzieje, wie, jak sobie radzić. Być może ma połamane kilka, żeber, ale zobaczy pani, wyjdzie z tego. Doktor Eckman przebąkiwał, że zabierze go ze sobą do domu. Uważał, że jeśli brak słuchu ma podłoże neuronalne, Easterowi będzie można wszczepić implant ślimakowy, ale ludzi nie można w ten sposób zmieniać. Nie można zrobić słyszącego chłopca z głuchego chłopca, nie można przemienić każdego napotkanego człowieka w Amerykanina. Zresztą Easter nie jest pamiątką, drobiazgiem, który wkłada się do kieszeni przed powrotem do domu, żeby przypominał o chwilach spędzonych w Ameryce Południowej. Nie straciła pani głowy, pani doktor, ocaliła mu pani życie. Zasłużyła pani na moje uznanie. Jeśli jednak wydaje się pani, że nagrodą za uratowanie tego chłopca jest jego zatrzymanie, to jest pani w błędzie. Musi pani wystarczyć zwykłe podziękowanie. On nie jest do wzięcia.

Najłatwiejszą rzeczą pod słońcem byłoby powiedzenie doktor Swenson, że

Marina nie ma pojęcia, o czym doktor Swenson mówi, lecz nagle wszystko stało się całkowicie jasne: doktor Swenson ubrała w słowa coś, co w głowie Mariny nie zdążyło się jeszcze uformować w pełną myśl, tak samo jak kiedyś, gdy podczas obchodów Annick Swenson odpowiadała na pytania ułamek sekundy wcześniej, niż Marina zdążyła je ułożyć w głowie. W rzeczywistości Marina była o krok od wniosku, że najlepszym rozwiązaniem jest zabranie Eastera do domu, że właśnie tego chciał Anders, że sama tego chce, że w jakimś dziwnym sensie Easter jest dzieckiem ich związku, produktem siedmiu lat wspólnie spędzonych w ciasnym laboratorium. Easter był jej rekompensatą za to, co straciła. Doktor Swenson po prostu dostrzegła to wcześniej niż Marina i od razu udaremniła jej zamiary.

– To było okropne – powiedziała Marina słabym głosem, pragnąc przynajmniej odrobiny współczucia z powodu tego, z czego kazano jej zrezygnować. Miała na myśli węża.

– Z pewnością. – Doktor Swenson przyłożyła dłoń do czoła chłopca, sprawdzając, czy ma gorączkę, a potem wcisnęła dwa palce w zagłębienie szyi, by zmierzyć puls. – Czy kiedykolwiek chciała pani mieć dzieci, pani doktor?

I znów wyprzedzała następne emocje, podążając wstecz za ciągiem myśli Mariny: „Nie mogę zatrzymać tego dziecka. Powinnam była urodzić własne”. Marina zastanawiała się, czy jest jakoś szczególnie przezroczysta, czy może doktor Swenson ma wyjątkowy talent do czytania jej w myślach.

– Kiedyś chciałam – odpowiedziała.

Nie mogła się przyzwyczaić do odoru węża. Była zdumiona, że doktor Swenson go nie skomentowała.

– Ale już pani nie chce?

Marina wzruszyła ramionami. Była to osobliwa kuracja: leżenie plackiem z dzieckiem, zdanie sobie sprawy, że chce się je mieć, i usłyszenie pytania o to, czy wcześniej też chciało się mieć dziecko.

– Mam czterdzieści dwa lata. Poważnie wątpię, by w ciągu najbliższych paru lat moje życie zmieniło się na tyle, żebym mogła mieć dziecko.

Nie była już pewna, czego chce od pana Focha, a osiągnęła wiek, w którym nie ma miejsca na niezdecydowanie.

– Czasu będzie pod dostatkiem, nie rozumie pani? Właśnie to oferują Lakaszi. Skoro ja mogę mieć dziecko w wieku siedemdziesięciu trzech lat, to dlaczego pani miałyby go nie mieć w wieku czterdziestu trzech, czterdziestu pięciu? Powiem pani

prawdę, pani doktor: to, co odkryłam w związku z tymi drzewami, nie było tym, czego się spodziewałam. Nie tego oczekuje pani koncern farmaceutyczny. To coś znacznie większego, znacznie bardziej ambitnego niż wszystko, na co dotąd liczyliśmy. Tak brzmi najważniejsza lekcja, jakiej doktor Rapp udzielił nauce w Amazonii: nigdy nie skupiaj się za bardzo na tym, czego szukasz, by nie przeoczyć tego, co już znalazłeś.

Marina usiadła. Wyplątała rękę z ręki Eastera, choć nadal byli dość mocno złączeni w miejscach, gdzie krew węża zakrzepła i skleiła ich w jedność. Wydostała się spod moskitiery.

– Próbuje mi pani powiedzieć, że jest pani w ciąży?

Doktor Swenson zamrugnęła. Przez chwilę wydawała się bardziej zaskoczona niż Marina.

– A myślała pani, że utylam?

– Przecież ma pani siedemdziesiąt trzy lata!

Doktor Swenson splotła dłonie na brzuchu w uniwersalnym geście ciężarnych. Marina była pewna, że nigdy wcześniej nie widziała jej w tej pozie. Bluzka doktor Swenson powędrowała w górę, odsłaniając krągłość brzucha.

– Wiem, że widywała tu pani ciężarne kobiety w moim wieku, albo i starsze. Słyszałam, jak pani o nich mówiła.

– Ale one są z plemienia Lakaszi.

Marina nie była pewna, czy jej słowa mają wydźwięk rasistowski, czy może naukowy. Ta biologiczna anomalia jest dla nich, nie dla nas. Nadal słyszała ich śpiew nad rzeką, bicie w bębny, bez wątpienia zmiękczano węża tłuczkami przed nabiciem go na kije i ustawieniem nad ogniskiem albo robiono to, co robiło się w tych regionach, by przyrządzić węża na kolację.

– Zgadza się, one są z plemienia Lakaszi, i tu rodzi się najważniejsze pytanie. Wiemy, że jeśli bezustannie jedzą korę od pierwszej menstruacji, ich komórki jajowe się nie starzeją. Ale Amerykanie nie będą podawali córkom pigułki raz w miesiącu od trzynastego roku życia, na wypadek gdyby chciały zaczekać z reprodukcją do pięćdziesiątki. Musimy się zatem dowiedzieć, czy kora jest w stanie wznowić zdolność do reprodukcji u kobiety po menopauzie.

– Jest pani obiektem doświadczalnym? Nie można było znaleźć kogoś innego?

– Wśród Lakaszich nie ma kobiet po menopauzie. Na tym polega problem.

– Trzeba było wziąć kogoś z plemienia Jinta. Nie testuje się takich rzeczy na sobie.



– Jakże szybko odsuwamy na bok naszą etykę lekarską. To ja stworzyłam ten lek. Jeśli w niego wierzę, a najwyraźniej wierzę, powinnam być gotowa do wypróbowania go na sobie.

– Kto jest ojcem?

Doktor Swenson spojrzała na nią z ponurym rozczarowaniem, które rezerwowała dla studentów pierwszego roku medycyny.

– Doprawdy, pani doktor, nie mówi pani poważnie.

Biorąc pod uwagę wydarzenia dnia, Marina mogłaby przysiąc, że nic nie jest w stanie zasmucić jej jeszcze bardziej, a mimo to poczuła, że drżą jej ręce.

– Rozumiem, że prowadzi pani skrajnie ograniczone wstępne badanie na sobie samej, ale wynikiem tego eksperymentu będzie dziecko i, choć szczerze pani życzę długowieczności, może nie być pani wśród żywych tak długo, jak pewnie chciałyby się pani opiekować tym dzieckiem. Jeśli brakuje ojca w tradycyjnym pojęciu, co się stanie z efektem końcowym?

– Wokół jest pełno dzieci. Naprawdę pani uważa, że jedno więcej doprowadzi do rozpadu plemienia? Jestem tu bardzo szanowana. Każdy mój efekt końcowy, jak go pani życzliwie nazwała, zostanie ciepło przyjęty i będzie miał dobrą opiekę.

– Zamierza pani zostawić dziecko tutaj? Dziecko Annick Swenson będzie wychowywane przez Lakaszich?

– To porządni, dobrze zorganizowani ludzie.

– Studiowała pani na Radcliffe.

– Nie byłam tym zachwycona.

Easter spał przez całą rozmowę. Marina spojrzała na łóżko. Koszulka, ręce i twarz chłopca były wysmarowane krwią. O dziwo, wcześniej tego nie zauważyła. Postanowiła zdobyć jakąś ściereczkę i go umyć. Mogła go umyć, kiedy spał.

– Załóżmy, że doktor Rapp spłodził tu dziecko – powiedziała, przypominając sobie przykład podany przez Alana Saturna podczas kłótni z żoną i starając się zapanować nad głosem. – Czy syn albo córka największego umysłu botanicznego powinien lub powinna biegać po dżungli przez resztę życia, nie mając dostępu do swojego potencjału?

– Myśli pani, że nie ma tu jego dzieci? Naprawdę pani myśli, że takie rzeczy się nie zdarzają? Powinna pani poprosić Benoit, żeby zabrał panią na następne poszukiwanie wizji czy jak to pani nazywa. – Doktor Swenson pokręciła głową, a potem poszła usiąść na małym krześle w pokoju. Usiadła na drugiej sukience Mariny i

jej dwóch zapasowych parach majtek, gdyż właśnie tam Marina trzymała swoje rzeczy. – Jestem bardzo zmęczona, pani doktor – powiedziała i odsunęła włosy rękami. – Mam rwę kulszową w lewej nodze, a dziecko siedzi mi na pęcherzu. Gdy tylko się położę, zaczyna szaleć. Cieszę się, że prowadzę tę część badań na sobie, bo dzięki temu odkryłam coś, czego w innym wypadku mogłabym nie uwzględnić: kobiety w pewnym wieku po prostu nie są stworzone do noszenia dzieci, i mogę przypuszczać, że nie jesteśmy stworzone także do ich rodzenia i wychowywania. Lakaszi do tego przywykli. To ich szczególny los. Mogą oddawać niemowlęta pod opiekę wnuczkom. Nie muszą ich wychowywać. To jedyna nagroda za te dzieci rodzone w późnym wieku: wiesz, że nie ty będziesz za nie odpowiedzialna. Nigdy wcześniej nie czułam się stara, to fakt. Przez całe życie unikałam luster. W wieku siedemdziesięciu trzech lat nie przywiązuję do wyglądu większej wagi, niż przywiązywałam w wieku dwudziestu. Artretyzm zaatakował mi ramię, ale to drobnostka. Daję radę. Ciągle tu przyjeżdżam, kontynuuję pracę, pracę doktora Rappa. Nie wiodłam życia staruszki, bo nie byłam staruszką. Byłam po prostu sobą. Ale to, to dziecko, zdecydowanie uczyniło ze mnie siedemdziesięcioletką. Postarzyło mnie jeszcze bardziej. Zboczyłam na terytorium ludzi biologicznie młodych i zostałam za to ukarana. Jestem zmuszona przyznać, że słusznie.

Marina spojrzała na swoją mentorkę, na jej stopy wylewające się ze znoszonej pary birkenstocków, na sposób, w jaki grawitacja przygwoździła ją do krzesła. Zadała najbardziej niedorzeczne pytanie ze wszystkich, tylko dlatego, że niedawno sama je usłyszała.

– Czy kiedykolwiek chciała pani mieć dzieci?

– Jak pani przed chwilą powiedziała? Kiedyś tak? Być może kiedyś tak. Prawdę mówiąc, nie pamiętam. Z obecnego punktu widzenia powiedziałabym pani, że zdecydowanie się na dziecko przypomina spiskowanie przeciwko własnemu życiu, ale w swoim czasie przyjęłam na świat tysiące dzieci i wyglądało na to, że przynajmniej wtedy ich matki były szczęśliwe. Wiem, że w wypadku tych młodych sytuacja przedstawiała się inaczej. – Doktor Swenson zamknęła oczy i choć nadał trzymała głowę prosto, wyglądała, jakby zasnęła.

– Odprowadzić panią do pokoju? – zapytała Marina.

Doktor Swenson zastanowiła się nad propozycją.

– A co z Easterem?

Marina znowu spojrzała na chłopca, zauważyła regularne unoszenie się i

opadanie jego piersi.

– Nie obudzi się. Ma za sobą długi dzień.

– Takiego pani chce – powiedziała doktor Swenson, wracając do początku ich rozmowy, tyle że tym razem zdawała się oferować chłopca Marinie. – Starszego, bystrego, kochającego panią. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że mogę mieć takie dziecko jak Easter, zdecydowałabym się, tyle że zrobiłabym to dawno temu.

Marina przytaknęła i obiema rękami pociągnęła doktor Swenson do pozycji stojącej.

– W tej kwestii możemy się zgodzić.

– Mądrze pani postąpiła, zostając z nami, pani doktor. Ciągle czekałam, aż pani nas opuści, ale zaczynam rozumieć, że nasza praca naprawdę panią interesuje.

– To prawda – przyznała Marina, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że w ogóle nie myśli o wyjeździe.

Wzięła doktor Swenson pod rękę i razem zeszły po schodach, by następnie ruszyć ramię w ramię wąską ścieżką wiodącą przez dżunglę do laboratorium.

W laboratorium Marina pożyczyła kawałek mydła i garnek, a potem poszła nad rzekę, zdjęła sukienkę i przez jakiś czas tkwiła w ciepłej, mętnej wodzie. Za budynkiem laboratorium sklecono skomplikowany, niepraktyczny prysznic, który wymagał taszczenia wody z rzeki i przepuszczania jej przez system filtrujący, ale on nie poradziłby sobie z tym, co miała nadzieję z siebie zmyć. Trzymając głowę nad powierzchnią, otwierając oczy na światło padające na wodę pod ostrym kątem, z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że już nie boi się rzeki. Można by pomyśleć, że będzie odwrotnie. Wyszorowała sukienkę, a potem użyła jej szorstkiego materiału, by wyszorować siebie. Następnie zanurzyła się po raz ostatni i z powrotem wpłynęła w ubranie. Wyszła ociekająca wodą i nadal cuchnąca, choć chyba nie aż tak bardzo. Potem przekonała kobiety z plemienia Lakaszi, aby pozwoliły jej postawić garnek z wodą przy ognisku, a gdy czekała, aż woda się podgrzeje, jakaś kobieta podeszła i usiadła obok niej, żeby rozczesać mokre włosy Mariny palcami i zapleść je w warkocz. Jeśli w plemienu byli mężczyźni, którzy mieli nadzieję, że pewnego dnia odmienią swój los i zostaną botanikami, to wszystkie kobiety zdawały się podzielać marzenie o fryzjerstwie. Opór wobec ich pragnienia pielęgnacji włosów był równie bezskuteczny jak próba powstrzymania małych afrykańskich ptaszków od jeżdżenia na grzbietach krokodyli i wydziobywania z nich insektów i choć na początku Marina się opierała, odsuwając ich ręce od swoich włosów, gdy tylko znowu ich dotykały, w końcu dała za

wygraną. Nauczyła się odprężyć pod ich palcami. Podczas gdy kobieta plotła i ciągnęła, Marina obserwowała rzekę, licząc ryby wyskakujące nad powierzchnię. W sumie naliczyła osiem.

Kiedy włosy zostały zaplecione, a woda wystarczająco się podgrzała, Marina zaniósła garnek na werandę. W końcu się ściemniało, wieczór był uroczy i młody. Nietoperze wylatywały spomiędzy suchych drzew i zataczając kręgi, zapowiadały zmierzch, a Marina zmywała węza z Eastera. Przebudził się tylko na chwilę i mrużąc oczy, spojrzał na nią zaspany, gdy przesuwała ściereczkę wzdłuż jego ramion i między palcami u nóg. Wytarła mu twarz, wyszorowała włosy, a potem bardzo delikatnie wyczyściła brzuch i klatkę piersiową, na których już wykwiłała cała gama fioletów i zieleni. Kiedy skończyła, z wielkim trudem przewrócił się na drugą stronę i pozwolił jej oczyścić resztę. Rozłożyła pod nim świeże prześcieradło tak, jak pielęgniarce widywane kiedyś w szpitalu. Zapomniała, że posiada tę umiejętność: zmienić pościel, w której ktoś leży. No więc był kiedyś kanibalem, nawet jeśli tylko w innym życiu. W świetle wszystkiego, co się wydarzyło, nie warto było o tym wspominać.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czwartego ranka po wyprawie do placówki handlowej Marina zobaczyła, że doktor Budi i doktor Saturn numer dwa idą przez dżunglę. Było bardzo wcześnie, zazwyczaj Marina nie wychodziła o aż tak wczesnej porze, ale coś wpełzło pod moskitierę nad jej łóżkiem i ugryzło ją w łokieć, a ślad po ugryzieniu, który teraz spuchł i zrobił się gorący, uniemożliwił jej ponowne zaśnięcie. Wykorzystała całe słabe poranne światło, jakie było dostępne, aby obejrzeć długotrwały węzowy tatuaż, który pogłębił kolor siniaków Eastera do barwy awokado i rozlał się od pach aż po pachwiny. Upewniwszy się po raz kolejny, że siniaki są jedynie okropne, lecz nie oznaczają żadnej medycznej katastrofy, odsunęła się od śpiącego dziecka i ruszyła na poszukiwanie kawy, którą zaparzyła już pewnie wiecznie pracująca doktor Budi.

Do pełnego światła dnia brakowało jeszcze piętnastu minut, gdy zobaczyła swoje współpracowniczki po drugiej stronie olbrzymiego kopca termitów. Ziemia między nią a nimi drżała od pracowitości. Marina pomachała i zawołała „dzień dobry”, a one gwałtownie przystanęły, patrząc na nią, jakby była ostatnią osobą, którą spodziewały się ujrzeć w Amazonii. Po chwili doktor Saturn pochyliła się, żeby szepnąć coś na ucho doktor Budi, a ta, najwyraźniej przemyślawszy jej słowa, pokiwała głową na znak zgody. Wtedy obie panie doktor podeszły do Mariny, okrążając termity szerokim łukiem.

– Jak się czuje Easter? – zapytała Nancy Saturn.

Marina była wdzięczna Nancy za uratowanie chłopcu życia, za to, że zachowała wystarczająco przytomności umysłu, aby wymówić słowo „nóż”, gdy Marina nadal usiłowała zwyciężyć w zapasach z wężem. To Nancy Saturn wprawiła w ruch ich ocalenie.

– Kiedy wychodziłam, jeszcze spał. Doktor Swenson daje mu na noc połowę ambieny, inaczej ból go budzi.

– Łaska Allaha – powiedziała doktor Budi, kiwając głową.

– Idziemy do drzew – oznajmiła Nancy beztroskim tonem, kładąc rękę na torbie z notesami, którą przewiesiła sobie w poprzek piersi. – Może się pani

przyłączy?

Przed wypadkiem Eastera, o ile wciągnięcie węża na pokład łodzi można nazwać wypadkiem, Marina kilkakrotnie prosiła, żeby ją zabrano do drzew, ale jej prośby spotykały się z niejasnymi wykrętami – panie doktor już tam były albo w tym tygodniu się tam nie chodziło. Szczerze mówiąc, od dnia anakondy Marina nie myślała o drzewach. Zmieniło się jej wyobrażenie o tym, co istotne. W dżungli nie brakowało drzew i widziała ich wiele. Trudno było sobie wyobrazić, że któreś z nich tak znacznie różnią się od pozostałych. Mimo to teraz, gdy padło zaproszenie, przyjęła je z radością, czując, że jej cierpliwość została zauważona i nagrodzona.

Właściwie podzieliła się tym odczuciem ubiegłego wieczoru, gdy pisała do pana Focha, siedząc na podłodze werandy sypialnej i wykorzystując krzesło jako biurko, bo Easter poszedł już spać (od dnia węża jego hamak wisiał pusty, aż w końcu marmozeta zaczęła w nim sobie urządzać popołudniowe drzemki; paskudne stworzonko). „Odkryłam, że teraz, kiedy nie mogę z Tobą nawiązać bezpośredniego kontaktu, zaczynam się stosować do Twoich rad. Powiedziałbyś, żebym czekała i obserwowała. Powiedziałbyś, że ta sytuacja ma w sobie coś więcej niż jedynie to, co mogę zrozumieć natychmiast, i miałbyś rację, tak samo jak miałaś rację, każąc mi tu przypląć i (wiem, że właśnie tego byś chciał) zostać. Spójrz, jaka się zrobiłam spolegliwa od chwili wyjazdu! Ledwie mogę uwierzyć, że o mały włos nie wsiadłam w samolot do domu. Wycierpiałabym Manaus, pozwalając, aby ominęło mnie to, po co przyjechałam”.

Budi, Nancy i Marina usłyszały szelest gałęzi w oddali po zachodniej stronie. Dwie młode kobiety, śmiejąc się i rozmawiając w języku, który dla Mariny nadal był nieprzenikniony, minęły je w pewnej odległości, witając trzy panie doktor obojętnym skinieniem głowy. Od strony rzeki nadchodziła jedna ze starszych kobiet, trzymając za rękę młodą dziewczynę. Trzy kolejne wynurzyły się nagle zza ogromnego uschniętego pnia.

– Można by pomyśleć, że wszystkie korzystają z budzików – powiedziała Nancy, gdy coraz więcej kobiet wychodziło z zarośli i zmierzało w tę samą stronę.

Marina nie sądziła, by kiedykolwiek wcześniej szła tą ścieżką, choć nie miała pewności. Ścieżki otwierały się przed nią, gdy uważnie przyglądała się poszyciu, a potem znikaly, gdy tylko odwracała głowę. Czuła śmiertelny strach na myśl o tym, że mogłaby wejść po jednej z nich w dżunglę, a potem nie być w stanie jej odnaleźć w drodze powrotnej. Gdyby Marina mogła zacząć to wszystko od początku, przyniosłaby

ze sobą całe worki czerwonej przędzy i przywiązywała koniec motka do nogi swojego łóżka przed każdym wkroczeniem w ten labirynt.

– To zegar biologiczny Lakaszich – zażartowała doktor Budi, rozśmieszając Nancy i Marinę. Uśmiechnęła się nieśmiało – rzadko zdarzało jej się powiedzieć coś naprawdę zabawnego.

Marina nieczęsto rozmyślała o zawartości swojego utraconego bagażu, ale i takie chwile się zdarzały, a teraz nastąpiła jedna z nich, bo zamiast gumowych japonek wolałaby mieć na nogach parę prawdziwych butów. Chciała mieć bluzkę z długim rękawem, która osłoniłaby jej ramiona przynajmniej przed mniejszymi kolcami, oraz parę spodni dla ochrony przed rosnącymi tu i tam źdźbłami trawy, które, muskając skórę pod odpowiednim kątem, cięły golenie jak żyłki. Niewielka ilość krwi, która rosła w kroplę, a potem sączyła się z nogi, była reklamą wszystkiego, co Marina miała do zaoferowania. Wydawało jej się, że pokonują bardzo daleką drogę, ale odległości, podobnie jak kierunki, były trudne do oszacowania. Możliwe, że akurat na tej ścieżce (bo przecież szły ścieżką, prawda?) leżało więcej powalonych drzew, przez które trzeba było przelazić, że było tam więcej tajemniczych odpływów stojącej wody zwiastowanych jedynie nagłą gąbczastością pod stopami. Możliwe, że znajdowały się zaledwie dwie albo trzy miejskie przecznice od celu, ale odległość była bez znaczenia, gdy wzięło się pod uwagę przeszkody, które zostały jeszcze do pokonania. Marina przesunęła dłonią po karku, strącając z niego coś z twardym pancerzykiem. Z czasem nauczyła się strzepywać, a nie uderzać z góry, bo uderzenie prowadziło jedynie do wpompowania całej zawartości owada, już bez wątplenia wrytego w skórę jakąś entomologiczną wypustką, wprost do krwiobiegu.

Kobiety z plemienia Lakaszi już śpiewały. Nie, nie śpiewały. Po prostu wiele z nich mówiło jednocześnie, a gdy ich głosy się łączyły, przypominały trochę fragment Tory śpiewany na barmicwie przez grupkę chłopców, którzy nie przeszli jeszcze mutacji.

– Rozumieją panie, co one mówią? – zapytała Marina.

Nancy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Od czasu do czasu wyłapuję jakieś słowo albo tak mi się wydaje. Przez jakiś czas był z nami językoznawca. Studiował u Noama Chomsky'ego. Mówił, że ten język nie jest szczególnie trudny ani nawet interesujący, że wszystkie języki w tym regionie Amazonii mają tę samą podstawę gramatyczną i różnią się tylko słownictwem, co oznacza, że w którymś momencie plemiona musiały być połączone, a potem się

rozdzieliły. Żałowałam, że język Lakaszich nie jest trochę bardziej tajemniczy, bo wtedy językoznawca mógłby z nami zostać. Dał nam kilka tablic fonetycznych pomagających sklecić podstawowe zdania.

– Thomas radzi sobie doskonale – wtrąciła doktor Budi.

Podniosła rękę, a dwie pozostałe kobiety zatrzymały się i czekały, patrząc na ogromną jaszczurkę o krótkich łapach, która powoli przełaziła przez ścieżkę, a luźna skóra zwisała jej z żeber niczym kolczuga.

– Tej nie znam – powiedziała doktor Budi, uważnie się jej przyglądając.

Nancy pochyliła się, żeby spojrzeć na jaszczurkę, jakby gad był człowiekiem, którego prawie skojarzyła. Potem jednak przecząco pokręciła głową.

– Ja też nie.

Od spotkania z jaszczurką minęło kolejne dwadzieścia minut, zanim dotarły na polanę, a przynajmniej do miejsca, w którym mniejsza liczba cieńszych drzew stała w większej odległości od siebie, wszystkie identyczne. Ziemi nie porastała gęsta warstwa poszycia, była tam jedynie cienka powłoczka trawy; żadnych włochatych sznurów pnących duszących drzewa, a jedynie gładkie, proste połacie kory. Promienie słońca z łatwością wpadały między blade owalne liście i uderzały o ziemię szerokimi plamami.

– Pięknie tu – powiedziała Marina, odchylając głowę. Tyle słońca, tyle ładnych listków. – Mój Boże, dlaczego nie osiedlili się tutaj?

– Za daleko od wody – wyjaśniła doktor Budi, spoglądając na zegarek, by zanotować czas.

Na polanie było już tuzin kobiet z plemienia Lakaszi. Marina знаła większość z nich z widzenia, choć nie umiałyby poprawnie odtworzyć szeregu dźwięków tworzących ich imiona. W ciągu kilku następnych minut zjawilo się dwadzieścia parę kolejnych. Zajmowały miejsce przy pniach, które miały maślanożółty kolor i obwód mieszczący się w przedziale od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu centymetrów. Bez żadnego rytuału ani fanfar, bez żadnego widocznego namysłu podchodziły do większych drzew, tych już nadgryzionych, zostawiając młode drzewka w spokoju. Przytulały się do nich jak partner w wolnym tańcu, otwierały usta i natychmiast zaczynały drapać zębami o korę. Tego ranka w dżungli było wyjątkowo spokojnie, więc można je było usłyszeć: ciche dźwięki wzmocnione mnogością kobiet wydających je w tym samym czasie.

Kilka maruderek przyszło i przystanęło, żeby pozdrowić kobiety przy drzewach wokół, a te przerwały gryzienie i zucie na chwilę wystarczająco długą, aby przyjąć



pozdrowienie i odwzajemnić je. Dwie kobiety, które miały sobie sporo do powiedzenia, usiadły po przeciwległych stronach tego samego drzewa i z daleka wyglądały tak, jakby się całowały. Te, które przyniosły swoje dzieci, zostawiły je w grupce pośrodku polany, do której starsze dzieci zaganiały je z powrotem, gdy maleństwa próbowały odpełznąć na bok. Jedna ze starszych kobiet weszła w tę grupkę i podprowadziła dwunasto – lub trzynastoletnią dziewczynkę do drzewa, a wtedy nagle przerwano gryzienie, żeby odsunąć głowy od drzew i popatrzeć. Gdy dziewczyna przechyliła głowę, niepewna, jak się do tego zabrać, kobiety zaczęły cicho pohukiwać i uderzać w pnie rękami, wywołując coś w rodzaju drzewno-ludzkich braw. Cienkie gałęzie zadrżały, potrząsając delikatnymi listkami. Dziewczyna, z włosami rozpuszczonymi i rozczochranymi przez sen, wydawała się zakłopotana tak wielkim zainteresowaniem. Zaczęła kasać korę. Kiedy reszta się upewniła, że wykonuje ten pierwotny akt prawidłowo, kobiety wróciły do pracy. Wszystkie, od panien na wydaniu po staruszki, drapały i żuły bez przyjemności ani niesmaku. Przemieniły dość egzotyczny akt gryzienia drzewa w zwyczajną fabryczną robotę.

– To ważne – powiedziała doktor Budi do Mariny. – Ta dziewczyna właśnie skończyła pierwszy cykl menstruacyjny. Rytuały w plemienu Lakaszi są bardzo krótkie, pozbawione sentymentów. Ma pani szczęście, że już pierwszego dnia zobaczyła pani jeden z nich.

Nancy Saturn przewróciła kilka kartek w notesie.

– Nie wiedziałam, że Mara już miesiączkuje.

Doktor Budi uniosła swój zeszyt.

– Zapisałam to.

Drzew było pod dostatkiem, może z dwieście sztuk rozsianych na dwóch akrach ziemi. Najwyższe wspięło się do osiemnastu, może dwudziestu metrów, wyrastało także mnóstwo nowych. Tam, gdzie niedawno obgryziono korę, zostawało po niej miękkie białe miejsce. To, co potem odrastało, miało niezwykle jasny żółty odcień, a z czasem ciemniało, więc większość drzew na wysokości głów kobiet z plemienia wyglądała jak ozdobiona techniką *decoupage*'u.

W tym miejscu łatwiej się oddychało i tyle było widać! Wszędzie wokół otwarta przestrzeń. Koniec z zastanawianiem się, co może pędzić przez dżunglę z rozdziawioną moką paszczą.

– Nigdy nie przypuszczałam, że będzie aż tyle drzew – powiedziała Marina. – Inaczej to sobie wyobrażałam.

– W zasadzie to jedno drzewo – powiedziała Nancy. Liczyła kobiety i zaznaczała ich obecność w notesie. – Należy do rodzaju *Populus*, jak topole. To bardzo rzadkie zjawisko. Wspólny system korzeni. Drzewo samo się klonuje.

– Jest bardzo delikatne – dodała doktor Budi, kiwając głową w zamyśleniu.

– System korzeniowy zmienia kwasowość gleby w taki sposób, że nie rośnie tutaj nic oprócz tych drzew i odrobiny trawy. Można powiedzieć, że w pewnym sensie drzewo zatruwa zajęty przez siebie obszar, upewniając się, że nie przetrwa na nim nic innego, co zabrałoby z gleby substancje odżywcze albo urosło jeszcze wyżej i zasłoniło słońce.

– Nic oprócz rappów – uściśliła doktor Budi. – One wszędzie radzą sobie doskonale.

Wskazała końcem długopisu kępy grzybów rosnących niedaleko pni drzew. Każdy kapelusz przypominał idealną piłeczkę golfową na wysokiej, smukłej nóżce. Rappy miały nieziemski odcień bladego błękitu. Były tak bliskie świeceniu w świetle dnia, że Marina zapragnęła wrócić w nocy z latarką i zobaczyć je w ciemności. Nie pojmowała, jak mogła je przeoczyć.

– *Psilocybe livoris rappinis* – wyrecytowała Nancy. – Uważane za największe odkrycie mikologii. Nie znaleziono żadnych dowodów na to, by ten ekosystem występował jeszcze w jakimś innym zakątku lasów deszczowych, albo i całego świata. Są tylko te drzewa, na które pani patrzy, i te grzyby. O ile nam wiadomo, to jedyne rappy na świecie. Pani przepustka do duchowego oświecenia.

– Próbowaly ich panie?

Nancy Saturn zamknęła oczy i lekko pokiwała głową, unosząc jeden palec.

– Strasznie mdli – odparła doktor Budi. – Wszystko, co się widzi, jest ciekawe, ale za bardzo mdli.

– Skoro grzyby to rappy, drzewa nazywają się swensony? – zapytała Marina.

W promieniach słońca unosiły się niezliczone lawendowe ćmy wielkości ćwierćdolarówek. Marina nie przypominała sobie, by wcześniej je widziała, choć z drugiej strony trudno byłoby zauważyć tak małą ćmę w codziennej gęstwinie pnączy, które tłamsiły resztę dżungli.

– Drzewa to martiny – wyjaśniła doktor Budi. – *Tabebuia martinii*.

– Tak naprawdę chronimy właśnie rappy – dodała Nancy. – Te wszystkie tajemnice dotyczące naszej pracy i lokalizacji są po to, żeby nikt nie mógł znaleźć rappów. Z naukowego punktu widzenia najbardziej niezwykły potencjał mają

martiny. Mogą się okazać jednym z największych botanicznych odkryć naszej epoki. Ale odkąd doktor Rapp zaczął pisać o rappach, ludzie próbują je odnaleźć. Gdyby świat dowiedział się, gdzie rosną...

Doktor Budi zakryła oczy dłonią i pokręciła głową.

– Właśnie. To miejsce przeżyłoby istny najazd: dilerzy narkotyków, rząd Brazylii, inne plemiona, niemieccy turyści. Nie sposób przewidzieć, kto by się tu dostał jako pierwszy i jaka wojna by przez to wybuchła. Jedno, co wiem na pewno, to to, że Lakaszi zniknęliby z powierzchni ziemi. Rappy to podstawa ich istnienia i choć mają co najmniej sto razy więcej grzybów, niż potrzebują do swoich rytuałów, nie kwapią się do tego, aby je suszyć i magazynować. Rappy rosną tu trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, więc Lakaszi zwyczajnie zakładają, że zawsze będą mogli je znaleźć pod drzewami. Już od trzech lat próbuję uprawiać martiny i rappy, i to nie w Michigan, ale tu, w laboratorium, z fragmentów korzeni, na tej samej glebie, podlewając tą samą wodą. I nic z tego.

– Uda się – powiedziała doktor Budi.

Nancy Saturn pokręciła głową.

– Za wcześnie, żeby móc cokolwiek przewidzieć.

Doktor Saturn i doktor Budi zreflektowały się, że za dużo mówią, a czas na pracę nie trwa wiecznie. Przeprosiły Marinę i zaczęły chodzić od drzewa do drzewa, zadając kobietom pytania, które wymagały użycia czterech lub pięciu słów w języku Lakaszich. Nancy wyjęła z torby ciśnieniomierz i zmierzyła Marze ciśnienie krwi. Marina skorzystała z okazji, aby przyjrzeć się drzewom: przed każdym z nich wbito małą plastikową plakietkę opatrzoną numerem i datą. Marina przesunęła dłonią po okaleczonej korze, powąchała drewno. Gdyby zobaczyła takie drzewa nad jeziorem w Minnesocie, nie zwróciłaby na nie uwagi, choć może spojrzalaby po raz drugi, tylko dlatego, że nie pamiętała, aby kiedykolwiek widziała tak żółtą korę. Patrząc na małą kępkę u swoich stóp, pomyślała, że z pewnością zauważyłaby rappy. Przypominały zbitkę egzotycznych morskich stworzeń, które pokonały tysiące kilometrów w głąb lądu. Jak, na Boga, doktor Rapp zdołał znaleźć to miejsce? Skąd wiedział, że należy spojrzeć dalej niż tylko na wymachujące pochodniami plemię na brzegu i wejść półtora kilometra w dżunglę? Marina przecięła ścieżkę między drzewami. Jak przyjemnie było spacerować! Jak przyjemnie było zrobić duży krok i móc zobaczyć, gdzie wyląduje stopa. Podniosła rękę i przeciągnęła się. Kobiety po kolei odsuwały się od drzew i zaczynały wydłubywać paznokciami odłamki kory, które utkwily im w

zębach. Doktor Budi wybrała z tłumu garstkę kobiet, przemyśla ich palce wacikami nasączonymi alkoholem, a potem wykonała nakłucia, żeby pobrać próbki krwi do małych pipetek. Po zrobieniu notatek ostrożnie włożyła fiołki do metalowej skrzyneczki. Na drugim końcu polany doktor Saturn uczestniczyła w interakcji wymagającej od kobiet Lakaszich większego poświęcenia: podała trzem z nich długie bawełniane patyczki i czekała, aż sięgną nimi pod sukienki, wykonają mały ruch nadgarstka i oddadzą. Potem doktor Saturn pocierała patyczkami o szkiełka i przyciskała je do papierka lakmusowego.

– Co pani robi, na miłość boską? – zapytała Marina.

– Sprawdzam poziom estrogenu w wydzielinie z szyjki macicy. – Noszenie skrzynki doktor Saturn było wymagającym zadaniem, więc pani doktor usiadła na ziemi, żeby opisać próbki, do której włożyła patyczki. – Szkiełka są do ferningu.

– Nikt już nie robi ferningu – powiedziała Marina.

Był to dość tajemniczy proces obserwowania, jak estrogen rozrasta się na szkiełkach w skomplikowane paprotkowe wzory. Nie ma paprotek, nie ma płodności.

Doktor Saturn wzruszyła ramionami.

– W wypadku Lakaszich to bardzo skuteczne. Ich poziomy estrogenu są dość wrażliwe na spożycie kory.

– Ale jak pani zdołała je namówić do... – Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. Do autowymazu?

– Procedura została zastosowana, jeszcze zanim się tu zjawiłam – wyjaśniła. – To zasługa geniuszu doktor Swenson. Nie mam pojęcia, jak bardzo musiały się jej bać, że się na to zgodziły. Dzisiaj najwyraźniej nie przychodzi im do głowy, że to naruszenie prywatności.

Trzecia kobieta z plemienia Lakaszi podała jej patyczek bez żadnych ceregieli, a Nancy wzięła go, dziękując skinieniem głowy.

Zrobiwszy to, o co je poproszono, kobiety z plemienia odeszły dwójkami, trójkami i czwórkami, nie oglądając się na drzewa i nie zwracając uwagi na naukowców. Wzięły na ręce te dzieci, które były zbyt małe, żeby iść, a pozostałym pozwoliły wlec się z tyłu na miarę ich możliwości. Rytuał dobiegł końca.

– Przychodzą tu codziennie?

Marina patrzyła, jak cała grupa wycofuje się w gęste zarośla, jakby gdzieś rozległ się szkolny dzwonek. Kobiety odeszły, nie oglądając się ani na panie doktor, ani na drzewa. Ich robota dobiegła końca.

– Żują korę co pięć dni, ale nie wszystkie kobiety z plemienia przychodzą jednocześnie. Ich wizyty są regularne. Nie mamy pojęcia, skąd wiedzą, że upłynęło pięć dni, bo nie posługują się żadnym oczywistym systemem odmierzenia czasu. Mogę jedynie podejrzewać, że na tym etapie to już potrzeba biologiczna. Nie przychodzą w czasie ciąży. Od chwili poczęcia kora działa na nie wręcz odpychająco. Doktor Swenson to potwierdza. Dlatego ciążę wydają się tu wyjątkowo długie. Obserwowałyśmy takie, które trwały pełne trzydzieści dziewięć tygodni. Poza tym kobiety nie przychodzą w czasie menstruacji, ale na szczęście ich cykle w zasadzie się pokrywają, więc co miesiąc mamy trochę wolnego.

– Pokrywają się?

Nancy potakująco pokiwała głową.

– Dostosowanie się zajmuje młodym dziewczętom trochę czasu, a po porodzie nigdy nie ma idealnej regularności, ale poza tym tak, miesiączkują jednocześnie.

Doktor Budi podeszła do drzewa obok i poszukała miejsca, gdzie kora była najciemniejsza i sucha, a następnie pochyliła się i ugryzła, wydając taki sam odgłos drapania.

– Spróbuje pani? – zapytała, odwracając się do Mariny.

– Powinam zmierzyć pani ciśnienie – powiedziała Nancy, znowu wyjmując ciśnieniomierz. – Doktor Budi, proszę zmierzyć temperaturę.

– Po co miałabym to robić? – zdziwiła się Marina.

– Potrzebujemy osób do badań. Ludzi spoza plemienia. My to robimy.

– Ale ja nie zamierzam zająć się w ciążę.

Nancy zapięła rękaw ciśnieniomierza na rzep wokół ramienia Mariny i zaczęła pompować. Doktor Budi wyjęła płaski plastikowy termometr i Marina, niczego już nie rozumiejąc, otworzyła usta.

– Pod tym względem nie jest pani odosobniona – pocieszyła ją doktor Budi.

– Proszę mi wierzyć, można panią przebadać pod najróżniejszymi kątami. Nie musi pani zachodzić w ciążę.

– Thomas pani wyjaśni – dodała doktor Budi.

Z zarośli za martinami jak na komendę wynurzył się doktor Nkomo. Podeszedł do nich.

– Widzę, że jestem wystarczająco spóźniony – powiedział, witając się z trzema kobietami skinieniem głowy.

– Kobiety i mężczyźni nie przychodzą na polanę o tej samej porze –

wy tłumaczyła Nancy Marinie. – Kobiety żują korę, a mężczyźni zbierają rappy.

– Podział obowiązków – wtrąciła doktor Budi.

Nancy zdjęła rękaw ciśnieniomierza i przycisnęła dwa palce do nadgarstka Mariny, żeby zmierzyć tętno.

– Pierwszy raz, tak? – zainteresował się Thomas.

Marina potwierdziła skinieniem głowy, ściskając w ustach termometr.

– Aha, bardzo dobrze. Proszę tylko pamiętać, żeby odsunąć język. Inaczej wbiją się pani drzazgi.

– Choć jesteśmy geniuszami, jeśli chodzi o ich wyjmowanie – zapewniła Nancy.

– Tętno sześćdziesiąt cztery. Dobra robota, pani doktor.

Thomas zbliżył usta do drzewa, przed którym stał, wysoko nad opaską obgryzionej kory, i zaczął pocierać pień zębami. Marina wyjęła termometr z ust.

– Zaraz, zaraz – powiedziała.

– Martiny pełnią różne funkcje – wyjaśniła Nancy. – Doktor Rapp przez lata uważał, że część halucynogennych właściwości grzybów bierze się z systemu korzeniowego drzewa, że w jakiś sposób jest z nich wypłukiwana, więc zakładał, że żując korę, kobiety w zasadzie serwują sobie małego kopa. Dopiero Annick powiązała drzewa z wydłużoną płodnością. Najwidoczniej doktor Rapp nie zauważył, że te wszystkie kobiety ciągle zachodzą w ciążę.

– Mimo to doktor Swenson przypisuje to odkrycie właśnie jemu – wtrąciła doktor Budi, nie w ramach sprostowania, lecz po prostu jako stwierdzenie faktu.

– Jeśli spojrzeć na ich zapiski z tamtego okresu, sprawa wydaje się zupełnie jasna. – Thomas wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią kąciki ust.

– Doktor Swenson skojarzyła martiny z malarią dopiero w 1990 – ciągnęła Nancy. – I to było bez wątplenia jej odkrycie. W latach dziewięćdziesiątych doktor Rapp już prawie się nie udzielał.

– Ale ona i tak przypisuje to odkrycie jemu – powiedziała doktor Budi. – Twierdzi, że wspominał o tym już wcześniej.

Thomas Nkomo pokręcił głową nad smutnym losem kobiety, która tak obojętnie przypisuje swoje osiągnięcia mężczyźnie.

– To największe odkrycie związane z plemieniem Lakaszi. Nie rappy, nie płodność, ale właśnie malaria.

– Nie rozumiem – powiedziała Marina i rzeczywiście nic z tego nie rozumiała.

– Kobiety z tego plemienia nie chorują na malarię – wyjaśniła doktor Budi. –

Są uodpornione.

– Nie ma szczepionki przeciwko malarii – powiedziała Marina.

Pozostali tylko się do niej uśmiechnęli. Thomas znowu wgrzył się w drzewo.

Nancy Saturn wskazała małą fioletową ćmę odpoczywającą na białej wewnętrznej stronie kory. Dokładnie w miejscu, które przed chwilą obgryzała doktor Budi. Na otaczającej je korze nadal leciutko połyskiwała jej ślina.

– Martiny mają miękką korę. Gdy raz pęknie, Lakaszi bez problemu przedostają się do wewnętrznej strony, a potem aż do kambium z żywymi komórkami. Tak powstaje otwór, który pani widzi, coś w rodzaju rany drzewa, i właśnie do niego wlatuje ta ćma, fioletowa martinetka.

– Nie mówi pani poważnie – powiedziała Marina, pochylając się, żeby lepiej widzieć. – Czy jest tu coś, czego nie nazwał własnym imieniem?

– Plemię Lakaszi nie zostało odkryte przez Martina Rappa. Gdyby tak było, z pewnością pracowalibyśmy teraz w Rapptown. – Nancy wsunęła palec pod ćmę, która podobnie jak ludzie z plemienia Lakaszi wydawała się odporna na naruszanie jej prywatności. – *Agruis purpurea martinet*. Zbiera płyn z mięszu martina, nie soki, które znajdują się głębiej. Owad żyje dzięki wilgoci samego drewna. Trawi i wydala niemal równocześnie, przetwarzając białka z mięszu. Raz w roku składa jaja.

– W korze? – zapytała Marina.

Ukazując dwie jaskrawożółte kropki podobne do oczu, po jednej na każdej stronie, ćma rozpostarła skrzydełka, a potem zwinęła je z powrotem. Motyl odpoczywa z otwartymi skrzydełkami, a ćma z zamkniętymi – Marina przeczytała gdzieś o tym wiele lat temu.

Nancy potaknęła.

– Wygląda na to, że fioletowa martinetka żyje wyłącznie tutaj, tak jak martiny i rappy. Od czasu do czasu spotka pani jedną z nich w obozie. Docierają nawet nad rzekę, ale nikt nigdy nie widział, żeby żerowały poza tym obszarem. Klucz do płodności tkwi w połączeniu martina z fioletową martinetką, choć nie oddzielaliśmy ekskrementów ćmy od białek kokonu. Wiemy jednak, że to działa.

Doktor Budi przemyśla swój palec nasączonym wacikiem, a potem nakłuła skórę.

– A co z próbkami krwi? – zapytała Marina. – Czy naprawdę można oznaczyć poziom hormonów w tak małej ilości krwi?

– Nanotechnologia – wyjaśniła Budi. – Nowy wspaniały świat.

Marina pokiwała głową.

– Wyizolowaliśmy molekuly ulegające metabolizmowi w korze drzewa – ciągnęła Budi – ale nadal mierzymy wpływ śliny Lakaszich, ich soków trawiennych, osocza. Nie wiemy, jaka kombinacja czynników chroni kobiety przed malarią.

Marina zapytała, czy mężczyźni z plemienia są podatni na malarię, a wtedy Thomas twierdząco pokiwał głową.

– Gdy kobiety kończą karmić piersią, potomstwo płci męskiej jest równie podatne na malarię jak przedstawiciele innych podobnych plemion, tak samo jak potomstwo płci żeńskiej między wiekiem, gdy kończy być karmione piersią, a wiekiem, w którym samo zaczyna miesiączkować i żuć korę.

– Więc tak naprawdę nie są uodpornieni. Drzewo i éma działają zapobiegawczo, jak chinina.

Doktor Budi przecząco pokręciła głową.

– Zapobiegawczo podczas karmienia piersią, uodporniająco podczas żucia kory. Pytanie, dlaczego z czasem całe plemię nie zaczęło jeść kory od najmłodszych lat. Choć biorąc pod uwagę liczbę dzieci umierających na malarię, gdyby wszystkie miały dożyć dorosłości, populacja Lakaszich rozrosłaby się do potwornych rozmiarów.

– Ale skąd to wiadomo? – dociekała Marina. Od tego wszystkiego huczało jej w głowie. Czyżby namówili jakichś mężczyzn do jedzenia kory? W jaki sposób badali dzieci? – Udało się państwu odwieść część kobiet od jedzenia kory?

Znowu spojrzała na drzewa. Teraz, wysoko na tle sklepienia nieba, zauważyła pęki różowych kwiatów zwisających ciężko jak winogrona.

– Zdarzyło się kilka przypadków kobiet niezdolnych do poczęcia, które po jakimś czasie przestały przychodzić do martinów – powiedziała Nancy. – Ale ponieważ już wcześniej jadły korę, też były uodpornione.

– Przeważnie eksperymentujemy na sobie – dodał Thomas.

– W jaki sposób?

Doktor Budi spojrzała na Marinę i zamruwała.

– Moskity.

– Więc właściwie nad jakim lekiem państwo pracują?

Fioletowa martinetka przemknęła obok Mariny i wylądowała z przodu na jej sukience, a potem dwa razy otworzyła i zamknęła swoje fioletowe skrzydełka, i znowu odfrunęła.

– Te dziedziny bardzo się pokrywają – wyjaśnił Thomas. – Badając jedną,



poznamy drugą. Nie sposób ich rozdzielić.

Nancy Saturn była botanikiem. Mogła grać w obu drużynach. Ale doktor Budi, Thomas i Alan Saturn zdawali się stać po stronie malarii.

– Tylko doktor Swenson pracuje nad lekiem na płodność?

– To bez wątpienia jej najważniejsze przedsięwzięcie – przyznał Thomas. – Ale uważamy, że odpowiedź na jedno pytanie jest także odpowiedzią na pozostałe.

– Trudno to wszystko ogarnąć – powiedziała Nancy. – Rozumiemy to. Ale niech pani da korze szansę, zobaczy, co z tego wyjdzie. Prawdopodobnie nie zostanie tu pani wystarczająco długo, żeby uczestniczyć w badaniach, ale powinna pani przynajmniej spróbować. Liczba osób spoza plemienia Lakaszi, które miały okazję żuć korę martinów, jest bardzo mała.

– To zaszczyt – wtrąciła doktor Budi, pochylając się, aby jeszcze raz wgrzyźć się w korę.

Co powiedział jej Anders? „Udawajmy przez chwilę, że jesteś farmakologiem klinicznym pracującym dla dużego koncernu farmaceutycznego, który tworzy nowe leki. Wyobraź sobie, że ktoś proponuje ci odpowiednik *Zaginionego horyzontu* dla amerykańskich jajników”. Marina zamknęła oczy, odsunęła język i otworzyła usta. Nie było to takie naturalne, jak się wydawało. Bardziej przypominało dojenie krowy: łatwe, pod warunkiem że robi to ktoś inny. Sekret zdawał się tkwić w nachyleniu głowy pod odpowiednim kątem, w niewgryzaniu się w drzewo siekaczami. Tak naprawdę kora była niemal miękka, podatna. Dawała odrobinę zawiesistego płynu, który smakował koprem i rozmarynem oraz miał lekko pieprzową nutę, która, jak Marina mogła jedynie podejrzewać, miała jakiś związek z odchodami purpurowej martinetki. Nie była taka zła – nie mogła być zła, bo przecież całe pokolenia kobiet z plemienia Lakaszi i garstka naukowców nie wytrwałyby w żuciu drzewa o paskudnym smaku. Jak pierwsza kobieta wpadła na to, żeby przegryźć korę, i dlaczego pierwsza ćma, która wcześniej musiała się żywić czymś innym, pofrunęła w ślad za nią? Marina nacisnęła trochę mocniej i poczuła ostre ukłucie w górnym dziąśle, ale wcale się nie zniechęciła. Nie miała siedemdziesięciu trzech lat. Nie była aż taka stara i wiele kobiet w jej wieku rodziło dzieci, choć przecież nie posunęły się do żucia kory. Miała ambiwalentne uczucia co do swoich zdolności reprodukcyjnych, ale za to żadnych wątpiwości co do naukowej wartości eksperymentu. Teraz chciałaby mieć telefon satelitarny. Od razu zadzwoniłaby do pana Foxa i powiedziała mu o tej możliwości.

Doktor Budi poklepała ją po ramieniu.

– Na razie wystarczy – powiedziała. – Na początku nadmiar podrażnia jelita.

Nancy podała jej świeży bawełniany patyczek z próbówki.

– Na później – zaznaczyła. – Może to pani zostawić na moim biurku.

Marina dotknęła ust palcami i pokiwała głową.

– Anders też tu przychodził? Próbował tego?

Pozostała trójka wymieniła spojrzenia w bardzo ulotnej chwili skrępowania.

– Interesował się naszą pracą – zaczął Thomas. – Od samego początku. Towarzyszył nam tu tak długo, jak mógł.

– Chcę zobaczyć, gdzie został pochowany – oświadczyła Marina, mając nadzieję, że tu, na polanie martinów.

Wcześniej nie pytała, bo nie była pewna, czy zdoła znieść ten widok, czy zdoła spojrzeć na odrost na niepoświęconej ziemi, wiedząc, że Anders na zawsze spoczął pod jej ciężarem. Byłoby jednak łatwiej zapamiętać go w pięknym miejscu. Mogłaby je opisać Karen. Mogłaby opisać tę otwartą przestrzeń. Nawet jeśli nie spoczywał tutaj, zamierzała jej powiedzieć, że tak.

– Hmm – odezwała się Nancy Saturn, przyciskając czubek tenisówki do korzenia martina.

– Nie wiemy – oznajmił Thomas.

– A kto wie? Doktor Swenson, prawda?

Po chwili milczenia głos zabrała doktor Budi. Nie była osobą, która zostawia trudne zadania innym.

– U Lakaszich grzebanie zmarłych odbywa się zgodnie z rytuałem. Zabierają ciało, zabierają rappy. To dla nich prywatna ceremonia.

– Ale on nie był jednym z nich – zauważyła Marina. Zobaczyła go rozłożonego w prowizorycznej trumnie, niesionego w gąszcz drzew, których nienawidził, martwego Guliwera wleczonego przez Liliputów. – To różnica. To ogromna różnica. – Powiedziała to, doskonale wiedząc, że nie ma absolutnie żadnej różnicy. Anders był martwy i tylko to się liczyło.

– Bardzo go lubili – zapewnił Thomas, klepiąc ją po ramieniu. – Na pewno dobrze o niego zadbali.

– W tamtym tygodniu mocno padało – dodała doktor Budi. – Było bardzo gorąco. Lakaszi nie chcieli go pochować tam, gdzie prosiliśmy, a nie mogliśmy tego zrobić sami.

– Więc postawiliście państwo na nim krzyżyk. – Oczyma duszy wyraźnie

ujrzała Karen osuwającą się na podłogę w kuchni i obejmującą psa. Karen czuła to wyraźnie nawet wtedy, choć jeszcze nie widziała tego miejsca. – Doktor Swenson napisała tylko tyle, że pochowano go zgodnie z jego chrześcijańską tradycją. Nawet nie wiem, czy miał jakieś chrześcijańskie tradycje, ale wątpię, żeby zamierzał zostać pochowany w dżungli przez grupę ludzi jedzących grzyby.

– Napisała to, żeby panią pocieszyć – zapewniła doktor Budi.

– Wracajmy – powiedziała Nancy, obejmując Marinę ramieniem.

Strata nie ma żadnego konkretnego sensu. Takie rzeczy zdarzają się bez końca na tysiąc małych sposobów i jedyną prawidłowością, jaką można w tym zauważyć, jest to, że nie sposób do nich przywyknąć. Karen Eckman chciała, żeby Marina poleciała do Brazylii dowiedzieć się, co spotkało jej męża, ale teraz, gdy Marina już tu była, zrozumiała, co doktor Swenson miała na myśli w restauracji tamtego wieczoru po operze: to mogło być cokolwiek, dowolny rodzaj gorączki, dowolne ugryzienie. Śmierć Andersa nie była niczym niezwykłym; niezwykle było to, że reszcie z nich nadal udawało się żyć w miejscu, do którego byli tak zasadniczo nieprzystosowani. Karen chciała uwierzyć, że wiedza o tym, na co umarł Anders i gdzie został pochowany, coś zmieni, ale ta wiedza nie mogła niczego zmienić i nie zmieniła. W końcu Marina będzie musiała znaleźć sposób, żeby jej to powiedzieć.

Marina wróciła na werandę sypialną, czując w ustach smak martina, i odkryła, że Easter już się obudził i wyszedł. Zajrzała pod prześcieradło, żeby zobaczyć, czy nie ma tam listu od Andersa, ale niczego nie znalazła. Easter bez wątpienia chwalił się siniakami przed innymi dziećmi. Już widziała, jak układał dwa patyki w błocie, jeden bardzo daleko od drugiego, by pokazać, jaki długi był wąż. Zastanawiała się, w którym momencie życia stracił słuch i czy wie o języku wystarczająco dużo, aby odczuć jego brak, gdy trzeba opowiedzieć tak wspaniałą historię. Byłaby zachwycona, mogąc się dowiedzieć, jak wąż zapisał się w jego pamięci, czy wspominał go jako coś przerażającego, czy jako wielką przygodę, a może wcale o nim nie myślał, kojarząc go jedynie ze źródłem tępego bólu w piersi. Marina musiała przyznać, że naprawdę nie wie, co Easter myśli o czymkolwiek. Po spotkaniu z wężem jego koszmary ustąpiły, nie krzyczał już przez sen, choć mogła to być zasługa ambieny albo całonocnej wygody jej łóżka. A może gdy anakonda omal nie zadusiła go na śmierć, nie pozostało już nic, czego mógłby się bać.

Marina usłyszała, że na zewnątrz woła ją doktor Swenson, więc podeszła do barierki na werandzie i wychyliła się.

– Zniknęła pani na pół poranka, pani doktor – powiedziała Annick Swenson.

Był z nią mężczyzna z plemienia ubrany w szorty i szarą przepoconą koszulkę. Mężczyźni wkładali koszulki, kiedy się stroili. Ktoś, kto wczesnym rankiem wybierał się na audiencję u doktor Swenson, z pewnością by się o taką wystarał. Mężczyzna trzymał oburącz małą torbę z czerwonego płótna. Patrząc na tych dwoje z tej perspektywy, z góry, z odległości trzech, trzech i pół metra, Marina nie pojmowała, jak mogła przeoczyć ciężę doktor Swenson. Starsza kobieta była jednym wielkim brzuchem.

– Mieliśmy dużo do omówienia – odparła Marina ze zdecydowanym zamiarem porozmawiania o tym wszystkim także z doktor Swenson: o pochówku Andersa i o tym, kto finansuje badania nad szczepionką przeciwko malarii.

Ale mężczyzna stojący obok doktor Swenson nerwowo przestępował z nogi na nogę, wykręcając w dłoniach paski torby, przez co trudno było się skupić na czymś innym niż on. Krzywił się, jakby bezskutecznie próbował zataić to, że oblaży go mrówki.

– I nadal mamy, pani doktor. To nie będzie krótki spacer. Jest mnóstwo czasu, żeby nadrobić zaległości, ale teraz powinna pani pójść ze mną.

– Co się stało?

Bo najwidoczniej coś się stało. Mężczyzna jęczał. Słyszała teraz jego głos ponad wrzawą owadów, choć zdawał się podejmować świadomy wysiłek, żeby być cicho, podobnie jak robił, co mógł, widziała to wyraźnie, aby stać spokojnie mimo wszystkich swoich ruchów. Nie chodziło jedynie o to, że doktor Swenson przekonała Lakaszich, aby poddali się jej badaniom. Bali się jej tak samo jak każda grupa stażystów z pierwszego roku. Wielkim osiągnięciem mężczyzny w szarej koszulce było to, że nie krzyczał.

– Spodoba się pani – zapewniła doktor Swenson i odwróciła się ku ścieżce, którą mieli pójść. – To coś w sam raz dla pani.

Marina wyszła z pomieszczenia i zeszła po schodach. Doktor Swenson nie czekała na nią i mówiła dalej.

– Wiem, jak bardzo paliła się pani do praktykowania tu medycyny. Chyba znaleźliśmy dla pani okazję.

Choć doktor Swenson była w szóstym albo siódmym miesiącu ciąży, Marina musiała przyspieszyć kroku, żeby za nią nadażyć. Mężczyzna nadawał tempo, a tempo było szybkie. Marina uważnie patrzyła na ziemię. Gnębił ją szczególny strach przed

złamaniem nogi w kostce.

– Wcale tak nie mówiłam.

Doktor Swenson zatrzymała się i odwróciła do Mariny. Na twarzy mężczyzny odmalowało się przerażenie. Powinni byli bezwzględnie kontynuować ruch naprzód. Uniósł torbę, na wypadek gdyby o niej zapomniała, i rozpoczął pospieszny monolog w języku Lakaszich, lecz doktor Swenson uniosła dłoń.

– Owszem, mówiła pani. Na łodzi, prawda? Rozmawialiśmy o dziewczynce z maczetą w głowie.

– Prawda – potwierdziła Marina, zdumiona tym, jak wzbierająca w niej panika przyćmiewa wszystkie gnębiące ją pytania: dlaczego oddała im pani Andersa i dlaczego skłamała pani w liście. Było coś jeszcze, ale nie mogła sobie przypomnieć. – Uważałam, że powinna pani pomagać w razie problemów, które tu występują.

– Które występują dla mnie jako lekarki albo dla pani jako lekarki. Tak czy siak, wymachiwała pani przysięgą Hipokratesa nad naszymi głowami niczym flagą, więc teraz będzie pani miała okazję popławić się w jej chwale.

– Jestem farmakolożką.

Ku ogromnej uldze mężczyzny doktor Swenson znowu ruszyła w drogę. Słońce wisiało wysoko, było jasne i bardzo gorące.

– Tak, no cóż. Ja nie jestem w stanie uklęknąć, a w tej wiosce wszystko odbywa się na podłodze. I jeśli zamierza mi pani powiedzieć, że powinni byli przynieść tę kobietę do laboratorium, zapewniam, że już to zasugerowałam. Ale ona nie jest w stanie zejść po drabinie. Choć jestem przeciwna zmienianiu swojego gabinetu w przychodnię, wizyty domowe budzą we mnie znacznie większy sprzeciw.

– Co się dzieje z jego żoną?

Doktor Swenson minęła wyschnięty pień pokryty jaskrawoczerwonymi motylami, które spłoszone wywołanym przez nią powiewem wzbiły się w powietrze, tworząc jaskrawoczerwony obłok.

– Ma to coś wspólnego z porodem. Gdyby kiedykolwiek chciała się pani zakładać o naturę lokalnych tragedii, nigdy pani nie straci, stawiając właśnie na to. Przeważnie radzą sobie zadziwiająco dobrze, ale sama skala tutejszej reprodukcji prowadzi do pewnej liczby błędów.

– Wie pani, jaki błąd wystąpił tym razem? – Marina szła coraz szybciej, choć każda komórka jej ciała mówiła, że powinna się zatrzymać.

Doktor Swenson przecząco pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież mówiła pani, że nie chce ingerować. – Nagle ingerencja w potrzeby medyczne autochtonów wydała się Marinie najgorszym z możliwych pomysłów. Dostrzegła zaletę pozostawienia ich w spokoju, obserwowania bez narzucania się. – Wyraźnie pani powiedziała, że jest tu ktoś, kto...

– Lokalny szaman, zgadza się. Znowu nasiliła się jego malaria. Dostał takiej gorączki, że poproszono, abyśmy później zajrzały także do niego. Z pewnością ucieszy panią to, że jest tu także położna, która obecnie sama rodzi. Asystuje jej dziewczyna szkoląca się na położną, jej córka. Poczuj się znacznie pewniej, jeśli tam wpadniemy.

– Skąd pani o tym wie? To niemożliwe.

– Wszystkie wieści zbiera Benoit, który przynosi je doktor Nancy Saturn. Obydwoje dukają po portugalsku. Szczerze mówiąc, ten łańcuch komunikacji jest tak słaby, że po przybyciu to wszystko może się okazać nieprawdą. Lepiej mi idzie dogadywanie się z Easterem niż z większością członków tego plemienia.

W dżungli minęli domki na palach należące do kilku rodzin, które wychyliły się za barierki i machały. Ogromna zwalona gałąź przez chwilę tarasowała ścieżkę, ale ich zwiadowca odciągnął ją na bok, zanim zdążyły zacząć się zastanawiać, jak zdołają przez nią przeleźć. Marina zaczęła jeszcze raz:

– Pani doktor, musi mnie pani wysłuchać. Nie jestem odpowiednią osobą do tego zadania. Są tu inni specjaliści i gwarantuję pani, że każdy z nich ma lepsze kwalifikacje niż ja.

– Mamy poprosić o pomoc botanika? – zapytała doktor Swenson surowym tonem. – A może kogoś z pozostałej trójki? Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu wychylili nos poza laboratorium. Zapomina pani, że pracuję z tymi „specjalistami” już od kilku lat. Mają prawdziwy talent do hodowli moskitów, ale poza tym niczym nie wzbudzili mojego uznania. Może i jest pani farmakolożką, pani doktor, ale przedtem była pani moją studentką. Wie pani, jak to się robi, a jeśli nie, będę obok i pani przypomnę. Nie jestem już w stanie uklęknąć. Moje nogi na to nie pozwolą. Nie zadam sobie trudu, aby dodać, że może pani teraz zawrócić i zostawić tę kobietę na łasce losu, bo byłaby to strata mojego i pani czasu. Zrobi to pani, bez względu na to, co pani o tym myśli. Na tyle zdążyłam już panią poznać.

Marina poczuła nagły ciężar w stopach i spojrzała na nie, pewna, że na coś nadepnęła.

– Niech się pani rozchmurzy, pani doktor. Ma pani szansę zrobić dla świata coś

dobrego.

Głowa Mariny była mokra od potu, który spływał po bokach jej twarzy i po karku. Przeglądała notatki w swoim umyśle i odkrywała, że brakuje całych stron. Oczywiście istniała szansa, że wszystko jest w porządku, że po przyjściu nie zastaną żadnego problemu oprócz długiego porodu i zdenerwowanego męża. Jeśli chodziło jedynie o przyjęcie porodu, gdy wszyscy pozostali są niedysponowani, to cóż, mogła się tego podjąć. Każdy mógł. Miała jedynie nadzieję, że nie będzie to wymagało żadnego cięcia. Gdzie dokładnie jest pęcherz? Gdy odchodziła z położnictwa po swojej ostatniej cesarce, nawet na chwilę nie przyszło jej do głowy, że kiedyś będzie jeszcze mogła potrzebować tej umiejętności. Po co miałyby być na bieżąco, brać udział w konferencjach, czytać artykuły? Nie podeszła nawet do egzaminu z położnictwa. Do porodu naturalnego można wezwać każdego strażaka albo taksówkarza, ale nikt nie wymaga cięcia od osób niewykwalifikowanych. Jakimś cudem ta myśl ją uspokoiła i na chwilę ukazał jej się przyjemny obrazek, na którym dziecko z łatwością wyslizgiwało się do jej rąk, a mentorka tylko patrzyła. Nie było powodu zakładać, że stanie się inaczej.

– Bardzo pani milcząca – zauważyła doktor Swenson. – Myślałam, że po drodze będzie pani miała mnóstwo do powiedzenia. Dziś rano całe laboratorium nie mogło się doczekać, żeby omówić pani odczucia.

– Usiłuję sobie przypomnieć, jak się przyjmuje poród – powiedziała Marina.

– Mózg to magazyn. Wkładamy tam doświadczenie, a ono na nas czeka. Niech się pani nie martwi. W odpowiedniej chwili wszystko się odnajdzie.

Po tych niemal pokrzepiających słowach dotarli do celu. Gdyby Łakazi mieszkali w mieście, ta konkretna chata znajdowałaby się na skraju najdalszych przedmieść. Zbudowano ją dla tubylców pragnących prywatności, pragnących widoku na rzekę bez widoku na sąsiadów. Poznały, że to ten dom, bo ze środka wydobył się żaloszny, słaby krzyk. Mężczyzna z torbą w podskokach wbiegł po drabinie i zniknął.

Doktor Swenson spojrzała w ślad za nim, oceniając warunki logistyczne.

– Na myśl o ukończeniu tego projektu i powrocie do Stanów przed oczami staje mi klatka schodowa. Podejrzewam, że gdybym snuła ambitniejsze marzenia na jawie, pomyślałabym o windach i ruchomych schodach, ale nie myślę. Pragnę jedynie ładnych schodów z poręczą. Biorę panią na świadka, pani doktor. Jeśli wyjadę z tego kraju żywa, nigdy więcej nie wejdę po drabinie.

W ustach siedemdziesięcioletniczki trudno to było uznać za szokującą

zapowiedź. Marina oceniła długość rąk i nóg doktor Swenson w zestawieniu z jej obwodem w pasie. Raczej nie było szans.

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

– Nie, chyba że przytroczy mnie pani sobie do pleców. Myślę, że mogłabym wejść na górę, ale martwi mnie zejście. Nie chcę tam utknąć i też zostać zmuszona do urodzenia w tej chacie.

– Oczywiście – powiedziała Marina, choć myśl o samotnym wejściu na górę wywołała w niej pewien opór.

Doktor Swenson pomasowała skronie.

– Co wiemy na pewno, pani doktor? Jestem siedemdziesięcioletnią kobietą, ciężarną i niską. Ale kobiety starsze, niższe i w bardziej zaawansowanej ciąży niż ja wchodzą po tej drabinie dzień w dzień, nawet tuż przed porodem.

Mężczyzna w koszulce wychylił się przez otwór w podłodze i spojrzał na nie wyczekująco.

– *Vir! Vir!* – powiedział.

– O, dobrze – ucieszyła się doktor Swenson. – Zna trochę portugalskiego. Mówi, żebyśmy weszły. – Jeszcze raz spojrzała w górę. – I chyba powinnyśmy.

– Wiemy też, że żadna z tych kobiet nie rodziła pierwszego dziecka w wieku siedemdziesięciu trzech lat – zauważyła Marina. – Mają za sobą całe życie doświadczeń w zakresie wchodzenia po drabinach, w ciąży lub nie. Przywykły do tego.

Doktor Swenson odwróciła się do niej i pokiwała głową na znak zgody.

– Dobrze to pani ujęła, podziwiam pani chęć wytaczania argumentów sprzecznych z pani interesem. A teraz proszę stanąć krok za mną i przygotować się do roli wołu. Jest pani bardzo silna, prawda?

– Bardzo – potwierdziła Marina.

I zaczęły wchodzić na górę. Marina wyciągnęła swoje długie ręce, otaczając nimi profesorkę, oparła dłonie tuż pod dłońmi doktor Swenson, ustawiła swoje silne uda pod jej udami i tak ruszyły ku żalosnym jękom i mężowi wołającemu: „*Agora!*”. „Teraz!”

Benoit został wysłany przodem z poleceniem, aby rodzina przygotowała dużo dwukrotnie przecedzonej i dwukrotnie zagotowanej wody, i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyły, były wiadra, same niezbyt czyste, ustawione w rzędzie. Benoit, który unikał Mariny od incydentu z wężem, nie było nigdzie widać. Kobieta leżała na podłodze w stercie koców i zarówno ona, jak i te koce były tak mokre, że wyglądały, jak



wywleczone prosto z rzeki. Na deskach podłogi pod nią rosła ciemna, mokra plama. Ich przewodnik klęczał obok żony, trzymając ją za rękę i odgarniając jej mokre włosy palcami, a inni domownicy zajmowali się swoimi sprawami. Starszy mężczyzna bez koszuli rozciągnął się w hamaku, podczas gdy dwoje małych dzieci, chłopiec i dziewczynka, bujało go, wpadając w radosną euforię za każdym razem, kiedy hamak się oddalał. Kobiety, jedna z niemowlęciem u piersi, związywały sznury czerwonych papryczek, a mężczyzna w kącie ostrzył nóż. Kiedy na szczycie drabiny stanęła zdyszana doktor Swenson, wszyscy gwałtownie podnieśli głowy, by z zaciekawieniem spojrzeć w jej stronę. Wskazała drewnianą skrzynkę i jedna z młodszych kobiet podbiegła, by jej ją przynieść. Doktor Swenson usiadła i podano jej tykwę z wodą, którą przyjęła. Nawet kobieta na kocach ucichła w uznaniu zaszczytu, jaki ją spotkał. Pomyśleć, że doktor Swenson przybyła do jej domu!

Marina nie była pewna, komu powinna pomóc najpierw, pacjentce czy lekarce, choć w zasadzie nie wiedziała, czy posiada umiejętności konieczne do przyścia z pomocą którejkolwiek z nich.

– Torba jest tam – powiedziała doktor Swenson i skinęła głową w stronę podłogi. – Znajdzie tam pani wszystko, czego potrzeba. Jestem pod wrażeniem, że udało mi się tu wejść. – Położyła dłoń na sercu. – Nie wchodziłam po drabinie, odkąd zaczęła się ta cała męczarnia.

Marina rozpięła suwak torby i zatoczyła ręką krąg w jej wnętrzu, przygnębiona tym, jak niewiele musi jej wystarczyć. Była tam kostka mydła w pudełku, żadnej szczotki, kilka zapakowanych wyjałowionych ręczników, paczuszka rękawiczek i zestaw chirurgiczny oraz parę śmiesznie małych fiolek z lekami, które turlały się po dnie. Zobaczyła dwie srebrne łyżki do butów, zakrzywione na końcach. Uniosła je.

– Co to?

– Łyżki do butów! – oznajmiła radośnie doktor Swenson. – Lata temu Rodrigo zdobył całe pudło. Okazały się cudownymi retraktorami.

Marina położyła sobie łyżki na kolanach i pochyliła głowę.

– Jak mogę je wysterylizować?

– Jak można tu cokolwiek wysterylizować? Nie można, pani doktor. Tak tu już jest. Niech pani umyje ręce w pierwszym wiadrze – poleciła doktor Swenson. – Spróbuję dojść do siebie.

Woda w pierwszym wiadrze była letnia. Marina raz po raz tarła mydłem o skórę, zastanawiając się, jak to możliwe, że się tu znalazła, że dzieje się to, co się

dzieje. Oczywiście w pełni uczestniczyła w każdym etapie podróży do tej chaty, zgadzając się na wszystko, z czego zamierzała się wycofać, ale jeszcze nie tak dawno temu siedziała w laboratorium Vogla, nanosząc lipidy na wykresy, a Anders żył. Gdy usiłowała wygrzebać brud spod paznokci, kobieta na kocach wydała z siebie taki krzyk, że Marina aż podskoczyła. Musiała wyznaczyć pielęgniarkę, ktoś powinien był otworzyć opakowania. Potrząsając głową, wołała jedną z trzech kobiet, aż w końcu przyzywana niechętnie odłożyła swoje papryczki i podeszła. Marina podała jej mydło i pokazała na migi mycie i otwieranie opakowań, a kobieta gapiała się na nią, jakby miała do czynienia z szaloną. Marina zastanawiała się, czy będzie musiała odgrywać pantomimę każdego etapu zabiegu, choć chyba za bardzo wybiegała w przyszłość. Nikt nie powiedział, że będzie zabieg. Doktor Swenson przysunęła swoją skrzynkę do kobiety na kocach. Marina podeszła razem z pielęgniarką, która nadal nie była zadowolona z tego całego zamieszania, aż w końcu doktor Swenson spojrzała jej w oczy i kontakt wzrokowy natychmiast ją obłaskawił.

Marina włożyła rękawiczki, uklękła. Kiedy kobieta na kocach spojrzała na nią, Marina wskazała siebie i powiedziała: „Marina”. W odpowiedzi kobieta słabo pokiwała głową i wymówiła imię, którego nikt nie usłyszał. Po zapoznaniu Marina przemyśla krocze kobiety i jej uda, ugięła jej nogi i pokazała pielęgniarce, jak je trzymać.

– Byłoby miło, gdyby znalazł się jakiś czysty koc, na którym można by ją położyć.

– Gdyby miała pani czysty koc, zapragnęłaby pani jałowego, a jałowy doprowadziłby panią do przekonania, że nic się nie da zrobić bez stołu i światła, a od stołu i światła już tylko krok do żądania KTG. Wiem o tym. Niech pani sprawdzi, jakie ma rozwarcie.

Marina znowu spojrzała na kobietę, wsuwając rękę, żeby ocenić stan szyjki macicy. Było wystarczająco dużo miejsca, aby prawidłowo ułożony noworodek normalnej wielkości mógł się bez problemu wydostać, i Marina poczuła, jak obmywa ją ogromna fala ulgi.

– Rozwarcie jest szerokie.

Macała dłonią, szukając dziecka. Tak się złożyło, że budowa kobiecego ciała nie uległa zmianie, odkąd Marina robiła to po raz ostatni. Ułożenie pacjentki na podłodze nie robiło żadnej różnicy: Marina wyczuła dziecko, ale była pewna, że to, czego dotknęła, nie jest jego główką.

– Ustawilo się pośladkowo – oznajmiła. Nie tego chciała, ale uznała, że da sobie radę. – Spróbuję je odwrócić.

Doktor Swenson przecząco pokręciła głową.

– To trwa całe wieki, wywołuje okropny ból, a w połowie wypadków i tak nie zdaje egzaminu. Zrobimy cięcie.

Marina odsunęła rękę od kobiety.

– Jak to: trwa całe wieki? Spieszmy się dokądś?

Usadowiona na drewnianej skrzynce doktor Swenson zignorowała sarkazm.

– Nie ma sensu jej na to wszystko narażać, skoro w końcu i tak będzie pani musiała zrobić cesarkę.

Marina usiadła na piętach.

– Problem w tym, że daleko nam do sterylnych warunków. Ryzyko, że umrze w wyniku zakażenia pooperacyjnego, wystarczy, aby dojść do wniosku, że warto spróbować. Nie mam pielęgniarki, która mogłaby mi asystować przy cięciu. Nie mam anestezjologa.

– Myślała pani, że mamy tu anestezjologa?

– A co państwo mają? – Marina zdjęła rękawiczkę i zaczęła grzebać w torbie.

– Ketaminę. I niech pani nie wyrzuca rękawiczek. To nie Johns Hopkins.

– Ketaminę? Zamierzamy ją później posłać na dyskotekę? Kto dziś stosuje ketaminę, na litość boską?

– Oświecę panią, pani doktor: ma pani to, co pani ma. Miałam szczęście, że zdobyłam chociaż tyle.

– Spróbuję odwrócić dziecko – powiedziała Marina.

– Nie – sprzeciwiła się doktor Swenson. – Wystarczy, że musiałam wejść po tej przeklętej drabinie. Byłabym wdzięczna, gdyby nie zmuszała mnie pani do klękania. Pomijając chorą nogę, mam spuchnięte dłonie. – Doktor Swenson podniosła rękę, żeby pokazać, o czym mówi. Jej palce przypominały kołki, a skóra na nich była mocno naciągnięta. Dziesięć małych kiełbasek.

– Mój Boże, kiedy to się stało? – Marina sięgnęła po jedną z dłoni, ale doktor Swenson gwałtownie ją odsunęła.

– Musiałabym się bardzo namęczyć, żeby utrzymać skalpel. Z trudem trzymam ołówek. No więc albo pani robi cesarkę, albo zrobię to ja. Nie ma innego wyjścia.

– Mierzyła sobie pani ciśnienie? – zapytała Marina.

– Nie jestem pani pacjentką – odparła doktor Swenson. – Zrobi pani lepiej,

skupiając się na tym, co ma pani przed sobą.

Mężczyzna w szarej koszulce spoglądał to na doktor Swenson, to na doktor Singh, trzymając żonę za rękę. Ich spór najwidoczniej go niepokoił. Nie dotyczył jego żony, która skorzystała z okazji i zamknęła oczy na dwie minuty oddzielające kolejne skurcze. Gdyby ktoś zapytał Marinę, czyja opinia jest cenniejsza, gdy przychodzi decydować, czy wykonać cesarskie cięcie – byłej szefowej oddziału położnictwa i chirurgii ginekologicznej w Johnsie Hopkinsie, która nawet nie dotknęła pacjentki, czy kogoś, kto porzucił położnictwo i chirurgię ginekologiczną i dotyka pacjentki po raz pierwszy od trzynastu lat – Marina postawiłaby na tę pierwszą. Mimo to, jako ta druga, była pewna, że ma rację, i równie pewna, że nie stawi swojej mentorce fizycznego oporu, kiedy ta postanowi przejąć pacjentkę. Pozostawało jej więc jedno wyjście.

– Proszę mi powiedzieć, jak zastosować ketaminę.

Ketamina trafiła do strzykawki, która po wprowadzeniu igły do żyły została przyklejona taśmą do wewnętrznej części ramienia, aby w razie potrzeby powoli wstrzykiwać jej zawartość, dzięki czemu pacjentka przestała jęczeć. Marina przemyła i osuszyła brzuch kobiety, wyprostowała jej nogi i włożywszy czyste rękawiczki, pokazała swojej pielęgniarce, jak naciągnąć skórę. Tym razem pielęgniarka poświęciła jej całą uwagę. Gdy Marina przesunęła skalpelem po skórze, kobieta wytrzeszczyła oczy i znieruchomiała. Gdy ostrze weszło głębiej, Marina zdała sobie sprawę, że nie jest to jej pierwsza operacja po tak wielu latach. Niespełna tydzień wcześniej cięła węża. Podskórny tłuszcz wezbrał na linii rany niczym ścięta śmietanka upstrzona pierwszymi jaskrawymi paciorkami krwi.

Cięcie, które przebiegło bezdźwięcznie, nie licząc zduszonego okrzyku męża, wzbudziło nagle zainteresowanie wszystkich domowników. Nawet staruszek zwlekł się z hamaka i podprowadził dwoje dzieci, żeby popatrzeć. Dwie pozostałe kobiety i mężczyzna z nożem zebrali się wokół, by podziwiać przedstawienie, pochylając się i lekko przepychając, żeby zyskać lepszy widok. Marina poczuła, jak czyjeś kolana wbijają jej się w plecy.

– To mi nie pomaga – powiedziała.

Jej pielęgniarka, pewnie trzymając dłonie po obu stronach nacięcia, warknęła jakiś rozkaz i krąg natychmiast zrobił duży krok do tyłu.

– A teraz szukamy powięzi – poleciła doktor Swenson. – Nie wzięłam okularów. Widzi ją tam pani, pod tłuszczem?

– Mam ją – powiedziała Marina.

Wzięła pielęgniarkę za ręce i do każdej z nich włożyła łyżkę do butów. Zanurzyła je w rozcięciu i pokazała kobiecie, jak rozciągnąć. Zobaczyła macicę. Mimo dławiającej powodzi adrenaliny rozpoznała wszystkie narządy – jelita i pęcherz – wszystko było całkowicie znajome. Dlaczego tak bardzo ją to zaskoczyło? Zrezygnowała z zawodu, a nie z wiedzy. Marina, na wpół oślepiona swoim potem, odwróciła głowę do doktor Swenson, która podniosła z podłogi koszulkę i otarła jej czoło. Następnie doktor Swenson pochyliła się jeszcze bardziej i wytarła twarz pielęgniarce, która strasznie się siłowała, aby za pomocą łyżek do butów nie dopuścić do zamknięcia się szpary w brzuchu.

– Teraz proszę odsunąć pęcherz na dół – poleciła doktor Swenson. – Niech pani go nie zadraśnię. Widzi pani pęcherz, prawda?

– Widzę – potwierdziła Marina.

To cud, że cokolwiek widziała bez oświetlenia. Ostrożnie wbiła ostrze w macicę, unikając wszystkiego, co nie miało zostać rozcięte, i krew wezbrała w cysternie brzucha. W połączeniu z wielkim chlustem płynu owodniowego utworzyła ciemny, wzburzony ocean, przez który Marina nie była w stanie się przedrzeć. Gorąca ciecz wydostała się na podłogę i urosła w kałużę pod lekarką i jej pacjentką.

– Jak mam to zrobić bez ssaka, na litość boską?

– W torbie jest gruszka – powiedziała doktor Swenson.

– Potrzebuję dodatkowej pary rąk.

– Nie ma ich pani. Proszę sobie radzić.

Marina chwyciła gruszkę, która wyskoczyła jej z zakrwawionej rękawiczki i ślizgiem wylądowała na podłodze, gdzie jak wszystkie piłki została pochwycona przez pętającego się obok pięciolatka.

– Jezu! – zawołała Marina. – Niech ktoś ją przynajmniej umyje.

Doktor Swenson bez słowa skinęła, aby zanurzyć gruszkę w wiadrze z wodą i mydłem, po czym narzędzie zostało zwrócone Marinie, a ta odciągnęła nim ćwierć litra płynu, który następnie wystrzyknęła na podłogę obok. Powtórzyła całą operację. Pod licznymi warstwami zauważyła dziecko zwrócone buzią w dół, z nóżkami przy główce i pupą mocno wciśniętą w miednicę matki. Próbowiła je stamtąd wydostać, ale utknęło.

– Niech mu pani uniesie pośladki – nakazała doktor Swenson.

– Próbuję – odparła poirytowana Marina.

– Trzeba po prostu pociągnąć w górę.

Marina wsunęła łyżki do butów w głąb macicy i skinęła na pielęgniarkę, żeby ciągnęła, naprawdę ciągnęła, co ta kobieta, skazana na życie pod znakiem ciągłej reprodukcji, uczyniła z całej siły, a wtedy Marina sięgnęła głębiej, usiłując wydobyć dziecko. Zaklinowało się w matce jak berbeć, który podczas zabawy wlaźł do najmniejszej szafki i nie można go teraz wyciągnąć. Mięśnie ramion i karku Mariny napięły się, naprężyła plecy i pociągnęła. To był test siły fizycznej, sześćdziesiąt cztery kilogramy Mariny Singh przeciwko niespełna trzem kilogramom niemowlęcia, i przy wtórze głośnego odgłosu ssania dziecko się odklinowało. Mężczyzna z nożem oparł Marinie rękę na plecach, żeby się nie przewróciła. Czerwony, biały i lśniący chłopiec w jednym kawałku fiknął i wylądował na piersi matki.

– Proszę tylko spojrzeć. Czy jest coś łatwiejszego? – Doktor Swenson zdecydowanie klasnęła w dłonie. – A teraz niech im pani odda dziecko. Dobrze wiedzą, co robić.

Gdy tylko padły te słowa, śliskie dziecko wyjęto Marinie z rąk razem z grubą wątrową łożyska. Chłopca unosił cały tłum, starzy i młodzi oddalali się z zaskakująco nowym. Dostali dowód na to, że stało się coś wyjątkowego. Pomimo wszystkich narodzin, jakie miały tu miejsce, nikt do końca nie uodpornił się na uroki niemowlęctwa.

– Pamięta pani resztę? Proszę pomasować macicę. Zawsze lubiłam tę część: rekonstrukcja, przywracanie porządku w chaosie. – Doktor Swenson pochyliła się, żeby lepiej widzieć. – Dziecko już zabrali, teraz to ich problem, a pani może się skupić na szczegółach. Nie ma już takiego pośpiechu.

Na drugim końcu pomieszczenia zapłakało dziecko, a mąż, nadal przytwierdzony do ręki żony, wyciągnął szyję w stronę tego dźwięku.

– Więcej ketaminy – zarządziła doktor Swenson. – Nie ma sensu jej teraz wybudzać.

Marina jeszcze raz odessała płyn i zaczęła pracować nad szwami w procedurze równie delikatnej jak zamykanie świątecznego indyka kuchennym szpagatem. Pielęgniarka, znacznie odważniejsza, niż można by przypuszczać, z wprawą wysunęła łyżki, a Marina poskładała wszystko, co wcześniej rozdzieliła: macica została zszyta, pęcherz znowu przesunięty w górę.

– To dobry człowiek – powiedziała doktor Swenson, kiwając głową w stronę męża. – Został przy niej. Czegoś takiego zwykle się tu nie spotyka. Lubią pójść wtedy

na ryby. Czasami, kiedy usłyszą, że to syn, przychodzą spojrzeć, ale nie więcej.

– Może to ich pierwsze dziecko – podsunęła Marina.

Doktor Swenson pokręciła głową.

– Powinnam to wiedzieć, ale nie pamiętam.

Kiedy Marina zawiązywała ostatni supełek, dziecko wróciło. Wysunęła ketaminę z żyły kobiety i położyła niemowlę na jego miejscu, choć matka, która ledwie poruszała powiekami, nie zrobiła nic, by je przytrzymać. Dziecko wyglądało dobrze, miało zmarszczone czółko i okrągłe usteczka, owinięto je już w pasiasty żółty materiał. Na wpół krzyknęło, na wpół ziewnęło, i najwyraźniej wszyscy uznali, że to urocze.

Marina z wysiłkiem podniosła się z kolan.

– Widzi pani? – powiedziała doktor Swenson, pokazując ją palcem. – To trudne nawet dla pani.

Marina przytaknęła, zdejmując rękawiczki, i spojrzała na krew na swoich przedramionach, na sukience, na wezbraną kałużę krwi, w której siedziała.

– Dobry Boże – powiedziała. Zajrzała do torby w poszukiwaniu ciśnieniomierza.

Doktor Swenson pokręciła głową.

– Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile przy tym jest krwi, kiedy ci wszyscy ludzie czekają, by od razu ją wytrzeć. To całkowicie rozsądna ilość. Przekona się pani, że tej kobiecie nic nie będzie. Obydwoje dojdą do siebie.

Pielęgniarka podeszła i przykryła kobietę następnym kocem.

– Dobrze byłoby ją przenieść w jakieś suche miejsce – powiedziała Marina. – Nie mogę jej zostawić w tej kałuży.

– Są pewne rzeczy, których nie możemy oczekiwać od Łakaszich – odparła doktor Swenson. – Nie są w stanie zrobić cesarskiego cięcia. Do tego trzeba szkolenia i sprzętu. Ale wiedzą, że chora kobieta nie powinna leżeć na mokrym kocu i doskonale potrafią sprzątać. Wieczorem wróci tu pani i zajrzy do swoich pacjentów, pani doktor, a potem wpadnie do nich pani jutro. Zobacz pani, że doskonale sobie poradzą bez pani pomocy.

Kobieta, która kołysała dziecko, kiedy przyszły, oddała je komuś innemu i zajęła się kołysaniem noworodka, którego matka spała na podłodze. Ojciec podszedł do Mariny, która wkładała do torby zawartość zużytego zestawu chirurgicznego, i bardzo delikatnie poklepał ją otwartymi dłońmi po plecach i ramionach. Potem zbliżyli się inni, wszyscy z wyjątkiem kobiety z dzieckiem i tej, która spała, i zrobili to

samo. Dwoje dzieci poklepało ją po nogach, a staruszek wyciągnął rękę, żeby poklepać Marinę po uszach. Natomiast ona poklepała po plecach swoją pielęgniarkę, która ani razu się nie skrzywiła i nie odwróciła głowy podczas zabiegu, a w zamian kobieta lekko poklepała Marinę po twarzy grzbietem dłoni.

– Chodźmy już – powiedziała doktor Swenson. – Kiedy się to zacznie, może trwać godzinami. Wróci pani do domu bardziej posiniaczona niż Easter.

Trzeba było odrobiny wysiłku nawigacyjnego, żeby pomóc doktor Swenson zejść po drabinie, ale na dole czekało tylu Lakaszich z wyciągniętymi rękami, że gdyby spadła, mogliby ją po prostu złapać i zanieść aż do laboratorium. Odczekała kilka minut, chcąc złapać oddech, a wtedy zebrał się tłum. Najwidoczniej wieść o ich sukcesie już się rozeszła. Tubylcy otoczyli Marinę i doktor Swenson ciasnym kręgiem, trajkocząc i klaszcząc w dłonie, bo doktor Swenson wyraźnie dała do zrozumienia, że mają je trzymać przy sobie.

– Wszyscy panią podziwiają – oznajmiła Marinie podniesionym głosem.

Marina się roześmiała. Jedna ze stojących z tyłu kobiet trzymała ją za warkocz, pokazując wszystkim, że to jej terytorium.

– To tylko pani wrażenie. Nie ma pani pojęcia, co mówią.

– Wiem, kiedy są szczęśliwi. Może i nie znam szczegółów każdego zdania, ale proszę mi wierzyć, jest wiele sposobów, aby słuchać, a ja słucham tych ludzi od dawna.

Tłum przesuwał się naprzód, a dwie panie doktor przesuwały się razem z nim.

– Myślą, że mnie pani zastąpi – zwróciła się doktor Swenson do Mariny. – Tak jak ja zastąpiłam doktora Rappa. Benoit im powiedział, że to pani zabiła węża, żeby ratować Eastera, a potem przywiozła im pani jego szczątki. Teraz widzieli, jak wycina pani dziecko z brzucha, nie uśmiercając jego matki. To dla nich nie byle co.

– Nie widzieli tego – sprostowała Marina.

– Jestem pewna, że tak – powiedziała doktor Swenson i uniosła rękę ku niebu.

– Siedzieli na drzewach. Chirurgiczny teatr wypełnił się po brzegi.

Marina rozejrzała się, spoglądając na twarze rozpromienionych Lakaszich. Co by się stało, gdyby kobieta nie przeżyła? Gdyby dziecko zmarło?

– Nie podnosiłam głowy – wyjaśniła.

– I dobrze, to zbyt duża presja. Doskonale się pani spisała. Widać, że była pani moją studentką. Wykonała pani klasyczne nacięcie w kształcie litery T. Otwór w macicy był mały. Ma pani bardzo pewne dłonie, pani doktor. Właśnie kogoś takiego



jak pani będę potrzebowała podczas własnego porodu.

Cóż za myśl: przyjęcie na świat dziecka osoby, która nauczyła ją, jak odbierać porody.

– Nie będzie mnie tu, kiedy zacznie pani rodzić – powiedziała Marina i ta świadomość ją uspokoiła. – Który to tydzień?

– Dopiero skończył się dwudziesty szósty.

– Nie, nie – powiedziała. – To niemożliwe. Kto miał odebrać pani poród?

– Położna. Będę z panią szczerą: na początku chciałam, żeby to doświadczenie było jak najbliższe doświadczeniom Lakaszich, ale z upływem czasu coraz bardziej skłaniam się ku cesarce. Wątpię, aby moja miednica się rozszerzyła. Żucie martinów nie hamuje starzenia się kości. Będę potrzebowała cesarki, a nie ma tu nikogo innego, komu mogłabym w tym względzie zaufać.

– W takim razie popłynie pani do Manaus.

– Kobieta w moim wieku nie może rodzić w szpitalu. Zadawaliby zbyt wiele pytań.

– Powiedziałabym raczej, że kobieta w pani wieku nie może uniknąć porodu w szpitalu. – Marina spojrzała na doktor Swenson i widząc, że ta jej nie słucha, zaczęła jeszcze raz: – Nawet gdybym zamierzała tu zostać, a proszę mi wierzyć, nie zamierzam, nie wie pani, jakie komplikacje mogą nastąpić. Wkroczyła pani na nowy teren, nie może pani oczekiwać, że urodzi pani na biurku. Przed chwilą widziała pani pierwszy zabieg, jaki wykonałam od ponad trzynastu lat. Trudno to uznać za kwalifikacje do radzenia sobie z problemami, które mogą się pojawić.

– Ale mogłaby pani to zrobić. Widziałam panią przy pracy. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że powinnam była ułożyć lepszy plan, szykując się do tego, co nieuniknione, lecz teraz zjawiała się pani. Jest pani chirurgiem, pani doktor, i nie zmieni tego nawet cała farmakologia świata. – Pokręciła głową. – Farmakologia powinna być zarezerwowana dla ludzi pozbawionych umiejętności interpersonalnych albo dla tych, którzy nie potrafią zapanować nad drżeniem rąk i często popełniają błędy. Nigdy mi pani nie powiedziała, dlaczego zmieniła pani specjalizację.

Niektórzy członkowie otaczającego je tłumy zaczęli śpiewać, a inni uderzali językiem o podniebienia i radośnie zawodzili. Dzieci oczyściły ścieżkę niczym stadko wygłodniałych kóz, zbierając z niej wszystkie listki i gałązki, wrywając pnącza, niszcząc pajęczyny kijem, póki szlak nie dorównał schludnością ścieżkom w parku narodowym.

– A pani nie powiedziała, dlaczego zmieniła swoją – odparła Marina.

– Nie miałam innego wyjścia. Zobaczyłam, że trzeba wykonać pewną pracę, i musiałam ją wykonać sama. Nie można narysować świata mapy tego miejsca i pozwolić, żeby wszyscy się tu zbiegli, traktując rappy, zabijając martinetti, przesiedlając plemię. Zanim by pojęli, co robią, wszystko by umarło. Warunki tego konkretnego ekosystemu nie zostały jeszcze odtworzone. W końcu się to stanie, ale na razie wszystkie badania muszą być prowadzone tutaj. Przez lata moja działalność miała czysto akademicki charakter. Chciałam odnotować wpływ martinów na płodność. Nie miałam najmniejszej ochoty preparować związku chemicznego. Nigdy nie uważałam, że kobietom na całym świecie przysługuje prawo do pozostawienia wszystkich swoich furtek otwartych do końca życia. Teraz, kiedy jestem w ciąży, wątpię w to jeszcze bardziej. Proszę mi podać rękę, pani doktor, ta noga mnie wykańcza. Tak. Możemy iść trochę wolniej niż reszta z nich.

Po tych słowach Lakaszi, którzy czasami przejawiali niepokojącą zdolność rozumienia angielskiego, zaczęli stawiać mniejsze kroki.

– Ale kiedy odkryłam powiązanie z malarią – mówiła dalej doktor Swenson – wszystko się zmieniło. Nie ma naukowca, który stojąc przed możliwością stworzenia szczepionki przeciwko malarii, nie podjąłby próby. Bardzo starannie wybrałam ludzi, których tu przywiozłam. Wszyscy są niezwykle zaangażowani, pełni szacunku dla tego zadania. Nie chciałabym, żeby którekolwiek z nich wycięło mi wyrostek, ale jeśli chodzi o pracę nad lekiem, zrobili znaczne postępy.

– Skąd pani wie, że on działa?

Doktor Swenson poklepała się wolną ręką po brzuchu.

– Przekonałam się o tym tak samo jak o tym, że jestem płodna. Przetestowałam na sobie. Od ponad trzydziestu lat regularnie narażam się na malarię i nigdy nie zachorowałam. Doktor Nkomo, doktor Budi, Saturnowie, wszyscy mamy regularny kontakt z zarodźcem, podobnie jak Lakaszi. Mogę pani pokazać dane. Klucz do odporności to połączenie kory martinów i fioletowych martinetek. Teraz już to wiemy. Trzeba to tylko zreplikować.

– A Vogel? – zapytała Marina.

– Vogel płaci za badania. Powiedziałabym, że Vogla także wybrałam bardzo starannie, ale ostatnio pan Fox stał się dla mnie zbyt uciążliwy. Nie interesuje go, co można osiągnąć. Chce tylko widzieć, dokąd płyną pieniądze. Nie żebym myślała, że inny koncern byłby lepszy. Twierdzą, że wspierają naukę, choć tak naprawdę nie mają

pojęcia, z czym ona się wiąże. Doktor Rapp spędził tu połowę życia, wykonał najważniejszą pracę w historii swojej dziedziny, a zaledwie drasnął powierzchnię mikologii, do której zyskał tu dostęp. Te sprawy pochłaniają szalenie dużo czasu. Nierzadko całe życie. Można by pomyśleć, że ci z koncernów będą mi wdzięczni za to, że im poświęciłam całe życie, ale ktoś taki jak Jim Fox najwyraźniej nie jest w stanie tego zrozumieć. Przysłanie tu doktora Eckmana okazało się katastrofą dla nas wszystkich. Jego śmierć fatalnie wypłynęła na morale. Przez parę tygodni myślałam, że stracę ich wszystkich. Ale potem zjawiała się pani, pani doktor, i choć jestem przeciwna takim najściom, widzę, że odnalazła tu pani swoje miejsce. Dogaduje się pani ze wszystkimi, najwyraźniej cieszy się pani doskonałym zdrowiem i chyba zdoła pani uspokoić pana Foxa, przekonać go, że robimy spore postępy i potrzeba nam jeszcze tylko trochę czasu.

– Ale dlaczego miałabym to robić? Pracuję dla Vogla. Koncern płaci ogromne sumy, żeby powstał lek, który mu pani zaproponowała. Nie wspomniała im pani o szczepionce przeciwko malarii, a wygląda na to, że pracujecie przede wszystkim nad nią. Dlaczego miałabym panią kryć?

Marina podtrzymywała doktor Swenson. Im dłużej szły, tym bardziej doktor Swenson opierała się na jej ręce.

– Tu nie chodzi o to, żeby cokolwiek ukrywać. To nie jest kłamstwo mówione w szkole. Leki są ze sobą powiązane. Nie udało nam się ich rozdzielić. Proszę na mnie spojrzeć. Od razu widać, że kontynuuję prace nad płodnością, nawet jeśli interesuje mnie głównie jej związek z malarią. To, co interesuje mnie osobiście, naprawdę nie ma znaczenia, skoro tak czy siak wszyscy zmierzamy do tego samego celu. Kiedy stworzymy jeden lek, będziemy mieli i drugi, a nie widzę żadnej krzywdy w tym, że amerykański koncern farmaceutyczny płaci za szczepionkę, która przyniesie olbrzymie korzyści zdrowiu wszystkich ludzi na świecie, choć nie da żadnych korzyści finansowych udziałowcom. Ludzie potrzebujący szczepionki przeciw malarii nigdy nie będą mieli środków, żeby za nią zapłacić. Jednocześnie dam koncernowi lek, który w zasadzie nadszarpienie zdrowie kobiet i skaże je na prawdziwie niegodną przyszłość. Czy to rozsądna wymiana? Co roku osiemset tysięcy dzieci umiera na malarię. Proszę sobie wyobrazić osiemset tysięcy dzieci biegających po tej planecie po wprowadzeniu szczepionki. Może zamiast podejmować próby reprodukcji, kobiety po menopauzie pragnące zostać matkami mogłyby zaadoptować część tej nadwyżki, która z pewnością będzie dostępna.

Marina jak zwykle czuła, że jest pięć kroków za doktor Swenson.

– Wydaje mi się, że powinna pani dać Voglowi szansę. Może będą równie zainteresowani szczepionką jak pani.

– Pani ufność byłaby urocza, gdyby nie te wszystkie uproszczenia – powiedziała doktor Swenson bez śladu urazy w głosie. – Bo jeśli się pani myli, a jestem całkowicie przekonana, że myli się pani, podejrzewając amerykański koncern farmaceutyczny o chęć zapłacenia rachunku za dobrostan Trzeciego Świata, stracimy wszystko. Nie można podejmować takiego ryzyka, gdy skutki błędnego założenia oznaczają coroczną śmierć tak ogromnej rzeszy ludzi.

Wróciły do wioski, zabierając po drodze jeszcze więcej Lakaszich. Marina pomyślała, że zebrało się wokół nich całe plemię.

– Chodźmy do laboratorium – powiedziała doktor Swenson, poklepując drugą dłonią rękę, na której się opierała. – Doktor Nkomo pokaże pani nasze moskity.

– Najpierw chciałabym popływać – odparła Marina. – Zmyć z siebie krew.

Doktor Swenson pokręciła głową.

– Proszę skorzystać z balii. Każę kilku mężczyznom przynieść dla pani parę wiader wody. Nie ma sensu wchodzić do rzeki, gdy jest pani cała we krwi. Nigdy nie wiadomo, co może panią pomylić z kolacją.

– Weszłam do rzeki, kiedy miałam na sobie pół anakondy – zauważyła Marina, spoglądając w dół na sukienkę, która wysychała i robiła się coraz bardziej sztywna.

Doktor Swenson przytaknęła.

– Teraz musimy na panią bardziej uważać.

Gdy Marina wróciła na werandę, pościel była wygładzona, a na poduszce leżał list. Ostrożnie sięgnęła za moskitierę i podniosła go. Nie chciała niczego dotykać przed kąpielą, lecz mimo to przesunęła palcem wzdłuż krawędzi koperty, przemieniając ją z powrotem w kartkę. W środku zobaczyła tylko imię i nazwisko: „Karen Eckman, Karen Ellen Eckman, Pani Andersowa Eckman, Karen Smithson, Karen Eckman”. Litery były nabazgrane i nierówne. Kilka razy długopis przebił papier. Pisał słowa, ale drżała mu ręka. Może złożył tę kartkę i trzymał ją u siebie w łóżku. Może nigdy nawet nie zamierzał jej wysłać.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Codziennie rano Marina wyplątywała się ze śpiących kończyn lekko odurzonego lekami dziecka i szła ścieżką na polanę martinów. Nie brała przykładu z tubylców i nie czekała, aż minie pięć dni. Dopuszczała myśl, że za pięć dni już jej tam nie będzie, więc chciała się opchać korą, przemienić się w dowód medyczny przed powrotem do domu. Pragnęła nadrobić braki, zjadając tę korę, której nie zjadła w przeszłości, i tę, której nie będzie mogła zjeść w przyszłości. To była jej chwila, doskonały terażniejszy moment. Nie bała się już samotnych wypraw do dżungli, choć ostatecznie za każdym razem natykała się na inne kobiety, zarówno z plemienia, jak i z laboratorium. Doktor Budi zdradziła Marinie, że istnieje naukowy precedens tak częstego jedzenia kory w początkowej fazie. Obie z doktor Saturn też przyjmowały potężną dawkę. Może chodziło o emocje związane z nowym odkryciem, a może o coś, czego od dawna łaknął organizm. Doktor Budi powiedziała, że nawet na tak wczesnym etapie Marina jest uodporniona na malarię i że jej comiesięczny okres płodności wydłuży się z trzech do trzynastu dni. Poza tym Marina zaczęła się zastanawiać, czy fenkułowa kora nie ma w sobie czegoś lekko uzależniającego, co sprawia, że kobiety z plemienia Lakaszi uparcie wracają do drzew, nawet gdy już od dawna mają serdecznie dość dzieci, i że naukowcy wytrwale tkwią za biurkiem, choć od lat są gotowi do powrotu do domu. Być może doktor Rapp miał rację, mówiąc, że istnieje jakieś niejasne powiązanie między grzybami i drzewami, jakaś najdrobniejsza nutka narkotyku w korze trzymająca kobiety przy lesie.

Marina śniła o martinach. Smukłe i okazałe stały jej przed oczami, zanim rano podniosła powieki, a zasypiając wieczorem, szła ku nim. Mimo że wszystko inne też przemawiało za wyjazdem, to właśnie myśl, że mogłaby się tu od czegoś uzależnić, stała się tym, co uświadomiło Marinie, że pora opuścić Amazonię. W jednym tygodniu zszyła powiekę dziewczynki ugryzionej przez tę samą małpkę, którą nosiła owiniętą wokół szyi. Trzeba było obydwójga rodziców, żeby przytrzymać dziecko, gdy Marina pracowała ze zbyt ciężką igłą i zbyt grubą nicią, zszywając delikatną tkanę. Kiedy zapytała doktor Swenson o jakieś immunoglobuliny przeciw wścieklicznie, ta odparła,

że najpierw musiałaby zobaczyć przekrój małpiego mózgu. Potem Marina usunęła piętnastocentymetrowy kawałek drewna pomiędzy trzeciego i czwartego palca u nogi mężczyzny, który ścinał drzewa, chcąc zbudować czółno i popłynąć do Manaus. Trzech mężczyzn przywlekło go do laboratorium, nie założywszy mu nawet opaski uciskowej, i pozostawiło go Marinie, by najlepiej jak umiała poskładała mięśnie i kości, których nazw już nie pamiętała. Strach związany z dżunglą został zdefiniowany na nowo przez pracę, którą dżungla mogła dla niej wyśnić. Podczas gdy inni naukowcy, u których zwolnienie z tych zadań bez wątpienia wywołało ulgę, chwalili ją do granic śmieszności, Lakaszi wychylali się w nocy zza barierki werandy i przy każdej okazji wspinali się na palce, żeby powąchać jej szyję. Marina zrozumiała, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Miała dość swoich dwóch sukienek, budzenia się w środku nocy i szukania sposobu, aby wyjeżdżając, zabrać ze sobą Eastera. Wytrącały ją z równowagi zarówno powtarzające się nawiązania doktor Swenson do terminu „ich” porodu, jak i listy od zmarłego przyjaciela, które wieczorem znajdowała w łóżku. Chciała się od tego wszystkiego uwolnić, ale teraz liczyło się tylko światło w tym pięknym, wyjątkowym zagajniku, więc obejmowała ręką smukły pień jednego z drzew i pochylała się.

Marina nigdy nie widziała pomieszczeń, w których mieszkali pozostali naukowcy. Za laboratorium stały chatki tworzące mały krąg, ale to właśnie w laboratorium wszyscy pracowali, jedli i prowadzili wieczorne rozmowy. Już od jakiegoś czasu wiedziała, że w jednej z chatek trzymane są myszy zmuszane do wielokrotnych ciąż, obijające się ciężkimi brzuchami o kołowrotki do ćwiczeń, a teraz dowiedziała się jeszcze, że w drugiej chatce jest pełno moskitów. Ich larwy rosły w letniej wodzie wypełniającej plastikowe tacki ułożone na wysokim metalowym regale. Gdy były gotowe do wylęgu, przenoszono je do wielkich plastikowych wiader przykrytych rozciągniętymi kawałkami rajstop przymocowanymi gumką. Tam zarażano je malarią. Być może wiara w sukces szczepionek dopuszczała tak beztroskie podejście do protokołu, ale kiedy Alan Saturn po raz pierwszy pokazał je Marinie, nie czuła się pewnie wśród wiader wypełnionych setkami fruujących owadów tłukących swoim leciutkim ciężarem o nylonową siatkę.

– Pora karmienia w zoo – powiedział Alan i zanurzył wielki bawełniany wacik w kubku słodkiego syropu. – Proszę, niech im pani da to, czego naprawdę pragną. Niech pani na nie chuchnie. Po prostu pochyli się i wypuści powietrze.

Zrobiła tak, jak mówił, a wtedy one rzuciły się do góry, tworząc jedną

nieskuteczną czarną pięść. Marina odsunęła się.

– Oddech ssaka, oto, co je przyciąga. Jak pani wie, gryzą tylko samice. Samce nie zarażają się pierwotniakiem ani go nie przenoszą. – Położył wacik na nylonie, a moskity ruszyły niczym rekiny na kawał krwistego mięsa. Przez chwilę im się przyglądał. – Zawsze dotrzymują warunków umowy.

Na ścianie wisiły dwie plastikowe packi na muchy, obie miały zardzewiałe rączki.

– Jak wyglądają te badania, które państwo na sobie prowadzą? – zapytała Marina, nie do końca pewna, czy chce wiedzieć.

– Bierzemy pięć moskitów z zainfekowanego wiadra – powiedział, stukając w brzeg tego, na które przed chwilą chuchnęła. – Szkoda, że pani nie widziała, przez co przechodziliśmy, kiedy tu przyjechałem. Wkładaliśmy ochronne kombinezony, poważnie, maski na twarz, rękawiczki. Jakby co dziesiąty moskit na zewnątrz nie był nosicielem. Teraz stosuję tylko siatkę. Wiem, co robię. Wkładam tę piątkę do kubka przykrytego kawałkiem nylonu, a potem przystawiam go do ręki albo nogi, to bez znaczenia. Kiedy nazbieram pięć ugryzień, zabijam moskity i oglądam je pod mikroskopem, żeby się upewnić, że wszystkie były zakażone. I to w zasadzie tyle.

– To wszystko?

– No cóż, potem się czeka. Malaria ujawnia się po dziesięciu dniach. Ale u nas się nie ujawnia. Żadne z nas nie zachorowało.

– Więc skąd pewność, że te moskity są dobre?

– O tym mówi nam mikroskop, a dodatkowo od czasu do czasu zarażamy z tej samej próby jednego z mężczyzn z plemienia. Po dziesięciu dniach, jak w zegarku, zapada na malarię. Przyprawiamy kobiety i choć ta sama grupa moskitów gryzie je przez cały dzień, żadna nie zachorowała.

Alan pochylił się nad jednym z wiader. Chuchnął, a potem dał owadom nasączony wacik.

– Jak to możliwe, że mężczyzna z plemienia godzi się zachorować na malarię?

Doktor Saturn wstał i wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że gdyby miał adwokata, pewnie by się nie zgodził, albo że nie został w pełni poinformowany o tym, na co się godzi. Mam tu trochę coli, o której nie wspomniałem Annick. Uwielbiają ją.

– Daje im pan colę i zaraża malarią?

– Niech pani z nas nie robi Instytutu Tuskegee. Bardzo prawdopodobne, że ci

mężczyźni już wcześniej chorowali na malarię albo i tak by na nią zachorowali. Różnica polega na tym, że jeśli zarażą się tutaj, my ich wyleczymy. Proszę pamiętać, że leczenie malarii to nie problem. Problem polega na wynalezieniu szczepionki. Jeśli mają zachorować na kilka dni w imię stworzenia leku, który może ochronić całe plemię, cały świat, to niech chorują.

– Tak – powiedziała Marina, czując się trochę nieswojo w obliczu takiego argumentu. – Tylko że oni nie godzą się na chorowanie.

Alan Saturn wziął swoje wiadra i zaczął je ustawiać na kontuarze.

– Od czasu do czasu dobrze jest się wyrwać z amerykańskiego systemu medycznego. To człowieka wyzwala, ukazuje mu pewne możliwości. – Podniósł pusty plastikowy kubek ze stołu i przesunął go w jej stronę. – Ma pani ochotę spróbować? Może się pani uważać za w pełni świadomą ryzyka i uchroni pani jednego nieszczęsnego tubylca przed wykonaniem tego zdania. Najlepsze jest to, że ostatecznie zostaje po tym tylko pięć swędzących bąbli.

Marina pomyślała o dawno odstawionym lariamie. Pomyślała o ojcu. Zajrzała do kubka i przecząco pokręciła głową.

– Chyba z tym zaczekam.

– Wie pani, badania nie toczą się w szalce Petriego, a myszy to nie wszystko. To właśnie próby z udziałem ludzi dają najwięcej. Czasami trzeba samemu podwinąć rękaw.

Ale Marina nie uległa. Chciała zjeść więcej kory, zanim stanie się częścią eksperymentu.

Drogi Jimie,

rozumiem, że to może trwać latami, że żadna ilość czasu nie wystarczy, aby pojąć wszystko, co się tutaj dzieje, ale zamierzam zacząć myśleć o powrocie do domu. Najpierw będę musiała znaleźć łódź. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo doktor Swenson chce mnie tu zatrzymać, wątpię, czy zaoferuje mi swoją. Ale przepływają tędy inne łodzie i wiem, w którym kierunku leży Manaus. Chyba pewnego dnia zobaczę jedną z nich i podpłynę, a jeśli Easter popłynie ze mną, kto nas zatrzyma?

Marina pisała teraz więcej listów. Pisała je codziennie. Doktor Budi zostawiła na swoim biurku otwartą papeterię, a Nancy Saturn hojnie dzieliła się z Mariną



znaczkami. Marina zabierała Eastera nad rzekę i razem rzucali kamieniami z brzegu albo pływali. Łodzie rzeczywiście przepływały – dziecko w czóźnie, z rzadka taksówka rzeczna w drodze do Jintów – ale potem przez dwa, trzy dni nie było niczego. Gdy Marina pracowała, posyłała Eastera samego, zostawiając mu listy. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że taki system jest skuteczny, ale przecież był: Anders wysyłał listy, kto wie ile, i część z nich odnalazła drogę do Karen. Jednak choć Marina pisała do pana Foxa bardzo często, właściwie niczego mu nie powiedziała. Nie powiedziała mu o malarii, o ciąży doktor Swenson ani o pogrzebie Andersa. O takich sprawach wolała mu powiedzieć osobiście.

Easter i Marina najbardziej lubili rzekę o szóstej, kiedy słońce rozpościerało się daleko nad wodą, a ptaki zaczynały wracać do domu na noc. Siadali na mokrym brzegu, najdalej jak mogli od żaru ogniska Lakaszich. Było za wcześnie na kolację, lecz mimo to Marina chciała na chwilę wyjść z laboratorium, rozprostować nogi i rozluźnić kark. Czasami siedziała dwadzieścia minut, trzydzieści, a kiedy indziej zostawała aż do zmroku. Po zapadnięciu ciemności nigdy nie widziała przepływającej łódki, ale przyjemnie było siedzieć i patrzeć, jak rozgrzana czerwona kula słońca zatapia się w dżungli, więc Marina usprawiedliwiała się myślą, że ktoś kiedyś mógłby się jednak zjawić. Easter pokazywał każdą rybę, która przełamywała powierzchnię rzeki, a Marina pokazywała nietoperze pływające w fioletowym wieczornym niebie. Bardzo przywykła do spędzania czasu z kimś, kto nic nie mówi. Odkryła, że obserwowanie nadchodzącej nocy bez potrzeby komentowania tego obdarzało ją poczuciem spokoju, którego wcześniej rzadko doświadczała.

Właśnie w chwili takiego spokoju zauważyła w oddali łódź.

Najpierw ją usłyszała, dźwięk dobrze zakonserwowanego silnika bez wysiłku pchał się do przodu. Już sam ten fakt był wart odnotowania, bo pojazdy wodne, które tu widywała, występowały w dwóch odmianach: całkowicie bezdźwięcznych czólen, tratw lub wiązek pni oraz łódek z warczącymi silnikami. Wstała z czterema listami w dłoni, jednym do matki, jednym do Karen i dwoma do pana Foxa. Łódź zbliżała się szybko, mała okrągła plamka światła przytwierdzona z przodu wskazywała jej rzekę, a Easter, jak zawsze przytomny, zerwał się z miejsca, chwycił dwie długie gałęzie ze skraju ogniska, jedną dla Mariny i jedną dla siebie, po czym razem weszli do wody po kolana i zaczęli nimi wymachiwać nad głowami. Łódź poruszająca się z taką prędkością z pewnością zmierzała do Manaus, choć na razie płynęła w przeciwnym kierunku. Marina pragnęła tej łodzi. Zakołysała ogniem nad głową i wydała wysoki

radosny dźwięk, dźwięk, o który nigdy by siebie nie podejrzewała. Miała nadzieję, że obejmie on każdy język, w którym można wypowiedzieć słowa: „zatrzymać łódź”. Nie sposób stwierdzić, czy ludzie na pokładzie ją usłyszeli, siedząc na granicy między bliskością i dala, ale usłyszeli ją Lakaszi, którzy pobiegli przez dżunglę szybciej, niż mogłaby płynąć jakakolwiek łódź, rozgrzebali ognisko, poodpalali gałęzie jedną od drugiej, a potem wydali potężny ryk, swoje charakterystyczne hasło rozpoznawcze – wszystko po to, aby Marina mogła wysłać swoje listy. Chwała Lakaszim i na ten jeden wieczór chwała im za to, że zbyt uważnie ją obserwowali, bo nagle cały brzeg zajaśniał, hałas stał się ogłuszający i łódka, która była już prawie na wysokości wioski, zdecydowanie zwolniła na ciemnej rzece, choć nie na tyle, żeby wywołać wrażenie zatrzymywania się, a Marina, uniesiona energią tubylców, krzyknęła płucami sopranistki:

– Zatrzymać łódź!

Cały gwar ucichł, Lakaszi na chwilę zamilkli zdumieni mocą głosu Mariny, nawet żaby i owady na moment wstrzymały oddech. Sama też nie była do tego przyzwyczajona, do siły własnego głosu, więc w nowej ciszy zawołała jeszcze raz:

– Zatrzymać łódź!

I łódź, która już ich minęła, nagle się zatrzymała. Zawróciła i powoli ruszyła ku pomostowi, omiatając tłum na brzegu światłem reflektora, powoli, z lewej do prawej.

– *Correspondência!* – zawołała Marina. Oprócz Dickensa wieczorami czytała słownik języka portugalskiego. – *Obrigado, obrigado.*

Wyszła z wody i pobiegła po deskach pomostu z listami w jednej dłoni i płonąca gałęzią w drugiej, a światło z łódki prześlizgnęło się po niej i następnie wróciło. Uderzyło ją prosto w twarz i zamarła w pół kroku. W odruchu samoobrony zamknęła oczy.

– Marina? – zapytał czyjś głos.

– Tak? – odpowiedziała.

Czy to nie dziwne, że ktoś zwracał się do niej po imieniu? Przez światło reflektora nie potrafiła pojąć, co się dzieje.

– Marina!

Tym razem głos brzmiał radośnie. Nie знаła go, a potem poznała. Dokładnie w chwili, w której to do niej dotarło, przedstawił się:

– Tu Milton!

Ogrom szczęścia Mariny uwiązał w tym snopie światła. Mając do wyboru

wszystkie dopływy Amazonki, Milton dotarł akurat tam, gdzie ona. Milton, jej opiekun, Milton, który będzie doskonale wiedział, jak rozwiązać wszystkie problemy. Wrzuciła gałąź do wody i wydała z siebie okrzyk radości, który przybrał kształt jego imienia.

– Milton!

Okrzyk, który jej odpowiedział, był jednak piskliwy i zdecydowanie kobiecy, a z łódki wyszła i padła jej w ramiona Barbara Bovender w krótkiej sukience koloru khaki z oszalałymi liczbami kieszeni. Milton sterował łodzią wiozącą Barbarę Bovender! Światło wszystkich pochodni Lakaszich utknęło w połyskliwej płaszczyźnie jej potarganych wiatrem włosów. Marina objęła wąskie plecy przyjaciółki, która przywarła do jej szyi i szepnęła coś na ucho zbyt cicho, aby Marina mogła to usłyszeć ponad wrzaskami Lakaszich. Była skropiona perfumami o zapachu kwiatu limetki.

– Skąd się tutaj wzięliście? – zapytała Marina.

Nie istniał żaden sensowny sposób, aby zadać to pytanie: jak nas znaleźliście i dlaczego przypłynęliście, i jak długo możecie zostać, i czy zabierzecie mnie ze sobą w drogę powrotną? Easter pędził pomostem na fali dziecięcej radości i wpadł prosto w ramiona Barbary, zanurzając twarz w jej włosach. Marina poczuła lekkie ukłucie. Zazdrości? Nie, niemożliwe. Tyle się wydarzyło, a wszystko było zbyt cudowne i zagmatwane. Lakaszi śpiewali dalej i dym z ich pochodni był równie oślepiający jak reflektor łodzi. Marina wchodziła na pokład, by zarzucić Miltonowi ręce na szyję, miała białe stopy, sukienkę przerwana na szwie z lewej strony, włosy starannie uczesane i zaplecione, bo długo siedziała, patrząc na zachód słońca. Wyciągnęła ręce do Miltona, a on ujął jej dłonie, nie zginając swoich rąk w łokciach, i odsunął się, aby mogła zobaczyć, że w łódce jest jeszcze trzecia osoba, a ponieważ światło nie padało na tego kogoś, Marina zrozumiała dopiero po chwili. Spodziewała się Jackiego, ale to nie był on.

– Marina – odezwał się pan Fox.

Tylko jedno słowo, jej imię, i nagle straciła wszelką pewność. Czy mogła go objąć? Pocałować? W świetle pochodni zobaczyła, że każdy z trojga przybyszów ma podobną minę, zapadnięty i wyczerpany wyraz twarzy, prawdopodobnie przerażony, taki sam, jaki bez wątplenia malował się na obliczu Mariny tamtego pierwszego wieczoru, kiedy przypłynęła i zobaczyła płonące pochodnie Lakaszich. Pozostali naukowcy nadchodzili już pewnie od strony laboratorium. Usłyszeli rejwach i szli sprawdzić, czym ten wieczór różni się od pozostałych. Czy mogła pocałować pana

Foxa w obecności doktor Swenson? W obecności Barbary Bovender? Nigdy im nie wspomniała, że pan Fox jest jedyną osobą na świecie, którą całuje.

– Właśnie do pana pisałam – powiedziała, wyciągając do niego listy, jakby chciała się nimi obronić.

Miał na sobie białą bawełnianą koszulę tak jak Milton i zastanawiała się, czy przyleciał do Manaus w wełnianym garniturze. Czy Milton zabrał go późnym wieczorem do sklepu Rodriga, żeby kupić ubranie?

– Próbowałam zatrzymać łódź i poprosić, żeby ktoś, kto nią płynie, zabrał moje listy do pana.

Wziął listy. Wziął ją za rękę.

– Nie dostałem żadnych listów – powiedział. Mówił ochryłym głosem. – Nie miałem od pani żadnej wiadomości.

Od chwili jej wyjazdu postarzał się, wyprawa łódką go postarzyła. Od jak dawna był w Brazylii? Ile czasu zajęło mu obłaskawienie Bovenderów?

– Nie wiedziałem, co się z panią dzieje. Jest pani ranna?

– Nie, wszystko w porządku – powiedziała Marina.

– Cała pani sukienka jest we krwi.

Marina spojrzała w dół i przekonała się, że rzeczywiście tak jest, ale nie mogła sobie przypomnieć, czyja to krew i jaka część z niej była już jedynie plamą, której nie udało się sprać. Lakaszi wchodzili na pokład i z szerokim uśmiechem klepali pana Foxa, który z początku się krzywił, a potem uniósł rękę w geście, który wyglądał na samoobronę. Marina odciągnęła go na bok. Tubylcy klepali Milтона i Barbarę Bovender, wystukując swoje specyficzne i agresywne powitanie. Dwie kobiety zdążyły już zanurzyć ręce głęboko w białym zlocie włosów Barbary, która bezskutecznie usiłowała się wyswobodzić. Pochwycono walizkę i zaczęto ją sobie podawać nad głowami, więc Marina skoczyła, żeby ją zatrzymać.

– Milton! – zawołała. – Niech pan im nie pozwoli zabrać bagażu!

Miltonowi udało się odebrać tubylcom pozostałe torby. Pomachał do Eastera, który wszedł na pokład, żeby mocno klepnąć Milтона w brzuch, a następnie zajął się podnoszeniem toreb.

Marina wzięła pana Foxa za rękę i mocno ją ścisnęła.

– Musimy mieć oko na Barbarę. Nie będzie w stanie tego znieść.

– Nie martwiłbym się o panią Bovender – powiedział pan Fox beznamiętnym głosem.

Nie było to spotkanie, na jakie liczyła. Wolałaby, żeby czekał na nią na lotnisku w Minneapolis. Wystarczyłoby się jeszcze trochę wstrzymać. Gdy weszli na pomost, wypuścił jej dłoń. Może przypłynięcie tej łodzi nie było niczym dobrym. Nie sposób pogodzić Minnesoty z Amazonią. Nie sposób wyjaśnić jednego świata drugiemu. Doktor Swenson szła w ich stronę.

– Dość tego – powiedziała, klaszcząc w dłonie. – Zostawcie ją w spokoju.

Dwie kobiety z plemienia, które walczyły o włosy Barbary, zapomniały o rywalizacji i po niespełna minucie zostawiły ją z dwoma długimi warkoczami związanymi na końcach kawałkami nici wyciągniętymi z sukienek. Doktor Swenson minęła Barbarę, prawie na nią nie patrząc.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – powiedziała, przechodząc, a Barbara spuściła głowę. Gdy doktor Swenson dotarła na koniec pomostu, skupiła się na Miltonie. – Czyja to łódź?

– Należy do przyjaciela Rodriga – odpowiedział Milton.

– Przyjaciele Rodriga nie mają takich pieniędzy.

– Jeden z nich ma – wyjaśnił Milton. – Ten, który butelkuje inca kolę. Rodrigo sprzedaje ją w sklepie.

Doktor Swenson pokiwała głową.

– Przywiozłeś zaopatrzenie czy tylko gości?

– Rodrigo zrobił listę rzeczy, których pewnie już pani brakuje, i dorzucił trochę czegoś, co może się pani spodobać. Właśnie dostał całą skrzynkę pomarańczy i wszystkie przysłał pani. Myślę, że bardzo dobrze się spisał.

Rozprawiwszy się z dwojgiem przybyszy, doktor Swenson zwróciła się do trzeciego:

– Bez wątplenia poruszył pan niebo i ziemię, żeby tu dotrzeć, panie Fox.

Pan Fox stał na pomoście, wpatrując się w doktor Swenson i w cały płonący żywy obraz rozciągnięty za jej plecami. Nietoperz zawirował niebezpiecznie blisko czubka jego głowy, lecz pan Fox nawet się nie skrzywił.

– Mielśmy ciężką podróż. Oczywiście jest mnóstwo spraw do omówienia, w tym niebo i ziemia, które poruszyłem, ale na razie proszę nam powiedzieć, gdzie będziemy spali.

– Nie wiem, gdzie będą państwo spali – odparła doktor Swenson, nie robiąc żadnych ustępstw na rzecz uprzejmości. – My tu pracujemy, a nie prowadzimy Hyatt.

Lakaszi, czując, że nie będzie następnego sygnału do świętowania, zaczęli

układać swoje płonące kije w jedno trzaskające ognisko, które groziło rozprzestrzenieniem się na pomost. Thomas Nkomo wystąpił z tłumu, pomachał i szybko pokłonił się gościom.

– Odsuńmy się od ognia – powiedział spokojnie. – Zadbamy, aby wszyscy dostali jakąś kwaterę.

Gdy już delikatnie zagonił ich na brzeg, oznajmił Barbarze Bovender, że będzie spała z Mariną. Pan Fox miał zostać ulokowany u niego, a Milton...

– Mogę spać w łódce – podsunął Milton.

Thomas pokręcił głową.

– Jest jeszcze posłanie w laboratorium obok stanowiska doktor Swenson. Z radością udostępni je panu na noc.

– Nie mieszajmy do tego pańskich założeń co do mojej radości – powiedziała doktor Swenson.

Gdy się odwróciła i z powrotem weszła na pomost, Marina zauważyła, że mocno utyka. Chciała za nią pójść i zaoferować jej ramię, chciała też pójść z panem Foxem, bo wiedziała, że Thomas da im chwilę sam na sam bez zadawania pytań, lecz zamiast tego wszystkiego wzięła Barbarę Bovender za rękę i poprowadziła ją przez dżunglę ku magazynowi.

– Wie pani, dokąd idziemy? – zapytała Barbara.

– Wiem – powiedziała Marina.

Pięć dni wcześniej Jackie wyjechał do Limy, gdyż nastał sezon, w którym morska piana wzbierała wzdłuż peruwiańskiego wybrzeża z taką zaciekłością, że wyganiała słabszych surferów z plaż, przyciągając tych lepszych ze wszystkich kontynentów. Bovenderowie długo o tym rozmawiali i doszli do wniosku, że to będzie dobry czas dla nich obojga. Barbara mogła popracować nad powieścią, a Jackie mógł spędzić parę tygodni skulony w ustach olbrzymiej fali.

– Przeanalizowaliśmy wszystkie potencjalne scenariusze i uznaliśmy, że nie wydarzy się nic, z czym nie będę mogła sobie poradzić sama. – Barbara siedziała na krześle, na zapasowej sukience Mariny. Zamknęła oczy i pokręciła głową. – Nie uwzględniliśmy pana Focha. Powiedziałam mu, że nie wiem, gdzie jest Annick. Podałam się po mniej więcej trzech minutach.

– Zatem jest lepszy niż ja.

Na samo wspomnienie tamtego wydarzenia błękitne oczy pani Bovender zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Jest lepszy niż ktokolwiek inny. Vogel płaci za wynajem apartamentu. Pan Fox powiedział, że w ciągu godziny mogę wylądować na ulicy. Wezwał Milтона, Milton załatwił łódź. Powiedziałam: w porządku, powodzenia, a wtedy on mi oznajmił, że płynę razem z nimi. Milton nigdy wcześniej tu nie był, a ja przy pływałam tylko z Jackiem. W połowie wypadków spałam. Jackie cierpi na chorobę morską, chyba że sam steruje. I ja miałam im powiedzieć, jak się tu dostać? Boże, to było okropne, minęliśmy jakąś rzekę, a pół godziny później zaczęłam dochodzić do wniosku, że właśnie tam powinniśmy byli skręcić.

– Ale ostatecznie ich pani sprowadziła – zauważyła Marina. Nie była pewna, czy sama byłaby w stanie to zrobić.

– Marino, wypłynęliśmy dwa dni temu. Te wszystkie rzeki, te wszystkie drzewa. Nawet w Manaus tracę orientację. – Trzęsły jej się ręce, więc na nich usiadła. – Ma pani papierosa? Marzę o papierosie.

– Przykro mi – powiedziała Marina.

– Dzięki Bogu, był z nami Milton. Na początku pan Fox zadawał mi mnóstwo pytań, przeważnie o panią, ale kiedy się przekonał, że naprawdę nie miałam od pani żadnych wieści, w ogóle przestał się do mnie odzywać. – Coś we włosach Barbary, w dwóch żółtych warkoczach zwisających na ramiona, ograbiło ją z jej wyrefinowania, pozostawiając czternastoletnią dziewczynę. – Nie odrywałam oczu od brzegu. Jakbym chciała intuicyjnie wyczuć, gdzie pani jest, jakby posiadanie tej wiedzy było moim obowiązkiem, ale nic nie wiedziałam. Pan Fox nie chciał mi uwierzyć, kiedy mówiłam, że nie pamiętam. Myślał, że nadal próbuję go zepchnąć z tropu Annick, jakbym świetnie się bawiła, wypływając na rzekę i gubiąc się. Wtedy zobaczyłam następny dopływ, mały, i nagle nabrałam pewności, że to właśnie ten. Tak łatwo byłoby przeoczyć zakręt. Gdybym choć przez chwilę patrzyła na drugi brzeg, popłynęlibyśmy dalej. Pan Fox i Milton na początku niczego nie zauważyli, a potem, widząc moją pewność, obydwaj się ożywili. Płynęliśmy tą rzeką pół dnia i wszędzie wokół było cicho. Przez większość czasu nadal myślałam, że skręciliśmy prawidłowo, ale potem zaczęłam się martwić, że jednak nie, i gdy już miałam to powiedzieć, gdy zbierałam się na odwagę, wypłynęliśmy zza zakrętu i zjawili się ci wszyscy ludzie w przepaskach na biodrach, z czołami pomalowanymi na żółto. Zupełnie jakby tam stali od zawsze i czekali na nas. Nie pamiętałam dokładnie, jak wyglądają Lakaszi. Byłam już taka zmęczona i zdezorientowana wszystkimi wcześniejszymi błędnymi decyzjami, że naprawdę nie pamiętałam.

Siedząca na łóżku Marina pochyliła się do przodu. Położyła ręce na kolanach Barbary Bovender. Tyle rzek w Amazonii, a ona wiedziała, która z nich została wybrana przez tę historię.

– No więc powiedziałam: „Oto i oni!”, a Milton zaczął zwalniać, szepcząc do mnie: „Jest pani pewna, jest pani pewna?”. Spotykał już wcześniej Lakaszych. Przyplęwali do Manaus, żeby sprzedawać tarcicę, czasami towarzyszyli Annick. Wiedział, że coś jest nie tak i wtedy ja też to sobie uświadomiłam, rzeka była tam wąska, i nagle oni wszyscy unieśli te łuki i strzały, byli ogromni. – Zaczęła płakać, wyjęła drżące dłonie spod ud i wytarła nimi oczy.

– Nic się nie stało – powiedziała Marina. – Znaleźliście mnie. Milton was z tego wyciągnął.

Barbara pokiwała głową, ale jej palce nie nadały ze ścieraniem łez, których było po prostu zbyt wiele.

– To prawda. Zareagował bardzo szybko. Zasłużył na jakiś medal. Nigdy wcześniej nie sterował łódką, a zawrócił tak gwałtownie, że omal nie wylądowaliśmy w wodzie. Kiedy się obejrzałam, w powietrzu było pełno strzał. Strzał! Jak to możliwe? I wtedy coś zobaczyłam. Wydaje mi się, że coś zobaczyłam.

– Co? – zapytała Marina.

Barbara pokręciła głową.

– To było najgorsze, gorsze niż pan Fox, zgubienie się na rzece i ci strzelający z łuków ludzie. – Podniosła głowę i zamrugła, spoglądając na Marinę. Na chwilę przestała płakać i na jej ładnej twarzy zagościł wyraz całkowitej powagi. Wzięła Marinę za rękę. – Zobaczyłam swojego ojca biegnącego między drzewami – szepnęła. – Nie wiem, jak można by to nazwać: wizją, zjawą? Biegł prosto na mnie, do wody, i rzuciłam się na pokład. W środku leżały strzały i Milton powiedział, żeby ich nie dotykać. Próbowałam się wychylić i spojrzeć jeszcze raz, ale Milton kazał mi leżeć. Pani Marino, mój ojciec nie żyje. Zmarł w Australii, kiedy miałam dziesięć lat. Ciągłe o nim myślę, śnię o nim, ale nigdy go nie widziałam. Przyszedł po mnie, bo wiedział, że zginę.

– Milton też go widział? Albo pan Fox?

Przecząco pokręciła głową.

– Pan Fox leżał na pokładzie, a Milton sterował. Zresztą pewnie i tak nie byłoby w stanie go zobaczyć. Myślę, że zjawiał się tylko dla mnie.



– Kto by w ogóle zauważył wasze zniknięcie? – pytała doktor Swenson pana Foxa, kiedy Barbara i Marina weszły do laboratorium.

Doktor Budi nie była w stanie przestać kręcić głową, a dwoje doktorów Saturnów stało bardzo blisko siebie. Na twarzy Thomasa Nkomo dobitnie malowała się niedola związana z posiadaniem bujnej wyobraźni.

– Podejrzewam, że w pewnym momencie facet od inca koli zapragnąłby odzyskać łódkę. Za dwa lub trzy tygodnie, po powrocie Jackiego Bovendera z wyprawy surfingowej, przyplłynęliby tu razem. Nie sądzisz, Barbaro? Mąż zacząłby cię szukać.

Barbara Bovender, będąca teraz w centrum zainteresowania wszystkich zgromadzonych, wykonała leciutki gest kojarzący się z potaknięciem.

Doktor Swenson wyciągnęła rękę ku temu potwierdzeniu.

– Jednemu człowiekowi brakowałoby łódki, a drugiemu żony. Co miałabym im powiedzieć, gdyby się tu zjawili? Nie miałabym pojęcia, gdzie jesteście.

– Gdyby miała pani telefon, nikt nie musiałby ryzykować życia, żeby panią znaleźć – powiedział pan Fox.

Jak to możliwe, że Marina nie mogła do niego podejść? Dlaczego on do niej nie podszedł, po tym jak przybył przez deszcz zatrutych strzał? Jak mógł jej nie wziąć w ramiona, bez względu na to, kto był w pomieszczeniu? Zupełnie nie pasował do otoczenia w swojej delikatnie haftowanej białej koszuli i spodniach koloru khaki, jakby się przebrał na imprezę, której tematem przewodnim jest Amazonia.

– Więc chodzi o to, że nie mam telefonu? Myśli pan, że doktor Rapp przyjeżdżał do Amazonii z telefonem? Usiłuję dokończyć pracę. Najpierw przysłała tu pan człowieka, który umiera, a kiedy sam postanawia pan ruszyć jego śladem, wszystko wskazuje na to, że też chce pan zginąć, zabierając ze sobą dwoje moich ludzi. Zakłóca mi pan spokój, panie Fox, potrafi pan to zrozumieć? Nie pomaga pan swojej sprawie, bez przerwy rzucając mi pod nogi te tragedie.

– Szukałem doktor Singh – odparł, stukając palcem wskazującym w okulary na grzbiecie nosa. Marina wiedziała, że to nerwowy tik będący najsubtelniejszym zewnętrznym przejawem kipiącej wściekłości. – Nie miałem od niej żadnych wieści. Nie mogłem ryzykować, że następny z moich pracowników jest chory albo coś mu zagraża.

Następny z twoich pracowników, pomyślała Marina. No proszę.

– Przecież sam ich pan naraża na niebezpieczeństwo! – zawołała doktor Swenson. – Wrzuca pan człowieka do rzeki, a potem robi wielkie przedstawienie,

skacząc mu na ratunek.

Zanim pan Fox zdążył odpowiedzieć, stanęła między nimi doktor Budi.

– Muszę prosić, żeby natychmiast się państwo uspokoili – powiedziała niespodziewanie władczy głosem. – Pani doktor, to może pani zaszkodzić. Kłótnia skończona. Musi pani usiąść.

W laboratorium zapadła nagle cisza, w której dało się słyszeć nieoczekiwane sapanie doktor Swenson próbującej złapać oddech. Nie można było zignorować rady doktor Budi. Doktor Swenson ciężko opadła na krzesło i oparła spuchnięte stopy o stojące naprzeciw pudło. Nancy Saturn podeszła do niej ze szklanką wody, ale doktor Swenson zbyła ją machnięciem ręki. Gdy ponownie się odezwała, mówiła już spokojniej.

– Niech pan przejrzy tyle danych, ile potrzeba, żeby się pan upewnił, panie Fox. Doktorzy Saturn panu pomogą. Jutro, kiedy będzie widno, doktor Budi pokaże panu martiny, a potem wejdziecie na pokład Inca Koli i popłyniecie do Manaus. To cała gościnność, jaką jestem w stanie zaoferować.

– Doktor Singh wraca z nami – oznajmił pan Fox.

Nie był to romantyczny gest, ale pierwsza kontroferta w trwających negocjacjach.

Doktor Swenson przecząco pokręciła głową.

– To nie będzie możliwe. Doktor Singh zgodziła się zostać do mojego porodu. – Przyłożyła spuchnięte dłonie do boków brzucha. – Oto wielka nowina, panie Fox. Mam siedemdziesiąt trzy lata i jestem w ciąży. Jeśli rano zada pan sobie trochę trudu, żeby się rozejrzeć, przekona się pan, że nie tylko ja. Jesteśmy bardzo blisko chwili, w której będziemy w stanie dać panu to, czego pan chce, pod warunkiem że zdoła pan powściągnąć odruch wprowadzania zamętu. Dotrzymuję swojej części umowy. Oczekuję, że pan zacznie dotrzymywać swojej.

Na moment pan Fox został za bardzo w tyle. Ominęły go testy na gryzoniach i na wyższych ssakach. Nie wiedział o pierwszej skutecznej dawce ani o badaniach poświęconych bezpieczeństwu serii. Nie widział raportów o prawdopodobieństwie sukcesu technicznego, a teraz nagle ujrzał sześciomiesięczny efekt podania pierwszej dawki człowiekowi. Człowiekowi, bo tak pozostanie na zawsze, bez względu na nieodłączne seksistowskie implikacje. Biorąc pod uwagę wszystko, z czym przyszło mu się zmierzyć, musiała minąć chwila, zanim wiadomość naprawdę do niego dotarła, ale gdy to się stało, twarz pana Foxa stała się łagodna, zadowolona i

zdziwiona tak samo jak tamtego wieczoru trzydzieści pięć lat wcześniej, kiedy jego żona Mary przekazała mu podobną wieść. Zrobił kilka nieśmiałych kroków w stronę doktor Swenson. Przemówił miękkiem głosem:

– Który to miesiąc?

– Prawie siódmy.

– Nie mam kwalifikacji, aby wykonać cięcie – zwróciła się do niej Marina. – Już pani mówiłam. Musi się pani zgłosić do szpitala.

– Pod opieką doktor Singh czułabym się pewniej – powiedziała doktor Swenson. – Na tym etapie nie możemy sobie pozwolić na żadne naginanie zasad bezpieczeństwa. Nie mogę popłynąć do miasta, żeby urodzić dziecko. Już kilka razy widziałam doktor Singh podczas operacji. Spisuje się doskonale. Nie mam żadnych wątpliwości co do wysokiego poziomu jej kompetencji.

Choć Marina była już dość zaawansowana, gdy szło o sprzeciwianie się doktor Swenson w rozmowie w cztery oczy, nadal brakowało jej umiejętności, aby to zrobić publicznie. Nie potrafiła głośno zauważyć, że wszystkie te komplementy wiodą ją do zguby.

– Moglibyśmy sprowadzić położnika z Rio – zaproponował pan Fox. – Albo z Johnsa Hopkinsa, jeśliby pani chciała.

Już zapomniał o podróży z Manaus, o pani Bovender, o plemieniu Hummocca. Lek działał i to było wszystko, co chciał wiedzieć. Nie interesowały go raporty, drzewa, nie musiał się zobaczyć z Mariną. Mógłby wyruszyć w drogę powrotną jeszcze tego samego wieczoru.

– Właśnie powiedziałam, czego bym chciała. Sama szkoliłam doktor Singh. Może się pan obyć bez niej jeszcze przez jakiś czas.

– Mogę – potwierdził pan Fox.

Marina chciała coś powiedzieć, ale doktor Swenson jej przerwała.

– Doktor Budi ma rację, jestem zmęczona. Proszę mnie odprowadzić do chatki, doktor Singh. Wystarczająco dużo dziś zrobiłam.

Wyciągnęła rękę i Marina ją ujęła. Skóra między palcami doktor Swenson była popękana i krwawiła. Zanim wyszły z laboratorium, pan Fox dotknął ramienia doktor Swenson, a ona odpowiedziała mu skinieniem głowy.

Kiedy już znalazły się pod bezpieczną osłoną ciemności, gdzie gwiazdy pokrywały pianką nocne niebo, Marina nie wytrzymała.

– Mówiłam pani, że nie zamierzam zostać – szepnęła ostrym tonem,

zagłuszając cichy warkot owadzych skrzydełek i nieustannie powtarzany rechot żab. – Myślała pani, że można mnie tak po prostu wydzierżawić od pracodawcy?

– Proszę się wstrzymać jeszcze przez dwie minuty – odparła doktor Swenson.

Chatka doktor Swenson stała najbliżej laboratorium. Było to małe pomieszczenie z pojedynczym łóżkiem i komodą, ze składanym stolikiem i dwoma krzesłami. Doktor Swenson z wysiłkiem weszła po czterech stopniach, opierając się całym ciałem o Marinę, a kiedy znalazła się w środku, ciężko usiadła na łóżku.

– Muszę się położyć – oświadczyła, po czym rozciągnęła się na pościeli ze sterczącym w górę brzuchem.

Wydała cichy jęk, choć Marina nie była pewna, czy wyrażał ból, czy może ulgę po jego ustąpieniu.

– Niech pani będzie dobrą przyjaciółką i zdejmie mi sandały, pani doktor.

Marina siłowała się z birkenstockami, ale w końcu udało jej się zsunąć je z nóg. Palce doktor Swenson do połowy zatopiły się w spuchniętych stopach, które nabrały nienaturalnego fioletowego odcienia.

– Niech pani nie próbuje brać mnie na litość – powiedziała Marina. – Im bardziej się o panią martwię, tym bardziej jestem przekonana, że powinna pani trafić do szpitala, pod opiekę lekarzy, którzy wiedzą, co robią.

– Pani też wie, co robi – odparła doktor Swenson. – A współczuje mi pani dlatego, że taka już pani natura. Nie byłabym w stanie jej zmienić.

Marina usiadła na skraju wąskiego materaca.

– Kim jest ten mężczyzna na zdjęciu?

Dotknęła nadgarstka doktor Swenson dwoma palcami. Puls galopował tak szybko, że trudno go było zmierzyć.

Doktor Swenson odwróciła się i spojrzała na oprawione w ramkę zdjęcie stojące na szafce nocnej. Było czarno-białe i przedstawiało wysokiego, chudego mężczyznę z bardzo małym nosem stojącego w dżungli. Miał na sobie białą koszulę i zdawał się spoglądać nad tamieniem osoby trzymającej aparat.

– Nigdy nie należy zadawać pytania, jeśli zna się odpowiedź. To według mnie najbardziej irytujący zwyczaj.

– Był bardzo przystojny – powiedziała Marina.

– To prawda. – Doktor Swenson zamknęła oczy.

– Gdzie jest ciśnieniomierz?

Doktor Swenson wskazała czerwoną torbę na podłodze, a Marina wyjęła rękaw

i stetoskop.

– Dziecko nie żyje, pani doktor. Umarło wczoraj, może przedwczoraj. Zamierzałam pani powiedzieć dzisiaj wieczorem, ale wtedy zjawilo się to całe towarzystwo. Może pani spróbować posłuchać, ale nic się nie rusza. Nie jestem pewna, kiedy się ruszało po raz ostatni. Nie udało mi się znaleźć bicia serca.

Marina położyła dłoń na ramieniu swojej mentorki, ale doktor Swenson ją strąciła.

– No, dalej – ponagliła. – Niech pani spróbuje.

Marina włożyła stetoskop i przesunęła końcówką po brzuchu doktor Swenson, próbując w jednym miejscu, a potem w drugim i w następnym.

– Niczego tam nie ma – powiedziała doktor Swenson.

– Rzeczywiście – potwierdziła Marina. Zmierzyła doktor Swenson ciśnienie krwi, a potem zrobiła to jeszcze raz, chcąc się upewnić, że odczyt jest prawidłowy. – Sto siedemdziesiąt dwa na sto piętnaście.

Doktor Swenson pokiwała głową.

– Stan przedrzucawkowy. Ale nie mamy oksytocyny. Aby wywołać poród w takich okolicznościach, tubylcy stosują pewien syrop, odparowany ekstrakt ze świerszczy czy czegoś w tym rodzaju, ale na razie mam dość eksperymentowania na sobie. Zresztą pewnie i tak nie przeżyłabym porodu. No więc zła wiadomość jest taka, że będzie pani musiała zrobić cesarskie cięcie, a dobra taka, że nie trzeba z tym czekać dwóch miesięcy. Jutro pan Fox wyjedzie ze swoim upragnionym dowodem na to, że stworzenie leku jest realne, i już dzięki temu zyskamy mnóstwo czasu. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciała pani zostać jeszcze jakiś czas po zabiegu na wypadek ewentualnych powikłań. Potem poproszę Eastera i Saturnów, żeby odwieźli panią pontonem do Manaus. Może to pani zrobić?

– Mogę panią wsadzić na ponton jutro rano i popłynąć z panią do prawdziwego szpitala z prawdziwymi lekarzami, ze sterylną salą operacyjną i z anestezjologiem. Nie mam zamiaru pani operować ze strzykawką pełną ketaminy.

Doktor Swenson machnęła ręką.

– Niech się pani nie wygłupia. Mamy tu całe torby midazolamu na specjalne okazje.

Należało to jakoś skomentować, ale Marina odpuściła.

– Sytuacja jest poważna. Wiem, że nie tego pani chce, ale powinna pani myśleć jak lekarz, a nie jak etnobotanik. Jeśli popłynie pani z Miltonem i panem Foxem,

dotrze pani do miasta o połowę szybciej niż naszą łodzią. Może nawet jeszcze dziś w nocy, co biorąc pod uwagę pani ciśnienie, naprawdę powinna pani zrobić. Nigdy by pani nie zwlekała, gdyby chodziło o kogoś innego.

– Niech pani choć raz posłucha, co mówię, pani doktor. Nie mam siły, żeby ciągle się powtarzać. Nigdzie się dziś nie wybieram, więc jeśli umrę, zanim zdąży mnie pani uratować, ciężar winy spocznie wyłącznie na mnie. Nie może pani poprosić pana Focha o zabranie mnie do szpitala. Wszystkie jego marzenia ległyby w gruzach. Zresztą moje także. Nie poświęcę szansy na stworzenie szczepionki przeciw malarii w imię szpitalnego łóżka w Manaus. Proszę panią o przeprowadzenie tego zabiegu, bo w przeciwnym razie musiałby to zrobić Alan Saturn, a tego wolałabym sobie oszczędzić. Czy w przeszłości prosiłam panią o tak wiele, że teraz nie jest pani w stanie spełnić tej jednej prośby?

Marina czekała, rozmyślając o tej całej przerażającej sytuacji. W końcu zdołała jedynie pokiwać głową.

– Oczywiście są wszelkie powody, aby przypuszczać, że to mnie wykończy. – Doktor Swenson otworzyła oczy i spojrzała na Marinę. – Trudno stwierdzić, czy to skutek działania leku, czy może mój wiek. O tym, czy przeżyję, jeszcze się przekonamy, ale na razie chcę pani powiedzieć, że lek jest już gotowy, przynajmniej jeśli chodzi o aspekt płodności. Pan Fox może pójść i zapłakać z radości. Przy odrobinie szczęścia uda nam się zataić przed nim tę informację na kilka następnych lat, żeby nadal finansował szczepionkę przeciwko malarii.

Marina pokręciła głową. Zepchnęła ten szalony plan na karb okoliczności. Za parę miesięcy, kiedy to wszystko minie, doktor Swenson poczuje się inaczej.

– Nie powinna pani tak mówić. Poświęciła pani temu zbyt wiele lat pracy, żeby teraz odpuścić.

– A jak mielibyśmy prowadzić dalsze badania? Jem tę korę od lat. Widziałam, jak w wieku sześćdziesięciu lat wraca mi miesiączka. Przeżyłam pryszcze i ból brzucha i proszę mi wierzyć, że nie było w tym nic przyjemnego. Nie potrzebowałam powtórki tej strony młodości.

– Po to są zdrowi ochotnicy. Nikt nie oczekuje, że wszystko zrobi pani sama.

– Musielibyśmy znaleźć naprawdę sporo bezdietnych siedemdziesięcioletnich gotowych poddać się zapłodnieniu. Bardzo możliwe, że w toku badań zabilibyśmy lwią część tej grupy.

– Bardzo możliwe – przyznała Marina. Przyglądała dłonią niesforne druciki

włosów doktor Swenson.

– Proszę się nie rozczulać, pani doktor. Dobrze jest tak, jak jest. Mówię to pani tylko dlatego, żeby pani wiedziała, że jeśli cokolwiek mi się teraz stanie, cokolwiek, to nie będzie pani wina. Podjęłam się tego w imię nauki i niczego nie żałuję. Rozumie to pani? Wszystko wyszło na dobre. Jesteśmy bardzo blisko stworzenia szczepionki, a poza tym wiemy to, o czym ciało od początku nam mówiło: że kobiety po menopauzie nie powinny zachodzić w ciążę. Właśnie tego musieliśmy się nauczyć.

– W wypadku siedemdziesięcioletki mogło się nie udać. To nie znaczy, że nie uda się u pięćdziesięciolatki. To nie pora, aby wszystko przekreślać.

– Pozwólmy pięćdziesięciolatkom pocieszać się *in vitro*, tak jak dotychczas. Nie mam zamiaru sprowadzać na świat nieszczęścia, bo nie wierzę w zdolność kobiet do zaprzestania prób w rozsądnym wieku. – Pokręciła głową. – W takim razie w porządku – powiedziała. – W porządku. Teraz trochę się prześpię. Niech pani zrobi to samo. Zajmiemy się tym jutro po południu, kiedy wszyscy odpłyną i będzie mnóstwo światła. Proszę się postarać, żeby wyjechali jak najwcześniej. Milton i Barbara nie będą zwlekać, jestem tego pewna, ale pan Fox może się ociągać. Gdy już wsadzi ich pani do łodzi, proszę pójść do doktor Budi i poprosić, żeby pani asystowała. Nie ma sensu mówić jej o tym dzisiaj.

– Dobrze – powiedziała Marina.

Rozpięła moskitierę nad łóżkiem. Zmniejszyła płomień lampy, ale jakoś nie potrafiła się zmusić do wyjścia.

– Nadal tu pani jest – odezwała się w końcu doktor Swenson.

– Pomyślałam, że zaczekam, aż pani zaśnie.

– Wiem, jak się śpi, pani doktor. Nie potrzebuję, żeby pani na mnie patrzyła, chyba że to pani próbuje się czegoś nauczyć.

Kiedy Marina wróciła do laboratorium, doktor Nancy Saturn objaśniała panu Foxowi zależność między martinami a fioletowymi martinetkami, Thomas Nkomo pokazywał mu dane dotyczące liczby ciąż, wagi noworodków, żywych urodzeń, a wszyscy okłamywali go pod każdym względem, jaki postanowili zataić. Milton i Barbara robili kanapki z kupnego chleba, który ze sobą przywieźli. Wszyscy byli pomocni. Wszyscy dawali radę.

– Widziała pani to wszystko? – zwrócił się pan Fox do Mariny, kiedy do nich podeszła.

– Tak – powiedziała – jestem tu od dawna.

– Niezwykła praca. Naprawdę niezwykła.

Uśmiechał się do niej bez żadnych podtekstów, które mogłyby świadczyć o chęci do spiskowania. Był zwyczajnie szczęśliwy. Wkrótce zostanie lek, popytaj przed czasem, podjęte przez niego ryzyko będzie opiewane przez przyszłe pokolenia członków zarządu.

Doktor Budi podała Marinie na talerzu kanapkę z kurczakiem w puszcze po tyłu tygodniach szynki w puszcze.

– Jak doktor Swenson? – zapytała.

– Podskoczyło jej ciśnienie – powiedziała Marina.

Pan Fox spojrzął na nią i przecząco pokręciła głową.

– Jest po prostu zmęczona. Potrzebuje odpoczynku, to wszystko. Nie powinna się denerwować.

Była to część dialogu zapamiętanego ze spotkań z pacjentami sprzed wielu lat. Zawsze podnosiło ich to na duchu. Każdy był w stanie zrozumieć, że odpoczynek to najlepsze rozwiązanie.

– Wypływamy rano – oznajmił Milton.

– Po obejrzeniu drzew – dodał pan Fox.

Marina odczekała następną minutę przez wzgląd na dawne czasy. Pan Fox z powrotem pochylił się nad danymi i bardzo mocno zapragnęła położyć mu dłoń na głowie. To chyba lepiej, że na nią nie patrzył, że nie poprosił jej na stronę, by wyszeptać na ucho swój prawdziwy plan. Jeśli ją teraz kochał, będzie mu smutno dopiero później, kiedy zda sobie sprawę, że przez cały czas okłamywała go razem z innymi. Zostawi ją, gdy to wszystko wyjdzie na jaw. Może upłyną lata, ale kiedy już zrozumie, że trzymał w ręku szczepionkę przeciwko malarii, a nie lek na bezpłodność, i że ona o tym wiedziała, ale nie zrobiła nic, aby temu przeszkodzić, aby go uratować, zerwie z nią w każdy możliwy sposób. Będzie mu to nieskończenie trudniej znieść, jeśli kiedykolwiek ją kochał.

– Pora iść do łóżka – powiedziała cicho.

Wtedy podniósł głowę z taką miną, jakby chciał pokazać, że chyba się przesłyszał.

– Popieram – podchwyciła Barbara Bovender, wsuwając drugą połowę swojej kanapki do jednej z licznych kieszeni sukienki.

Zabrały ze sobą Eastera, reszta grupy powiedziała „dobranoc”, pan Fox



powiedział „dobranoc”.

– Jak to działa? – zapytała Barbara, patrząc jeszcze raz na konfigurację werandy sypialnej.

– Ja zajmuję łóżko, a Easter hamak, ale ostatnio Easter śpi ze mną, więc hamak przypadnie pani. Nie są to żadne luksusy, ale lepsze niż kulenie się gdzieś w kącie.

Easter siedział na podłodze, wycierając podeszwy stóp szmatką. Był to jedyny wieczorny rytuał, którego nauczyła go Marina.

– Niech pani posłucha – zaczęła Barbara, obracając w palcach gruby żółty warkocz. – Wiem, że to pani miejsce, ale czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żebym to ja spała z Easterem? Tylko dzisiaj. Przez cały dzień odchodziłam od zmysłów. Szczerze mówiąc, gdyby go tu nie było, poprosiłabym o pozwolenie na spanie z panią, a nie sądzę, żebyśmy się zmieściły we dwie na tym łóżku. – Ze smutkiem spojrzała na dziecko. – Jackie wyjechał w nieodpowiednim czasie.

Marina pokiwała głową. Doskonale rozumiała kojącą moc Eastera. Mimo to wyganijając marmozetę z hamaka, myślała o tym, że akurat tej nocy też wolałaby nie spać sama.

Tym razem Marinie nie śnił się własny ojciec, lecz ojciec Barbary Bovender biegnący przez dżunglę ku rzece. Po przebudzeniu zobaczyła, że jedna noga i obie ręce zwisają jej z cuchnącego hamaka, i od razu pomyślała o martinach. Na werandę docierała jedynie odrobina światła i Barbara z Easterem jeszcze spali. Easter w nylonowych szortach z poprzedniego dnia, a Barbara w białej bawełnianej koszuli nocnej. Przez chwilę Marina patrzyła na nich, dziwiąc się, że takie rzeczy jak koszule nocne w ogóle istnieją i że ich posiadaczkom przychodzi do głowy, aby wieczorem je włożyć. Wzięła latarkę i wyszła w dżunglę, trzymając snop światła skierowany ku ziemi, bo było tak wcześnie, że tarantule wlokły się jeszcze pewnie do domu. Chciała dotrzeć do drzew i wrócić, zanim obudzą się pozostali. Była całkowicie przekonana, że kora ma jeszcze jakieś inne właściwości, o których nikt nie mówi, i wiedziała, że nie przetrwa bez nich tego dnia. Pomyślała, że przed wyjazdem pójdzie tam i odpiłuje kilka gałęzi najbardziej oddalonych drzew. Potnie je na mniejsze i zupełnie malutkie kawałeczki, zwiąże szpagatem i zabierze jako mały dar dla siebie samej. Wyobraziła sobie, jak stoi w kuchni przed lodówką pełną gałązek, wydając po jednej w razie potrzeby, siada sama w salonie i zaczyna ją obgryzać. Rozmyślając o tym, o mały włos nie nadepnęła na mrowisko. Zatrzymała się i patrzyła, jak mrówki z determinacją podążają ścieżką przez opadłe liście. Szła za szybko. Przez resztę drogi patrzyła w dół,

a gdy w końcu podniosła głowę, zobaczyła, jak poranne słońce przebija się przez gałęzie martinów od wschodu, ujrzała w pełni oświetlone cienkie żółte pnie, wysokie korony różowych kwiatków muskających skraj ledwie błękitnego nieba. Może wcale nie żałowała, że nie wraca dziś do Manaus. Gdy przyłożyła usta do miękkiego otworu w korze, w jej żyłach rozlało się uczucie spokoju i błogości. W zasadzie zastanawiała się, czy w ogóle powinna wyjeżdżać.

Zobaczyła, że między drzewami nadchodzą pierwsze trzy kobiety Lakaszich w ich codziennych sukienkach, takich samych jak jej codzienna sukienka. Podniosły ręce i pomachały do niej. Odmachała im i szybko odeszła na skraj polany. Z oddali dobiegł ją bezcielesny głos Nancy Saturn wygłaszającej wykład o fioletowych martinetkach, skutkach trawienia ich odchodów albo kokonu. Marina знаła tylko jedną drogę prowadzącą na polanę. W innym miejscu mogłaby ruszyć w dowolnym kierunku i otoczyć polanę, ale nie w dżungli. Potrzebowała ścieżki. Musiała wrócić tą samą drogą, którą przyszła, bo w przeciwnym razie by zabłądziła. Wyraźnie czuła pragnienie, aby wbiec w dżunglę, ale po co? Od czego miałyby uciekać? Pan Fox był jej kochankiem, Saturnowie przyjaciółmi. Tak czy siak, zwlekała zbyt długo.

– Marina! – zawołał Alan.

Podeszła do nich. Kobiety z plemienia zajęły się drzewami i cichy odgłos przeżuwania podziałał na nią uspokajająco. Gdy przechodziła obok nich, jedna z kobiet poklepała ją po pupie, nie odrywając ust od kory. To była jej pielęgniarzka. Marina poklepała ją z tyłu po głowie.

– Całkowicie zmieniła się w tubylca – wyjaśnił Alan panu Foxowi.

Tak jak wszystko wokół, pan Fox wyglądał lepiej w świetle dnia, kiedy stał między pniami martinów. Tego ranka miał na sobie błękitną koszulę i parę ciemniejszych spodni. Nie mogła uwierzyć, że wyruszając w pośpiechu na jej poszukiwanie, zdążył zabrać ubrania na zmianę.

– Wczoraj wieczorem miałem zapytać o tę sukienkę.

Marina strzepnęła okruchy kory z przedniej części szorstkiego materiału.

– To tutejszy mundurek.

– Co się stało z pani rzeczami?

Marina pokręciła głową.

– Wynikło nieporozumienie – powiedziała. – Naprawdę, w tej sukience też jest dobrze.

– Gdybym miała takie nogi jak pani, sama bym taką nosiła – wtrąciła Nancy

Saturn.

Nogi Mariny były w zasadzie dobrze zbudowane, tyle że teraz pokrywały je siniaki, nieogolone włosy, strupy i cała topografia zaciekłych owadzych ukąszeń. Nagle Marina zdała sobie sprawę, że nie oszukuje jedynie pana Focha. Okłamywała pozostałych naukowców, swoich przyjaciół, którzy z pewnością chcieliby wiedzieć, że z mężczyzną, którego właśnie próbują wywieść w pole, łączy ją coś więcej niż tylko stosunki służbowe. Niska kobieta z plemienia, która zjadła przepisową ilość kory, podeszła do Mariny od tyłu i dwa razy mocno klepnęła ją w ramię, a Marina z bezmyślnym posłuszeństwem usiadła na ziemi. Nie miała nic przeciwko siedzeniu wśród martinów. Wszystkie owady oprócz fioletowych martinetek trzymały się z daleka od tej części dżungli. Kobieta rozwiązała koniec warkocza Mariny i przeczesała jej włosy palcami.

– To jakaś usługa? – zapytał pan Fox.

– Nie sposób ich powstrzymać – wyjaśniła Marina. – Absolutnie nie da się temu zapobiec.

– Przez pierwszy miesiąc pobytu tutaj miałam długie włosy – powiedziała Nancy, kiwając głową w stronę Mariny. – Nie dawali mi spokoju. Gdy tylko je ścięłam, stałam się dla nich niewidzialna.

– Codziennie rano czeszą Budi – dodał Alan. – Przychodzą do jej chatki.

– Więc przywykła pani do tego miejsca? – zapytał pan Fox i po raz pierwszy brzmiało to tak, jakby mówił do kogoś, kogo zna.

Przytaknęła.

– Niech pan dokończy ten obchód i wróci do mnie. Powie mi pan, co się działo w pracy pod moją nieobecność.

Pan Fox zgodził się i odszedł z Saturnami. Marina słuchała ich głosów – martiny i martinetki, ani słowa o rappach. Pochyliła się i zerwała maleńki błękitny grzyb rosnący pod drzewem. Był niewiele większy od jej małego palca. Zbliżyła go do nosa i powąchała jak stokrotkę, a kobieta, która zaplatała jej włosy, zaczęła się śmiać. Pochyliła się nad ramieniem Mariny i też powąchała rappa, a potem objęła Marinę od tyłu i przytuliła, chichocząc jej w kark, aż w końcu Marina też musiała się roześmiać. Gdy kobieta skończyła zaplatać włosy, wyjęła grzyb z palców Mariny, pospiesznie, ukradkiem rozejrzała się na boki, wrzuciła go do ust i odeszła.

Saturnowie zostali z papierkiem lakmusowym i bawełnianymi patyczkami, a Marina odprowadziła pana Focha z powrotem do laboratorium. Po drodze mijały ich

kobiety z plemienia, unosząc dłoń na powitanie.

– Jesteś tu popularna – zauważył.

Zatrzymała się i odwróciła do niego. Wzięła go za rękę. Kiedyś wybrali się razem do Chicago, wynajęli elegancki pokój w Drake'u i nie wychodzili z łóżka do południa.

– Pisałam do ciebie. Część z tych listów na pewno w końcu dotrze. Druga torba też zaginęła i nie miałam telefonu.

Obok przeszły trzy kobiety. Jedna z nich sięgnęła na dół i klepnęła Marinę po udach, a wtedy pan Fox wypuścił jej dłonie.

– Nie przejmuj się nimi – uspokoiła go. – One nikomu nie doniosą.

– Na wszelki wypadek – powiedział.

– To bez znaczenia – odparła Marina. – Nikogo nie obchodzi, co robimy. Wcześniej też nie obchodziło.

Pocałowała go, bo nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie jeszcze szansa. Przypomniała sobie, że musi okropnie cuchnąć, chociaż w zasadzie przestała już czuć własny zapach. Został wytrawiony przez węża.

Całował ją tylko przez sekundę. Obok przechodziło zbyt wiele kobiet, które cicho się do siebie śmiały.

– Nic ci się nie stało – zapewnił, odsuwając się. – Niedługo wrócisz do domu i będziemy mogli o wszystkim porozmawiać. To wygląda lepiej, niż kiedykolwiek śmiałem przypuszczać, i to twoja zasługa. Postąpiłaś bardzo odważnie, przyplwając tu sama. Teraz o tym wiem.

Po tych słowach odwrócił się i zaczął iść, a Marina zobaczyła węża, w stronę którego zmierzała jego stopa. Chwyciła pana Focha i pociągnęła, pociągnęła do siebie z niemałą siłą. To była drobna kajsaka, tak drobna, że chyba jeszcze niedojrzała. Marina widziała jej zdjęcie w jednej z książek Andersa i rozpoznała ją na chwilę przed tym, jak wąż uciekł w wysoką trawę.

– Marina! – powiedział ostro, ale trzymała go tak mocno, że nie mógł się wyswobodzić, a ona nie od razu go puściła.

Zamiast tego bardzo ostrożnie zbliżyła usta do jego ucha.

– Wąż – szepnęła.

Zaraz po powrocie Marina poszła zajrzeć do doktor Swenson i na ścieżce spotkała Barbarę. Pani Bovender miała przekrwione oczy i zarumienione policzki. Marina nie

wiedziała, czy płakała przed chwilą, czy może jest to pozostałość po przeplakaniu całego wieczoru.

– Nic jej nie jest – oznajmiła Barbara, stając naprzeciwko Mariny. – Ale nie powinna pani tam iść. Powiedziała, że chce odpocząć.

– Znowu strzeże pani bramy.

Barbara miała na sobie białe lniane spodnie i obcisły granatowy top. Marina zastanawiała się, czy spakowała go z myślą o marynarskim stylu, który uznała za odpowiedni dla tej podróży.

– Może w takim razie zechce się pani za mną wstawić, powie jej, że nadal wykonuję swoją robotę.

– Zamierza panią zwolnić za to, że sprowadziła pani pana Focha?

Barbara obejrzała się i spojrzała na drzwi, przez które właśnie wyszła, upewniając się, że doktor Swenson nie stoi na progu i nie obserwuje.

– Nie wiem. Może po prostu próbuje mnie nastraszyć. Mówi, że jeszcze nie zdecydowała. Tak na marginesie, wygląda okropnie. Wcześniej myślałam, że zwlekanie z zejściem w ciążę to doskonały pomysł, ale teraz nie jestem już taka pewna.

– To nie jest dobry pomysł – powiedziała Marina.

Pani Bovender wzięła przyjaciółkę pod rękę i razem poszły nad rzekę.

– Nie wiem, jak pani może tu żyć. W Manaus była pani w opłakanym stanie, ale tutaj jest tysiąc razy gorzej. Może jeśli nas zwolni, wyjdzie nam to na dobre. Chcę wrócić do Australii. Nie cierpię tego kraju. Jackie też go nie cierpi.

– W takim razie lepiej wyjechać.

Marina poczuła, że ma ochotę uczesać i zapleść żółte włosy, które okryły ramiona Barbary jak luźny koc. Pomyślała, że pragnienie czesania to kolejny warty zbadania skutek działania martinów.

– Problem w tym – odparła Barbara – że w żadnym innym miejscu na świecie nie znajdziemy takiej łatwej roboty jak ta.

Przed odpłynięciem Barbara Bovender dała Marinie większość zawartości swojej walizki: dwie pary koronkowych majtek ze stanikiem do kompletu, białą bawełnianą koszulę nocną i słoiczek kremu pachnącego jaśminem. Pan Fox zostawił jej białą koszulę z poprzedniego dnia i swoje zapasowe spodnie, które zamierzała przewiązać kawałkiem szpagatu. Od Milтона dostała słomkowy kapelusz.

– Przecież sam pan go nosi – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Mogę nosić inny.

Przez chwilę trzymała kapelusz, patrząc na cienką czerwoną opaskę. Włożyła go na głowę i natychmiast poczuła się dzielniejsza.

– Oddam go panu – zapewniła.

– Wówczas będzie dla mnie tak cenny, że nie odważę się go nosić.

Wtedy Marina zdała sobie sprawę, że powinna była uciec z Miltonem już w tamtej pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła na lotnisku. Powinna go była błagać, żeby ją zabrał do Rio, gdzie mogliby zniknąć w tłumie roztańczonych dziewczyn i przystojnych mężczyzn. Poszła z Easterem na pomost i pożegnała się z trójką przyjaciół. Pocałowała wszystkich troje i tylko pan Fox był zakłopotany. Potem klepnęła ich po kolei po biodrze. Lakaszi przyszli nad rzekę, stanęli obok Mariny i Eastera i razem patrzyli, jak piękna łódź Inca Koli odpływa. Marina położyła dłoń na głowie chłopca, żeby podnieść się na duchu. Wszyscy machali. Długo po tym, jak rysy ich twarzy zmalowały i rozmyły się na rzece, nadal widziała blask włosów Barbary Bovender, które przemieniły się w ogromną lnianą flagę na wietrze.

Przyszłość była potwornym ciężarem i mimo że łódź znikła z pola widzenia, Marina stała na pomoście, czując, jak ta przyszłość ją przygniata. W końcu poszła do laboratorium, zrobiła przegląd narzędzi chirurgicznych, poprosiła doktor Budi o asystowanie i zrobiła wszystko, co mogła, aby uniknąć nieuniknionego, lecz ostatecznie doktor Swenson spoczęła przy swoim biurku przed rozłożonymi kartkami: szarymi teczkami, drukowanymi raportami i pisanymi odręcznie notatkami wyjętymi z notesów na spirali.

– Tak naprawdę nie zamierza pani zwolnić Bovenderów, prawda? – zapytała Marina.

– Od kiedy przejmuje się pani Bovenderami? Przecież to przez nich zmarnowała pani w Manaus tyle czasu.

– Zmarnowałam ten czas przez panią – poprawiła ją Marina. – Oni po prostu wykonywali swoją pracę.

– No więc w wypadku pana Focha nie wykonali jej dobrze. A może raczej powinnam powiedzieć, że nie wykonali jej wcale.

– Ale ostatecznie wczorajsza wizyta poszła po pani myśli. Wszystko dobrze się ułożyło.

– Nie musimy się spieszyć, pani doktor, ale z drugiej strony nie mamy też nieograniczonej ilości czasu na to, co należy zrobić. Wybacz mi pani, ale nie będę go trwonila na zaprzatanie sobie głowy kwestią zatrudnienia Bovenderów. Jest tu tyle do zrobienia. Próbowałam zorganizować parę spraw, tak na wszelki wypadek. – Jej grube palce rozdzielały i przesuwaly sterty rozłożonych przed nią kartek jak przerośniętą talię kart. – Ale teraz widzę, że to niemożliwe. Trzeba by bitych trzech miesięcy pracy, żeby ktoś inny niż ja zdołał z tego zrobić jakikolwiek użytek. Teraz widzę, że byłam zbyt skryta, zbyt wiele spraw przechowywałam wyłącznie w głowie. A niektórych z nich nie rozumiem nawet ja. Teraz widzę, że byłam wielką optymistką. Powinnam była wziąć pod uwagę ryzyko porażki.

– Jakiej porażki? – zapytała Marina.

Jak daleko była już łódź? Czy istniała możliwość, że któreś z nich zmieni zdanie, jeśli nie pan Fox, to Milton albo Barbara? Może mogliby się uprzeć, żeby jednak po nią wrócić?

Doktor Swenson spojrzala na nią znad okularów.

– Chyba spokojnie można powiedzieć, że będziemy dziś tworzyć historię chirurgii, choć Bóg wie, że nie doczekamy się za to uznania. Nie przypuszczam, aby kiedykolwiek robiono tu cesarkę kobietom w moim wieku.

Marina ciężko usiadła i oparła łokcie o biurko, płosząc grupkę małych nietoperzy zadomowionych pod blatem. Pięć lub sześć z nich zaczęło wirować po pomieszczeniu, gubiąc się w jasnym świetle dnia, aż w końcu jeden po drugim przywarły do ścian i rozplaszczyły się na nich jak grube paćki błota.

– Na pewno może się pojawić problem z krwawieniem, ale doktor Nkomo zaproponował, że w razie potrzeby podda się transfuzji. Ma grupę A Rh+. Całe szczęście.

– Ma pani woreczek? – zapytała Marina.

To, co mieli i to, czego im brakowało, było dla niej wielką tajemnicą.

– Jeden wężyk, dwie igły, grawitacja robi resztę.

– Żartuje pani.

Doktor Swenson przecząco pokręciła głową.

– Zdziwiłaby się pani, ile można działać w stanie niedostatku. To jedynie kwestia przemyślenia wszystkich spraw. Niech się pani nie spieszy, pani doktor. Nie ma powodu. Właśnie dlatego poniosła pani klęskę w Baltimore. Pośpiech to największy błąd.

Marina wyprostowała się, słysząc w głowie dźwięk przypominający bicie dzwonu.

– W Baltimore?

Doktor Swenson spojrzała na nią niespieszona i bez współczucia, choć Marina miała nadzieję ujrzeć jedno albo drugie, a następnie przeniosła wzrok z powrotem na rozłożone kartki.

– Myślała pani, że nie pamiętam?

– Bo tak było. Kiedy się spotkałyśmy w Manaus na operze, nie poznała mnie pani.

– To prawda. Nie poznałam. Przypomniałam sobie później, niedługo po przypląnięciu do wioski, a wtedy nie robiło mi to już żadnej różnicy. – Wyjęła ze sterty opasy artykuł, nabazgrała na górze nieczytelną notatkę i włożyła całość do niebieskiej tekturowej teczki. – Wspominam o tym teraz tylko dlatego, że nie chcę, aby tamto zdarzenie ciążyło na pani podczas operacji. Wie pani, to dlatego chciałam, żeby zrobiła pani cesarkę, nie tylko po to, żeby się przekonać, czy pani potrafi. Chciałam, żeby nabrała pani pewności siebie. Tamtej nocy w Baltimore popełniła pani bardzo częsty błąd. Za bardzo się pani spieszyła, to wszystko. Gdyby nie padło na oko, zapomniałaby pani o tym po tygodniu. Każdemu się zdarza drasnąć głowę, ucho. Po prostu miała pani pecha, że główka nie znajdowała się o centymetr w tę czy w tamtą stronę. Patrząc na to z perspektywy czasu, prawdziwą stratą było pani odejście z programu. Gdybym znała panią lepiej, zainteresowałabym. Ale wtedy – wzruszyła ramionami – to była pani decyzja. Teraz będzie pani łatwiej. Nie ma presji, że trzeba ocalić dziecko.

Marina usiadła na krześle obok biurka i poczuła, jak spada z niej cały ciężar jej życia. Zastanawiała się, czy udałoby jej się obrócić dziecko tamtej kobiety z plemienia. Spojrzała na dłonie. Zastanawiała się, czego miały szansę dokonać.

– Gdyby w tym wieku udało mi się urodzić dziecko, móc w nim zobaczyć swoje odbicie, to byłoby coś niezwykłego. Nigdy bym o tym nie pomyślała, gdyby nie to, że bardzo się ze sobą zżyliśmy. – Zrobiła następną notatkę, równie nieczytelną, i odłożyła ją na drugą stronę biurka. – Proszę nie zapomnieć go zamrozić, pani doktor. Chciałabym przeprowadzić później kilka badań. Sprawdzić stężenie związku chemicznego w tkankach.

Marina potakująco pokiwała głową. Z chęcią by się dowiedziała, co to wszystko znaczy, zwłaszcza fragment dotyczący jej samej, ale w głowie miała mętlik. Pan Fox



pędził teraz rzeką, a ona chciała, żeby zawrócił. Powiedziała mu o wszystkim. Zaczęły od swojego stażu i pociągnęła historię aż do dzisiaj.

Doktor Swenson spojrzała na zegarek, a następnie zdjęła go z opuchniętego nadgarstka i położyła na biurku. Z wysiłkiem wstała, mając przed sobą ogromną i złowrogą porażkę swojej ciąży. – Powinniśmy brać się do pracy, nie sądzi pani? Tutaj nie mogę już nic więcej zrobić.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wiele godzin po operacji, już dobrze po zmroku, Easter i Thomas zabrali materace z posłania na werandzie sypialnej i zanieśli je do chatki doktor Swenson. Musieli przesunąć stół i ustawić dwa krzesła pod ścianą, ale w końcu znalazło się wystarczająco dużo miejsca, aby Easter i Marina mogli się przespać. Nie żeby Marina spała – obserwowała doktor Swenson, obserwowała paradę wszystkich nocnych stworzeń Amazonii wędrującą przez pokój. Najwyraźniej wszystkie leciały ku światłu, przywodząc jej na myśl tamtą pierwszą noc w Manaus i sklep Rodriga. Następnego dnia posłała Benoit po stelaż łóżka i moskitierę. Easter przyniósł swoją skrzynkę. Doktor Swenson na chwilę otworzyła oczy i patrzyła na to przemeblowanie.

– Nie przypominam sobie, żebym was tu zapraszała – powiedziała, ale zanim Marina zdążyła cokolwiek wyjaśnić, doktor Swenson ponownie zapadła w sen.

Pomijając krótkie poranne wycieczki do martinów, Marina nie odstępowała swojej pacjentki, obserwując, jak na przemian wpada w gorączkę i z niej wychodzi. W chwilach przytomności umysłu doktor Swenson była wymagająca, chciała rozmawiać z doktorem Saturnem o moskitach, domagała się raportów na temat danych zgromadzonych od czasu jej operacji, żądała, aby Marina mierzyła jej ciśnienie. Potem szybko wracała gorączka i doktor Swenson płakała przez sen w wielkiej powodzi łez. Prosiła o lód i Marina szła po mały blok leżący w zamrażarce, w której magazynowali próbki krwi, a potem kruszyła go nożem na kawałki. W tej samej zamrażarce trzymała dziecko z podwiniętym ogonem. Sirenomelia. Minęły dwa dni, zanim przypomniała sobie tę nazwę. Wcześniej słyszała ją tylko raz, na wykładzie poświęconym wadom wrodzonym, który doktor Swenson wygłosiła w Johnsie Hopkinsie. Hasło błysnęło na jednym slajdzie: „Sirenomelia, syndrom syreny, nogi płodu zrosnięte w ogon, brak widocznych genitaliów. Raczej się z nim nie spotkacie”. I dalej. Po kliknięciu i chwilowej czerni ukazał się następny slajd. Jedyna istota, która kiedykolwiek miała szansę się dowiedzieć, jak by to było mieć doktor Swenson za matkę, nie dożyła chwili narodzin. Istnienie o tak niezwykłym początku ostatecznie sprowadziło się do czegoś tylko trochę wykraczającego poza eksperyment naukowy. Kiedy było po wszystkim,

Marina na chwilę położyła rękę na maleńkiej główce, a zaraz potem Budi przykryła martwe dziecko, żeby osłonić je przed owadami, i zaniósła je do laboratorium.

W swoich gorączkowych snach doktor Swenson często wygłaszała fragmenty wykładów i niektóre z nich Marina sobie przypomiwała. „Cięża pozamaciczna a zniszczenie jajowodów”. Jej mentorka znowu zapadała w urywany sen, a krew Thomasa Nkomo powoli krążyła w jej żyłach. Marina podawała jej płyny i próbowała różnych kombinacji antybiotyków. Pomimo wszystkich niedostatków w dżungli ich zapasy antybiotyków dorównywały zasobom dowolnej przyszpitalnej apteki. Oglądała nacięcie, szukała nadmiernej opuchlizny. Siedziała w małym pomieszczeniu przy otwartych drzwiach i czytała obszerne zapiski na temat malarii. W kolejnych dniach gorączka doktor Swenson na przemian ustępowała i zaczynała się od nowa. Marina zwiększała dawki, zbijała ją. Minęło wiele dni, zanim doktor Swenson mogła usiąść, a potem wstać. Marina martwiła się zakrzepicą. Z Easterem u jednego boku i Mariną u drugiego doktor Swenson pokonała połowę drogi do laboratorium. Gdy bezpiecznie wróciła do łóżka, zbyt zmęczona, nawet aby zasnąć, Marina poczytała jej *Wielkie nadzieje*. Stało się to ich nowym zwyczajem, a jeśli rozdział był wyjątkowo dobry, albo dzień wyjątkowo nudny, doktor Swenson prosiła Marinę, żeby poczytała trochę dłużej. Easter siedział na podłodze z kartką na podkładce i ćwiczył się w zginaniu linii prostych w alfabety. Marina napisała: „doktor Swenson”, i przystawiła kartkę do piersi doktor Swenson. Potem napisała: „Marina”, i położyła sobie kartkę na kolanach.

– Myślała pani, że zapomniałam? – spytała doktor Swenson, gdy po przebudzeniu spojrzała na swoją kartkę.

– Próbuję go nauczyć kilku nowych słów – wyjaśniła Marina.

Doktor Swenson położyła kartkę z powrotem na swojej piersi i przyklepała ją.

– To dobrze. Niech zapamięta. Doktor Eckman ciągle uczył go pisać „Minnesota”. Nie miałyby z tego żadnego pożytku.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedziała Marina.

– Ja wiem. Myślę teraz o doktorze Eckmanie. Gorączka w tropikach ma w sobie coś bardzo szczególnego, zupełnie nie przypomina gorączki w domu. Tutaj człowiek czuje, że płonie w nim powietrze albo że sam w nim płonie. Po jakimś czasie traci się wszystkie parametry, nawet parametr skóry. Chyba nie mógł wiedzieć, co się z nim dzieje.

– Pewnie nie wiedział – przyznała Marina.

Minął prawie tydzień, odkąd Easter zostawił w łóżku ostatni z listów Andersa.

Widocznie mu się skończyły. Easter siedział bez koszuli przy drzwiach i światło padało dokładnie na połowę jego ciała, na jedną nogę i jedną rękę, na lewą stronę twarzy. Siniaki z czasem zbladły do wypłowiałej zieleni.

– Jak pani ocenia mój aktualny stan?

– Najgorsze już za panią, ale nie powiedziałabym, że jest dobrze. Do tego musi upłynąć dużo czasu. Wie pani o tym lepiej niż ja.

Doktor Swenson potaknęła.

– Też tak myślę. Mogłabym już przejść pod opiekę doktor Budi, doktora Nkomo, a nawet botanika.

Odwiedzali ją codziennie. Za ledwie rano doktor Budi przyniosła bukiet różowych kwiatów z martina wsadzony w szklankę. Kto wie, jak zdołała je zerwać. Stały na szafce nocnej, ciężkie kwiaty przysłaniające twarz doktora Rappa. Lakaszi też przychodzili, kobiety pełniły cichą wartę pod oknem, rozplatając i zaplatając sobie nawzajem włosy. Każda z tych osób zajęłaby się doktor Swenson, gdyby dano jej szansę. Marina powiedziała to na głos.

– Żadna z nich nie zrobiłaby tego tak jak pani. W końcu sama panią wyszkoliłam. Sprawuje pani opiekę pooperacyjną tak, jak należy. Chciałabym tu panią zatrzymać, pani doktor. Z pewnością poradziłaby sobie pani z Voglem, wszyscy byliby szczęśliwi i każdy wykonywałby swoją pracę. Inni podobni do pani naukowcy. Lakaszi żyli się z panią w bardzo podobny sposób, w jaki żyli się z doktorem Rappem. Ktoś będzie musiał się nimi opiekować, kiedy mnie zabraknie. Nie sądzę, żeby któreś z pozostałych mogło temu podołać.

– Lakaszi sami mogą o siebie zadbać.

Doktor Swenson przecząco pokręciła głową.

– Nie jeśli świat przybędzie po martiny, po rappy. Wróć do zdrowia, albo i nie. Mogą się mną zająć inni ludzie, ale kto się zajmie plemieniem? Tak naprawdę mogłabym znaleźć mnóstwo argumentów przemawiających za tym, żeby pani została. Dość dobrze panią poznałam.

– Jak na razie dobrze mi idzie – powiedziała Marina, wykręcając ścierkę, aby przemyć twarz i szyję doktor Swenson.

– Proszę się choć przez chwilę nie ruszać – zdenerwowała się doktor Swenson, odpychając jej dłoń. – Niech pani usiądzie. Próbuje pani powiedzieć coś ważnego. Stoję w obliczu konfliktu. Mówię pani, że chcę, aby pani została, a jednocześnie podaję powód, aby pani wyjechała.

– Nie podała mi pani żadnego powodu.

– To dlatego, że nie pozwalała mi pani dojść do słowa. Bez przerwy się pani wierci.

Marina usiadła, trzymając mokrą ścierkę. Materiał był chłodny. Roztopiła w misce więcej lodu.

Doktor Swenson, mała w swoim łóżku, spojrzała na sufit. Nad jej głową krążyła mucha i Marina musiała się powstrzymać, żeby jej nie przegonić.

– Barbara Bovender przyszła się ze mną zobaczyć rano w dniu swojego wyjazdu. Martwiła się, że ją zwolnię, a ponieważ była zmartwiona, opowiedziała mi historię swojego spotkania z plemieniem Hummocca. Wcześniej opowiedział mi ją Milton, ale chciała mi ją powtórzyć, żebym zobaczyła, jak bardzo w związku z tym cierpi. Siedziała na tym krześle, na którym teraz siedzi pani, i płakała. Powiedziała, że była tak blisko śmierci, iż ujrzała swojego ojca biegnącego ku niej przez dżunglę i machającego rękami, ojca, który zmarł, kiedy była dzieckiem.

Czy naprawdę rozmawiały o Barbarze Bovender? A nie o dziecku z podwiniętym ogonem? Nie o Voglu? Nie o czymś, co wydarzyło się trzynaście lat temu w Johnsie Hopkinsie?

– Opowiedziała mi tę samą historię – oświadczyła Marina.

– Opowiedziała pani tę samą historię? Zatem podejrzewam, że doszła pani do podobnych wniosków. – Doktor Swenson spojrzała na Eastera siedzącego pod drzwiami. Długo nie odrywała od niego wzroku. – Nie zdawałam sobie sprawy, że pani też o tym opowiedziała.

– O jakich wnioskach pani mówi? – zapytała Marina.

To był jakiegoś rodzaju quiz i nie miała pojęcia, jak brzmi odpowiedź.

Doktor Swenson spojrzała na nią tak, jak zawsze na nią patrzyła, jakby wszystko było oczywiste.

– Pani Bovender jest bardzo wysoką, bladą blondynką. Czy jej ojciec nie powinien wyglądać podobnie? Chcąc nie chcąc, myślę, że widziała w dżungli białego mężczyznę, mężczyznę, który nie był jej ojcem, ale z daleka, w strachu, mogła go za niego wziąć. Biegł do niej między drzewami, ona siedziała w łodzi. Mogła go widzieć najwyżej przez kilka sekund. Zapytałam, czy coś krzyczał, czy wołał do niej po angielsku. Odpowiedziała, że jej ojciec wołał, żeby poczekała.

Po raz pierwszy od opuszczenia Manaus, od tamtego ostatniego poranka, kiedy obudziła się ze snu o ojcu, stojąc przed klimatyzatorem, Marina poczuła zimno. Było

jej potwornie zimno, bała się, że popękają jej kości. Odłożyła mokrą ściereczkę z powrotem do miski. Miała wrażenie, że jej serce pokryło się lodem.

– On nie umarł.

– Przysięgłabym pani, biorąc na świadka całą swoją wiedzę o tym miejscu, że umarł, ale nie, nie widziałam tego na własne oczy. Czasami w chwilach największej gorączki doktor Eckman dokądś szedł. Nigdy się za bardzo nie oddalał. Raz znaleźliśmy go w magazynie. Innym razem spadł z werandy i stłukł sobie ramię. Zostawiałam z nim Eastera, żeby go pilnował. Doktor Eckman zaczynał wstawać, a Easter kładł go z powrotem do łóżka. Easter był bardzo dobrym opiekunem dla doktora Eckmana. Chłopiec się do niego przywiązał, tak samo jak do pani. Pewnej nocy przyszedł do mojej chatki dobrze po północy, oszalały z rozpacz, naprawdę oszalały z rozpacz. Wyciągnął mnie z łóżka. Ledwie zdążyłam włożyć buty, a już mnie prowadził do magazynu. Lał ulewny, oślepiający deszcz, a Easter płakał, jakby nastąpił koniec świata. Założyłam, że doktor Eckman nie żyje. Pamiętam, że to mnie zaskoczyło. Był bardzo chory, ale myślałam, że się wylize. Weszliśmy na werandę, Easter miał latarkę. Pokazał mi łóżko, pokazał pokój. Doktor Eckman zniknął. Wyszedł w noc, podczas gdy Easter spał w hamaku. Poszłam obudzić Benoit, który zebrał grupę Lakaszich, ale nikt nie zdołał go znaleźć. Ani tamtej nocy, ani następnego dnia. Nigdy go nie znaleźliśmy. Była pani tam. Nietrudno sobie wyobrazić, że nocą w dżungli chory człowiek wytrzyma najwyżej dwadzieścia minut. Nadeptnie na pająka. Wpełźnie do pnia zbutwiałego drzewa i nigdy się nie obudzi. Coś by go pożarło, coś by go zabrało. Nie wiedziałam, co go spotkało, ale zniknął, pani doktor, zniknął jak wszyscy martwi ludzie, więc powiedziałam, że umarł. Powiedziałam pozostałym naukowcom, że Lakaszi zabrali zwłoki w środku nocy. Napisałam list, informując o pochówku. I wierzyłam, że poradziłam sobie z tą sytuacją w najbardziej humanitarny z możliwych sposobów, dopóki Barbara Bovender nie skręciła w niewłaściwy dopływ i nie ujrzała swojego ojca.

Wcześniej Marina myślała, że rozumie to miejsce. Zauważyła przecież kajsakę, pocięła anakondę na kawałki. Na brudnej podłodze przeprowadzała operacje, do których przeprowadzania nie miała ani uprawnień, ani kwalifikacji, jadła drzewa i pływała w rzece w zakrwawionej sukience, ale ostatecznie odkryła, że żadna z tych rzeczy nie figuruje w prawdziwym teście. Pod nimi wszystkimi był jeszcze jeden krąg piekła wymagający zupełnie innego zestawu umiejętności, których ona nie posiadała. I tak musiałyby do niego zstąpić. Była wystarczająco niemądra, aby myśleć, że

poświęciła już wszystko, lecz teraz zrozumiała, że tak naprawdę nawet nie zaczęła się jeszcze poświęcać. Możliwe, że Anders Eckman nadal żył. Anders – jej przyjaciel, Anders – ojciec trojga dzieci mieszkał kawałek dalej nad rzeką razem z kanibalami czekającymi na następną łódź.

– Istnieje jakiś bezpieczny sposób, żebym mogła to załatwić? – zapytała w końcu.

Doktor Swenson zakryła oczy nasadą dłoni.

– Nie. Podejrzewam, że panią zabiją.

Anders zdjął fartuch laboratoryjny i włożył marynarkę wiszącą po wewnętrznej stronie drzwi. Poprawił krawat, wziął teczkę z biurka.

– Umrę, jeśli będę musiał pójść na jeszcze jedno zebranie – powiedział do Mariny.

Marina spojrzała przez otwarte drzwi. Jakimś cudem nadal był ranek. Niespełna dwie godziny temu jadła martyny.

– Powinnam od razu tam popłynąć – oznajmiła.

– Dopiero kiedy to przemyślimy – odparła doktor Swenson. – Najpierw trzeba ułożyć plan.

Marina pokręciła głową, myśląc o Karen Eckman i o tym, co od niej usłyszała: że Anders nie czuje się dobrze wśród drzew. Chciała wyruszyć od razu. Od razu wejść w dżunglę, żeby go odnaleźć.

– Nie wydaje mi się, żeby jutro było inaczej.

I po tych słowach wyszła, a Easter poszedł za nią. Mijając laboratorium, słyszała, jak doktor Swenson woła ją po imieniu, ale nie zawróciła. Mogłyby to omawiać przez resztę życia. Marina chciała jedynie wejść na pokład łodzi, odbić od brzegu i popłynąć ku Andersowi i własnemu przeznaczeniu. Już dryfowała, niesiona prądem, który ciągnął ją naprzód, i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu. Z radością pozwalała mu się unosić, wciągać pod powierzchnię i wypychać w górę. Oddałaby się sile rzeki, gdyby rzeka mogła ją zabrać do Andersa. Poszłaby prosto na pomost, ale musiała coś ze sobą zabrać. Próbowwała znaleźć coś, co mogłaby zaoferować Hummocom w zamian za swojego przyjaciela. Rozejrzała się po magazynie, otwierając pudła, i znalazła dziesięć pomarańczy zostawionych na dnie skrzynki. Zabrała je razem z masłem orzechowym. Owinęła szyję białą koszulą nocną od Barbary Bovender, myśląc, że jeśli istnieje jakiś uniwersalny język poddania się, to przynajmniej będzie miała szansę się nim posłużyć. Żałowała, że nie ma guzików ani

paciorków, noży ani farby. Żałowała, że nie ma nic oprócz strzykawek, papierków lakmusowych, probówek z gumowymi zatyczkami, buteleczek acetonu. Usiadła na pudle z koktajlem owocowym i zamknęła oczy. Zobaczyła Andersa siedzącego przy biurku i przeglądającego albumy o ptakach w Amazonii. Próbowała znaleźć coś równie cennego jak życie Andersa. I wtedy przypomniała sobie o rappach.

Easter poszedł za nią, choć nigdy wcześniej nie szedł aż do martinów. Słońce wisiało wysoko i mocno grzało, mimo że nie minęła jeszcze dziewiąta rano. Marina przyniosła bardzo duży kosz, który znalazła w magazynie, wypleciony przez Lakaszich z grubej trawy. Nigdy nie przychodziła tak późno. W ciągu dwóch godzin, które upłynęły od jej poprzedniej wizyty w tym miejscu, w dżungli zaroilo się od zupełnie innych ptaków, które wywoływały swoimi piskami zupełnie inną wrzawę. Następna zmiana owadów zastąpiła swoją wczesnoporanną brać, cykając i wibrując nowymi i całkiem innymi wieściami. Marina skupiła się na węzłach, które owijały się wokół drzew, wplątywały w pnącza, i ostrożnie stawiała kroki. Teraz nie mogła sobie pozwolić na błąd. Na chwilę przystanęła na skraju polany martinów, pochyliła się, żeby zetrzeć pot z twarzy końcem sukienki. Jaskrawe światło słońca, które zagościło na polanie, nadało korze delikatniejszy odcień żółci i Marina znieruchomiała, starając się, aby nic nie uszło jej uwagi. Zerwała rappa i wyciągnęła go do Eastera, a następnie włożyła do kosza. Zerwała następnego i kolejnego, a chłopiec zaczął ją naśladować, chodząc od drzewa do drzewa i zrywając po kilka sztuk z każdej osobnej kolonii grzybów, przeredzając je i wkładając do kosza, który wypełniał się stertą bladoniebieskich klejnotów. Bez względu na to, ile grzybów zerwali, nadal rosło ich dużo. Może na tym polegał sekret. Marina nigdy nie zastanawiała się nad tym, ile ich jest. Ochrona rappów oznaczała ochronę Lakaszich, martinów, leku na płodność i szczepionki przeciwko malarii. Nikt nie mógł się dowiedzieć, skąd się wzięły rappy. Ale czy ktoś pomyślał o tym, żeby chronić Andersa? Skoro dysponowała jedynie tymi grzybami, postanowiła ich użyć. Gdy podniosła kosz, okazał się tylko odrobinę cięższy niż wtedy, kiedy był pusty. Przykryła grzyby koszulą nocną i zawróciła.

Wiedziała, że grzyby to jej największa szansa, ale na wszelki wypadek dała Easterowi masło orzechowe i pomarańcze. Załadowała to wszystko na łódź. Na pomoście spotkała Thomasa, obok którego stał Benoit.

– Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem od doktor Swenson – powiedział Thomas głosem, w którym wzbierała panika. – Co musiał sobie pomyśleć Anders? Że przez cały ten czas nawet nie zaczęliśmy go szukać?



Marina pokręciła głową.

– Nie wiedzieliśmy.

Thomas wziął ją za rękę.

– Płynę z tobą.

Lakaszi już się zesзли, gotowi wskoczyć na pokład.

To wszystko było ustawione. Doktor Swenson z pewnością zawołała Thomasa, gdy tylko Marina zniknęła, następnie o wszystkim mu opowiedziała i oznajmiła, że musi popłynąć z Mariną, a Thomas, trawiony wyrzutami sumienia i niczego niepodważający, zrobił dokładnie to, czego chciała. Ale nie zdołał przejrzeć jej zamiarów.

– Anders był moim przyjacielem – powiedziała Marina i ścisnęła chude palce Thomasa. – To przez niego tu przypląnąłam. Chyba powinnam popłynąć sama.

– Rozumiem – odparł. – Ale przyjaźnił się także ze mną, więc mam do tego równe prawo. Poza tym nie znasz języka, w którym mogłabyś poprosić o jego zwrócenie.

– Ty też nie mówisz w języku Hummocców – zauważyła Marina.

– To, co potrafię powiedzieć do spółki z Benoit, będzie bliższe językowi Hummocców niż twój angielski. Nie będę czekał na tym pomoście, zastanawiając się, co cię spotkało. Nie będę czekał, żeby się dowiedzieć, czy Anders żyje. – Jego twarz jaśniała tak jaskrawą szczerością, że była wręcz nie do zniesienia. – Już złożyłem obietnicę doktor Swenson. Płyniemy z tobą.

Benoit pokiwał głową, nie rozumiejąc, co dokładnie zostało obiecanie. Marina pomyślała, że potakuje ze zdecydowanie mniejszym przekonaniem.

– Jeśli będziesz dłużej zwlekała z decyzją, o wszystkim dowie się Alan Saturn – powiedział Thomas. – Też będzie chciał popłynąć. Plemię Hummocca zawsze go interesowało. A Nancy nigdy mu nie pozwoli popłynąć samemu, dobrze o tym wiesz, więc trzeba będzie zabrać i ją. Nie przypuszczam, by doktor Budi zgodziła się zostać i doglądać doktor Swenson, ale mogę się mylić. Jeśli jednak się uprze, żeby płynąć razem z nami, trzeba będzie wnieść na pokład także doktor Swenson. Moglibyśmy dla niej zrobić posłanie z koców.

Jeśli Anders rzeczywiście żył i mieszkał z plemieniem nad rzeką, przebywał tam od ponad trzech miesięcy. Marina nie mogła dopuścić, żeby spędził tam kolejną noc.

– W porządku – powiedziała w końcu. Liczyło się tylko to, by natychmiast wypłynąć. To, z kim, miało mniejsze znaczenie. – W porządku.

Thomas z wdzięcznością pokiwał głową, zadowolony, że ta część negocjacji dobiegła końca. Kiedy oznajmił Marinie, że teraz należy poszukać jakichś darów, powiedziała mu o pomarańczach i o maśle orzechowym, ale nie wspomniała o grzybach.

– Szkoda, że nie mamy ich więcej – zmartwił się, patrząc bez przekonania na dziesięć samotnych pomarańczy. – Ale dobrze je zaprezentujemy. Powiemy: „Przywieźliśmy dary” i „Oddajcie nam białego człowieka”.

Thomas skierował te dwa zdania do Benoit po portugalsku, a Benoit zwrócił mu ich najbliższe odpowiedniki w języku Lakaszich. Wszyscy troje stali na pomoście i bez końca powtarzali te słowa. Marina modliła się, żeby wspomniany kiedyś językoznawca miał rację i by język Lakaszich okazał się mało interesującą odmianą wyrosłą z tego samego przewidywalnego korzenia co języki wszystkich sąsiednich plemion, choć wydawało się wątpliwe, aby ów językoznawca kiedykolwiek spotkał plemię Hummocca. Gdy ćwiczili te dwa zdania, wtrącili się Lakaszi. Benoit próbował im wytłumaczyć, że dary i biały człowiek ich nie dotyczą. Umysł Mariny dociskał każdą sylabę, wtlaczał je w jej mózg: „Przywieźliśmy dary. Oddajcie nam białego człowieka”.

– Powinniśmy już płynąć – oznajmił Thomas. – Zanim zjawi się reszta. Możemy poćwiczyć po drodze.

– Potrzebna mi jeszcze woda – powiedziała Marina, rozglądając się po pokładzie. – I kapelusz.

Thomas wszedł na pomost.

– Przyniosę je – zaoferował, a potem skinął głową w stronę Lakaszich. – Proszę ich trzymać z dala od łodzi.

Odwrócił się, uniósł rękę i wtedy Marina zdała sobie sprawę, jak łatwo może stracić Thomasa podczas tej wyprawy. Nagle wyobraziła go sobie martwego, ze strzałą w piersi, jego ciało zsuwało się do wody. Zadrżała, zamrugła. Jak mogła ryzykować życie męża pani Nkomo, płynąc na poszukiwanie męża pani Eckman? Mocno poklepała Eastera po ramieniu, dając mu znak, by zapuścił silnik, a sama odplątała cumę. Gdy odbili od pomostu, Benoit krzyknął na nią, wskazując miejsce, w którym jeszcze niedawno stał Thomas Nkomo, a wtedy ona wepchnęła Benoit do wody. Easter najwidoczniej uznał, że to strasznie śmieszne – Marina wepchnęła jego przyjaciela do rzeki – i dodał gazu, żeby mogli uciec tylko we dwoje.

Przez kilka godzin nie widzieli nikogo, żadnych mężczyzn na dryfujących pniach, żadnych dzieci w czólnach. Od czasu do czasu krzyczało do nich drzewo obwieszane małpami albo nad dziobem przelatywało srebrzyste stado wróbli, ale po za tym byli sami. Marina obrała jedną z pomarańczy i połowę podała Easterowi. Mieli masło orzechowe i ogromny kosz halucynogennych grzybów. Marina utkwiała wzrok w prawym brzegu rzeki, próbując sobie przypomnieć delikatny przedziałek między gałęziami oznaczający odnogę, w którą mieli płynąć. „Widzi pani tamtą rzekę? – zapytał ją kiedyś Alan Saturn. – Płynie się nią do plemienia Hummocca”. Gdy wreszcie ją zobaczyła, albo raczej ujrzała jej niewyraźne wspomnienie, poklepała Eastera po ramieniu i wskazała mu dopływ.

Rzeka płynąca od wioski Lakaszich do Jintów sama była dopływem Rio Negro. Była skromna, szerokością odpowiadała połowie szerokości Negro i ułankowi szerokości Amazonki, lecz dopływ, w który skręcili, był jeszcze węższy, w zasadzie przypominał szeroki strumień, ciasny i bezimienny. Dopóki nie wpłynęli na tę rzekę, Marina była przekonana, że zostawiając Thomasa i Benoit, postąpiła właściwie, ale teraz żałowała, że nie ma przy niej ich wszystkich – Saturnów i Budi, a nawet doktor Swenson na posłaniu z koców. Żałowała, że nie napełniła każdego wolnego czółna członkami plemienia Lakaszi i nie kazała im wiosłować tuż za łodzią. Jeśli bezpieczeństwo zależało od liczebności, ona i Easter byli poważnie zagrożeni. Dżungla zamknęła się u wlotu i kilka minut później Marina straciła wyjście z oczu. W niektórych miejscach drzewa z obu stron stykały się liśćmi, tkając razem baldachim, wycinając ze światła liściokształtne cienie pokrywające wodę. Marina wyobraziła sobie Barbarę Bovender i pana Foxa stojących w milczeniu na pokładzie za Miltonem i zastanawiających się we trójkę, czy dopływ, w który skręcili, doprowadzi ich do celu.

Easter zwolnił i łódź cicho sunęła do przodu, a smuga fioletowego dymu nikła trzy metry za nią. Marina nie pojmowała, dlaczego ta część dżungli wydała jej się o wiele gorsza od tamtej: rosły tu te same drzewa, płynęła ta sama woda. Dopiero godzinę później koryto się poszerzyło, a po następnej znów zwężyło. Marina trzymała się blisko Eastera. Położyła mu rękę na plecach.

– Chciałabym stąd zniknąć przed zmrokiem – powiedziała do chłopca, bo dźwięk głosu, nawet jej własnego, był pogrzipiający.

I właśnie wtedy po obu stronach łodzi spadł deszcz strzał, z których połowa z ostrym stukotem uderzyła o pokład, a pozostała część przecięła wodę jak ostrze noża i wsunęła się w głąb niej. Easter skoczył, żeby dodać gazu, ale Marina złapała go za

rękę. Pociągnęła drążek w dół, żeby zgasić silnik, i objęła chłopca obiema rękami. Oto, pomyślała, skutek listu przyniesionego przez pana Foxa do laboratorium, które dzieliła z Andersem: ta chwila, te strzały, ten upał i dżungla. Razem z Easterem wpatrywała się w zbitą gęstwinę liści. Nie było kolejnych strzał. Otworzyła usta i zawołała w języku Lakaszich, wydając z siebie serię tonów ze szczerą nadzieją, że dobrze je zapamiętała. Przywiozła dary. Powtórzyła najgłośniejszym, jak mogła. „Przywieźliśmy dary”. To było niedorzeczne. To nie słowa, to dźwięki. Jedyne dźwięki, jakie znała.

Ściana drzew stała przed nią w milczeniu. Dodała trochę gazu, by zrównoważyć prąd rzeki, który unosił ich w przeciwną stronę. Strzały spadły co najmniej metr od nich i Marina pragnęła wziąć to za dobrą monetę. Nie mieliby problemu z trafieniem do celu, gdyby chcieli trafić. Trzymała ręce na ramionach Eastera i odliczała sekundy miarowym biciem jego serca. Mijały minuty. Jeszcze raz krzyknęła w stronę dżungli zdanie bez znaczenia, które odbijało się echem od drzew, póki nie odpowiedziały jej ptaki. Zauważyła jakiś ruch pośród liści i po chwili, wyslizgnąwszy się spomiędzy gałęzi, wyszedł z nich jeden mężczyzna, potem drugi. Byli w całości stworzeni z listowia, wynurzali się z niego jeden po drugim, aby na nią popatrzeć, aż w końcu na brzegu zebrała się grupa trzydziestu mężczyzn w opaskach na biodrach, ze strzałami, z czołami żółtymi jak kanarki. Za mężczyznami zjawily się kobiety z dziećmi na rękach. Ich twarze nie były pomalowane. Marina pomyślała o swoim ojcu sławiącym zalety pontonu, który – choć w wodzie zachowuje stabilność – jest jedynie dryfującą sceną. Stała z Easterem na otwartej dłoni, oferowana Hummoccom, i choć czekała na swój strach, strach się nie pojawił. Wreszcie tu dotarła. To było miejsce, do którego próbowała się dostać od samego początku, i tu miała czekać przez resztę życia. Popchnęła drążek gazu, żeby łódź stała w miejscu. Oni patrzyli na nią, a ona na nich. Marina schowała Eastera za sobą i podniosła kosz rappów. Próbowała dorzucić kilka grzybów do brzegu, ale opadły na wodę jak garstka błękitnych piórek. Odstawiła kosz i bardzo powoli wyjęła ze skrzynki pomarańczę, unosząc ją najpierw do góry, żeby pokazać, co ma, następnie markując rzut, i w końcu rzucając ją tak, że wylądowała niedaleko środka grupy na brzegu. Tubylcy odsunęli się o krok od owocu, otaczając go szerokim półkolem, i obserwowali leżącą w błocie pomarańczę, aż w końcu jeden z mężczyzn z tyłu wystąpił naprzód i sięgnął po nią. Miał długie włosy koloru światła słonecznego, a brodę rudawo-siwą. Wydawał się chudszy o połowę, ale mimo to był, nadal był sobą. Anders Eckman, tak jak mówiła jego żona w oblędzie rozpacz, tylko

zaginał. Kiedy Marina zawołała jego imię, wzdrygnął się, jakby ktoś strzelił z pistoletu.

– Kto tam? – krzyknął w odpowiedzi.

– Marina – zawołała.

Stał tak przez dłuższą chwilę, z globem pomarańczy utkwionym w dłoniach, w brudnej, porwanej koszuli, w porwanych spodniach.

– Marina?

– Przywiozłam dary – powiedziała po angielsku, a potem powtórzyła w języku Lakaszich.

Na brzegu rozległ się cichy szmer, Anders zdawał się mu przysłuchiwać.

– Co to? – zapytał.

– Rappy. Mam trochę masła orzechowego, trochę pomarańczy i ogromny kosz rappów.

Jeden z mężczyzn wycelował z łuku w stronę łodzi. Anders podszedł do niego i stał przed nim dopóty, dopóki ten ponownie nie opuścił strzały. Anders coś powiedział, a następnie wcisnął kciuki w pomarańczę i otworzył ją. Oderwał kawałek dla siebie, ale zanim go włożył do ust, wyciągnął resztę owocu w stronę tubylców. Potem podzielił pomarańczę na cząstki i rozdał je mężczyznom, których miał przed sobą.

– Pod żadnym pozorem nie dawaj im rappów – powiedział spokojnie.

– Nie mam niczego oprócz nich – wyznała.

– Masz masło orzechowe. Jeśli ci ludzie dowiedzą się o rappach, jeszcze przed zachodem słońca wytną w pień Lakaszich i zerwą wszystkie grzyby. Jak mnie znalazłaś? – zawołał do niej.

Mężczyźni jeden po drugim ostrożnie kładli cząstki pomarańczy na języku i gryząc je, spoglądali na Andersa z pełnym zdumienia zadowoleniem.

– Opowiem ci innym razem – obiecała. Ostatkiem sił powstrzymała się od tego, żeby wskoczyć do wody i popłynąć do niego.

Anders wskazał łódź palcem i po dalszych naradach zawołał do Mariny:

– Pomarańcza jest dobra. Chcą wiedzieć, czego chcesz w zamian.

Zastanawiała się, czy mówi poważnie, czy naprawdę się nie domyślił.

– Ciebie – powiedziała, a potem dodała do tego drugie zdanie w języku Lakaszich, jakie znała: „Oddajcie nam białego człowieka”.

Zastanawiała się, czy choć jedna sylaba ma dla nich jakiegokolwiek znaczenie. Przez materiał sukienki czuła oddech Eastera. Przywarł ustami do jej pleców.

Postąpiła jak idiotka, zabierając go ze sobą. Wiedziała, że należy zostawić Thomasa i Benoit, a mimo to bez zastanowienia wzięła Eastera, jakby był jedynie jej talizmanem szczęścia. Żadna matka nie przywiozłaby dziecka w takie miejsce, nawet gdyby to właśnie ono rozumiało rzekę i umiało sterować łodzią.

Na brzegu Anders wskazał swoją pierś, a potem łódź. Nad rzeką prześlizgnęła się samotna czapla. Po długiej dyskusji Anders zawołał jeszcze raz:

– Chcą, żebyś podpłynęła.

Marina znowu czekała na swój strach, ale o dziwo się nie pojawił.

– Powinnam?

– Zrób to – powiedział. – I tak cię mają. Po prostu daj im coś, na początek słoik masła orzechowego.

Marina potakująco skinęła głową i sięgnęła po dźwignię, a gdy to zrobiła, zza jej pleców wyłonił się Easter. Oparł ręce z powrotem na sterze. Położyła jedną dłoń na jego głowie, pokazała, żeby podpłynął do brzegu, a on potaknął.

– To Easter? – zapytał Anders. – Straciłem okulary.

– Popelniłam błąd – powiedziała.

Od brzegu dzieliło ich tylko pięć metrów i podpłynęli powoli. Mężczyźni weszli do wody, a kobiety zostały na brzegu. Anders był teraz bardzo blisko, widziała jego zapadnięte policzki pod brodą i jego oczy. Kiedy członkowie plemienia Hummocca podeszli do łodzi, Marina zauważyła, że kształt ich głów rzeczywiście lekko się różni od głów Lakaszych, tak jak mówiła doktor Swenson. Nie byli tak wysocy jak Lakaszi i Anders nad nimi górował. Temu, który wyglądał na przywódcę, podała słoik masła orzechowego. Przez chwilę męczył się z nim, nie wiedząc, do czego służy, i ścisnął słoik rękami. Spojrzał na Marinę, może zamierzał poprosić o pomoc, a może zamierzał ją zabić, ale wtedy na pokładzie zauważył Eastera. Mężczyzna o żółtym czole stał zanurzony po pas w wodzie, przyciskając pierś do pontonu, a jego twarz miała taki sam wyraz jak twarz Mariny zaledwie przed chwilą, kiedy zobaczyła Andersa: malowała się na niej mieszanina radości i niedowierzania, mina oznaczająca pragnienie zaakceptowania czegoś, co niemożliwe. Odwrócił się i krzyknął coś do kobiety na brzegu, która postawiła trzymane dotąd dziecko na brzegu i weszła do wody. Gdy tylko zobaczyła Eastera z daleka, próbowała iść szybciej, ale wodą ją powstrzymała. Zawołała coś do niego, wyciągając ręce, drżenie jej ciała wysłało na wodę krąg małych fal. Po chwili była już obok, podciągnęła się, żeby spojrzeć na pokład, a Easter skulił się za Mariną, oplatając ją w pasie rękami mocno jak wąż.

Anders też znalazł się w wodzie, a po chwili jego ręce dotknęły łodzi. Wołał coś do tubylców, wykrzykując dwie ostre sylaby. Kobieta wdrapała się na pokład, jej krótkie nogi były ubłocone i mokre. Uklękła za Easterem, przykryła mokrymi ramionami jego ramiona otaczające talię Mariny. Bez końca zawodziła, powtarzając jedno słowo, a Easter zastygł w bezruchu i rozpaczliwie trzymał się Mariny. Kobieta za nim zaczęła się kołysać. Mężczyzna ze słoikiem masła orzechowego mówił coś do Andersa i w jego głosie nie było wściekłości.

– Chcą Eastera – powiedział Anders.

Trzymał się boku łodzi, opierał dłonie o pokład. Skinął w stronę pozostałych mężczyzn w wodzie, którzy mówili już coraz szybciej, jedna ręka sięgała po strzałę, druga zataczała kręgi w powietrzu. Anders spojrzał na Marinę. Po raz pierwszy bardzo wyraźnie zobaczyła jego oczy.

– Daj im Eastera i będziemy mogli odpłynąć.

– Nie – powiedziała.

Nie dopuszczała takiej możliwości. Przywiozła dary. Przypląnęła po Andersa. Położyła ręce na rękach kobiety, na rękach Eastera. Ich ramiona utworzyły strukturę, która ją podtrzymywała. Pokręciła głową.

– Damy im rappy – powiedziała.

– Nie mamy wyboru. Równie dobrze mogą zatrzymać nas wszystkich i łódź. Zrób to teraz, póki są zdezorientowani. Nie mamy tu żadnej mocy przetargowej.

Anders powoli wszedł na pokład, pochylił się przed Mariną, poluzował warstwy rąk. Dopiero wtedy Easter zobaczył go wyraźnie i zrozumiał, po co właściwie przypląnęli. Sięgnął ku szyi Andersa i wydał dźwięk, który wydawał przez sen, wysoki, przenikliwy okrzyk zastępujący słowa: „Nie umarłeś. Ty nadal żyjesz”. Mężczyźni z plemienia Hummocca spojrzeli z wody i ze zdumieniem zobaczyli, że ich chłopiec zna tego białego człowieka i że najwidoczniej bardzo go kocha.

– Tylko nie to – powiedziała Marina. – Jeśli z nim zostaniemy, będziemy wszyscy razem.

– Idź po pomarańcze i masło orzechowe – polecił jej, trzymając jedną dłoń na głowie Eastera, wtulając twarz w jego szyję.

Pocałował chłopca, jego włosy, ucho i oko. Mieli do dyspozycji najwyżej minutę. Kobieta już wstała, oparła ręce na ramionach Eastera.

Marina wzięła owoce i masło orzechowe i wyciągnęła je w stronę wody, napełniając nimi każdą uniesioną dłoń. Wtedy Anders objął Eastera w pasie i

podniósł. Chłopiec miał bose stopy, był ubrany w brudne żółte szorty i niebieską koszulkę z napisem „JazzFest 2003”. Marina odnotowała to wszystko, jakby istniał ktoś, komu mogłaby to później opisać, jakaś agencja poszukująca zaginionych dzieci. Anders włożył Eastera w wyciągnięte ręce mężczyzny w wodzie, a kobieta ześlizgnęła się z pokładu, by stanąć obok niego. Na twarzy chłopca, gdy jego oczy biegły od Mariny do Andersa i z powrotem, malowało się pełne przerażenia niezrozumienie. To było coś gorszego niż wtedy, kiedy dopadł go wąż, bo węża rozumiał. Wyciągnął do niej ręce i Marina zamknęła oczy. Zostawiła go tam. Pozwoliła, żeby go zabrali.

Łódź już zawracała, sterował Anders. Po chwili płynęli z pełną prędkością wąskimi zakolami rzeki, Marina nadal z zamkniętymi oczami, jedną ręką trzymając się słupka, na którym opierało się zniszczone zadaszenie biegnące przez środek łodzi. Uwzględniła własną śmierć i oczywiście śmierć Andersa, ale na to nie była przygotowana.

– I tak by go zabrali – powiedział Anders. – Czyby nas zabili, czy nie, Easter i tak by z nimi został.

Zbyt szybko pokonał zakręt i kosz z rappami dwa razy podskoczył, a potem wypadł przez rufę, rozsypując swoją zawartość na wodzie, ofiarę z małych niebieskich splawików. Marina złapała koniec koszuli nocnej, zanim ta zdążyła odfrunąć, i zawiązała ją na supeł wokół pasa. Żałowała, że nie zjadła garści grzybów. Z radością postradałaby zmysły. Byłaby wdzięczna za możliwość ujrzenia Boga. Miała Andersowi tyle do powiedzenia, że w końcu nie powiedziała nic. Chciała się dowiedzieć, co się z nim działo przez cały ten czas i jak się tam dostał, skoro był chory, ale przed każdym pytaniem stał Easter. Nie zgubiła go ani nie zabiła. Zabrała go do dżungli i oddała, i nikt nie był w stanie nic powiedzieć w obliczu tego, co się stało. Gdy znaleźli się już wystarczająco daleko, Marina stanęła za sterem, a Anders położył się na dziobie z zamkniętymi oczami i rękami splecionymi na piersi. Gdy zobaczyła, jak śpi, przypomniała sobie, że nie żył od miesięcy i że aby go odzyskać, zrezygnowała ze wszystkiego, co знаła na świecie. Anders, z którym pracowała codziennie, Anders, którego znała bardzo dobrze, a jednak wcale, znowu żył. Spał tak, jakby przez cały okres swojej nieobecności nie zaznał snu, i chwilami zastanawiała się, czy znowu nie umarł, ale nie chciała zatrzymać łodzi, żeby to sprawdzić. Od czasu do czasu padał deszcz, a kiedy nie padał, słońce przeredzało czubki drzew i nietoperze zaczynały zataczać pętle nad wodą. Nie było trudno sterować łodzią. Dlaczego w ogóle przyszło jej do głowy, że Easter powinien popłynąć razem z nią? Marina owinęła głowę i twarz



koszulą nocną i mrużąc oczy, omijała wzrokiem owady wczesnego wieczoru.

Kilka godzin później Andersa obudził koszmar. Jego ręce wystrzeliły w górę, z ust wydobył się jeden krótki krzyk, a potem Anders usiadł. Było już wtedy ciemno choć oko wykol i Marina płynęła powoli, oświetlając brzeg reflektorem. Martwiła się, że przeoczy wioskę Lakaszich, że skręci w jakiś dopływ i znowu się zgubi. Anders spojrział na rzekę, a następnie na łódź, spojrział na Marinę. W oddali zauważyli małe plamki ognia w dole rzeki.

– Miałem mnóstwo czasu, żeby sobie wyobrazić swoje ocalenie – powiedział. – Army Rangers, najemników, nawet Lakaszich. Najczęściej myślałem, że odbije mnie Karen.

– Odbiłaby cię. Chciała tu przyjechać, ale powiedziałam, że powinna zostać w domu z chłopcami.

Anders zamknął oczy, żeby ujrzeć ich wyraźniej.

– Co u chłopców?

– Wszyscy czują się dobrze.

– Marzyłem o tym tyle razy, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że to ty po mnie przypląniesz.

– Myślałam, że umarłeś – powiedziała.

– Umarłem.

Wkrótce głosy Lakaszich rozpostarły się nad wodą i przyciągnęły ich. Marina była im wdzięczna za ogień, za potworny hałas. Po raz pierwszy od tygodni zastanawiała się, która jest godzina. Mężczyźni podpłynęli do łodzi, a potem wdrapali się na pokład, ale gdy tylko na nim stanęli, zamilkli. Wydarzyły się dwie niewyobrażalne rzeczy: był z nią Anders, a Easter zniknął. Marina zgasła silnik, bojąc się, że w ciemności kogoś staranuje, i płynący mężczyźni przyciągnęli łódź do pomostu. Ci na pokładzie pochylali się ku Andersowi, trzymając płonące gałęzie wysoko nad głowami. Nie poklepywali go, lecz zanurzali gałęzie w wodzie, gdzie ogień gasł z sykiem. Jeden po drugim zsuwali się do rzeki. Głosy stopniowo milkły. W ciemności Anders złapał Marinę za rękę.

Thomas Nkomo stał na pomoście z latarką, jakby przez cały dzień czekał, aż Marina sobie o nim przypomni. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy na jego widok, dotyczyła strzał, które spadły na łódź, ale nie zadała sobie trudu, aby mu powiedzieć, że jemu także ocaliła życie. Thomas podszedł do Andersa, objął go i dwaj wysocy chudzi mężczyźni stali, trzymając się w ramionach. Potem przyszła doktor

Budi, a następnie Saturnowie i po kolei każde z nich szło za przykładem doktora Nkomo.

– A Easter? – zapytała Nancy Saturn, rozglądając się.

– Zostawiliśmy go tam – powiedziała Marina.

Lakaszi oddalali się od nich, światło wszystkich płonących gałęzi malało w dżungli, rozchodząc się w różnych kierunkach, a naukowcy ruszyli do laboratorium.

Marina skręciła na ścieżkę prowadzącą do doktor Swenson. Nie miała latarki, ale księżyc świecił jasno. Kiedy weszła do chatki, zobaczyła, że posłanie, na którym do tej pory spała, zniknęło.

– Kazałam je wynieść dziś po południu. Nie przypuszczałam, że pani wróci. – Doktor Swenson leżała w łóżku, na szafce obok niej paliła się lampa naftowa.

– Wrócił Anders – powiedziała Marina, stojąc przy drzwiach.

Doktor Swenson podniosła głowę.

– Barbara Bovender miała rację?

– Jest w laboratorium.

– Nie znam historii, która mogłaby się z tym równać – powiedziała doktor Swenson, kręcąc głową. – Z radością zobaczę się z doktorem Eckmanem. Easter musi być zachwycony. Zawsze myślałam, że nie może sobie wybaczyć tamtej chwili nieuwagi. Widocznie doktor Eckman popłynął w dół rzeki. Myślałam o tym cały dzień i doszłam do takiego właśnie wniosku. Zniknęło jedno czółno. Pewnie się do niego wczółgał i poniosła go woda. A potem znalazło go plemię Hummocca.

– Nie ma Eastera.

– Jak to: nie ma?

– Hummocca go zabrali. Dzięki temu odzyskałam Andersa. Jakiś mężczyzna i kobieta zabrali Eastera z łodzi. Zachowywali się tak, jakby Easter do nich należał. Byli o tym całkowicie przekonani.

Po twarzy doktor Swenson przemknęła jakaś dzikość, kobieta podźwignęła się na rękach do pozycji siedzącej. Jej koszula nocna była stara i podarta pod szyją.

– Musi pani tam wrócić. Musi pani tam wrócić i go odzyskać. Marina przecząco pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Nie przyjmuję do wiadomości, że pani nie może. Widocznie pani może. Odzyskała pani doktora Eckmana i odzyskała pani Eastera. Jest głuchy. Nie rozumie, co się stało. Nie może go pani tak po prostu tam zostawić.

Ale Marina już go zostawiła i zrozumiała, że można odbyć tylko jedną podróż do piekła w ciągu życia. Nie było powrotu do tamtego miejsca, dla nikogo.

– Jak do pani trafił? – zapytała.

– Już pani mówiłam.

– Proszę powiedzieć jeszcze raz – nalegała Marina.

Doktor Swenson opadła z powrotem na poduszki. Długo czekała, zanim w końcu przemówiła:

– Nie wtajemniczyłam pani, bo ta historia by się pani nie spodobała. Ale teraz to już nieistotne, prawda? Nikt nie mówi prawdy ludziom, których w zasadzie nie zna, a jeśli to robi, jest posiadaczem paskudnej cechy. Wszyscy chcą czegoś mniejszego, czegoś ładniejszego niż prawda.

– Jak do pani trafił?

– Dali mi go. Przyłynął tu. W dżungli jedno plemię wie, co robi drugie. Wspominałam już o tym, o plemionach pozbawionych wszelkich oczywistych środków komunikacji. Pewnego dnia Hummocca posłali po mnie. Było to chyba osiem lat temu, nie jestem pewna. Zjawili się dwaj mężczyźni w czóźnie, ale nie chciałam z nimi popłynąć. Wiedziałam, kim są. Trzydzieści lat temu doktor Rapp prowadził z plemieniem Hummocca jakieś pertraktacje i nic dobrego z tego nie wyszło. Następnego dnia ci sami dwaj mężczyźni wrócili z dzieckiem leżącym między nimi w czóźnie. Było okropnie chore. Z obojga uszu ciekła mu ropa i krew. Dzieci umierają tutaj bez przerwy, to dlatego potrzeba ich tak wiele. Mogę jedynie podejrzewać, że to dziecko należało do kogoś bardzo ważnego, skoro je do mnie przywieźli. Wyjaśnili, o co im chodzi, nie korzystając z dobrodziejstwa wspólnego języka. Chcieli, żebym je ocaliła, a potem je tu zostawili. Zapewniam, że ich o to nie prosiłam. Chłopiec miał ponad czterdzieści jeden stopni gorączki, obustronne zapalenie wyrostka sutkowego, prawdopodobnie zapalenie opon mózgowych. Już wtedy był głuchy, nic nie mogłam na to poradzić. Trzy dni później zjawili się ci sami dwaj mężczyźni, chcieli go zabrać z powrotem. Leżał pod kroplówką z penicyliną, pięćdziesiąt tysięcy jednostek co sześć godzin. Nie mogłam go odesłać w czóźnie.

– Więc go pani zatrzymała?

– Powiedziałam im, że chłopiec zmarł. Tak właśnie by się stało, gdyby nie ja. Właściwie gdyby zaczekali kilka tygodni, dostaliby go z powrotem, ale przyłynęli za wcześnie, a on był zbyt chory, żeby wracać. Nie potrafiłam im tego wyjaśnić, lecz umiałam powiedzieć, że nie żyje.

– Mogła go pani odesłać później.

– Chorował przez miesiąc, nigdy w życiu nie widziałam nikogo aż tak chorego. Zanim bym go zwróciła, już by o nim zapomnieli. Głuche dziecko? Nie wiedzieliby, co z nim zrobić. Myśli pani, że postąpiłaby pani inaczej? Wie pani, już wtedy był Easterem. Naprawdę pani myśli, że po miesiącu karmienia go, mycia i całonocnego czuwania przy nim, kiedy leżał w gorączce, oddałaby go pani kanibalom?

– Nie zabrałabym cudzego dziecka – powiedziała Marina.

– Oczywiście, że by pani zabrała – odparła doktor Swenson. – Teraz zabrałaby go pani mnie. Nigdy nie zamierzała pani stąd wyjechać bez niego, a ja nigdy nie zamierzałam pozwolić mu wyjechać. Był mój. Był moim chłopcem, a pani go oddała.

Gdyby tu był, wsadziłaby go do czółna jeszcze tego samego wieczoru i sama wiosłowała w ciemności aż do Amazonki.

– Zabrałabym go – przyznała. – Ma pani rację. Tylko że teraz straciłam szansę. Dlaczego pozwoliła mi pani go tam wziąć? Dlaczego mi pani nie powiedziała, że to niebezpieczne?

– Nie należał do nich – oświadczyła doktor Swenson. – Był mój.

Marina siedziała, myśląc o tym wszystkim, ale nie było nic do powiedzenia. Mogłaby przysiąc, że Easter jest jej.

– Ja i Anders wyjeżdżamy jutro rano.

– Niech pani odwiezie doktora Eckmana do Manaus, skoro pani musi, albo niech pani o to poprosi kogoś innego, ale pani nadal jest mi tutaj potrzebna.

– Wyjeżdżam razem z nim – oświadczyła Marina.

Doktor Swenson pokręciła głową.

– To nie działa w ten sposób. Proszę mi wierzyć, nie będzie tam już pani pasowała. Zmieniła się pani. Zdradziła pani swojego pracodawcę i nadal będzie go pani zdradzała, a ktoś taki jak pani nie zdoła się z tym pogodzić. Ja też kiedyś się zmieniłam, to było dawno temu, ale się zmieniłam. Też przyjechałam tu za swoim mentorem. Myślałam, że na wakacje. Wiem, jak to jest.

– To nie to samo.

– Oczywiście, że nie to samo. Nic nigdy nie jest takie samo. Nie byłam taka jak doktor Rapp, a mimo to zajęłam jego miejsce. Pani nie jest taka jak ja, ale niech pani zaczeka, a przekona się pani: pojedzie pani do domu i odkryje, że wszystko straciło sens.

Marina podeszła i stanęła obok łóżka.

– Dobranoc – powiedziała.

– Wróci tu pani – zapewniła ją doktor Swenson. – Ale proszę nie kazać mi czekać w nieskończoność. Nie mamy nieograniczonej ilości czasu na dokończenie tej pracy. Easter wróci. Może nawet rano. Wykradnie czółno, kiedy będą spali. Wie, jak się dostać do domu. Nie będzie miał pani za złe tego, co mu pani zrobiła. To dziecko. Wybaczmy nam.

Ale Marina widziała wyraz malujący się na jego twarzy, kiedy Anders go oddawał. Nie była pewna, czy doktor Swenson ma rację.

– Dobranoc – powtórzyła i zamknęła drzwi.

Gdy poszła do laboratorium, żeby znaleźć Andersa, Alan Saturn powiedział, że Anders bierze prysznic. Thomas szukał pudełka, do którego włożyli jego rzeczy. Miał nadzieję, że nie zabrano wszystkich ubrań. Nancy i Budi siedziały naprzeciwko nich i gapiły się w podłogę.

– Mówi, że czasami nadal gorączkuje – odezwał się w końcu Alan. – Niech pani dopilnuje, żeby dobrze wyglądał w samolocie. Jeśli pomyślą, że ma malarię, nie wpuszczą go z powrotem do kraju.

– Może mieć malarię? – zapytała Marina.

Doktor Budi podniosła głowę, ale nic nie powiedziała. – Jesteśmy w tropikach – odezwała się Nancy. – Każdy może mieć malarię.

Doktor Budi pokręciła głową.

– Każdy oprócz nas – sprostowała.

Marina poszła na werandę sypialną. Umyła się, stojąc w miednicy, i włożyła koszulę nocną pani Bovender. Koszula była już nieszczególnie czysta, ale w porównaniu z sukienką, którą zdjęła z siebie Marina, przypominała prawdziwy kwiat szarotki alpejskiej. Marinie było źle w tej chatce bez Eastera. Otworzyła jego skrzynkę, którą odniesiono razem z posłaniem, i pod piórami i kamieniem przypominającym oko znalazła list od Andersa, który obiecywał nagrodę za bezpieczne dostarczenie Eastera do Ameryki. Obok znalazła nie tylko paszport Andersa, ale również własny. Easter miał zdjęcia ich obojga. Znalazła też swój portfel, bilet na samolot i telefon. Długo siedziała z telefonem w rękach, zanim spróbowała go włączyć, a gdy w końcu zdobyła się na odwagę, nic się nie stało. Padła bateria. Odłożyła telefon do skrzynki.

– To był mój pokój – odezwał się Anders.

Marina podniosła głowę i zobaczyła go. Broda zniknęła, przesunął dłoń po

twarzy. Taką twarz zapamiętała.

– Zgoliła mi ją jedna z kobiet Lakaszich. Najwidoczniej sprawiło jej to niezmierną radość. Nigdy wcześniej nie nosiłem brody – dodał. – Nie znosiłem jej.

– Teraz przypominasz siebie – powiedziała.

– Spałem tu. – Wskazał łóżko. – Easter spał w hamaku.

– Wiem – odparła. – Domyśliłam się. – Spojrzała na skrzynkę. – Spał ze mną.

Po twoim zniknięciu męczyły go straszne koszmary.

– Mnie też – powiedział Anders. Zgasił dwie lampki i postawił skrzynkę na podłodze. – Posuń się – poprosił.

Marina wyciągnęła się po jednej stronie posłania, a Anders położył się obok niej. Zetknęli się nosami i objął ją ramieniem.

– Przykro mi – powiedział.

– Nie – odparła. – Tak jest lepiej.

– Jutro pojedziemy do domu.

Przysunęła się do niego. Pokiwała głową wtuloną w jego szyję. Gdyby mieli zasnąć, musieliby to zrobić w tej samej chwili. Musieliby leżeć mocno przytuleni i nieruchomi, póki by się nie obudzili. Dotychczas obejmowali się raz do roku, kiedy przychodziła do jego domu na przyjęcie bożonarodzeniowe. Otwierał drzwi ubrany w czerwony sweter, ona stała na śniegu, trzymając butelkę wina, witał ją szybkim uściskiem i wciągał do środka.

– Dlaczego akurat ty? – zapytał.

– Nie wiem. Karen chciała, żebym pojechała. Pan Fox też. Miałam się dowiedzieć, co się dzieje z doktor Swenson, i zapytać, jak umarłeś. Było mi przykro, kiedy usłyszałam, że umarłeś.

– Nikomu nie przyszło do głowy, że zaginałem? – zapytał. – Nikomu nie wydało się dziwne, że zniknęło moje ciało?

Marina bardzo lekko pokręciła głową na ich wspólnej poduszce.

– Doktor Swenson powiedziała, że cię pochowali. Myślała, że nie żyjesz. Była pewna, że nie żyjesz.

– Ale ty w to nie uwierzyłaś. – Położył jej dłoń na ramieniu.

– Uwierzyłam – powiedziała Marina. – Karen nie. Miała ogromną nadzieję, ale ja jej nie podzielałam. Myślałam, że zwyczajnie nie potrafi się pogodzić ze stratą.

– W takim razie dlaczego po mnie przy płynęłaś?

– Przez Barbarę Bovender – wyjaśniła.

I właśnie wtedy go pocałowała, bo ich usta były tak blisko, bo rzeczywiście żył, bo nie była w stanie niczego z tego wytłumaczyć. Była w salonie Bovenderów i Barbara pytała, czy Marina go kocha. Teraz go kochała, ale tylko teraz. Tej jednej nocy, po najbardziej niezwykłym dniu, który obydwójce będą mieli przed oczami do końca życia, pocałowała go, aby sobie udowodnić, że to wszystko się wydarzyło, a on pocałował ją dlatego, że to była prawda, że naprawdę tam był. Kiedy przysunęli swoje ciała jeszcze bardziej, to nadal wydawało się koniecznością, bo przecież próbowali leżeć razem w tak wąskiej przestrzeni. A kiedy zaczęła płakać, płakała dlatego, że znowu zobaczyła tamten wąski dopływ i znowu zrozumiała, jak łatwo byłoby go przeoczyć. Gdyby go przeoczyła, gdyby Barbara Bovender go przeoczyła, Anders nigdy by się nie odnalazł, a Easter nigdy nie zostałby utracony. Anders wiedział o tym, powiedział to, ujmując jej głowę w dłoń. Gdy się kochali, kochali się tylko po to, żeby ukoić lęki, jakich doświadczyli. Był to akt fizycznej życzliwości, pocieszenie, wysublimowana czułość między przyjaciółmi. Kochałaby się z panem Foxem, gdyby tam był, a Anders kochałby się z żoną, ale tej nocy mieli jedynie siebie nawzajem, a zresztą czy po tym wszystkim, co się między nimi wydarzyło, mogliby się nie przytulić, nie wtulić się w siebie ciałem, aby pokazać, jak mocno – choć tylko do chwili lądowania samolotu w Minneapolis – są ze sobą związani. Gdyby nie przyszpilił jej niewielki ciężar tego, co z niego zostało, mogłaby pójść nad rzekę, wejść do wody i stać na płyciźnie, próbując się przekonać, czy doktor Swenson miała rację, mówiąc o Easterze wiosłującym do domu w ukradzionym czólnie, może w tym samym, które dawniej poniosło Andersa. Gdyby nie jej ciepło, on mógłby nie uwierzyć w odmianę swojego losu. To miało pozostać jedynie częścią historii, o której nigdy więcej nie będą mówić, częścią, w której wciągnął ją na siebie rękami chudymi jak młode drzewka, a ona opuściła twarz na jego pierś, pocałowała go i zapłakała.

Rano jakimś cudem obydwójce nadal balansowali na łóżku, dwa cienkie talerze opierające się o siebie na suszarce, Marina po swojej stronie, otulona z tyłu Andersem Eckmanem jak kocem. Myślała, że przed wyjazdem po raz ostatni pójdzie do martinów, ale teraz pragnęła jedynie, żeby to się skończyło. Miała dość drzew. To, że kiedykolwiek rozważała zabranie do domu torby pełnej gałązek, wydało jej się teraz niedorzeczne i lekko odpychające. Jedyńm, co miała zabrać do domu, był Anders. Leżała naga w łóżku ze swoim współpracownikiem i wyslizgując się spod niego, obudziła go.

– O, Marina – zaczął, ale pokręciła głową i pochyliła się.

Po raz ostatni w życiu go pocałowała.

– Wracajmy do domu – powiedziała.

I wrócili, Marina w koszuli nocnej pani Bovender, do której włożyła parę spodni i jedną z koszul pana Foxa. Na głowie miała kapelusz Milтона i niosła skrzynkę Eastera jak małą walizkę. Saturnowie odwieźli ich łodzią do Manaus. Za ledwie godzinę drogi od wioski Lakaszich ogromny drapieżny ptak przeleciał im nad głowami wystarczająco nisko, by mogli zobaczyć minę małej małpki zwisającej z jego zakrzywionych szponów.

– To harpia – powiedział głośno Anders, wychylając się za burtę, żeby popatrzeć na szybującego ptaka. – Widzieliście ją?

– Nie sposób było jej przeoczyć – odpowiedziała Nancy Saturn.

Dżungla nagle zamilkła na widok tego ptaka, jakby wszystkie stworzenia obdarzone oczami miały wystarczająco dużo rozumu, by wstrzymać oddech.

– Właśnie ją najbardziej chciałem zobaczyć, kiedy tu przyjechałem. Prawie się ich już nie spotyka. – Ciało Andersa nadal wyciągało się w stronę drapieżcy. – Nie mogę uwierzyć, że widziałem harpię.

Po przybyciu do Manaus zadzwonili do Milтона z budki telefonicznej w porcie. Milton, jak zawsze zaradny, miał przyjaciela w kasie linii lotniczych, który okazał im zrozumienie; czekając, aż załatwi im dwa miejsca na ostatni lot do Miami i następnie na pierwszy samolot do Minneapolis, poszli powiedzieć Barbarze Bovender, że to nie jej ojciec biegł między drzewami i że skręcając w niewłaściwy dopływ, ocalała Andersowi życie. Opowiadając tę historię innym ludziom, opowiadali ją sobie nawzajem, mówili o tym, jak każde z nich odnalazło doktor Swenson, jak trawiony gorączką Anders zapuścił się nad rzekę i wszedł do czółna, mówili o Hummoccach, którzy znaleźli go na wpół żywego, dryfującego w tej łódce, choć nigdy nie mógłby stwierdzić, jak właściwie się tam dostał, bo wszystkie te wspomnienia pochodziły z miejsca zanurzonego już teraz całkiem pod wodą niczym zatopione miasto, które przemieniło się w jezioro; mówili o gorących okładach, którymi plemię Hummocca leczyło go tygodniami i które pachniały jak chrzan i smoła, oraz o tym, jak skóra na piersi pokryła mu się od nich pęcherzami. Opowiadanie szło im tak dobrze, że w pewnej chwili Marina podzieliła się z Miltonem swoją wizją, w której Thomas Nkomo leżał przeбитą strzałą, a Anders powiedział Barbarze, jak wyjęto mu z rąk Eastera, choć słuchając tych słów, Barbara i Marina płakały. Zanim weszli na pokład samolotu, opowiedzieli o wszystkim oprócz tego, o czym nigdy nie zamierzali mówić. Pili Bloody



Mary i patrzyli, jak Amazonia coraz bardziej się oddala na mapce widocznej na ekranie. W odchylanych fotelach obydwójce zapadli w sen głębszy i bardziej orzeźwiający niż ten, którego doświadczali przez ostatnie miesiące.

Istniało wiele powodów, aby zadzwonić do Karen z lotniska w Miami, i wiele powodów, by z tego zrezygnować i jak najszybciej wrócić do domu. W obydwu możliwościach Marina widziała jednakową dawkę miłości i okrucieństwa i choć głosowała za powrotem do domu, powiedziała, że decyzja należy oczywiście wyłącznie do niego. Anders długo wpatrywał się w zegar i w rzadko spotykany rząd automatów telefonicznych niedaleko wyjścia do samolotu, aż w końcu rozpoczął się boarding. Obydwójce uzgodnili, że stracili telefoniczne umiejętności. Z każdym kilometrem drogi powrotnej czuli, jak na nowo przemieniają się w ludzi, którymi kiedyś byli, w dwoje naukowców dzielących jedno laboratorium koncernu farmaceutycznego pod Minneapolis.

Minnesota! Pachniała malinami, słońcem i delikatną trawą. Było lato i wszystko wyglądało piękniej niż na obrazach, które w sobie nosiła. Gdy wsiedli do taksówki, nadal wiedzieli, że wydarzyło się coś niezwykłego, ale byli rozkojarzeni, najpierw z powodu wysokich budynków, a później liściastych drzew, z powodu szerokich połaci prairii, które pozwalały oku prześlizgiwać się z łatwością w każdym kierunku, z powodu niezwyklej lekkości powietrza. Anders pochylił się do przodu i przed każdym skrzyżowaniem dawał wskazówki nigeryjskiemu kierowcy, a Marina opuściła szybę, pozwalając, aby wiatr odpychał jej palce i ciągnął za splecione w warkocz włosy. Z jakiegoś powodu pomyślała o podróży z Miltonem i Bovenderami na plażę pod Manaus i o kozie, którą udało się wtedy ominąć. Nigdzie na świecie nie było miejsca równie pięknego jak Minnesota.

Dojeżdżając do końca ślepej uliczki, minęli chłopca na rowerze, ale Anders patrzył w inną stronę. Zauważył z daleka dwóch następnych na podwórzu przed domem – chłopców, którzy z tej odległości poruszali się i bawili jak Easter – i położył dłoń na ramieniu Nigeryjczyka, wołając, żeby się zatrzymał, żeby się zatrzymał. Drzwi samochodu otworzyły się niczym drzwiczki klatki i Anders wyskoczył z taksówki, wołając ich po imieniu. Przez chwilę taksówka stała, a Marina obserwowała ten świat, który nie miał z nią nic wspólnego, nawet jeśli sama go stworzyła. Zobaczyła, jak chłopiec na rowerze zawraca szerokim łukiem i pędzi ulicą w stronę ojca. Na dźwięk tych wszystkich okrzyków – bo chłopcy wrzeszczeli jak Lakaszi – otworzyły się frontowe drzwi, sąsiedzi pootwierali swoje. Nie widziała, czy to Karen, ale już po

chwili zobaczyła, jak frunie w jego ramiona, nie dotykając stopami trawnika. Karen też była mała i złocista jak dziecko. Zupełnie jakby czekali na niego codziennie od dnia jego wyjazdu, trzymając nad głowami płonące gałęzie, wylewając swoje dusze ku niebu jednym zawodzącym głosem, dopóki w końcu nie wrócił. A przywiozła go Marina. Nie myśląc o tym, że ktokolwiek powinien ją zobaczyć, kazała kierowcy jechać dalej.